

ŚWIAT BOGA – ŚWIAT CZŁOWIEKA



ks. Tadeusz Borutka

**ŚWIAT BOGA – ŚWIAT CZŁOWIEKA
ROZWAŻANIA
FILOZOFICZNO-TEOLOGICZNE**

Recenzent: ks. prof. dr hab. Wojciech Misztal

Kraków 2011

© by WN UPJPII, 2011

Opracowanie techniczne
Krzysztof Korzeniak

Projekt okładki i ilustracje
Krzysztof Korzeniak

ISBN 978-83-7438-257-1

Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie
ul. Franciszkańska 1, 31-004 Kraków
tel./faks 12 422 60 40
e-mail: wydawnictwo@upjp2.krakow.pl

zamówienia: www.wn.upjp2.krakow.pl

PRZEDMOWA

Kilka lat temu, natknąłem się na tekst, który dał mi do myślenia. Spróbuję go w zasadniczej treści odtworzyć, choć może nie do końca wiernie, bo pamięć ludzka jest ulotna i zawodna. Tekst ten brzmiał mniej więcej tak:

*Ileż to lat, ileż to lat,
trzeba chodzić po schodach, po piętrach,
do ilu pukać drzwi, w ilu szukać książkach,
ażeby znaleźć jakieś jedno zdanie,
które komuś do serca wejdzie i zostanie!*

Mówi się, że dawniej ludziom wystarczyło, że „istnieli”, teraz jeszcze muszą „zaistnieć”.

Dlatego u tak wielu osób dostrzegamy „parcie na ekran”, usiłują za wszelką cenę zaistnieć w mediach elektronicznych. Nie jest ważne dla nich jak się prezentują, czy w dobrym, czy w złym świetle – byle ludzie o nich mówili. Pojawia się też ogromnie dużo różnego rodzaju publikacji, zwłaszcza autobiograficznych. Autopromocja kwitnie! W gąszczu twórczości pisarskiej naszych czasów, nacechowanej często budowaniem okazałych duchowych pomników, jakie ludzie wnoszą sobie za życia, niezwykle trudno jest odnaleźć i wychwycić publikacje mające zupełnie inny charakter. Pomniki patrzą z piedestałów i mają mentorskie zakusy wszechwiedzy, albo też biorą czytelników „na litość”, pragnąc zjednać zrozumienie i sympatię dla własnych wad, słabości, które jak mniemają, nadają życiu koloryt i czynią je „bardziej ludzkim”.

Mówiąc o innym charakterze publikacji, mam na uwadze nawet nie dzieła pisane „pro publico bono” – dla dobra ogółu, nie „ku pokrzepieniu serc”, nie „ku przestrodze”, ale w duchu dewizy św. Augustyna „Karmię was tym, czym sam żyję!” Takie dzieła są świadectwem i usiłują nawiązać autentyczny dialog z czytelnikiem. Świadczą o żywym, nacechowanym miłością bliźniego zainteresowaniu losem innych

ludzi, stanowią także zaproszenie do uczestnictwa w życiu samego autora, są oprowadzaniem po świecie jego poszukiwań, przemyśleń, zadumań i przemyśleń.

Książka ks. prof. dr. hab. Tadeusza Borutki *Świat Boga – świat człowieka. Rozważania filozoficzno-teologiczne* do takich dzieł właśnie należy. Autor jest specjalistą w zakresie katolickiej nauki społecznej i chyba najlepszym w Polsce znawcą nauczania społecznego Jana Pawła II. Nauka społeczna Kościoła, zawiera w sobie niejako dwie płaszczyzny rozważań: etyczną i pastoralną. Mówi najpierw o tym, w jaki sposób życie moralne człowieka znajduje odzwierciedlenie w jego społecznych zachowaniach, które trzeba aprobować, bo służą dobru wspólnemu, lub odrzucić, gdyż stanowią zagrożenie dla ładu moralnego i porządku społecznego.

Nauczanie społeczne Kościoła, nie „będąc trzecią drogą”, jak chcieli niektórzy, między socjalizmem a kapitalizmem i nie sugerując konkretnych rozwiązań społeczno-politycznych, równocześnie przejawia troskę o zbawienie człowieka realizowane w jakże skomplikowanej doczesności. Kościół podkreśla, że charakter ustrojów, humanizacja struktur społecznych, czy doskonalenie współżycia społecznego zależą w ostatecznej konsekwencji od tego, jaki jest człowiek. Ten człowiek, jak podkreślił Jan Paweł II w encyklice *Redemptor hominis*, stanowi podstawową drogę Kościoła (por. nr 14).

Kierując się duszpasterską troską i stosując zasady pedagogii ewangelicznej, Kościół uczy człowieka, jak ma realizować cele doczesne, by nie tylko nie narazić na szwank swego zbawienia (zeświecczając własne zbawienie), ale także owocnie służyć społeczeństwu, jego integralnemu, czyli wszechstronnemu rozwojowi. W dziedzinie na przykład poprawy jakości życia, zależnej w znacznej mierze od zasobności i bogacenia się społeczeństw, Kościół zwraca uwagę, nie tylko chrześcijanom, ale wszystkim ludziom dobrej woli, na fakt, że własne bogacenie po pierwsze nie może być celem

samym w sobie, ale winno służyć autentycznemu dobru osoby i rozwojowi innych ludzi, po wtóre, że należy się bogacić w sposób godziwy, tzn. etycznie, uczciwie, poprzez pracę, a po trzecie, że przemija postać tego świata i dlatego wszyscy winniśmy pamiętać, iż „Nie mamy tutaj trwałego miasta, ale szukamy tego, które ma przyjść” (Hbr 13, 14) i że „Nasza (...) ojczyzna jest w niebie” (Flp 3, 20). Kościół poucza, że słusznie troszcząc się o doskonalenie *jakości życia*, winniśmy przede wszystkim najpierw położyć nacisk na „wartość życia”, jego naturalny i nadprzyrodzony sens oraz cel.

Publikacja ks. prof. dr. hab. Tadeusza Borutki obejmuje szerokie spektrum zagadnień, mówi o takich kwestiach życia jednostkowego i zbiorowego, jak: przeżywanie tajemnic wiary, doskonalenie postępowania moralnego, akcentowanie godności osoby i praw człowieka, kształtowanie odpowiedzialnej wolności i poszukiwanie osobistego szczęścia; ale porusza ona także kwestie na wskroś społeczne i wspólnotowe: zagadnienia dotyczące małżeństwa, rodziny, szkoły i wychowania, patriotyzmu, wojny, pokoju, pracy, kultury, a nawet ludzkiej mowy, jako przejawu relacyjności bytu ludzkiego. Książkę wieńczą trzy tematy maryjne, które możemy odczytać jako przejaw nie tylko osobistej pobożności Autora, ale także jako zachętę do zakotwiczenia naszej ziemskiej, osobowej i wspólnotowej egzystencji, w sercu Matki – Matki nas ludzi, Matki Kościoła i Królowej Polski.

Omawiana pozycja nie jest jednorodna w swoim charakterze. Dla niektórych czytelników może to być jej słabszy punkt, dla innych, w tym dla mnie także, jest to zaleta. Spotykamy w niej filozoficzną zadumę, motywacyjne konstatacje i emocjonalne wzruszenia. Ale taki jest przecież człowiek. Nie całe bogactwo jego duchowego wnętrza dochodzi w nim naraz do głosu. I takie jest też życie: skupione oraz wyciszzone kontemplacją; ambiwalentne, nacechowane wahaniem trudnych wyborów; dynamiczne euforią uczuciowych uniesień czy wzruszeń. Sposób ujęcia i rozpracowania danego te-

matu zależy, jak się wydaje, nie tylko od jego teoretycznego czy praktycznego wymiaru, ale także od czasu, okoliczności i rodzaju przeżyć Autora. Dlatego teksty te są prawdziwe, utrwalone niejako „na gorąco”, a nie cyzelowane i modelowane w dłuższym okresie czasu. To właśnie decyduje o tym, że stanowią: pouczające, przekonujące i wzruszające świadectwo.

Pragnę podkreślić, iż sam znalazłem w książce ks. prof. dr. hab. Tadeusza Borutki *Świat Boga – świat człowieka. Rozważania filozoficzno-teologiczne* bardzo dużo treści do dalszych osobistych przemyśleń oraz wiele zdań, które pozostaną w sercu na zawsze, współkształtując moje dalsze życie.

Wszystkim czytelnikom tej pozycji życzę podobnie owocnej lektury!

prof. zw. dr hab. Jan Wal
Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie

Kraków, 25 III 2010 r.

WSTĘP

Nie jest łatwo pisać na tematy z pozoru proste, ale zarazem tak zasadnicze, jako że znajdujące się u fundamentów życia człowieka i ludzkich społeczności, że nad wyraz złożone, tym bardziej niełatwo, że już tyle razy i przez tylu ludzi były podejmowane, z tylu różnych punktów widzenia ujmowane oraz naświetlane, iż wydaje się, że w ich obrębie zostało powiedziane już wszystko. Mimo to warto, a nawet trzeba do nich wracać i ciągle na nowo czynić je przedmiotem refleksji, przemyśleń i rozważań, aby nie stały się martwe. Rzeczywistości, których dotyczą, są rzeczywistością życia, jeśli się więc uzna, że już wszystko się wie, że wszystko jest jasne i dookreślone, że wszystko już w tej materii zostało napisane i jest dogłębnie zrozumiane, wobec czego nie ma potrzeby się nad tym jeszcze raz zastanawiać, życie tak indywidualne, jak społeczne ulegnie destrukcji. Bo życie przecież nie jest dookreślone i zawsze pozostaje naznaczoną różnymi znakami, niezapisaną kartą. Nie wiadomo, od jak dawna trwa, lecz ciągle się zmienia, ciągle jest inne, jak ciągle inny – choć zawsze taki sam – jest człowiek.

Kiedyś żył on w Bogu i z Bogiem, w odniesieniu do transcendencji, dzisiaj często chce już żyć sam, bez Boga. Nasza cywilizacja ulega postępującej wciąż laicyzacji, odrzuca wartości transcendentne, sama tworzy normy i prawa. Człowiek jest przekonany, że wystarczy sam sobie, nie do końca zdając sobie sprawę, że w tej perspektywie, perspektywie bez transcendencji, a więc perspektywie skończoności, zostaje zredukowany do biologii, ekonomii czy socjologii, a tym samym zatracony w immanencji.

Jan Paweł II powiada, że u podstaw tego ateistycznego projektu człowieka znajduje się brzemienność w konsekwencje „błąd antropologiczny”¹ i na ten właśnie aspekt myślenia Papieża zwraca uwagę A. Frossard, pisząc: „Dla Jana Pawła II nie ulega wątpliwości, że tym, co spowodowało

¹ Jan Paweł II, *Encyklika „Centesimus annus”*, Watykan 1991, nr 17.

zgubę marksizmu, jest «słabość jego antropologii». Posługując się językiem mniej filozoficznym, można powiedzieć, że grzechem pierwotnym Marksa było nieliczenie się ze złożonością ludzkiej istoty, zredukowanie człowieka do jego funkcji ekonomicznej i uznanie wszystkiego innego za iluzję, relikwiny kultury, za metafizyczne mrzonki, religijne baśnie, za opium, jakiego właściciele środków produkcji dostarczają ludziom uciskanim, aby im wybić z głowy wymagania sprawiedliwości”².

Idąc tym śladem, można powiedzieć, że grzechem pierwotnym współczesnej filozofii i psychologii jest ujmowanie człowieka wyłącznie jako świadomości, czego konsekwencją jest skrajny subiektywizm. Człowiek nie jest jednak tylko świadomością; świadomość jest jedynie aspektem (choć niezwykle istotnym) człowieczeństwa. Jednak – jak pisał Karol Wojtyła – „przy subiektywistycznej postawie myślowej ulega [ona] absolutyzacji – a więc przestaje już być aspektem. Dopóki jest rozumiana jako aspekt (...), dopóty służy (...) tylko pełniejszemu zrozumieniu subiektywności człowieka, zwłaszcza w jego wewnętrznej relacji do własnych czynów. Odkąd natomiast świadomość przestaje być rozumiana jako aspekt, odtąd też przestaje tłumaczyć subiektywność, czyli podmiotowość człowieka i jego czynów, a sama staje się namiastką podmiotu”³.

W swoich rozważaniach daleki jestem od ujmowania człowieka jako świadomości, jako bytu samego w sobie czy dla siebie, jako wytworu stosunków ekonomicznych czy społecznych. Ujmuję go jako istotę stworzoną przez Boga, odkupioną przez Syna Bożego, powołaną do pełni człowieczeństwa w całej jego złożoności oraz do wieczności. Podstawą moich rozważań jest wiara w Chrystusa i Jego zbawcze dzieło, ono bowiem znajduje się u źródła prawdziwego humanizmu i ono nadaje kształt ludzkim

² A. Frossard, *Świat Jana Pawła II*, Kielce 1992, s. 22-23.

³ K. Wojtyła, *Osoba i czyn*, Kraków 1985, s. 75.

sprawom. Właśnie w Chrystusie zostało objawione, czym jest istota ludzka i jaką drogą powinna pójść, aby znaleźć życie. Chrystus nie jest jednak tylko obrazem ludzkiej egzystencji.

W pewien sposób zjednoczył się z każdym człowiekiem i dosięga go w głębi jego wnętrza, u samych korzeni życia, przełamując izolację jego „ja”, stając się – od wewnątrz – jego drogą i rękojmią niezniszczalnej godności osoby ludzkiej. Dlatego też – jak pisał Jan Paweł II w swojej pierwszej encyklice *Redemptor hominis* – człowiek, który chce „zrozumieć siebie do końca – nie wedle jakichś tylko doraźnych, częściowych, czasem powierzchownych, a nawet pozornych kryteriów i miar swojej własnej istoty – musi ze swoim niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią, przybliżyć się do Chrystusa. Musi niejako w Niego wejść z sobą samym, musi sobie «przyswoić», zasymilować całą rzeczywistość Wcieleń i Odkupienia, aby siebie odnaleźć”⁴.

Jezus Chrystus przyszedł na świat, aby objawić ludzkości prawdę o Bogu. Ale jest On też słowem o człowieku. Objawiając człowiekowi Boga, objawia mu człowieka i uzmysławia, że nie można poznać ani wypowiedzieć pełnej prawdy o człowieku, nie pamiętając, że jest on boskiego pochodzenia, że jest obrazem i podobieństwem Boga samego, że jest przez Boga stworzony, przez Boga odkupiony.

Ludzkość, jeśli chce rozwiązać coraz bardziej skomplikowane problemy współczesnego świata, musi powrócić do Ewangelii, postawić Chrystusa w centrum wszystkich spraw, przyjąć Jego naukę. Jest to nauka pod niejednym względem trudna, wymagająca; nie wszędzie i nie zawsze budzi posłuch, a spośród tych, którzy ją słyszą, nie wszyscy biorą sobie ją do serca. I to jest największe zagrożenie dla świata. Cywilizacja naszej ery od początku budowana była

⁴ Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 10.

na Chrystusie – i musi być nadal na Nim budowana, w przeciwnym wypadku runie, jak runęły cywilizacje sprzed naszej ery. Każdy więc musi budować siebie, swoje życie, życie indywidualne, rodzinne, społeczne, narodowe, ogólnoswiatowe, świat cały, teraźniejszość i przyszłość na Chrystusie i z Chrystusem, to znaczy – jak mówił papież Benedykt XVI do młodzieży polskiej w Krakowie 27 maja 2006 roku – „budować na fundamencie, któremu na imię miłość ukrzyżowana. To budować z Kimś, kto znając nas lepiej niż my sami siebie, mówi do nas: «drogi jesteś w moich oczach, nabrałeś wartości i Ja cię miłuję» (Iz 43, 4). To budować z Kimś, kto zawsze jest wierny, nawet jeśli my odmawiamy wierności, bo nie może zaprzecić się samego siebie (por. 2 Tm 2, 13). (...) To powiedzieć sobie, swojej rodzinie, przyjaciołom i całemu światu: «Panie, nie chcę w życiu robić nic przeciw Tobie, bo Ty wiesz, co jest najlepsze dla mnie. Tylko Ty masz słowa życia wiecznego» (por. J 6, 68)⁵.

I do tego budowania mają się – taka jest moja intencja – przyczynić niniejsze rozważania. Są one przyłączeniem się, ale i wezwaniem do niego, temu budowaniu mają służyć. Osnute zostały wokół najważniejszych spraw człowieka ujętego z punktu widzenia osoby, jako indywiduum, oraz jako istoty społecznej. W refleksji tej z pomocą przyszła mi znajomość teologii, szczególnie katolickiej nauki społecznej, filozofii, socjologii religii, a także literatury. Wielką pomoc stanowiło dla mnie soborowe nauczanie Kościoła oraz papieży, szczególnie Jana Pawła II i Benedykta XVI, a w pewnej mierze też różnego rodzaju opracowania z tego zakresu. Nie bez znaczenia dla moich przemyśleń były również moje doświadczenia duszpasterskie oraz kontakty nawiązywane podczas wykładów i spotkań w ramach pracy, szczególnie z Akcją Katolicką.

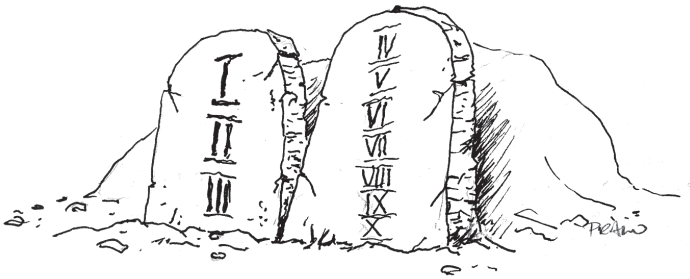
⁵ Benedykt XVI, *Budujcie wasze życie na Chrystusie*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 27(2006) nr 6–7(284), s. 32.

Rozważania te obejmują takie zagadnienia, jak prawo naturalne, osoba i dzieło zbawcze Jezusa Chrystusa, podstawowe zasady życia indywidualnego i społecznego, człowiek z jego godnością i prawami, podstawowe wartości, rodzina, społeczność, uczestnictwo oraz Matka Najświętsza. Zagadnienia te są ogromnie ważne, wokół nich koncentruje się bowiem życie religijne i społeczne człowieka. Trudno się nad nimi nie zatrzymać, jeśli chce się dobrze przeżyć życie. W ich doborze kierowałem się własnym wycuciem, ale także porządkiem, jaki jest zachowywany przy ich omawianiu w katolickiej nauce społecznej, choć nie ukrywam, że zastosowałem jednak pewną dowolność. Oczywiście, można było przyjąć inną hierarchię omawianych spraw, ponieważ jednak są to typowe rozważania, przy ich porządkowaniu kierowałem się ludzką wrażliwością, która rodziła się nie tylko w umyśle, ale i w sercu. Muszę też nadmienić, że rozważania te powstawały w dłuższym okresie, w kontekście różnych życiowych doświadczeń, a także obchodzonych uroczystości i świąt. Starłem się oddać w nich w jakiś sposób stan swojego serca i uczuć, które mi towarzyszyły w tych chwilach oraz podczas pisania. Ufam, że dla osób, które po nie sięgną i uczynią swoją lekturą, staną się one przyczynkiem, może punktem wyjścia do refleksji nad sobą, nad życiem i jego sprawami, nad relacjami z Bogiem i innymi ludźmi.

Pragnę serdecznie podziękować ks. prof. zw. dr. Janowi Walowi za dobre odpowiedzi, wspaniałe sugestie i napisanie wprowadzenia oraz ks. prof. dr. hab. Wojciechowi Misztalowi za recenzję wydawniczą. Obydwaj Księża Profesorowie są pracownikami Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, który wydatnie wsparł wydanie tych rozważań, za co gorąco dziękuję jego Władzom. Ogromnie się cieszę, że ukażą się one nakładem Wydawnictwa Naukowego naszego Uniwersytetu. Szczególne podziękowania składam panu Marianowi Kozielskiemu z Krakowa, który towarzyszył ich powstawaniu i dopomógł mi w ich redakcji.

Ufam, że książka *Świat Boga – świat człowieka. Rozważania filozoficzno-teologiczne* przyczyni się chociaż trochę w tych, którzy po nią sięgną, do pogłębienia zrozumienia najważniejszych spraw tego świata. Jeśli tak będzie, to będzie to największa nagroda dla jej autora.

PRAWO





DEKALOG I–III

Jest wspaniały obraz Rembrandta z 1659 roku – *Mojżesz z dziesięcioma przykazaniami*. Przedstawia on sędziwego przewodnika narodu izraelskiego unoszącego oburącz ponad głowę tablice z Dekalogiem, by ukazać je światu. Nie ma w tym jeszcze nic szczególnego – tak powinien być przecież uczynić – objawić wszystkim to, co otrzymał od Boga, by wszyscy pochylili się przed tym. Trzeba jednak wpatrzeć się jeszcze w twarz Mojżesza, jej wyraz przejmuje do głębi. Jest w niej i natchnienie, i duma, i świadomość nieprzemijającego znaczenia chwili, ale jest też skrajnie z tym kontrastująca niepewność i jakiś niewyraźny ból, świadomość, że te tablice mogą nic nie znaczyć, w każdym bądź razie nie dla wszystkich, że mogą mieć znaczenie tylko dla niego, nie dla innych. I trzeba spojrzeć jeszcze w jego oczy. Nie wiadomo, gdzie są zwrócone, bo ani w niebo, ani w ziemię, ani w lud, ani w Boga. Wszędzie i nigdzie. Najbardziej może w samego siebie. Jakby ciągle jeszcze rozmawiał z Bogiem albo miał wizję i widział – jak Aleksander Rymkiewicz – te

*cywilizacje spalone wśród liści
(...)
i [to] morze [które] strzaskany dekalog
na brzegi wyrzuca.*

(Dekalog)

Mojżesz został przez lud doprowadzony do stanu, w którym w końcu potłukł tablice z przykazaniami... I odtąd tłuką je wszyscy – już nie tablice, lecz same przykazania. To właśnie mógł Patriarcha widzieć na tym obrazie Rembrandta: te potrzaskane prawa Boże porzucone pośród spalonych cywilizacji. Dlatego na jego twarzy maluje się taka beznadziejność. Był pomiędzy Bogiem a człowiekiem, pomiędzy Nieskończoną Wielkością i Doskonałością a nieskończoną małością i ułomnością. Zdawał sobie sprawę, co objawia światu, ale też zdawał sobie sprawę, co świat z tym zrobi.

I to właśnie zrobił. Przyniesione przez Mojżesza prawo od samego początku było łamane. Szczególnie zaś łamane jest dzisiaj. Niewielu się nim przejmuje, a jeszcze bardziej niewielu stara się go przestrzegać.

We współczesnym świecie podważane, a często także odrzucane są wszystkie prawdy, przede wszystkim podstawowa prawda o istnieniu Boga. Człowiek, który został stworzony „na obraz i podobieństwo Boże”, uznaje, że sam może być dla siebie „bogiem”. Neguje więc swego Stwórcę i przyjmuje ateizm jako program w przekonaniu, że uwolniwszy się od wszelkiej duchowej zależności i wiary, utożsamianej z alienacją, zyskuje prawdziwą wolność, a ponieważ jest „altruistą”, tego samego rodzaju emancypacji domaga się także dla całej ludzkości.

Z odrzuceniem idei Boga wiąże się odrzucenie Bożych praw i przyznanie jednostce wyłącznego przywileju autonomicznego określania kryteriów dobra i zła oraz zgodnego z tym działania. Istota ludzka ma być wolna, sama więc ma o wszystkim decydować; wolność stała się absolutem, źródłem wartości. Konsekwencją tego jest relatywizm moralny, uznanie, że wszystko jest względne, nie ma więc różnicy pomiędzy dobrem i złem, pięknem i kiczem, prawdą i kłamstwem i – jak mówił Iwan Karamazow w powieści Dostojewskiego – „wszystko wolno”, skoro bowiem Boga nie ma, cóż może być zabronione i któż może zabraniać?

Dekalog, jako prawo Boże objawione, jest rozwinięciem i uszczegółowieniem prawa naturalnego, zakorzenionego w umyśle, sercu i sumieniu człowieka. Dawniej prawo naturalne nazywano objawieniem naturalnym. Współczesny człowiek ma poważne problemy z przyjęciem i uznaniem niezmienności tego prawa. Nawet jeśli je przyjmuje, to uznaje jego niezmiennść tylko w swej istocie, podkreślając, że jest ono zmienne w swym istnieniu, zależne od okoliczności historycznych, uwarunkowań kulturowych, a nawet sytuacji ekonomicznej. O tym jednak, co stanowi istotę naturalne-

go prawa moralnego, a co należy do kategorii istnieniowej (egzystencjalnej), decyduje sam człowiek, a skoro decyduje, to ciągle uszczupla jego zakres istotowy, a poszerza zmienny zakres istnieniowy. To także jest powodem relatywizacji moralności.

Chrześcijanie, zabierając głos w sprawach życia publicznego, podkreślają, że moralność oparta na prawie naturalnym winna być źródłem prawa, a nie odwrotnie – prawo źródłem moralności. Ich głos często jednak jest „głosem wołającego na pustyni”, bo liberalnie nastawiony pozytywizm prawny zupełnie ignoruje źródła moralności prawa i zajmuje się jedynie źródłami stanowienia prawa. Prawo tu na ziemi określa człowiek, jest więc ono, w najlepszym przypadku, jakąś formą konsensusu społecznego, w większości zaś przypadków wynikiem umowy klasy politycznej i zazwyczaj odezwane bywa od praw Bożych. „Osobliwością naszych czasów jest fakt – zauważył Wolfhart Pannenberg – że temat moralności i etyki uważa się za sprawę istotną dla społeczeństwa, natomiast temat Boga traktuje się jak ezoteryczną kwestię dla teologów oraz «ludzi lubujących się w takich sprawach»”⁶. Taka postawa, chociaż nie ma cech radykalnego odrzucenia Boga, w gruncie rzeczy prowadzi do życia, takiego, jakby Bóg nie istniał i w konsekwencji także ma wszelkie znamiona relatywizmu moralnego.

Ale odrzucając Boga albo ignorując Jego istnienie, godząc się na relatywizm, stawiając siebie na najwyższym piedestale, człowiek gubi stopniowo prawdę o samym sobie, o swoim powołaniu i przeznaczeniu, zatracając poczucie własnej godności, której źródłem jest sam Bóg, Stwórca i Odkupiciel, niweczy swoje człowieczeństwo. Powraca zatem pytanie: „Jeżeli Boga nie ma, czy istnieje człowiek?”. Wbrew pozorom pytanie to ma głęboki sens. Konsekwencją nie tyle głoszonej, co realizowanej w życiu wielu ludzi teologii śmierci Boga jest zawsze dehumanizacja człowieka i kryzys

⁶ W. Pannenberg, *Gdy wszystko jest dozwolone*, „W drodze”, 9(2003), s. 18.

wszelkiej prawdy. Utrata więzi z Bogiem prowadzi do osłabienia wszystkich koncepcji humanizmu, jakie pojawiały się na przestrzeni dziejów, a w tych, które się obecnie tworzy, brakuje nie tylko pełnej prawdy o człowieku, ale także motywacji, by żyć i postępować tak, jak przystało osobie ludzkiej – stworzonej na Boży obraz i podobieństwo.

„Człowiek zredukowany” z własnej niejako woli siłą rzeczy ulega destruktywnemu przywiązaniu do stworzenia (*conversio ad creaturam*), na którym wyłącznie koncentruje teraz swe pragnienie nieskończoności. W tej sytuacji egzystencjaliści, a szczególnie Albert Camus w swych powieściach *Upadek*, *Obcy* i przede wszystkim *Dżuma*, tworzą nową filozofię – filozofię odpowiedzialności. Od człowieka wymaga się heroizmu etycznego – nie obiecując mu niczego w zamian, po prostu w imię człowieczeństwa, i narzuca mu się nowy dekalog. Ale ten nowo stworzony dekalog stawia przed nim niemal te same wymagania, co ten zapisany na tablicach Mojżesza: bądź panem siebie, bądź sprawiedliwy, nie nienawidź, nie zabijaj, dąż do prawdy, czynń dobro, bądź solidarny, dawaj świadectwo prawdzie, kochaj matkę, słowem bądź święty – bez Boga. Grunt pod tę filozofię przygotował już Immanuel Kant dwa wieki wcześniej. Pisał on: „Są dwie rzeczy, które napęniają duszę podziwem i czcią: niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie. Są to dla mnie dowody, że jest Bóg nade mną i Bóg we mnie”⁷.

Zaiste piękna, porywająca to myśl, rozbudzająca i umysł i wyobraźnię, ostatecznie jednak odprowadza od Boga i doprowadza do człowieka, do jego rozumu, nie do wiary. Według myśliciela z Królewca religia to w zasadzie tylko traktowanie naszych moralnych obowiązków jako Bożych przykazań, a jedyny sposób oddawania chwały Bogu, czyli praktykowanie religii, to czynienie zadość tym obowiązkom. Źródłem świadomości moralnej człowieka jest jednak nie co innego, tylko rozum. Religię może więc odkrywać dzie-

⁷ I. Kant, *Krytyka praktycznego rozumu*, Warszawa 2004, s.12.

ki rozumowi – i tak pojmowaną religię Kant nazywał religią rozumu albo religią naturalną, obowiązującą bez względu na to, czy Bóg istnieje, czy nie. Kant zakładał zatem religię bez Boga, tak jak Camus świętość bez Boga! Obydwaj mieli jednak jeszcze dobre intencje i obydwoj mówili jeszcze, podobnie jak Karamazow: „j e ś l i Boga nie ma”. Nietzsche poszedł dalej. Mówił już wprost, że „Boga nie ma”; jeszcze dalej poszli Marks i Engels, a już najbardziej zagrzebali się w paradoksy Lenin, Stalin i im podobni, którzy mówili „Boga nie ma”, ale zaciekle walczyli z Nim na wszystkich frontach. Chciałoby się rzec, jakkolwiek kolokwialnie to zabrzmie: to przecież paranoja? Coś takiego zdarzało się Don Kichotowi z powieści Cervantesa, ale widać – nie tylko jemu.

Egzystencjaliści doprowadzili świat do absurdu, mówiąc zresztą, że życie to absurd, komuniści osiągnęli już absurd absurdów: nie walczyli nawet z wiatrakami, lecz z czymś czy raczej Kimś, Kogo w ogóle nie było! Podobnych paradoksów we współczesnym świecie jest o wiele więcej, historia jednak jednoznacznie wykazała, że autonomia rozumu nie może zastąpić społeczeństwu i jednostkom autorytetu Boga. Zwracał na to uwagę Blais Pascal, Jan Jakub Rousseau, Johann Wolfgang Goethe, Adam Mickiewicz, i Søren Kierkegaard (którego uważa się notabene za prekursora egzystencjalizmu, ale teistycznego, nie ateistycznego; jako egzystencjalistów można zresztą określić także Sokratesa i św. Augustyna, jako że i oni czynili z egzystencji człowieka ośrodek filozofii), i całą plejadę myślicieli chrześcijańskich.

Każdy człowiek zdaje sobie w głębi duszy sprawę, że zarówno religia, jak i świętość bez Boga to pustka, wstęp do nicości. A cóż pozostaje człowiekowi na jej progu? Tylko oprzeć się na dobrach stworzonych. Opiera się zatem na nich, ale ponieważ dobra te mają charakter ograniczony, tęskni za dobrem absolutnym, które okazuje się niemożliwe do osiągnięcia. Przypisując stworzeniom charakter nieskończony, traci poczucie, że jest istotą stworzoną, zamierza

więc opierać się tylko na sobie samym, sam się realizować i sam sobie wystarczać w swej ograniczoności. Nie zdaje sobie sprawy, że tym samym traci najgłębszą motywację dla swojego postępowania, narusza swój ład i swoją wewnętrzną równowagę, a także równowagę społeczeństwa, a nawet równowagę widzialnego świata.

Wywołuje to w ludziach głęboki niepokój i lęk egzystencjalny. Człowiek współczesny – pisze Jan Paweł II – zdaje się stale zagrożony przez to, co jest jego własnym wytworem, co jest wynikiem pracy jego rąk, a zarazem pracy jego umysłu, dążeń jego woli. Owoce tej wielorakiej działalności człowieka bardzo szybko i w sposób najczęściej nieprzewidywany nie tylko zostają mu odebrane, ale – przynajmniej częściowo – skierowują się przeciw niemu samemu. Na tym przede wszystkim polega dramat współczesnej ludzkiej egzystencji w jej najszerszym i najpowszechniejszym wymiarze⁸.

Człowiek stracił sens życia, jaki odwiecznie mieli ludzie, poczucie swego prawdziwego przeznaczenia i świadomość transcendentnego wymiaru swej rzeczywistości; nie wyznacza już sobie dróg w pionie, lecz w poziomie. Szczęścia upatruje w użyciu, a swoją wartość ocenia na podstawie tego, co posiada. Liczy się nade wszystko pieniądź, zysk, a najbardziej pożądana stała się kariera zawodowa. Więcej znaczy „mieć” niż „być”. Pogoń za rzeczami materialnymi, bez różnicowania między tym, co dobre, a tym, co złe, nastawienie konsumpcyjne, mentalność roszczeniowa, egoizm, nijakość duchowa, oziębłość uczuciowa, zanik postaw twórczych i altruizmu – to powszechność współczesnego człowieka. Pytanie tylko: czy taki człowiek realizuje jeszcze swoje powołanie i przeznaczenie? I drugie, postawione przez Kazimierza Przerwę-Tetmajera: „Jakaż jest przeciw włóczni złego twoja tarcza?”. Ten, z *Końca wieku XIX*, do którego zwracał się poeta młodopolski, „Głowę zwiesił niemy”. My powiedzmy

⁸ Jan Paweł II, *W obliczu lęku dzisiejszego świata*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 1(1980), nr 4, s. 19.

wprost za Psalmistą, odwołując się do przekładów Czesława Miłosza i Jana Kochanowskiego:

*Boże Mój, obrono, której ufam, tarczo Moja i rogu
zbawienia Mego, wieżo Moja!*

(Psalm 18, przeł. Cz. Miłosz)

*Twoja mnie tarcza, Twoja ręka można wspierała,
Twoja wieczna dobrotliwość mnie pomnażała.*

(Psalm 18, przeł. J. Kochanowski)

Nie ma innej tarczy przeciw złemu, innej, która mogłaby człowieka osłonić, jak tylko tarcza Boga, a na nią składa się Dekalog.

Analizując treść Dekalogu, możemy zauważyć, iż stoi on na gruncie etyki perfekcjonistycznej, zachęca człowieka do doskonalenia swego postępowania, co gwarantuje harmonię wewnętrzną w doczesności oraz zbawienie i szczęście wieczne. Chrystus zachęcał swoich uczniów i wyznawców: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5, 48). Świat współczesny coraz częściej opowiada się jednak za etyką eudajmonistyczną, czyniącą przemijające szczęście człowieka głównym celem jego dążeń i pragnień, które należy realizować za wszelką cenę. W takim wypadku mamy do czynienia z etyką sytuacyjną, relatywną, w której cel często uświęca środki. W opublikowanej w 1965 roku *Etyce sytuacyjnej* Josepha Fletchera sformułowano sześć tez. Piąta z nich głosi: „Tylko cel uświęca środki, nic innego”⁹. Zatem „wszystko jest dozwolone”... Jednak nie jest. Jest bowiem Dekalog.

Jego pierwsze trzy przykazania: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”, „Nie będziesz brał imienia Boga twego nadaremno”, „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił” określają stosunek człowieka do Boga i wzywają do mi-

⁹ J. Fletcher, *Etyka sytuacyjna*, Warszawa 1965.

łowania Go oraz czczenia. Ta miłość i cześć najpełniej wyrażają się w poszanowaniu Jego prawa i wypełnianiu Jego woli. „Nie każdy, który Mi mówi: «Panie, Panie!», wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto spełnia wolę mojego Ojca” (Mt 7, 21) – powiedział Chrystus. To jest droga wiodąca do świętości, do której wezwał nas Bóg, mówiąc: „Bądźcie świętymi, ponieważ Ja sam jestem święty!” (Kpł 11, 44), dając tym samym do zrozumienia, że pragnie swoją świętością ogarnąć nie tylko poszczególnego człowieka, ale również całe rodziny i inne ludzkie wspólnoty, całe narody i społeczeństwa.

Człowiek został powołany do świętości i powinien do niej dążyć, a w dążeniu tym powinien uzyskać pomoc. Jan Paweł II naucza, że wiara i szukanie świętości jest „sprawą prywatną [ale] tylko w tym sensie, że nikt nie zastąpi człowieka w jego osobistym spotkaniu z Bogiem, nie da się bowiem szukać i znajdować Boga inaczej niż w prawdziwej wewnętrznej wolności”¹⁰. Poza tym nie jest to sprawa prywatna, dlatego też neutralność światopoglądowa państwa jest słuszna o tyle, o ile chroni ono wolność sumienia i wyznania swoich obywateli. Nie można zatem głosić zasady o niedopuszczaniu wymiaru świętości do życia społecznego i nie można przyzwalać na ateizację życia społecznego; należy natomiast szukać takich rozwiązań, które zapewnią poszanowanie prawa do wolności religijnej każdego człowieka.

Poszanowanie prawa do wolności religijnej to poszanowanie prawa do życia zgodnie z wymogami wiary, przyjmowania postaw uznanych przez nią za wartościowe, szczenia kultu i obchodzenia uroczystości oraz świąt, także niedzieli, której uznawanie za „dzień Pański” i poświęcenie Panu jest podstawowym obowiązkiem chrześcijanina. „Niedziela, dzień (...) zmartwychwstania, jest dla nas, którzy uwierzyliśmy w Chrystusa, dniem świętym – mówił Jan Pa-

¹⁰ Jan Paweł II, *Chrześcijaństwo w pełnym tego słowa znaczeniu*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 1–9 czerwca 1991, nr specjalny, s. 15.

węł II w Lubaczowie. – W tym dniu gromadzimy się wokół ołtarza, ażeby zaczerpnąć ze świętości Chrystusa i ażeby cały nasz tydzień uczynić świętym”¹¹.

Pierwsze trzy przykazania Dekalogu mają znaczenie fundamentalne, bo wskazują, że wymiar wertykalny miłości (miłość człowieka do Boga i miłość Boga do człowieka) współkształtują horyzontalny wymiar miłości, naszą miłość względem bliźnich. Nie kochamy bliźnich nigdy samotnie, w naszej miłości do ludzi, zwłaszcza do nieprzyjaciół, bo to jest najtrudniejszy rodzaj miłości, uczestniczy sam Bóg i On ją wspiera, także tym, najbardziej podstawowym, w żaden sposób niepodważalnym, jednoznacznym i ostatecznym przykazaniem „Nie zabijaj”, którego podwaliną, będącą też podwaliną pierwszych trzech przykazań Dekalogu, jest pierwsze i najważniejsze przykazanie – przykazanie miłości: „Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca swego, z całej duszy swojej i ze wszystkich myśli swoich, a bliźniego swego jak siebie samego” (Łk 10, 27).

W tym przykazaniu zawiera się też czwarte przykazanie Dekalogu: „Czcij ojca swego i matkę swoją”. To wszakże także bliźni, najpierwsi spośród bliźnich, jedyńi, ci, którym należy się nie tylko miłość, ale także cześć, najwyższy szacunek. Pięknie o tych pięciu zasadniczych zrębach Prawa Bożego, ujętych w pierwszych pięciu przykazaniach Dekalogu – z pewnością najważniejszych, z nich bowiem wyrastają następne i są poniekąd ich konsekwencją oraz logicznym następstwem – pisał Roman Brandstaetter: „Celem człowieka jest wypełnianie niesłychanie trudnej i złożonej służby wobec bliźniego [a także wobec Boga – dodajmy, aby oddać głębiej sens tej wypowiedzi], którą wyrażę za pomocą formuły «ja – to ty», określającej całe nasze istnienie. Przyszliśmy na ten świat, aby wypełniać obowiązek dobroci wobec wszystkich i wszystkiego, co nas otacza. (...) Trud każdego z nas

¹¹ Jan Paweł II, *By nikt nie czuł się obcym we własnej Ojczyźnie*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 1–9 czerwca 1991, nr specjalny, s. 28.

jest niezastąpionym wkładem w potężną budowę ludzkości, którą uświęcamy za pomocą dobroci, a równocześnie sami jesteśmy uświęceni przez dobroć naszego otoczenia. W tej pracy nikt nie może być przez nikogo zastąpiony, bo każdy z nas musi mieć swój osobisty wkład w dobre i piękne dzieło, którego jesteśmy kontynuatorami”¹².

¹² R. Brandstaetter, *Krąg biblijny i franciszkański* [w:] *Dziela zebrane*, Kraków 2004, s. 181–182.

DEKALOG IV–X

Pierwszą część naszych rozważań o Dekalogu zakończyłem piękną myślą Romana Brandstaettera, drugą rozpocznię więc jego wspaniałym przekładem fragmentu *Psalmu 19*:

*Nauka Pańska jest doskonała i pokrzepia duszę,
świadcstwo Pańskie jest niewzruszone (...)
Rozkazy Pańskie są proste i radują serce,
a przykazania Pańskie są jasne i oświecają oczy.*

Słowa te doskonale wprowadzają w misterium Dekalogu. Jest on w swej istocie prosty i jasny, raduje serce i oświeca duszę, i jest niewzruszony, stanowi nienaruszalną całość od pierwszego do ostatniego słowa. Żłudne jest wobec tego przekonanie, jakiemu hołduje wielu ludzi, że można przestrzegać jednych przykazań, a innych nie; że można czcić rodziców, a pogardzać bliźnimi; że można pogardzać bliźnimi, a miłować Boga; że można miłować Boga, a zabijać innych; że można zabijać, a nie kraść albo kraść, a nie zabić; że można budować prawdziwą kulturę ludzkiego życia, cudzołożąc, pożądając żony bliźniego swego, źle i fałszywie pojmując i przeżywając płciowość oraz miłość, niezgodnie z ich prawdziwym przeznaczeniem. Szóste przykazanie, jedno z podstawowych praw życia moralnego nieśmiertelnej, rozumnej, wolnej osoby ludzkiej mówi: „Nie cudzołoż”, a dziewiąte, pozostające w ścisłym związku z szóstym: „Nie pożądaj żony bliźniego swego”. I te przykazania są chyba najczęściej łamane, co w konsekwencji doprowadziło do całkowitej banalizacji płciowości, która to postawa jest jednym z głównych czynników rodzących pogardę dla poczynającego się życia i deprecjację miłości.

Wolą Boga jest, by małżeństwo, płodny związek męczyzny i kobiety, było czyste. Wierność ma przeniknąć do tego stopnia myślenie i wolę małżonków, by wykluczyć wszelkie świadome pożądanie kogokolwiek poza swoim mę-

żem i swoją żoną: „Słyszeliście – mówił Chrystus – że powiedziano: nie cudzołóż. A Ja wam powiadam: każdy kto pożądliwie patrzy na kobietę, już w swoim sercu dopuścił się z nią cudzołóstwa” (Mt 5, 27–28).

Tak rozumiana i przeżywana czystość małżeńska rodzi cześć dla osoby współmałżonka, szacunek dla jego ciała, jego uczuć, nawet jego nastrojów, pozwala go traktować nie jako swoją własność, lecz jako własność Boga. I to właśnie stanowi istotny przejaw czystości: szacunek dla współmałżonka w całej jego rzeczywistości cielesnej i duchowej jako własności Boga. Małżonkowie mogą przeżywać tę czystość i ten szacunek przez wiarę, gdy klękają do wspólnej modlitwy, gdy klęcząc obok siebie przyjmują Ciało Pańskie, gdy pamiętają o godności drugiego człowieka, gdy patrzą na siebie „jako na obraz Boży”, gdy widzą w sobie dzieło Boga i gdy traktują siebie jako tych, których On stworzył i których przeznaczył do życia wiecznego. Niestety, tak rozumiana czystość we współczesnym świecie uznawana jest za przeżytek. Małżeństwo przestaje być świętością, przestaje być komunią dwojga ludzi, coraz częściej staje się grą interesów. Niewierność jest na porządku dziennym, coraz częściej traktowana bywa jako coś normalnego.

Świadomość tego przepełniała wielkim bólem Jana Pawła II: „Co stało się z przykazaniem: «Nie cudzołóż» w naszym polskim życiu? – pytał wiernych w Łomży. – Czy małżonkom naprawdę zależy na tym, ażeby ich dzieci rodziły się z czystych rodziców? Czy nosimy w sobie poczucie, że ciało ludzkie jest wezwane do zmartwychwstania i że winniśmy troszczyć się o zachowanie jego godności? Czy potrafimy sobie uświadomić, że ludzka płciowość jest dowodem niesłychanego wręcz zaufania, jakie Bóg okazuje człowiekowi, mężczyźnie i kobiecie, i czy staramy się tego Bożego zaufania nie zawieść? Czy pamiętamy o tym, że każdy człowiek jest osobą i że nie wolno drugiego człowieka sprowadzać do roli przedmiotu, który z pożądliwością można oglądać lub

którego się po prostu używa? (...) Czy małżonkowie (...) pamiętają o tym, że w momencie ich ślubu przed ołtarzem sam Chrystus zobowiązał się być z nimi zawsze, być ich światłem i mocą? Czy małżonkom naprawdę zależy na tym, aby ta Boska obecność Chrystusa napełniała ich życie małżeńskie i rodzinne?¹³

Jan Paweł II zauważa, że „Ten, który uczy: «Nie cudzołóż», jest Dobrym Pasterzem, Pasterzem ludzkiej miłości, którą chce uczynić piękną, trwałą, wierną, nierozzerwalną. Jeśli ślubujecie sobie wzajemnie, «iż cię nie opuszczę aż do śmierci», to On, Dobry Pasterz, staje się w sakramencie najwyższym poręczycielem tych waszych ślubów. Sakrament jest źródłem moralnej mocy dla człowieka, dla mężczyzny i kobiety, aby oboje sprostali swym ślubom. Aby przewyżczyli słabości i pokusy. Aby nie dali się uwieść żadnej modzie. Trzeba tylko wytrwale współpracować z łaską sakramentu małżeństwa. Trzeba tę łaskę stale odnawiać!»¹⁴. I trzeba zrobić, co tylko możliwe, aby „społeczeństwo uwolniło się od tego złudzenia wolności, wolnej miłości, którą usiłuje się przesłonić rzeczywistość cudzołóstwa i rozwiąźłości”¹⁵.

Czystość to jednak nie tylko i nie wyłącznie czystość seksualna. To także czystość serca. „Szóste Błogosławieństwo” Chrystusa brzmi: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą” (Mt 5, 8). Czystość serca to „czystość ludzkich intencji”, stojących na straży uczciwości i bezinteresowności; to „czystość sądów i ocen”, pozwalająca zawsze uwzględnić „za” i „przeciw” i stosować zasadę *audiatur et alter pars*, tzn. brać pod uwagę także inne punkty widzenia, bo okazuje się, iż sądząc i oceniając powierzchownie, ludzie nie mówią o innych źle, tylko zwykle najgorzej; to „czystość mowy”, wolnej od barbaryzmów i wulgaryzmów,

¹³ Jan Paweł II, *Co się stało z przykazaniem „nie cudzołóż” w naszym polskim życiu?* Homilia w Łomży, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 12(1991) nr 5(132), s. 40.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże.

ale także półprawd, manipulacji i nadinterpretacji; to wreszcie „czystość poglądów i postaw”, stanowiąca przejaw prostolinijności, która chroni przed kroczeniem „krajem nieba, krajem piekła” oraz „świeceniem Panu Bogu świeczki, a diabłu ogarka”. Tak rozumiana „czystość serca” zabezpiecza przed instrumentalnym traktowaniem drugiego człowieka, stanowi najwłaściwszą postawę wobec niego i podstawę autentycznej miłości bliźniego, a przy tym najskuteczniejszą ochronę przed łamaniem przykazania siódmego: „Nie kradnij” – ani przedmiotów, ani niczego, co stanowi własność innych: dobrego imienia, wiary, nadziei, praw, przekonań, wiedzy, prawd – a także dziesiątego: „Nie pożądam żadnej rzeczy bliźniego swego”.

Człowiek ma prawo do posiadania rzeczy i do rozporządzania rzeczami. Są mu one niezbędne do życia, dlatego otrzymał od Stwórcy władzę nad nimi oraz zdolność do ich przetwarzania wedle swoich potrzeb. Zobowiązany jest jednak, by swymi dobrami posługiwać się w sposób ludzki. Ma też moralny obowiązek – z jednej strony – szanowania własności innych ludzi, a z drugiej – wytwarzania nowych dóbr dla siebie oraz dla drugich tak, aby całe społeczeństwo mogło bytować w sposób bardziej godny istot ludzkich¹⁶.

Dotyczy to przede wszystkim działalności gospodarczej. Jeśli w tej sferze będą „przestrzegane zasady sprawiedliwości; jeśli każdy będzie się liczył nie tylko z interesem własnym, ale również z interesem społecznym; jeśli w działaniach gospodarczych nie zabraknie troski o najuboższych i najbardziej potrzebujących – wówczas Pan Bóg z pewnością pobłogosławi wysiłkom” istoty ludzkiej – mówił Jan Paweł II¹⁷.

W minionym okresie uważano, że prywatna własność powstała w następstwie kradzieży, a że człowiekowi nie wolno kraść, musi się wyzbyć własności prywatnej, złasz-

¹⁶ Jan Paweł II, „Nie kradnij” *znaczy także nie nadużywaj twojej władzy nad własnością*. Homilia w Białymstoku, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 12(1991) nr 5(132), s. 48.

¹⁷ Tamże.

cza własności środków produkcji, i przejść do kolektywu. W związku z tym „człowiek się odzwyczaił od posiadania, przede wszystkim od posiadania dóbr wytwórczych, od produkcji – ta była napiętnowana jako synonim kapitalizmu wstecznego. Przyzwyczaił się, został przyzwyczajony, został przymuszony”¹⁸. Po latach okazało się wszakże, że własność prywatna dóbr produkcyjnych nie jest bynajmniej wynikiem kradzieży i trzeba było przekonywać ludzi, by chcieli posiadać na własność te dobra. Ważną rolę w uświadamianiu tego stanu rzeczy odegrał Kościół, szczególnie papież Leon XIII w encyklice *Rerum novarum* podkreślał, że człowiek nie produkuje tylko dla siebie, ale dla państwa, w którym żyje, a także Jan Paweł II wyraźnie stwierdza: „«Nie kradnij» – to nie znaczy – «Nie posiadaj». «Nie kradnij» – to nie znaczy «Nie wytwarzaj nowych dóbr służących innym». Chociażby jako warsztat pracy. «Nie kradnij» – to znaczy «Nie nadużywaj tej twojej władzy nad własnością, nie nadużywaj tak, że inni przez to stają się nędzarami»”¹⁹.

Papież dalej stwierdza: „Przypatrzcie się dobrze, zrewidujcie wasz system, system wolnego rynku, system własności prywatnej i produkcji prywatnej. Bardzo dobrze, ale dlaczego ten system własności prywatnej, posiadania dóbr na własność i wytwarzania tych dóbr, prywatnego, z inicjatywy ludzkiej osoby czy ludzkich wspólnot; dlaczego on nie służy temu, co jest pierwszorzędnym prawem Bożym, prawem natury, mianowicie powszechnemu używaniu tych dóbr? Dlaczego tylu ludzi żyje w nędzy i ginie z głodu?”²⁰. Z tym nie można się pogodzić, dlatego należy się uczyć posiadać i wytwarzać, należy się uczyć tworzyć sprawiedliwe społeczeństwo przy założeniu wolnego rynku. Ma to ścisły związek z przykazaniem „Nie kradnij”.

Przykazanie to zobowiązuje, by nie tylko dzielić się z innymi tym, co zbywa (*bona superflua*), ale także tym,

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Tamże, s. 49.

²⁰ Tamże.

co „potrzebne i pożyteczne do życia”. Biblijne wezwanie do doskonałości sprawia, że niektórzy chrześcijanie wstępują w tej dziedzinie na najwyższy poziom heroizmu moralnego i potrafią się dzielić z bliźnimi nawet tym, „co konieczne do życia”. Wspomniałem już, że przykazanie „Nie kradnij” ma swoje rozwinięcie. W rozwinięciu tym – jak mówił Jan Paweł II w homilii wygłoszonej w Płocku – tzn. „w przykazaniu «Nie pożądam żadnej rzeczy, która jego jest», dotykamy (...) wnętrza serca ludzkiego. Pożądanie nie jest zewnętrznym uczynkiem. Pożądanie jest tym, czym żyje ludzkie serce. «Nie pożądam żadnej rzeczy, która jego jest» – mówi Bóg w synajskim Przymierzu z Mojżeszem. Bezpośrednio chodzi tu o dopełnienie tego, co zawiera się w siódmym przykazaniu: «Nie kradnij», chodzi o rzecz, która jest cudzą własnością. Do tego przykazanie Dekalogu odnosi się wprost i bezpośrednio”²¹.

A jednocześnie wskazuje właściwą hierarchię wartości. Według Papieża, „pożądanie «rzeczy» opanowuje tak serce ludzkie, że nie ma w nim już miejsca na dobro wyższe, duchowe. Człowiek staje się poniekąd niewolnikiem posiadania i używania, nie bacząc nawet na własną godność, nie bacząc na bliźniego, na dobro społeczeństwa, na samego Boga. Jest to pożądanie zwodnicze. Chrystus mówi: «Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł» (Mt 16, 26)”²². „Nie kradnij” to zatem nie tylko „nie kradnij drugiemu”, to także: „nie kradnij samemu sobie” – nie kradnij sobie wolności, godności, miłości, nadziei. Na czele hierarchii wartości winno się znajdować zbawienie, dobro wieczne, nie dobra ziemskie. Odwracając tę hierarchię, człowiek odbiera samemu sobie dobro najwyższe, a więc łamie przykazanie „nie kradnij”, a przy tym – niejednokrotnie całkowicie – zakłamuje siebie.

²¹ Jan Paweł II, *Niechaj nikt nie bogaci się kosztem bliźniego*. Homilia wygłoszona w Płocku, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 12(1991) nr 5(132), s. 10-11.

²² Tamże, s. 11.

Jan Paweł II wielokrotnie przypominał, że istnieje wielka potrzeba odkłamania naszego życia w różnych zakresach i że koniecznie trzeba przywrócić cnotę prawdomówności, aby kształtowała ona życie rodzin, środowisk, społeczeństwa, środków przekazu, kultury, polityki i ekonomii, bo właśnie prawda jest mocą wyzwalającą, ale zarazem zobowiązującą do wyznawania jej życiem, nawet za cenę wielkich ofiar. Już w swojej pierwszej encyklice *Redemptor hominis* papież podkreślał, że prawda stanowi najgłębszy wymóg ludzkiego rozumu: „Człowiek, który chce zrozumieć siebie do końca – nie tylko według doraźnych, częściowych, czasem powierzchownych, a nawet pozornych kryteriów miar swojej istoty – musi ze swoim niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią przybliżyć się do Chrystusa”²³, który jest Słowem prawdy, wypowiedzianym przez samego Boga jako odpowiedź na wszystkie pytania ludzkiego serca, i który w pełni odsłania przed nami tajemnicę istnienia człowieka i świata, wychodząc na spotkanie ludzi wszystkich kontynentów i każdej epoki, również i naszej, z tymi samymi słowami: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 32). To właśnie zdanie Jan Paweł II uznał w rozmowie z francuskim dziennikarzem A. Frossardem za najważniejsze zdanie w Ewangelii²⁴.

Ojciec Święty przestrzega, że odpowiedzi na zasadnicze pytania człowiek nie znajdzie ani w otaczającym go świecie, ani w łudzeniu się mirażami „niczym nie ograniczonej wolności”, ani w oparciu o instynkty, ani w dążeniu do zaspokojenia doraźnych potrzeb, ani w robieniu interesów. Powinien jej szukać w Ewangelii, która jest symbolem prawdy, „prostoty i jasności”. Dlatego też apelując o prawdę, która pogodzi człowieka z samym sobą i zapewni „jedność” w stosunkach międzyludzkich, Jan Paweł II wskazuje właśnie na nią: „Nauczcie się myśleć, mówić i działać według za-

²³ Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 10.

²⁴ A. Frossard, „Nie lekajcie się”. *Rozmowy z Janem Pawłem II*, Rzym 1982.

sady ewangelicznej prostoty i jasności: tak, tak, nie, nie” (Mt 5, 37). Nauczcie się nazywać białe białym, a czarne czarnym, zło złem, a dobro dobrem²⁵.

Człowiek jest sobą dzięki wewnętrznej prawdzie. Ta wewnętrzna prawda to sumienie – największy skarb, w którym osoba stale przekracza siebie w kierunku wieczności, depozyt dobra i zła, który przenosi poprzez granicę śmierci, aby w obliczu Tego, który jest samą świętością, odnalazła ostateczną i definitywną prawdę o całym swoim życiu: „a potem sąd” (Hbr 9, 27). Dlatego Papież gorąco apeluje do człowieka współczesnego, „ażeby nie zgubił w sobie lęku sumienia jako głosu prawdy, która go przerasta, ale która równocześnie stanowi o nim: która czyni go człowiekiem i stanowi o jego człowieczeństwie”²⁶.

Sumienie w ujęciu Jana Pawła II jest głosem prawdy, trzeba go więc słuchać, aby prawdę poznać, prawdę zaś trzeba poznać, żeby być wolnym. Poznanie pełnej prawdy o człowieku jest koniecznym warunkiem wolności. Bez prawdy wolność jest „pozorna”, nie przenika sfery „bycia” człowiekiem: sfery sumienia, etyki i moralności, nie ma związku z transcendencją. „Być wolnym” – naucza Ojciec Święty – to znaczy spełniać owoce prawdy, działać w prawdzie”, a przede wszystkim odrzucić nieprawdę, tj. „błędne pojęcie człowieka i zawartych w nim dynamizmów”, leżące u podstaw wszystkich jej form. „Pierwsze kłamstwo i zasadniczy fałsz to niewiara w człowieka, w człowieka z całym jego potencjałem wielkości, niewiara w konieczność odkupienia człowieka od zła i grzechu, który jest w nim” – mówi Papież i podkreśla, że być człowiekiem to przyjąć człowieczeństwo w całej jego prawdzie, a prawda ta to odniesienie go do Boga. Prawdę tę trzeba utrzymać i obronić dla siebie, i dla innych. Jej głoszenie jest zadaniem, od którego nie można się uchylić²⁷.

²⁵ Tamże.

²⁶ Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 10.

²⁷ Tamże.

Prawda jest ważna nie tylko w życiu indywidualnym, ale także w życiu społecznym i obowiązuje człowieka zawsze i wszędzie zarówno w obcowaniu z sobą, ze swoim sumieniem, jak i w obcowaniu z innymi ludźmi. Ósme przykazanie jest jednoznaczne: „Nie mów fałszywego świadectwa”. Jan Paweł II wyraźnie stwierdza, że „Prawda jest dobrem, a kłamstwo, fałsz, zakłamanie jest złem”²⁸, i rozszerza tę myśl: „Niewiele daje wolność mówienia, jeśli słowo wypowiedane nie jest wolne. Jeśli jest spętane egocentryzmem, kłamstwem, podstępem, może nawet nienawiścią lub pogardą dla innych – dla tych na przykład, którzy różnią się narodowością, religią albo poglądami.

Niewielki będzie pożytek z mówienia i pisania, jeśli słowo będzie używane nie po to, aby szukać prawdy, wyrażać prawdę i dzielić się nią, ale tylko po to, by zwyciężyć w dyskusji i obronić swoje – może właśnie błędne – stanowisko”²⁹, i niewielki będzie pożytek z prawdy, jeśli będzie się ją wykorzystywać, żeby uzasadnić kłamstwo. „Wielki zamęt wprowadza człowiek w nasz ludzki świat, jeśli prawdę próbuje oddać na służbę kłamstwa. Wielu ludziom trudniej wtedy rozpoznać, że ten świat jest Boży”, a sama „prawda zostaje poniżona (...), gdy nie ma w niej miłości do niej samej i do człowieka”³⁰.

Podczas czwartej pielgrzymki do Ojczyzny w 1991 roku Jan Paweł II za przedmiot swych rozważań obrał Dekalog. Można powiedzieć, że wrócił w ten sposób do podstaw katechizmu. Jego nauczanie, wychodzące od zejścia Mojżesza z góry Synaj, zawiera potężny ładunek ewangelicznego przesłania o duchowej naturze istoty ludzkiej i tworzonej przez nią wspólnoty, o wejściu Boga w historię w osobie Jezusa Chrystusa, o potrzebie troski człowieka o własną tożsamość i o wspólne dobro, o konieczności przestrzegania tych

²⁸ Jan Paweł II, *Wielka praca nad mową*. Homilia wygłoszona w Olsztynie, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie) 12(1991) nr 5(132), s. 56.

²⁹ Tamże.

³⁰ Tamże.

„dziesięciu prostych słów”, albowiem od tego zależy przyszłość człowieka i społeczeństw, przyszłość narodu, Europy i świata.

W dziele przypominania tych dziesięciu słów – przykazań, zawracania „ludzkości do Dekalogu i do świata autentycznych wartości” szczególną rolę ma do spełnienia Kościół, bo przecież ewangelizacja to nic innego, jak głoszenie Chrystusa, który jest „Drogą i Prawdą i Życiem” (por. J 14, 6), interpretacja Dekalogu w świetle Chrystusowego przykazania miłości Boga i bliźniego oraz ukazywanie zbawczej wartości daru, krzyża, poświęcenia, ofiary. Dlatego Kościół, a wraz z nim każdy chrześcijanin – i ty i ja, i oni, i wszyscy – muszą mieć świadomość szczególnej odpowiedzialności w tym względzie, świadomość taką, jaką miał św. Paweł, gdy pisał w Pierwszym Liście do Koryntian: „Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii!” (1 Kor 9, 16).

SUMIENIE

Jeśli uważnie przyjrzymy się własnemu wewnętrznemu doświadczeniu, stwierdzimy w sobie działalność duchową, którą możemy nazwać działalnością oceniającą. Często zdarza się nam mówić lub myśleć: „to jest słuszne, to nie jest słuszne”, „to jest właściwe, a to nie jest właściwe”. Znaczy to, że w każdym z nas istnieje pewien rodzaj „zmysłu moralnego”, który umożliwia rozróżnienie dobra od zła, tak jak istnieje jakiś rodzaj „zmysłu estetycznego”, który umożliwia rozróżnienie piękna od brzydoty. Jest to – zdaniem Jana Pawła II – jakby wewnętrzne oko, duchowa zdolność widzenia, która prowadzi nasze kroki na drodze dobra³¹. „Obok pragnienia miłości i szczęścia istnieje w nas pragnienie, by być dobrym – pisał Ferdinand Krenzer. – Człowiek [jednak] doskonale wie, że nie wolno mu dla siebie zagarnąć wszystkiego, co kocha, każdego szczęścia – może nawet kosztem innych. Regulującą siłę, która w tym przypadku działa w człowieku, nazywamy sumieniem”³².

Każdy człowiek ma wrodzoną i niezbywalną zdolność oraz możliwość praktycznego poznania pierwszych zasad moralności: „dobro należy czynić, zła należy unikać”. Każdy człowiek ma też sumienie, które jest sądem praktycznego rozumu, orzekającym na podstawie zasad ogólnych o dobru lub złu konkretnego działania. Sumienie nie jest więc autonomiczne, ponieważ nie jest niezależnym od niczego arbitrem dobra i zła moralnego, lecz jest uzależnione od prawa Bożego. Aby zatem było rzeczywistą normą moralności, musi działać zgodnie z obiektywnym prawem moralnym. Innymi słowy: Bóg dał człowiekowi sumienie, aby dzięki niemu człowiek zachowywał Boże prawo, a nie by czynił to, co mu się podoba. Cyprian Kamil Norwid pisał:

³¹ Jan Paweł II, *Sumienie – miejsce dialogu Boga z człowiekiem* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne 1983*, Warszawa 1987, s. 241.

³² F. Krenzel, *Taka jest nasza wiara*, tłum. F. Wycisk, P. Waszczenko, Paris 1981, s. 34.

*Jeśli mistycyzmem jest to urojenie,
 Lub urojenie tylko mistycyzmem,
 To nie wiem za co słowo to: s u m i e n i e,
 Miałby dotykać kto z was ostracyzmem...
 I owszem... toć jest u r z e c z y w i t n i e n i e
 N a j d o s k o n a l s z e i może jedyne,
 I owszem brylant to jest, który wagą
 Przecieka, prując powierzchowną glinę,
 I owszem – prawda to, z swą piersią nagą!*

(Promethiodion)

Sobór Watykański II określa sumienie jako „najtajniejszy ośrodek i sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem” (KDK 16) i dodaje: „W głębi sumienia człowiek odkrywa prawo, którego sam sobie nie nakłada, lecz któremu winien być posłuszny i którego głos wzywający go zawsze tam, gdzie potrzeba, do miłowania i czynienia dobra, a unikania zła, rozbrzmiewa w sercu nakazem: czyń to, a tamtego unikaj” (KDK 16). Działalność sumienia nie odnosi się jednak tylko do tego, co dobre, i tego, co złe w znaczeniu ogólnym. Jego rozpoznanie dotyczy w szczególności sposob pojedynczego i konkretnego wolnego uczynku, który został spełniony i który jest zamierzony. To o nim właśnie mówi sumienie, to on zostaje poddany ocenie sumienia.

Ferdinand Krenz uważa sumienie za głos, przed którym „na nic się nie zdadzą wszelkie ucieczki” i w którym „wyczuwamy owo nieskończone Dobro i nieskończenie Dobrego”, stojącego „pośrodku naszego życia, naprzeciwko nas”. Józef Tischner porównuje je do „światła, które wtargnęło do jaskini przez małą szparę i oświetliło jej mroki”, a Martin Heidegger – do „milczenia”, które jest „pełne wymowy” i odsłania prawdę. John Henry Newman pisał, że wskazuje ono, iż „żyć tu na ziemi, znaczy zmieniać się”, by osiągnąć doskonałość w dobru i miłości Boga oraz bliźnich. Jakkolwiek by na sumienie nie spojrzeć, nie ulega wątpliwości, że jego istotą jest odsłanianie i ocena. W sumieniu odsłania się prawda, odsłania się czło-

wiek, odsłaniają się wartości. W sumieniu też oceniane są czyny, postawy, słowa oraz wartościujące je kryteria.

Skąd jednak sumienie czerpie swoje sądy i kryteria oceny? Na jakiej podstawie osądza uczynki, które mamy spełnić lub które zostały spełnione, i co sprawia, że może odsłaniać prawdę? Posłuchajmy, czego nas uczy Sobór Watykański II: „Najwyższą normą ludzkiego życia jest samo prawo Boże, wieczne, obiektywne i uniwersalne, którym Bóg, wedle planu mądrości i miłości swojej, porządkuje, kieruje i rządzi całym światem, losami wspólnoty ludzkiej. (...) Nakazy prawa Bożego człowiek dostrzega i rozpoznaje za pośrednictwem sumienia, do którego jest obowiązany wiernie się stosować w całym swoim postępowaniu, aby dotrzeć do swego celu – Boga” (DWR 3). Kryteria swoich osądów czerpie zatem sumienie z prawa Bożego, z tej „niezmiennej prawdy, którą rozum człowieka może dostrzec w porządku bytu”. Sobór mówi, że człowiek w swoim sumieniu pozostaje „sam z Bogiem”. Nie „sam”, ale „sam z Bogiem”. To niezwykle ważne. W sumieniu z człowiekiem jest Bóg. Sumienie nie zamyka osoby ludzkiej w nieprzekraczalnej samotności, ale otwiera go na głos Boga, który objawia prawdę.

Według Jana Pawła II, na tym właśnie polega cała tajemnica i godność sumienia, będącego obszarem świętym, w którym rozbrzmiewa głos Boga, w którym Bóg mówi do człowieka. Człowiek powinien słuchać tego głosu. Jeśli go nie słucha, jeśli godzi się, aby zamieszkały w nim błąd albo niewiedza, zrywa najgłębszą więź, łączącą go w przymierzu ze Stwórcą.

To jednak, że sumienie jest „głosem Boga”, nie znaczy wcale, że każda decyzja sumienia jest zgodna z wolą Bożą. Tak powinno być, ale często tak nie jest, człowiek może bowiem zniszczyć świątynię swego serca, tzn. usunąć Boga ze swego sumienia i z miejsca spotkania z Najwyższym, jakim winno ono być, czy miejsca Boga nie zajmuje wtedy ktoś silniejszy od człowieka, a słabszy od Boga.

„Głos Boga” nie może być zatem rozumiany jako bezpośrednie wezwanie Boże w ludzkim sercu. Gdyby tak było, Bóg byłby odpowiedzialny za wszelkie pomyłki, jakie mogą się pojawić w funkcji sumienia, oraz za wszelkie nieprawidłowości popełnione „w imię sumienia”. To prawda, że Bóg przemawia w sumieniu, nie czyni tego jednak bezpośrednio, lecz jak gdyby drogą okrężną – przez poznanie, będące zdolnością otrzymaną z Jego woli. Ogólne wymagania Boże, jasne i oczywiste, jednakowe dla wszystkich, dzięki sumieniu zostają zsubiektywizowane, ukonkretnione, przystosowane do osobistej sytuacji, do konkretnego człowieka. O ile zatem prawo Boże stanowi obiektywne i powszechne normy dotyczące dobra moralnego, o tyle sumienie jest odniesieniem tego prawa do konkretnego przypadku, wyznacza wewnętrzne reguły, stanowi wezwanie do czynienia dobra w konkretnej sytuacji. Głęboko w nie wpisana jest zasada posłuszeństwa względem normy obiektywnej, która uzasadnia i warunkuje słuszność jego rozstrzygnięć nakazami i zakazami łączącymi u podstaw ludzkiego postępowania.

Wiemy z historii zbawienia, że człowiek postąpił wbrew Bogu, po swojemu, czyli – jak to obrazowo przedstawia Księga Rodzaju – zerwał owoc z drzewa zakazanego (por. Rdz 3). Chciał sam decydować o tym, co dobre, a co złe. I na tym właśnie polegał grzech pierwszych rodziców. Jego skutki wszyscy odczuwamy jako skażenie grzechem pierworodnym, które przejawia się m.in. tym, że rozum człowieka jest przyćmiony, wskutek czego nie zawsze on poznaje, co jest jego rzeczywistym dobrem, że wolna wola jest bardziej skłonna do czynienia zła niż dobra, że sumienie jest rozchwiane, często, gdy człowieka ogarniają żądze i nieprzemierzane pragnienia.

Świadom tego człowiek powinien nieustannie stać na straży swego sumienia, powinien je pielęgnować i rozwijać; powinien też zawsze mieć na uwadze, że nie tylko informuje go ono, co jest nieetyczne, bezwartościowe, a co etyczne,

wartościowe i że nie tylko jest jego wewnętrznym przewodnikiem oraz sędzią jego czynów, ale także narzuca na niego zobowiązanie nieczynienia tego, co złe, a czynienia tego, co dobre, i niedopuszczenia, by pomiędzy nim a światem wartości wyrosła bariera nie do przebycia. Jakże mocno utkwily nam w pamięci słowa papieża Jana Pawła II: „Polska woła dzisiaj nade wszystko o ludzi sumienia! Być człowiekiem sumienia, to znaczy przede wszystkim w każdej sytuacji swojego sumienia słuchać i jego głosu w sobie nie zagłuszać, choć jest on nieraz trudny i wymagający; to znaczy angażować się w dobro i pomnażać je w sobie i wokół siebie, a także nie godzić się nigdy na zło w myśl słów św. Pawła: «Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj!» (Rz 12, 21)”. Dalej Ojciec Święty mówił: „Dzisiaj, kiedy zmagacie się o przyszły kształt życia społecznego i państwowego, pamiętajcie, iż zależy on przede wszystkim od tego, jaki będzie człowiek – jakie będzie jego sumienie”³³.

Niestety, dzisiaj wielu ludzi, którzy tak chętnie odwołują się do własnego sumienia, tak naprawdę nie wie, czym ono jest, albo ma o nim całkowicie błędne pojęcie. Na czym polega ich błąd? Na tym, że sumieniu przypisują funkcje, której ono nie posiada. Niektórzy uważają, że to sumienie decyduje o tym, co jest dobre, a co jest złe, i nawołują innych, by zawsze kierowali się „własnym sumieniem”, z naciskiem powtarzając, że głos sumienia to ostateczna instancja, do której odwołanie kończy wszelką dyskusję, i że każdy powinien postępować zgodnie ze swoim sumieniem.

Tymczasem sumienie, które Max Scheler nazywa „świadomością moralną”, „wyznacza z co najmniej równą pierwotnością pewien określony i charakteryzujący się (idealnie) powinnością istnienia stosunek wartościowy każdego człowieka do Boga i do siebie samego, np. prawdziwe (wartości własne oraz) obowiązki wobec Boga i wobec siebie sa-

³³ Jan Paweł II, *Polska potrzebuje ludzi sumienia*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 16(1995) nr 71(175), s. 26.

mego, jak też stosunki z innymi i ze wspólnotą. (...) W fenomienie moralnym zawarte są również konieczne wymagania dotyczące naszej postawy wartościującej (i zachowania)³⁴. Sumienie jest więc rzeczywiście ostateczną normą moralności, to znaczy normą zawsze moralnie wiążącą. Trzeba jednak zaznaczyć, że jest ono normą ostateczną subiektywnie, ma bowiem moc normowania postępowania człowieka tylko wtedy (i tylko o tyle), kiedy (i o ile) samo jest „normowane” obiektywną prawdą o dobru.

Co to w praktyce znaczy? Otóż między innymi to, że nie można zbyt pochopnie zasłaniać się autorytetem sumienia. Jest rzeczą niepokojącą, iż często ucina się kłopotliwe dyskusje krótkim i obcesowym stwierdzeniem: „A ja i tak zrobię to, co mi każe moje sumienie!”, podczas gdy należałoby się „zatrzymać” i uczciwie zastanowić, czy istotnie ma się rację. Oczywiście, trzeba być posłusznym osądowi własnego sumienia, ale trzeba przy tym pamiętać, że – jak wyjaśniał Jan Paweł II w encyklice *Veritatis splendor* – „sumienie nie jest (...) autonomicznym i wyłącznym źródłem stanowienia o tym, co dobre i złe; głęboko natomiast jest w nie wpisana zasada posłuszeństwa względem normy obiektywnej, która uzasadnia i warunkuje słuszność jego rozstrzygnięć nakazami i zakazami, leżącymi u podstaw ludzkiego postępowania”³⁵.

Dlatego też – zdaniem Jana Pawła II – nie wystarczy powiedzieć człowiekowi: „postępuj zawsze wedle własnego sumienia”, lecz natychmiast i w każdym przypadku należy dodać: „zadaj sobie pytanie, czy twoje sumienie mówi prawdę czy fałsz i staraj się dążyć niestrudzenie do poznania prawdy”³⁶. Doprecyzowanie to jest konieczne, gdyż człowiekowi stale grozi, że w swoim sumieniu zamiast świętego

³⁴ M. Scheler, *Istota i formy sympatii*, Warszawa 1986, s. 122.

³⁵ Jan Paweł II, *Encyklika „Veritatis splendor” o niektórych podstawowych problemach nauczania moralnego Kościoła*, Watykan 1993, s. 60.

³⁶ Jan Paweł II, *Sumienie – miejscem dialogu Boga z człowiekiem* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne 1983*, Warszawa 1987, s. 241.

miejsca, gdzie Bóg ujawnia mu prawdziwe dobro, odkryje siłę niszczącą jego prawdziwe człowieczeństwo, błąd, który odgrodzi go od wartości, prawdy, drugiego człowieka i Boga. Józef Tischner pisał, że „istnieją trzy najczęściej spotykane typy błędnego sumienia: sumienie wąskie, sumienie szerokie i sumienie niepewne”.

Sumienie wąskie „dopatruje się zła tam, gdzie zła nie ma, lub widzi grzech ciężki tam, gdzie jest tylko niedoskonałość”. Sumienie szerokie orzeka, że „grzechu nie ma tam, gdzie grzech obiektywnie jest, lub widzi grzech lekki tam, gdzie obiektywnie mamy do czynienia z ciężkim przewinieniem. (...) Granice dobra i zła są tu ujmowane tak niewyraźnie i tak płynnie, że praktycznie dla wszystkiego, cokolwiek człowiek robi, potrafi sobie znaleźć usprawiedliwienie”. Sumienie niepewne sprawia, że „człowiek nie wie, czy dany czyn jest zgodny, czy nie jest zgodny z właściwą hierarchią wartości, (...) a jednocześnie nie podejmuje koniecznego wysiłku, żeby zdobyć jasny i prawy sąd o rzeczy” Jest to „wygodna lekkomyślność, brak poczucia odpowiedzialności, moralne zubożenie”³⁷.

I ta, tak szeroko dzisiaj rozpowszechniona choroba – moralne zubożenie, obojętność na prawdę stanowi największą przeszkodę w prawidłowym funkcjonowaniu sumienia. Objawów tej choroby jest wiele. Obojętność na prawdę przejawia się np. w przekonaniu, że prawda i fałsz w dziedzinie etyki to tylko sprawa gustu, decyzji osobistych, uwarunkowań kulturowych i społecznych, że wystarczy postępować wedle własnego sposobu myślenia, nie przejmując się ostatecznie, czy to, co myślimy, jest prawdą czy fałszem albo że Bóg godzi się na nasz sposób bycia niezależnie od tego, co o Nim myślimy, bylebyśmy szczerze w Niego wierzyli. Obojętnością wobec prawdy jest również przekonanie, że dla człowieka ważniejsze jest jej szukanie niż osiągnięcie, ponieważ w rezultacie i tak nieuchronnie wymyka mu się ona

³⁷ J. Tischner, *Jak żyć?*, Wrocław 2000, s. 23–24.

z rąk. Osoba ludzka obojętna na prawdę nie będzie się troszczyć o kształtowanie własnego sumienia i prędzej czy później zacznie mylić wierność sumieniu z przywiązaniem do własnej opinii czy opinii większości.

Gdzie znajduje się źródło tej poważnej choroby duchowej? Jej przyczyną jest pycha, w której – według całej tradycji etycznej Kościoła – tkwią korzenie wszelkiego ludzkiego zła. To pycha sprawia, że człowiek przypisuje sobie, jako najwyższemu sędziemu, władzę decydowania o tym, co jest prawdą, a co fałszem, zaprzeczając tym samym transcendencji prawdy i w rezultacie odrzucając powinność otwarcia się na nią i przyjęcia jej, nie jako własnego wynalazku, ale jako daru otrzymanego od Stwórcy. Jan Paweł II mówił, że być „człowiekiem sumienia, to znaczy wymagać od siebie, podnosić się z własnych upadków, ciągle na nowo się nawracać; to znaczy angażować się w budowanie Królestwa Bożego: królestwa prawdy i życia, sprawiedliwości, miłości i pokoju, w naszych rodzinach, w społecznościach, w których żyjemy, i w całej Ojczyźnie; to znaczy także podejmować odważnie odpowiedzialność za sprawy publiczne; troszczyć się o dobro wspólne, nie zamykać oczu na biedy i potrzeby bliźnich, w duchu ewangelicznej solidarności: «Jeden drugiego brzemiona noście»” (Ga 6, 2)³⁸. Abyśmy jednak mogli sprostać temu zadaniu, musimy podjąć i realizować trud formacji własnych sumień i sumień innych.

Niestety, we współczesnym świecie nie wszyscy ludzie są świadomi obowiązku kształtowania sumienia, tak swojego, jak i innych. Józef Tischner pisał: „Problem wychowania w człowieku prawdziwego sumienia stał się dzisiaj tragicznym problemem społecznym – tragicznym, ponieważ zbyt często nie dostrzegany. Obserwujemy na wielką skalę niedorozwój sumienia. Wpajamy naszym dzieciom mnóstwo wiadomości. Całe «wychowanie» jest właściwie tylko nauczaniem. (...) O kształtowaniu sumienia nie ma mowy.

³⁸ Jan Paweł II, *Polska potrzebuje ludzi sumienia*, dz. cyt., s. 27.

Usiłujemy wychować geniuszy, zapominając o ich sumieniu. A przecież na własnej skórze doświadczyliśmy już kiedyś, czym staje się wiedza i władza w rękach ludzi pozbawionych sumienia lub o fałszywie ukształtowanych sumieniach³⁹. Dlatego też nikt nie powinien się czuć zwolniony z obowiązku kształtowania sumienia swojego i sumienia innych.

W tym niezwykle ważnym zadaniu kształtowania sumienia pierwszorzędną rolę odgrywa rodzina. Jednym z najpoważniejszych obowiązków rodziców jest pomaganie dzieciom, już od najwcześniejszych lat, w szukaniu prawdy i życiu zgodnie z prawdą oraz w szukaniu dobra i szerzeniu go. Powinni oni przy tym zawsze pamiętać, że sumienie kształtuje się nie tyle przez pouczanie, ile przez przykład osobistego życia wiernego wartościom. Istotną rolę w formowaniu sumienia odgrywa także szkoła, w której dzieci i młodzież stykają się z szerszym światem, często odmiennym od środowiska rodzinnego. We wszystkie programy szkolne, jako obowiązująca, powinna być wpisana zasada uszanowania natury i godności osoby ludzkiej oraz prawa Bożego, niesienia pomocy młodzieży w rozeznawaniu i szukaniu prawdy oraz uczenia akceptacji wymogów i ograniczeń prawdziwej wolności, a także szacunku dla analogicznego prawa innych ludzi.

Wielkie dzieło religijnej formacji ludzkiego sumienia dokonuje się jednak przede wszystkim w Kościele, który już od ponad dwudziestu wieków strzeże jego norm i niestrudzenie niesie pomoc rodzinie chrześcijańskiej w jego budowaniu i umacnianiu. W Kościele duchowni towarzyszą ludziom na wszystkich drogach kształtowania sumień, nieraz krętych i powikłanych, wypełniając zadanie powierzone im przez Chrystusa, polegające na prowadzeniu człowieka tam, gdzie w pełni – jak mówił papież Jan Paweł II – może „być człowiekiem sumienia”⁴⁰.

³⁹ J. Tischner, *Jak żyć?*, dz. cyt., s. 25.

⁴⁰ Jan Paweł II, *Polska potrzebuje ludzi sumienia*, dz. cyt., s. 27.

„Trzeba wszystko uczynić – mówił Ojciec Święty – aby sumienia Polaków nie ulegały demoralizacji, aby nie poddawały się prądom moralnego permisywizmu, aby umiały odkryć wyzwalający charakter wskazań Ewangelii i Bożych przykazań, aby umiały wybierać, pamiętając o Chrystusowej przestrodze: «Cóż bowiem za korzyść stanowi dla człowieka zyskać świat cały, a swoją duszę utracić?» Bo cóż może dać człowiek w zamian za swoją duszę?» (Mk 8, 36–37)⁴¹.

⁴¹ Tamże.

GRZECH

Papież Jan Paweł II, zastanawiając nad występującymi w świecie podziałami, sprzecznościami, rażącą niesprawiedliwością a przede wszystkim nad panoszącym się w nim złem, dochodzi ostatecznie do wniosku, że jego korzenie tkwią w człowieku. To papieskie spostrzeżenie stanowi niejako podsumowanie spostrzeżeń wielu mędrców, teologów i filozofów, nie jest zatem odkryciem nowym. Już z *Księgi Rodzaju* wynika, że zło zaszczerpione w pierwszych rodziach za podszeptem Szatana pozostało w nich i że odtąd istota ludzka stała się jego nosicielem. Człowiek nie jest jednak tworem Szatana, lecz Boga-Dobra, zna więc dobro i a możliwość rozpoznania dobra i zła. To sprawia, że czynione przez niego zło, grzech, „błąd» – jak utrzymywał Pseudo-Dionizy – moralnie należy przypisać jemu samemu⁴², co znaczy, że „głupi jest pogląd, że Opatrzność powinna prowadzić ludzi do cnoty nawet wbrew ich woli. (...) Opatrzność podtrzymuje i szanuje wolny wybór⁴³.

To człowiek zatem wybiera, człowiek decyduje, czy opowiada się za dobrem, czy złem. Niestety, często ulega złu, częściej nawet niż dobru, zło jest bowiem łatwiejsze i nierzadko przynosi doraźne korzyści. Podobnie problem ten ujmuje Sobór Watykański II, który w *Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym* stwierdza, że „zakłócenie równowagi, na które cierpi dzisiejszy świat, w istocie wiąże się z bardziej podstawowym zachwianiem równowagi, które ma miejsce w sercu ludzkim. W samym bowiem człowieku wiele elementów zwalcza się nawzajem. Będąc stworzeniem, doświadcza on z jednej strony wielorakich ograniczeń, z drugiej strony czuje się nieograniczony w swoich pragnieniach i powołany do wyższego życia. Przyciągany wielu ponętami, musi wciąż wybierać między nimi i wyrzekać się niektórych. (...) Stąd cierpi w samym sobie, z czego z kolei tyle

⁴² Pseudo-Dionizy, *O imionach Bożych*, Lublin 1995, s. 4, 35.

⁴³ Tamże, s. 33.

i tak wielkich rozdzwięków rodzi się w społeczeństwie” (KDK 10). Oczywiście, że człowiek jest zniewolony, odpowiada za czyny, ale nie o wszystkim decyduje.

Współcześnie pod wpływem nauk humanistycznych dość powszechnie akcentuje się pewien determinizm psychologiczny, który jakoby odbiera człowiekowi zdolność samostanowienia, a więc zdejmuje z niego odpowiedzialność za jego czyny. W świetle tych nauk, istnieje wiele różnorodnych czynników, jak np. skłonności dziedziczne, temperament, instynkt seksualny, podświadomość, środowisko i okoliczności życia, które określają działanie człowieka, praktycznie znosząc jego wolność. Niekwestionowaną prawdą jest, że czynniki te mają istotny wpływ na wolę i poczynania ludzkie, dlatego też zawsze należy ostrożnie dokonywać oceny czynów i dokonując jej brać te czynniki pod uwagę; nie ulega jednakże wątpliwości, że nie znoszą one wolności człowieka. Człowiek zawsze jest wolny i ponosi odpowiedzialność za wszystko, co robi. Bóg od początku, od chwili stworzenia pozwala mu kierować się swoim rozumem i dokonywać rozumnych wyborów. Stawia przed nim ogień i wodę: „Tam, gdzie chcesz, wyciągniesz rękę” (Syr 15, 15). Jesteś wolny. Wszystko zależy od ciebie.

Wolność to często „nieszczęsny dar” – żeby użyć słów Józefa Tischnera. Człowiek, stworzony przez Boga w stanie sprawiedliwości, za namową Szatana już na początku historii nadużył swojej wolności, stał się „dziką istotą” – jak powiada bł. Henryk Suzo – pragnącą „całkowitej wolności”, która w istocie „oddala człowieka od szczęśliwości i odbiera mu jego prawdziwą wolność”⁴⁴, gdyż przeciwstawia go Bogu i sytuuje jego cel poza Nim (KDK 13). W *Księdze Rodzaju* czytamy, że człowiek powątpiewa w miłość Boga (Rdz 3, 2–5), zapomina o swojej godności, o tym, że zostało mu darmo dane panowanie nad wszelkim stworzeniem, odmawia podporządkowania się Bogu, który jest źródłem jego praw-

⁴⁴ H. Suzo, *Księga Prawdy*, Poznań 1989, s. 46.

dy i szczęścia, i przyznaje sobie oraz stworzeniom całkowitą autonomię (Rdz 3, 6). Odrzuca miłość Boga i pakt przyjaźni z Nim, by samemu sobie być panem. Ale odrzuciwszy zależność od Boga, żeby stać się podobnym do Niego, odkrywa swoją nagość (Rdz 3, 7) i doświadcza rozdarcia w swym sercu oraz podziału w społeczeństwie. Ta jego wolna decyzja, powzięta przeciwko Bogu, pociąga straszliwe następstwa:

*grzechu ciężar zgniótl cię, stanąłeś wpół drogi (...)
Przed (tobą) przepaść, zrodzona przez winę,
przez grzech (...), Boże!... Ginę! ginę! ginę!*

(Dies Irae)

– pisał Jan Kasprowicz.

Na początku człowiek był istotą bezgrzeszną, odkąd jednak wykroczył przeciwko Bogu, przyjął na siebie grzech i stał się mu podległy, a tym samym zakłócił relacje z Bogiem, stawiając grzech pomiędzy Nim a sobą. Grzech dokonuje się na osobowej płaszczyźnie Boga i człowieka, w przestrzeni między Stwórcą a stworzeniem, między Ojcem a dzieckiem. Bóg stworzył człowieka na swój obraz i powołał do życia w przyjaźni i miłości z sobą, ale człowiek odrzucił tę miłość, grzech jest bowiem zaprzeczeniem wymagań miłości, która ma prawo do ludzkiego serca, jest zdradą miłości, a zdrada miłości jest zdradą powołania, jakie Bóg wyznaczył człowiekowi.

Grzech określa się – za św. Augustynem – najczęściej jako świadome i dobrowolne przekroczenie prawa Bożego, jako bezprawie, sprzeciwienie się obiektywnemu łaadowi moralnemu. Określenie to jest prawdziwe, ale niepełne i zbyt jednostronne, kładzie bowiem nadmierny nacisk na legalistyczny aspekt grzechu. Jeśli tak pojmuje się grzech, to może się rodzić przeświadczenie, że jest on wymierzony w jakiś bezosobowy świat norm, a zatem może być usprawiedliwiony, a przynajmniej zrozumiały i niekoniecznie jest grzechem. Prawo ma to do siebie, że jeśli straci się z oczu

jego cel i pochodzenie, to ukazuje się najczęściej jako bezduszny ciężar nie do uniesienia. Przekroczenie go ma więc jakieś uzasadnienie: nie uderza się w niczyje dobro, lecz w coś; po prostu pokonuje się przeszkodę lub zdejmuje z siebie ciężar, by doznać ulgi. Prawo zostało jednak przez kogoś ustanowione i ktoś zobowiązał się do jego przestrzegania. Jeśli łamie się to prawo i łamie zobowiązanie, popełnia się grzech. Grzeszyć to zatem *ś w i a d o m i e* – jak mówi św. Augustyn – przekroczyć prawo Boże, „*ś w i a d o m i e* – jak powiada Josiah Royce – zapomniawszy przez ograniczenie pola uwagi o Powinności, którą się już uznało”⁴⁵.

Jeśli w refleksji teologicznej grzech określa się jako łamanie prawa Bożego, a w refleksji filozoficznej – jako złamanie powinności, to dlatego, że to prawo jest przede wszystkim wyrazem miłości Boga do człowieka, a powinność – wyrazem miłości człowieka do Boga. Bóg chce, aby człowiek był i coraz bardziej się stawał przybranym synem Bożym, toteż ustawicznie go wzywa do zjednoczenia się, do wspólnoty ze sobą. Stawia przy tym pewne wymagania: żąda od człowieka życia godnego tego uczestnictwa. Człowiek może na to wezwanie odpowiedzieć pozytywnie lub negatywnie. Odpowiada zaś przez własne czyny. Popełniając grzech, wypowiada się nie tylko przeciw swojej powinności i nie tylko przeciw prawu Bożemu, ale także przeciw Temu, który jest twórcą tego prawa i wobec którego jest zobowiązany. Wybiera własny, przez siebie ustanowiony porządek, schodzi z drogi wskazanej mu przez Boga, a gdy schodzi na boczne drogi, w pewnym momencie jedna z nich może stać się główną. Jest to bunt przeciwko Bogu, jako że jest to bunt przeciw prawu moralnemu.

Każdy grzech to przeciwstawienie się dobru, świadoma i dobrowolna zgoda na zło – i z tego względu nie jest on obojętny dla życia człowieka. Jak uczy Objawienie Boże,

⁴⁵ F. Copleston, *Historia filozofii*, t. 8: *Od Benthama do Russela*, Warszawa 1989, s. 284.

grzech zrywa więzi przyjaźni między człowiekiem i Bogiem, a odwrócenie się od Boga jest korzeniem wszelkiego zła, oznacza bowiem odrzucenie Jego przykazań oraz przymierza, które zawarł ze swoim ludem, odrzucenie Jego miłości i światła. Czytamy w prologu do *Ewangelii św. Jana*: „A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki” (3, 19).

Według Ewangelisty, grzech stanowi nieposłuszeństwo wobec Boga, znienawidzenie dobra, zakłamanie rzeczywistości: „Na to dali mu taką odpowiedź: «Cały urodził się w grzechach, a śmiesz nas pouczać?» I precz go wyrzucili. Jezus usłyszał, że wyrzucili go precz, i spotkawszy go rzekł do niego: «Czy ty wierzysz w Syna Człowieczego?» On odpowiedział: «A któż to jest, Panie, abym w Niego uwierzył?» Rzekł do niego Jezus: «Jest Nim Ten, którego widzisz i który mówi do ciebie». On zaś odpowiedział: «Wierzę, Panie!» i oddał Mu pokłon. Jezus rzekł: «Przyszedłem na ten świat, aby przeprowadzić sąd, aby ci, którzy nie widzą, przejrżeli, a ci, którzy widzą stali się niewidomymi». Usłyszeli to niektórzy faryzeusze, którzy z Nim byli i rzekli do Niego: «Czyż i my jesteśmy niewidomi?» Jezus powiedział do nich: «Gdybyście byli niewidomi, nie mielibyście grzechu, ale ponieważ mówicie: «Widzimy», grzech wasz trwa nadal” (J 9, 34–41).

Św. Paweł uważa, że grzesznik to ktoś, kto jest wewnętrznie pusty, wyzuty z miłości, umarły dla życia i niezdolny, aby wejść do Królestwa Bożego, nie może bowiem wejść do niego ktoś, kto zerwał z Bogiem. To on powie: „Ku wolności wyswobodził nas Chrystus. A zatem trwajcie w niej i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo niewoli! Oto ja, Paweł, mówię wam: Jeżeli poddacie się obrzezaniu, Chrystus wam się na nic nie przyda. I raz jeszcze oświadczam każdemu człowiekowi, który poddaje się obrzezaniu: jest on zobowiązany zachować wszystkie przepisy Prawa. Zerwalicie więzy z Chrystusem; wszyscy, którzy szukacie uspra-

wiedliwienia w Prawie, wypadliście z łaski. My zaś z pomocą Ducha, na zasadzie wiary wyczekujemy spodziewanej sprawiedliwości. Albowiem w Chrystusie Jezusie ani obrzezanie, ani jego brak nie mają żadnego znaczenia, tylko wiara, która działa przez miłość. Biegliście tak wspaniale! Kto przeszkodził wam trwać przy prawdzie? Wpływ ten nie pochodzi od Tego, który was powołuje. Trochę kwasu ma moc zakwasić całe ciasto” (Ga 1–8).

Grzesząc, człowiek zajmuje wobec Boga postawę zaprzeczającą Jego miłości, która ma prawo do ludzkiego serca. Każdy grzech jest też zerwaniem synowskiego stosunku z Bogiem, wypowiedzeniem Mu ojcostwa, zanegowaniem jakiegokolwiek związku z Nim, albowiem – jak pisze św. Bonawentura – „pozbawia Boga panowania nad duszą (...) co do łaski, nie co do władzy. (...) Człowiek grzesząc wypada z ręki miłosiernego Boga”⁴⁶. A wtedy nadchodzi to, co można nazywać „czarną nocą”, nocą, która wydaje się bez dna, ale w której zawsze przecież jest nadzieja – jak w tej pieśni Chóru z tragedii Ajschylosa:

*Milczy noc – –
nie śpisz: czuwa pamięć win,
kroplą drży serca rdzeń...
Sobie wbrew
sprawiedliwym stać się masz.
Łaską darzy bóg – a przecie
silna dłoń
święty dzierży świata ster.*

(Agamemnon, 177–184)

Ta „Silna Dłoń” może człowieka wyprowadzić z nawet najczarniejszej nocy. Przykładem może być król Dawid. Bóg go miłował i obdarowywał. Namaścił go na króla nad Izraelem, uwolnił z mocy Saula, dał mu we władanie dom Izra-

⁴⁶ Bonawentura, *Obraz Boży* [w:] *Pisma ascetyczno-mistyczne*, Warszawa 1984, s. 295.

ela i Judy. Dawid jednak, mimo tylu Bożych dobrodziejstw, zlekceważył słowo Pana. Pan powiedział: „Nie zabijaj”, a on polecił zabić Uriasza Chetytę – swego wiernego wojownika. Pan powiedział: „Nie cudzołóż”, a on wziął sobie za małżonkę żonę Uriasza. Bóg obdarzył go wieloma dobrami, ale on odsuwając nakazy Boże, wzgardził dobrocią Boga, popełnił to, co jest złe w Jego oczach (2 Sm 11–12) i zapadł w ciemną noc. Ale – jak świadczą Psalmi – wyszedł z tej nocy:

*Wolałem tedy, Boże litościwy,
Swoj grzech przed Tobą objawić brzydliwy,
Nie chciałem dalej pokrywać swej złości,
A Tyś odpuścił moje wszeteczności.*

(Psalm 32)

Z tej nocy wyszedł też grzesznik w przypowieści o synu marnotrawnym, którą *Katechizm Kościoła katolickiego* nazywa przypowieścią o „miłosiernym ojcu”, a która jest jakby literackim przedstawieniem historii Dawida, jego upadku, powstania i przebaczenia udzielonego mu przez Boga. Nie ma tak ciężkiego grzechu, którego nie można by zgładzić przez pokutę, nie ma takiego zła – jak pisała siostra Faustyna – które by się nie zatopiło w morzu Bożego miłosierdzia. Grzech – jak wyjaśnia *Katechizm Kościoła Katolickiego* komentując słowa marnotrawnego syna: „Ojczy, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem” (Łk 15, 19) – przeciwstawia się miłości Boga do nas, odwraca od Niego nasze serca i zawsze jest obrazą Boga, wyrządzoną Mu – jak pisze św. Tomasz z Akwinu – krzywdą. A krzywda ta jest w pewnym sensie nieskończona: „Kiedy bowiem człowiek grzeszy, narusza prawo Boże i w ten sposób wyrządza krzywdę Bogu, którego majestat jest nieskończony. Krzywda zaś jest tym większa, im większy jest ten, któremu ją wyrządzono (...); grzech popełniony przeciwko prawu Bożemu ma więc w so-

bie coś z krzywdy nieskończonej⁴⁷ i jako taki nie może być w swojej istocie, w swoim złu i w swojej nieskończoności w sposób pełny pojęty przez człowieka.

Zrozumienie grzechu przekracza granice ludzkiego umysłu. Stanowi on rzeczywistość nadprzyrodzoną i dlatego pozostaje tajemnicą. Poznanie „tajemnicy grzechu” (*mysterium iniquitatis*) – jednakże w pewnej tylko, ograniczonej mierze – możliwe jest przez wiarę. Ale i na drodze rozumowej można dojść do uzmysłowienia sobie, że jest on niczym bomba: wybucha, niszczy, druzgocze wszystko wokół. Odbudowuje się to potem, zasypuje lej, przywraca się porządek, ale ślad po wybuchu pozostanie na zawsze, nawet gdy ten, który zrzucił bombę, i ten, na którego ją zrzuciono, podają sobie ręce, ściskają się i obejmują. I ten ślad pozostaje w nich obydwóch. Bo grzech, będąc krzywdą wyrządzoną Bogu, jest też krzywdą wyrządzoną samemu sobie. Będąc obrazą Boga, jest także obrazą człowieka, albowiem człowiek w swej strukturze istotowej (ontologicznej) jest obrazem Stwórcy.

O tym, że grzech zawsze zwraca się przeciw sprawcy, mówi Objawienie Boże. Już w Starym Testamencie grzech pojmowany jest jako rzeczywistość, która wychodząc z serca ludzkiego, przenika swoją mocą wszystkie wymiary ludzkiej egzystencji: duchowy, cielesny, osobisty i społeczny. Według autorów biblijnych zło moralne jest realnie istniejącą siłą, a człowiek sam siebie wydaje w jej władanie, sam niejako wprowadzając do swego wnętrza potęgę zła, które w nim zamieszkuje i niszczy go, prowadząc do całkowitej zguby. Dlatego też Pismo Święte traktuje winę, chorobę, zniewolenie przez moce zła, klęski społeczne i śmierć jako różne przejawy tej samej rzeczywistości, jaką jest grzech, i uważa, że grzech, jakkolwiek by nie był, zasługuje na karę Bożą. Tak samo sądzi św. Tomasz z Akwinu: „Grzech stąd się bierze, że człowiek odwraca się od Boga i zwraca się ku dobrom przemijającym. Toteż za grzech człowiek doznaje kary w jednym

⁴⁷ *Jak uzasadniać wiarę* [w:] *Dzieła wybrane*, oprac. J. Salij, Poznań 1984, s. 205.

i w drugim: traci łaskę i inne dary, którymi był związany z Bogiem, a z drugiej strony – zasłużył sobie na to, aby cierpieć utrapienie⁴⁸.

Podobnego zdania był też prorok Natan, który mówi do Dawida: „Czemu zlekceważyłeś słowo Jahwe, popełniając to, co złe w Jego oczach? Zabiłeś mieczem Chetytę Uriasza, a jego żonę wzięłeś sobie za małżonkę. Zamordowałeś go mieczem Amonitów. Dlatego miecz nie oddali się od domu twego na wieki” (2 Sm 12, 9–10). Kara jest więc nieunikniona. Za zło i grzech musi się płacić zawsze, często dotkliwie i już w tym życiu. Dlatego, według tradycji żydowskiej, Dawid po swoim haniebnym upadku wyśpiewał psalm pokutny: „Zmiłuj się nade mną Boże w łaskowości swojej...” (Ps 51, 3). W tej lamentacji nad swoją nędzą błagał o przebaczenie Boże i wyznawał, że jego grzech był wielki i że był to grzech nie tylko przeciw Bogu, ale również przeciw człowiekowi: „A grzech mój zawsze jest przede mną” (Ps 51, 5). Głęboko nad tymi słowami zadumał się św. Hieronim i w końcu przetłumaczył je bardziej dobitnie: „Grzech mój zawsze jest przeciwko mnie”. Grzech poniża i okrada człowieka. Jest przeciw Bogu, ale z historii Dawida wynika wyraźnie, że jest również przeciw godności i szczęściu człowieka.

Również w Nowym Testamencie grzech jawi się jako zło niszczące duszę ludzką. W nauczaniu Jezusa utożsamiany jest on z duchową śmiercią, która wprawdzie nie od razu zabija, ale podobnie jak rozwijająca się choroba ostatecznie prowadzi do zguby. Tajemnicę związku grzechu ze śmiercią obrazowo wyjaśnia Chrystus w przypowieści o winnym krzewie (J 15, 1–6): jak żadna latorośl nie może owocować, „jeśli nie trwa w winnym krzewie”, tak też żaden człowiek nie może żyć poza Bogiem. Grzesznik niby wciąż żyje, lecz faktycznie jest obumarły, ponieważ zerwał życiodajną więź z Bogiem. Zło, które uderza w samo sedno życia osobowego, powoli ogarnie wszystkie sfery ludzkiego bytu. W przypowieści

⁴⁸ Streszczenie teologii [w:] *Dzieła wybrane*, dz. cyt., s. 104.

o „miłosiernym ojcu” grzech syna marnotrawnego ukazany został jako wymierzony w ludzką godność. W domu ojca syn miał wszystko i był sobą. Porzuciwszy go, stał się pastuchem świń i pragnął żywić się choćby strąkami, którymi żywiły się te zwierzęta. Paść świnię i paść się ich pokarmem – w rozumieniu hebrajskim to szczyt upokorzenia i poniżenia.

Grzech zatem uderza w Boga i niweczy przymierze z Nim, uderza w grzeszącego i niszczy jego szczęście oraz godność, ale uderza też w drugiego człowieka i pociąga za sobą odwrócenie się człowieka od człowieka. Z doświadczenia wiadomo, że istota ludzka znajduje prawdziwą pełnię i prawdziwe swoje „ja” w relacjach typu „ja – ty – wy”. Gdy jednak traci łaskę i pokój, które pochodzą od Boga, staje się coraz bardziej niezdolna do wykraczania poza siebie i do ustanowienia autentycznych więzi z innymi. Grzech, który niszczy człowieka w jego najgłębszej istocie, niszczy też jego zdolność kochania, słuchania, akceptowania innych i czynienia ich szczęśliwymi. Zatem grzech jest tym, co dzieli ludzi, przeciwstawia się ich jedności i wzajemnej miłości, a to oznacza, że będąc wymierzony w Boga i samego siebie, jest również wymierzony przeciw bliźnim.

Zerwanie ze Stwórcą powoduje wyraźny podział wśród stworzeń. Już w *Księdze Rodzaju* czytamy, że po upadku mężczyzna i kobieta wzajemnie się oskarżają (2, 18). Kara zaś, jaka na nich spada, dowodzi, że w miejsce osobowych odniesień wkracza instrumentalne i naznaczone dominacją traktowanie drugiego człowieka. Zrywając dialog miłości ze swoim Stwórcą, człowiek niszczy również jedność między braćmi. W miejsce miłości i troski o innych pojawia się egoizm, często wręcz nienawiść. W istocie człowiek staje się obcy i nieprzyjazny wobec swoich braci, postępuje niesprawiedliwie i stosuje przemoc wobec innych, depcząc ich godność osobistą i naruszając w ten sposób przymierze pokoju (Rdz 4, 8). Szukając zadowolenia w stworzeniach, włącza je w marność i niewolę skażenia (Rdz 8, 19–21). Ziemia

zostaje przeklęta z jego winy (Rdz 3, 17) i dlatego w pocie czoła zdobywa chleb, aż powróci do ziemi, z której powstał (Rdz 3, 19). Grzech powoduje wyobcowanie, izolację społeczną, innymi słowy, jest zaprzeczeniem miłości bliźniego. Ze względu na ludzką solidarność każdy grzech dotyka w jakiś sposób innych, ma więc charakter społeczny.

Kmicic w Potopie Henryka Sienkiewicza mówił: „Oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć (...), ale nie wiem jak, bom głupi”...

Mądrość została nam jednak dana.



NAWRÓCENIE

„Zapalił się zazdrosną miłością ku swojej ziemi” (Jl 2, 18). Bóg. To On umiłował zazdrosną miłością człowieka. To On zna najgłębsze tajniki jego istoty: „Utkąłem cię w łonie matki twojej” (Ps 139, 13). I to On, tak miłując i tak znając swoje dzieci, wie, że żadne z nich nie może się spełnić inaczej, jak tylko zwrócone, nawrócone ku Niemu. Dlatego powtarza ustami Proroka: „Nawróćcie się do Mnie całym sercem” (Jl 2, 12), dlatego puka do ludzkich serc, dlatego nawołuje. Wzywa do siebie, do odrzucenia samotności, do uczestnictwa w swej miłości. Do nawrócenia. Wielu posłyszało ten głos, wielu go posłuchało i poszło tam, gdzie on wzywał; wielu jednak pozostało głuchych i martwych, otypiałych i bezwolnych, niezdolnych uczynić ni gestu, ni kroku. On jednak nie przestaje wzywać: Nawróćcie się.

Niektórzy powiadają: chciałbym, ale nie wiem jak, nie potrafię, nie umiem. Prawdą jest, że nawrócenie nie jest łatwe:

Tylko niekiedy boskiej pełni podolać może człowiek

(Wino i chleb)

– jak pisał Friedrich Hölderlin; ale możliwe przy pomocy Bożej. Nie przychodzi ono w jednej chwili, z dnia na dzień, chociaż zdarzały się przypadki konwersji pod wpływem nagłej iluminacji, olśnienia; to zawsze trud, wysiłek woli, ducha, umysłu i serca. Żeby się nawrócić trzeba wyjść z siebie, a jednocześnie wejść w siebie. Nie ma nawrócenia bez dogłębnego wejścia we własne wnętrze, bez otwarcia się duszy na samą siebie, a więc do wewnątrz, i ponad siebie, a więc na zewnątrz. Nawrócenie jest procesem, w trakcie którego „dusza rozplywa się całkowicie w Ogarniającym – mówił Karl Jaspers. – Podczas gdy doświadcza ona szczęścia i nieszczęścia świata, budzi się w sobie samej. Nie może jej powstrzymać to, co skończone i wyłącznie doczesne. Oddanie w ufności pozbawionej zrozumienia daje jej

nieskończoną siłę: ponieważ w największej łagodności niezakorzenionych serc, w niszczącym zachwianiu, może ona zyskać świadomość bycia darem Boga. Jeśli człowiek wierzy, staje się wolny. (...) Jest w świecie i ponad światem”⁴⁹, a zatem w sobie i ponad sobą.

W tym procesie nawrócenia, którego ostatecznym aktem „jest wyznanie «Jezus Chrystus jest Bogiem», uczestniczą najgłębsze warstwy naszego ducha i całego naszego jestestwa” – jak twierdzi Joseph Colomb. Dlatego tak potrzebne jest spojrzenie w głąb siebie. Tylko dzięki temu „odkrywamy równocześnie siebie samych, obecność Boga w nas czy obecność nas w Bogu, (...) niosącą w sobie pewność, która jest pewnością naszego istnienia i której moc jest mocą Boga. Bóg zaczyna istnieć w nas w miarę, jak rośnie nasza wiara lub, można by rzec, w miarę jak zaczynamy istnieć w Bogu”⁵⁰. Drogę do owej Jaspersowskiej wolności w wierze, czy tego Colombowskiego istnienia w Bogu, czyli także odkrycia siebie samych można zatem odnaleźć jedynie poprzez zanurzenie się w sobie, wewnątrz siebie, w sercu, w sumieniu. Doskonale rozumiał to św. Mateusz, dlatego przypominając słowa Chrystusa, zalecał: „Wejźdź do swojej izdebki i zamknij drzwi” (por. Mt 6, 6). Może być trudno o nawrócenie w rozproszeniu, zgiełku, chaosie. Pomocne jest skupienie, koncentracja. Człowiek musi odnaleźć swoje głębsze, wyższe „ja”.

Dlaczego głębsze? Dlaczego wyższe? Dlatego, że to odpowiada prawdzie o człowieku. W stosunku do otaczających go stworzeń świata widzialnego jest on „wyżej”. Jest powołany do panowania nad nimi. To pierwsze przykazanie, jakie otrzymał od Stwórcy. Równocześnie – w stosunku do wszystkich tych stworzeń – człowiek jest „głębiej”. Tam sięga korzeniami swojego ducha, gdzie one nie sięgają. Różni się od nich zasadniczo miarą swego istnienia. I dlatego nie może z ich strony oczekiwać spełnienia. Nie spełni człowiek siebie

⁴⁹ K. Jaspers, *Autorytety*, Warszawa 2000, s. 134.

⁵⁰ J. Colomb, *Stawanie się wiary*, Warszawa 1980, s. 73–74.

poprzez cały widzialny świat, chociażby – panując nad nim – coraz dalej rozszerzał skalę wielorakiego rozwoju i postępu. „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał?” (Mt 16, 26). Jakże człowiek ma spełnić siebie przez świat, skoro ten świat wpisuje weń zniszczenie i grób.

Wprawdzie mogą być jakieś „spełnienia” częściowe, doraźne, przemijające, ale ostateczne, definitywne – nie. Trzeba, ażeby człowiek to usłyszał jakimś najgłębszym słuchem swego bytu, tego bytu, który przecież nosi w sobie „zarodek nieśmiertelności”. Może wówczas zrozumie, dlaczego Bóg woła: „Nawróćcie się do Mnie”. Nie ma dla istoty ludzkiej spełnienia poza Bogiem. Jest tylko wezwanie: „Nawracajcie się”, „Przyjmujcie Ewangelię” i dalej ją głosć. Tylko ona bowiem może was prowadzić i doprowadzić, jest bowiem orędziem mesjańskim zwróconym do ludzi, „wspaniałą budowlą, którą należy nie tylko czcić, ale w której trzeba mieszkać” – jak mówił Paul Claudel, prawdą o „zazdrosnej miłości” Boga do człowieka, miłości, która nie zawahała się poświęcić Syna, „grzechem uczynić Tego, który nie miał grzechu, abyśmy w Nim stali się sprawiedliwością Bożą” (2 Kor 5, 21). Tylko ona może doprowadzić tam, gdzie wraz z Psalmistą będzie można błagać: „W ogromie Twojej litości zgładź moją nieprawość. Uznaję bowiem nieprawość moją, a grzech mój jest zawsze przede mną. Przeciwno Tobie zgrzeszyłem (...) Stwórz we mnie serce czyste” (Ps 51, 3). Tylko ona może doprowadzić w to miejsce, w którym może się dokonać nawrócenie.

Nawrócenie jest zawsze darem. Bóg wzywa do niego, ale także obdarowuje nim. Wymaga jednak wysiłku, trudu, czynu, przełamania pasywności i bierności. „Nie polega [wszakże] na tym – pisał Ole Hallesby – aby człowiek z własnej woli mógł zerwać ze swoim dotychczasowym życiem i grzechami. (...) Nawrócenie polega po prostu na tym, że ty, który jesteś mocno zakorzeniony w grzechu, zwrócisz się do Chrystusa, wyciągniesz do Niego swoje splecione ręce

i powiesz: «Panie, sam nigdy nie zdołam się uwolnić, jeśli Ty mnie nie wyzwolisz z moich grzechów»⁵¹. Nie może to być akt jednorazowy. Gdyby takim pozostał, nic by nie znaczył. Byłoby to co najwyżej nawrócenie na chwilę, na mgnienie oka, przeblysk tylko. Rzeczywiste nawrócenie jest długotrwałym procesem, wewnętrzną drogą całego życia, biegnącą przez całą egzystencję i obejmującą każdy dzień.

Co wobec tego znaczy: rzeczywiście się nawrócić? Mistrz z czasów średniowiecza – św. Bonawentura odpowiada, że znaczy to powstać razem Chrystusem, trwać w pokucie za wszystkie grzechy, razem z Chrystusem zostać przybitym do krzyża i nie chcieć z niego zejść, pozostawać na nim, by pomnożyć odzyskaną łaskę, zapanować nad każdą obecną przeciwnością i mieć zapewnione bezpieczeństwo osiągnięcia wiecznej chwały⁵². Natomiast bliższy naszej współczesności filozof – Georg Wilhelm Friedrich Hegel pisze, że to „świadectwo ducha”, dzięki któremu „jednostkowy podmiot z uwagi na swoją bezpośrednią naturę najpierw określa się dla siebie jako to, co marne i złe, a następnie, zgodnie z tym, co stanowi dla niego wzór prawdy, za pośrednictwem wiary w to, że sama w sobie osiągnięta jest tam jedność istotowości ogólnej i jednostkowej”, podejmuje ruch polegający „na wyzbywaniu się naturalnej określoności i swojej własnej woli oraz na sylogistycznym łączeniu w bólu negatywności z owym wzorem i swoim bytem-samym-w-sobie oraz na poznaniu w ten sposób jako zjednoczonego z istotą, która dzięki temu zapośredniczeniu osiąga to, że staje się czymś immanentnie obecnym w samowiedzy i rzeczywistą terażniejszością ducha”⁵³.

Odpowiedź Hegla może się wydawać nieco skomplikowana, odpowiedź św. Bonawentury – nieco naiwna, w gruncie rzeczy obydwóm jednak chodzi o zjednoczenie du-

⁵¹ O. Hallesby, *Moja droga do wiary*, Warszawa 1980.

⁵² Bonawentura, *Pisma ascetyczno-mistyczne*, Warszawa 1984, s. 307–308.

⁵³ G. W. F. Hegel, *Filozofia ducha* [w:] *Encyklopedia nauk filozoficznych*, Warszawa 1990, s. 568–569.

cha człowieka z Bogiem, o dojście człowieka do takiego stanu całego swego jestestwa, w którym może zawołać – jak Aleksander Wat – „Jezus, Syn Dawidowy, jest moim Bogiem, po krzyż, szczyt historii ludzkiej”; chodzi zatem o to – zacytujmy jeszcze Blaise’a Pascala, pośredniczącego niejako między średniowieczem a współczesnością – „aby się unicestwić wobec tej Wszechistoty; (...) aby uznać, że nie możemy nic bez niej i że nie zasłużyliśmy u Niej na nic oprócz nielaski (...); aby poznać, że jest niewyciężona sprzeczność między Bogiem a nami i że bez pośrednika nie może być mowy o obcowaniu”⁵⁴. Pośrednikiem tym może być tylko Jezus Chrystus i tylko On może złożyć człowiekowi dar nawrócenia. Tak, dar nawrócenia, nawrócenie nie jest bowiem wyłącznie zależne od woli czy pragnienia istoty ludzkiej, lecz stanowi bezinteresowny dar Boga, ale dar, po który musi się wyjść, po który trzeba wyciągnąć ręce, który wszakże stanowi łaskę uprzedzającą nasze pragnienie i wspomagającą nasze wysiłki w poszukiwaniu Boga.

Nawrócenie to odkrycie prawdy, że „przemija postać świata, a wraz z nią przemija człowiek”, że nie może on nie przeminąć, bo „miarą naszego życia jest lat siedemdziesiąt, a osiemdziesiąt, gdy jesteśmy mocni”, że przychodzi choroba, cierpienie i śmierć, że człowiek musi umrzeć, musi opuścić ten świat, który tworzył i w którym pokładał nadzieję. Istota ludzka nie spełnia się w doczesności, jej przeznaczeniem jest życie wieczne w Bogu. Nawrócenie to zatem odkrycie tej podstawowej prawdy o własnej przemijalności oraz uznanie w sposób wolny i z miłością, że należymy we wszystkim od Boga, że to On jest naszym ostatecznym spełnieniem, że poza Nim nasze życie, choćby dostatnie tu, na ziemi, bez Boga nie ma sensu. Prawdziwy sens życia można odnaleźć tylko i wyłącznie w Bogu.

Nawrócenie polega więc na tym, by uznać nietrwałość istnienia i zachować się odpowiedzialnie: wejść na dro-

⁵⁴ B. Pascal, *Myśli*, Warszawa 1977, s. 297.

gę pokuty i poprawy życia. Umożliwia to prawdziwa mądrość i to jest jedyna mądra odpowiedź na zło istniejące w świecie. Nigdy nie przychodzi to łatwo, bardzo często dopiero po długiej walce duchowej, która często bywa – jak pisał Arthur Rimbaud – „równie brutalna jak bitwa wśród ludzi”. Chrystus jednak zachęca nas do tej walki i wspomaga w niej, wskazując głęboki rachunek sumienia i postanowienie oczyszczenia własnego życia jako naszą najważniejszą odpowiedź na zło. Ostatecznym przeznaczeniem wszystkich osób i społeczeństw, które żyją nigdy nie poddając krytyce swego postępowania, jest zguba. Nawrócenie, choć nie chroni przed kłopotami i nieszczęściami, otwiera nadzieję, daje moc wiary; pozwala zwyciężyć zło dobrem, jeśli nie zawsze w sferze doczesnej – która niekiedy jest niezależna od naszej woli – to niewątpliwie w sferze duchowej; umożliwia zwalczanie zła u jego korzenia, którym jest grzech, choć nie zawsze można uniknąć jego następstw. Trafnie ujmuje to powiedzenie: lepiej zapalić zapałkę niż przeklinać ciemności!

Nawrócić się znaczy zatem: nie pokładać nadziei w tym przemijającym świecie, nie mierzyć go kategoriami pełnego szczęścia, nie gonić gorączkowo za sukcesem, lecz rezygnując ze złudnych form bezpieczeństwa, z całą prostotą i ufnością iść za Panem i mówić, jak mawiała bł. Matka Teresa z Kalkuty: „Jezus jest moim wszystkim we wszystkim”. Ten, kto Mu ufa, nie boi się nawet stracić życia, ponieważ wie, że On umiłował nas i na krzyżu oddał za nas swoje życie. Tracąc z miłości do Niego życie, w Nim odnajdujemy je na wieki.

W encyklice *Deus caritas est* papież Benedykt XVI pisał, że „tylko kierując spojrzenie na Jezusa, który umarł za nas na krzyżu, można dojść do poznania i kontemplacji podstawowej prawdy, że «Bóg jest miłością». Poczynając od tego spojrzenia, chrześcijanin znajduje drogę swego życia i swojej miłości”⁵⁵, drogę zrozumienia, co to jest grzech, jak

⁵⁵ Benedykt XVI, *Encyklika „Deus caritas est”, o miłości chrześcijańskiej*, Watykan 2005, nr 12.

wielką jest tragedią, jak niezmierna jest moc przebaczenia i miłosierdzia, oraz rozpoznania duchowego i intelektualnego, że Ten, którego przybiliśmy do drzewa krzyża naszymi winami, niestrudzenie zalewa świat niewyczerpanym strumieniem miłosiernej miłości. Obyśmy zrozumieli, że tylko z tego źródła można czerpać moc do odnalezienia prawdziwego szczęścia. I obyśmy zrozumieli, że moc ta potrzebuje wsparcia, jakie mogą jej dać: modlitwa, post, pokuta i czyny miłosierdzia względem braci, będące duchowymi ścieżkami, których podjęcie stanowi najwłaściwszą odpowiedź na ponawiane wielokrotnie wezwania do nawrócenia i kieruje je do Ojca Niebieskiego. Praktyki te umożliwiają nam wewnętrzne oczyszczenie, uwolnienie się od grzechu i pojednanie z Bogiem oraz bliźnimi.

Uważane są one w tradycji chrześcijańskiej, podobnie jak w tradycji żydowskiej, za duchowy „oreż” do walki ze złem, dlatego też – jak pisał św. Jan Chryzostom: „Podobnie jak z końcem zimy powraca pora letnia i żeglarz spuszcza łódź na morze, żołnierz czyści broń i zaprawia konia do walki, rolnik ostrzy sierp, pokrzepiony wędrowiec przygotowuje się do długiej podróży, a atleta rozdziewa się i przygotowuje do zawodów, tak i my również na początku tego postu, jakby z nastaniem duchowej wiosny, szykujemy oreż jak żołnierze, ostrzemy sierpy jak rolnicy i jak sternicy porządkujemy łódź naszego ducha, by stawić czoło falom nedorzecznych namiętności, jak wędrowcy wyruszamy na nowo w drogę do nieba i jak atleci stajemy do zawodów wyzuci ze wszystkiego”⁵⁶.

Nawrócenie to sprawa czasem jednej chwili, ale i sprawa całego życia. Otwieranie się na łaskę Chrystusa ma się ponawiać każdego dnia, przejawiać w każdym działaniu, na wszystkich płaszczyznach egzystencji, w stosunku do wszystkich ludzi. Ma się realizować w życiu osobistym, rodzinnym, ale także i społecznym. Ma prowadzić do zro-

⁵⁶ Św. Jan Chryzostom, *Homilia do ludu antiocheńskiego*, 3.

zumienia, czym jest grzech w obliczu miłości Bożej. Gdy człowiek popełnia zło, powstaje zasadnicza zmiana jego odniesienia do Boga, do samego siebie, do bliźnich i całego stworzenia. Zamiast czerpać siły z życia duchowego, z Ewangelii, decyduje się żyć niezależnie od niej. Serce grzesznika staje się buntownicze i przewrotne. Jak to jest możliwe, skoro zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo samego Stwórcy? Zaważył na tym grzech pierworodny i jego skutki, które przeszły na całą ludzkość. Do skutków tych należy nie tylko osłabienie natury ludzkiej i stworzenie w niej podatnego gruntu dla rozwoju złych skłonności, ale także łatwiejszy dostęp do Szatana, który może odwoływać się do ludzkiej pychy i niejako kontynuować rajską pokusę wielkości: „Będziecie jako bogowie!” (Rdz 3, 5), nie tylko zdobędziecie rozoznanie o dobru i złu, ale sami będziecie decydować o tym, co jest dobre, a co złe.

Trwający w stanie grzechu człowiek nie jest zdolny sam z siebie do przemiany duchowej. Jednakże grzech nie panuje nad człowiekiem aż tak dalece, żeby nie mógł on usłyszeć głosu Bożego, odzywającego się wciąż w jego sumieniu i wzywającego do nawrócenia; dociera więc do niego to pytanie, którym niegdyś Bóg przyzwał Adama po jego upadku: „Gdzie jesteś?” (Rdz 3, 9). Każdy człowiek zdaje też sobie sprawę, że – ponieważ jako grzesznik sam z siebie nie jest w stanie własnym wysiłkiem przywrócić zerwanej przez grzech jedności z Bogiem, albowiem jest ona Jego darem – Ojciec Niebieski musi mu przyjść z pomocą i udzielić łaski nawrócenia.

I Ojciec przychodzi, i udziela mu tej łaski. W ten sposób zostaje zapoczątkowana droga wiodąca ku wyzwoleniu z mocy grzechu, ku prawdzie i miłości, ku wyjściu z osamotnienia, tego prawdziwego osamotnienia istoty ludzkiej, która będąc nawet w samym centrum świata, zawsze pozostaje samotna bez Boga. I tą drogą trzeba nam iść, tą drogą, którą szli wszyscy bogobojni od urodzenia do śmierci i wszyscy

nawróceni – niekiedy tak dobrze nam znani, że mogą być dla nas dobrymi przewodnikami, jak choćby Szaweł z Tarsu – zawzięty prześladowca chrześcijan, później święty Paweł; św. Augustyn – długo prowadzący rozwiązłe i bezbożne życie; św. Franciszek – w młodości król asyjskiej złotej młodości; Edyta Stein – Żydówka, w młodości deklarująca się jako ateistka; Paul Claudel – długo miotający się z dala od Boga i miotający się nawet, gdy był już blisko Niego; a także polscy poeci i pisarze pochodzenia żydowskiego: Aleksander Wat, Józef Wittlin, Rafał Blüth, Roman Brandstaetter czy Jan Kott, do których można by jeszcze było dopisać bliskich katolicyzmowi i deklarujących go nawet, ale niewłączonych ostatecznie przez chrzest w życie Kościoła: Bolesława Leśmiana, Jana Lechonia i Juliana Tuwima.

Podkreśliłem tu słowa: „niewłączonych w życie Kościoła”, gdyż ma to istotne znaczenie. Nawrócenie nie jest pełne, definitywne i ostateczne, jeśli nie prowadzi do bram Kościoła, któremu przecież Jezus Chrystus powierzył sprawowanie sakramentu pojednania i pokuty, aby wierni, którzy po chrzcie popełnili grzech i wszyscy nawróceni mogli autentycznie się z Nim pojednać. Sakrament pokuty ma moc odpuszczania grzechów i kary wiecznej, przywrócenia łaski uświęcającej i jej pomnożenia oraz ubogacenia darami Ducha Świętego. Bóg przebacza ludzkie winy. Przebaczenie Boże polega na przemianie serca grzesznika i na tym, że z obrażającego czyni przyjaciela dobrowolnie powracającego do swego Stwórcy i Pana. Pojednanie z Bogiem daje człowiekowi nowe życie, a właściwie przywraca mu utracone przez grzech dzieciństwo Boże w sferze łaski, oraz uzdalnia go do kroczenia drogą wewnętrznej przemiany. W pojednaniu z Bogiem człowiek odnajduje swoje prawdziwe ukierunkowanie, otrzymuje światło i moc do wyjścia z labiryntu własnego egoizmu, samozamknięcia, samoubóstwienia, wyobcowania od bliźnich i od Boga. Nawrócenie wyzwala z duchowej śmierci i budzi do nowego życia.



MIŁOSIERDZIE BOGA

„Nie znajdzie ludzkość uspokojenia, dotąd dopóki nie zwróci się z ufnością do miłosierdzia mojego. O, jak bardzo mnie rani niedowierzenie duszy. Taka dusza wyznaje, że jestem święty i sprawiedliwy, a nie wierzy, że jestem miłosierdziem...”⁵⁷. Te zadziwiające słowa wypowiedział nasz Zbawiciel do siostry Faustyny, kiedy w 1934 roku przebywała w Wilnie, a wypowiedziawszy je, wybrał ją, by przypomnieć całemu światu zapomnianą prawdę o Bożym Miłosierdziu: „W Starym Zakonie wysyłałem proroków do ludu swego z gromami. Dziś wysyłam cię do całej ludzkości z moim miłosierdziem. Nie chcę karać zbolącej ludzkości, ale pragnę ją uleczyć przytulając do swego miłosiernego serca”⁵⁸. „Córko moja, nie ustawaj w głoszeniu miłosierdzia mojego”⁵⁹. „Mów światu całemu o moim miłosierdziu”⁶⁰.

Słowa te wyznaczyły życie tej prostej, niewykształconej zakonnicy, która dzisiaj stawiana jest w pierwszym szeregumistyczek Kościoła, zdumiewa cały świat zrozumieniem prawd wiary i bezustannie naucza ufności w Boże Miłosierdzie oraz czynnej miłości bliźniego.

Siostra Faustyna Kowalska urodziła się 25 sierpnia 1905 roku w ubogiej rodzinie we wsi Głogowiec, niedaleko Łęczycy, jako trzecie z dziesięciorga dzieci. Jej matka zajmowała się wychowaniem potomstwa, a ojciec pracował w niewielkim gospodarstwie domowym, wykonując jednocześnie zawód cieśli. Oboje byli bogobojni i pracowici, i takim duchem przeniknięty był ich dom oraz życie rodzinne. W 1914 roku Helena Kowalska przystąpiła do Pierwszej Komunii św., a we wrześniu 1917 roku zaczęła uczęszczać do szkoły podstawowej w Świdnicach Wartkich. Jej edukacja trwała bardzo krótko, zaledwie trzy lata, jednak Helena była niezwykle

⁵⁷ S. Faustyna, *Dzienniczek*, Kraków 1981, nr 300.

⁵⁸ Tamże, nr 1588.

⁵⁹ Tamże, nr 1521.

⁶⁰ Tamże, nr 1190.

pilną i solidną uczennicą, a jej ulubiony przedmiot stanowiła religia. Po ukończeniu szesnastu lat, chcąc ulżyć rodzicom, wyjechała z domu i podjęła służbę u Bryszewskich, piekarzy w Aleksandrowie. Później przeniosła się do Łodzi, gdzie przez rok posługiwała u pewnej rodziny. W końcu udała się do Warszawy z zamiarem wstąpienia do klasztoru i 1 sierpnia 1925 roku została przyjęta do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, gdzie przyjęła imię Faustyna. Po złożeniu pierwszych ślubów rozpoczęła szarą drogę zakonnego życia, wiodącą przez wiele domów Zakonu: od domu generalnego w Warszawie, poprzez Wilno, Warszawę-Grochów, Płock i ponownie do domu generalnego, następnie do Kiekrz koło Poznania, aż wreszcie do krakowskich Łagiewnik.

Orędzie miłosierdzia skierowane do ludzkości Chrystus powierzył tej skromnej kobiecie w latach między pierwszą a drugą wojną światową, a więc w czasach najtragiczniejszych w dziejach, kiedy okazało się najbardziej potrzebne. Choć nie było ono nowe, stanowiło wielkie objawienie: „Nie znajdzie ludzkość uspokojenia, dotąd dopóki nie zwróci się z ufnością do miłosierdzia mojego” i na zawsze pozostaje darem szczególnego oświecenia, które pozwala człowiekowi głębiej przeżywać Dobrą Nowinę o śmierci i zmartwychwstaniu Pańskim i nieść ją niczym promień światła do ludzi wszystkich czasów. Orędzie to dociera do nas w geście wyciągniętych rąk Chrystusa Pana, takiego, jakim zobaczyła Go siostra Faustyna i jakiego głosiła do końca życia.

Później przesłanie o Bogu bogatym w miłosierdzie podjął Ojciec Święty Jan Paweł II. Stało się ono poniekąd szczytowym rozwinięciem jego pontyfikatu, a zawierało się w niezapomnianych słowach: „Nie lękajcie się!”. Mamy się nie lękać, bo bogactwo Bożego miłosierdzia jest większe od zła obecnego w świecie. Nie ma na ziemi takiej podłości, nieprawości, grzechu, niegodziwości, zbrodni, takiego zła, którego nie dałoby się zatopić w „oceanie Bożego miłosierdzia” – jak mawiała siostra Faustyna.

Nie ma, bo „Miłosierdzie Boga (...) to Jego dobroć, skłonna do ulżenia i zaradzenia naszemu złu”, którym „jest wszelki brak doskonałości, którąśmy mieć powinni” – jak pisał o. Tilmann Pesch SI⁶¹, to Boski sposób wyprowadzania człowieka z grzechu, który jest największym złem. Bóg nie czeka, aż zniszczy ono istotę ludzką. Wzywany na pomoc, kładzie kres jego niszczycielskiemu działaniu. Ocala każdego, kto uwikłał się w występki jak w sidła lub tonie w nieprawości jak w bagnie i nie jest w stanie o własnych siłach wydobyć się z niego. Zło jest silniejsze od człowieka! Ale to, co silniejsze, może być przewyżczone przez to, co słabsze. Człowiek może więc pokonać zło, ale tylko dzięki miłosierdziu Boga; zło zatem ostatecznie pokonuje miłosierdzie Boże. Ludzie Starego Testamentu zawieszani byli pomiędzy dwoma krańcami Szeolu, w którym mogli doznawać tak szczęścia, jak i kary; w znacznie tragiczniejszej sytuacji byli starożytni Grecy, mający przed sobą tylko Hades, w którym nie mogło być już nic dobrego i żadnej nadziei; natomiast chrześcijanie znajdują się na wprost zbawienia: „nie piekło stoi – jeszcze raz przytoczmy słowa o. Pescha – w centrum chrystianizmu, lecz miłość i miłosierdzie Boże”⁶². Ono pokonuje zło, ono pokonuje piekło, ono daje nadzieję, ono otwiera na wieczność w Bogu.

Jezus na krzyżu rozerwał sidła nieposłuszeństwa i pychy. Uniżył samego siebie, stał się posłusznym aż do śmierci. Dlatego Bóg Go wywyższył trzeciego dnia! Odtąd każdy człowiek ma w Nim szansę ocalenia, wyzwolenia i wywyższenia: „Bo stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych. Stworzenie bowiem zostało poddane marności – nie z własnej chęci, ale ze względu na Tego, który je poddał – w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych. Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha

⁶¹ o. T. Pesch SI, *Chrześcijańska filozofia życia*, t. 1, wyd. 2, Kraków 1930, s. 315.

⁶² Tamże, s. 317.

w bólach rodzenia. Lecz nie tylko ono, ale i my sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, i my również całą istotą swoją wzdychamy, oczekując przybrania za synów – odkupienia naszego ciała. W nadziei bowiem już jesteśmy zbawieni” (Rz 8, 19–24).

Nadzieja ludzka wielce jest jednak chwiejna, nie utwierdza w niej nawet zbawcza męka Jezusa, toteż mówił do siostry Faustyny: „Nieufność dusz rozdziera wnętrzności moje. Pomimo niewyczerpanej miłości mojej nie dowierzają mi, nawet śmierć moja nie wystarcza im”⁶³. Kiedy indziej zaś rzekł jej z bólem: „Tu duszy nic pomóc nie mogę, chociaż Bogiem jestem, bo ona mną gardzi. Często rani mnie dusza śmiertelnie, tu mnie nikt nie pocieszy”⁶⁴. Znacznie ostrzej i mocniej powiedział to w Ewangelii: „Kto wierzy w Syna, ma życie wieczne; kto zaś nie wierzy Synowi, nie ujrzy życia, lecz ciąży nad nim gniew Boży” (J 3, 36). „Kto wierzy, otwiera się na nieskończoną miłość Ojca. Kto nie wierzy, choć ogarnięty tą samą miłością Ojca, zadaje jej ból. Szuka swego szczęścia poza domem Stwórcy!”. Przez siostrę Faustynę Chrystus przekazał nadzieję wszystkim: „Niech pokładają nadzieję w miłosierdziu moim najwięksi grzesznicy”⁶⁵.

Miłosierdzie to „najwznioślejsze dzieło, jakiego dokonuje Bóg”, nawet „najwznioślejsze, jakiego kiedykolwiek dokonał w stworzeniach – mówił wybitny kaznodzieja średniowieczny Mistrz Eckhart. – Wszystko, co najbardziej tajemne i ukryte, nawet to, czego dokonał w aniołach, znajduje ukoronowanie w miłosierdziu i w dziele miłosierdzia, takiego jakie jest ono w sobie samym i w Nim. W każdym dziele Boga pierwszym Jego udzieleniem się jest miłosierdzie”⁶⁶ – i ono dopełnia ostatecznie, niejako koronuje dzieło stworzenia, „wypełnia tę przepaść – pisała Simone Weil – którą akt stworzenia otworzył pomiędzy Bogiem a stworzeniem”, lecz

⁶³ s. Faustyna, *Dzienniczek*, dz. cyt., nr 50.

⁶⁴ Tenże, nr 580.

⁶⁵ Tenże, nr 1146.

⁶⁶ Mistrz Eckhart, *Kazania*, Poznań 1986, s. 114.

nie ustępuje „swymi rozmiarami (...) aktowi stwórczemu”. „To łuk tęczy”⁶⁷.

To otwarte wciąż okno, przez które Bóg spogląda na świat, na dzieje jednostek i całych narodów. Ale zarazem nie jest to ani łuk tęczy, ani otwarte okno, ani nic, co można by w jakiś sposób dostrzec; nie jest to też jakaś idea ani nic, co można by poznać. Miłosierdzia można tylko doświadczyć, miłosierdzie to bowiem Osoba. To nie coś, lecz Ktoś! Miłosierdzie to Jezus, Jezus Miłosierny, a równocześnie jeden z najpiękniejszych przymiotów Stwórcy i Odkupiciela; to Jego miłość, dobro, prawda i sprawiedliwość.

I to właśnie najtrudniej zrozumieć istocie ludzkiej, przyzwyczajonej do ludzkiego pojmowania miłosierdzia i ludzkiego pojmowania sprawiedliwości. Średniowieczni rycerze obok miecza przypasywali sobie niewielki nóż, który zwano mizerykordią, co znaczy – jak wiemy – miłosierdziem. Służył on do podrzynania gardeł rannym wrogom – tak właśnie przejawiało się miłosierdzie w wiekach średnich. Wielce miłosierna była także Balladyna w dramacie Juliusza Słowackiego. Proszona o litość nad dwoma ludźmi, którzy mogli być skazani na śmierć, wydała wyrok:

*Na wasze prośby ulaskawiam obu.
Wybić im zęby i wylamać szczęki.*

W *Miłosierdziu gminy* Marii Konopnickiej bohaterowie wypowiadają wiele podniosłych słów o miłosierdziu, lecz wszystkie okazują się pustymi frazesami, gdy przychodzi je okazać. Nie dziwi więc, że patrząc na ten świat Wokulski w *Lalce* Bolesława Prusa skonstatował: „Nie, w naturze nie ma miłosierdzia”... Nie ma. Zastępuje je to, co zwykło się nazywać sprawiedliwością, lecz sprawiedliwość jest na tyle ślepa – ma zresztą przewiązane oczy – że może ją prowadzić każdy, kto zechce, i tam, gdzie zechce. Ostatecznie więc Wokulski stawia pytanie, zaprawdę godne twórcy jego po-

⁶⁷ S. Weil, *Świadomość nadprzyrodzona*, Warszawa 1986, s. 215.

staci, zwanego wszak „Sercem Serc”: „Kto zresztą wie, czy miłosierdzie nie jest najlepszą sprawiedliwością?... Chrystus zapewne by odpowiedział: Ja wiem. Nie ma sprawiedliwości poza miłosierdziem”. Ostatecznie „Bóg nie jest więc sprawiedliwy, ale miłosierny” – pisał Leszek Kołakowski. I „naprawdę, tym, czego duch świata (...) oczekuje, nie jest wcale sprawiedliwość, ale (...) miłosierdzie”, a tego „ze sprawiedliwości niepodobna wyprowadzić”⁶⁸. Niepodobna, bo – jak uważał Duns Szkot – miłość i sprawiedliwość są formalnie różne. Jednak nie w Bogu. „Boża sprawiedliwość nie da się oddzielić od Bożego miłosierdzia, gdyż mimo formalnej różnicy między nimi każda z nich jest realnie tożsama z istotą Boga”⁶⁹ i w jego istocie są ze sobą tożsame, jak bowiem utrzymuje św. Tomasz z Akwinu: „sprawiedliwość Boga i Jego miłosierdzie są tożsame, ponieważ istnieją w Bogu”⁷⁰.

Trudno to wszystko zrozumieć człowiekowi, jakże jednak człowiek ma zrozumieć Boga? Pozostaje mu tylko wierzyć – w Niego i Jemu. Dlatego Anzelm z Canterbury mówił: „Chociaż bowiem trudno jest zrozumieć, w jaki sposób twoje miłosierdzie godzi się z twą sprawiedliwością, to jednak koniecznie należy wierzyć, że nigdy nie sprzeciwia się sprawiedliwości to, co wypływa z dobroci, która przecież bez sprawiedliwości jest niczym, a co więcej, naprawdę zgadza się ze sprawiedliwością. W każdym razie, jeżeli dlatego jesteś miłosierny, ponieważ jesteś w najwyższym stopniu dobry, a w najwyższym stopniu dobry jesteś tylko i wyłącznie, że jesteś w najwyższym stopniu sprawiedliwy, to zaiste dlatego jesteś miłosierny, ponieważ jesteś w najwyższym stopniu sprawiedliwy”⁷¹.

Bóg jest miłosierny, ponieważ jest sprawiedliwy, a jest sprawiedliwy, ponieważ jest miłosierny. Miłosierdzie Boga to Jego sprawiedliwość; Jego sprawiedliwość to Jego miłosierdzie. I to jest nadzieja człowieka. Więcej nie jest on już

⁶⁸ L. Kołakowski, *Mini wykłady o maxi sprawach*, Kraków 2003.

⁶⁹ F. Copleston, *Historia filozofii*, t. 2, Warszawa 2000, s. 577.

⁷⁰ Tamże, s. 414.

⁷¹ Anzelm z Canterbury, *Monologion. Proslogion*, Warszawa 1992, s. 153–154.

w stanie pojąć ani zrozumieć. Pozostaje mu tylko wiara, a jeśli jej zabraknie – jeszcze nadzieja. Wiara zawsze postępuje w parze z nadzieją, rodzi ją i daje. Miłosierdzie Boga zwrócone jest do każdego, nawet do niego. I ono zawsze pozostaje nadzieją. To jest Boska sprawiedliwość, to jest Boskie miłosierdzie – nadzieja. Nawet jeżeli nie utwierdza jej w człowieku – o czym już była mowa – zbawcza męka Jezusa, będąca szczytowym wyrazem, znakiem i objawieniem miłosierdzia Boga, ona zawsze jeszcze jest – w samym Jego miłosierdziu.

Jezus – Król miłosierdzia – mówi do swej skromnej sekretarki: „Niech pokładają nadzieję w miłosierdziu moim najwięksi grzesznicy. Nie mogę karać, choćby ktoś był największym grzesznikiem, jeżeli on się odwołuje do mej litości, ale usprawiedliwiam go w niezgłębionym i niezbadanym miłosierdziu swoim”⁷². To właśnie pozwoliło Janowi Kochanowskiemu napisać:

*Wielkie przed Tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszystkie złości.
Użyj dziś, Panie, nade mną litości!*

(Tren VIII)

Miłosierdzie Boże dosięga nieraz grzesznika w ostatniej chwili – pisze Faustyna po wieloletnim wyprasaniu miłosierdzia dla konających – w sposób dziwny i tajemniczy. Na zewnątrz jakoby było wszystko stracone, lecz tak nie jest. Dusza, oświecona promieniem łaski Bożej ostatecznej, zwraca się do Boga w ostatnim momencie z taką siłą miłości, że w jednej chwili otrzymuje od Boga przebaczenie win i kar. Zaiste – można powtórzyć za Mikołajem Sępem Szarzyńskim –

*Boże nieskończony, (...)
Dziwne są twego miłosierdzia sprawy
(Sonet II)*

⁷² s. Faustyna, *Dzienniczek*, dz. cyt., nr 1146.

Dziwne, niezgłębione, niepojęte – poza być może jedynym ich aspektem, tym mianowicie, że orędzie miłosierdzia skierowane jest do wszystkich, do każdego człowieka, przede wszystkim do tego, który udręczony jakimś szczególnie bolesnym doświadczeniem albo przygnieciony ciężarem popełnionych grzechów utracił wszelką nadzieję w życiu i skłonny jest ulec pokusie rozpacz. Takiemu człowiekowi ukazuje się łagodne oblicze Chrystusa, a promienie wychodzące z jego Serca padają na niego, oświecają go i rozpalają, wskazując drogę i napędzając jego serce nadzieją.

„Jezu, ufam Tobie!” – oto modlitwa, której nauczyła nas siostra Faustyna i którą każdy w każdym momencie życia może wypowiadać. Ten prosty akt zawierzenia Jezusowi przebija najgęstsze chmury i sprawia, że promień światła przenika do życia każdego człowieka. „Jezu, ufam Tobie!” Słowa te są wyrazem oddania się, powierzenia miłosierdziu Bożemu, ale winny też być wyrazem przyjęcia zobowiązania, które nakłada na człowieka miłosierdzie Boga, zobowiązania do świadczenia miłosierdzia względem bliźnich. Chrystus nauczał, że człowiek nie tylko doświadcza i dostępuje miłosierdzia Boga samego, ale także jest powołany do tego, ażeby sam czynił miłosierdzie drugim: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią” (Mt 5, 7).

Człowiek powinien przeto wyjść ze swymi czynami miłosierdzia naprzeciw miłosierdzia Boga, tak jak ze swoją miłością powinien wyjść naprzeciw Jego miłości. Ani to miłosierdzie, polegające na autentycznym składaniu daru z siebie, ani ta miłość, która do tego uzdalnia, nie są oczywiście łatwe, ale można się ich nauczyć, wnikając w tajemnicę miłości Boga, tak jak nauczyła się siostra Faustyna, która napisała w swoim *Dzienniczku*: „Odczuwam tak straszny ból, kiedy patrzę na cierpienia bliźnich; odbijają się w sercu moim wszystkie cierpienia bliźnich, ich udręczenia noszę w sercu swoim, tak, że mnie to nawet fizycznie wyniszcza. Pragnęłabym, aby wszystkie bóle na mnie spadały, by ulżyć

bliźnim”⁷³. Tak trzeba kochać i z taką miłością trzeba wychodzić do bliźnich z konkretnymi czynami miłosierdzia. Na uczniach Chrystusa spoczywa zadanie głoszenia i przeżywania głębokiej tajemnicy Bożego miłosierdzia, która odnawia świat, skłaniając do miłowania braci, a nawet nieprzyjaciół, i na uczniach Chrystusa spoczywa zadanie świadczenia miłosierdzia. Jest to trudne zadanie, ale wielkie, gdyż każdorazowe jego wypełnienie staje się wielkim wydarzeniem, rozpostartym pomiędzy ziemią a niebem, mającym wymiar udziału w zbawieniu.

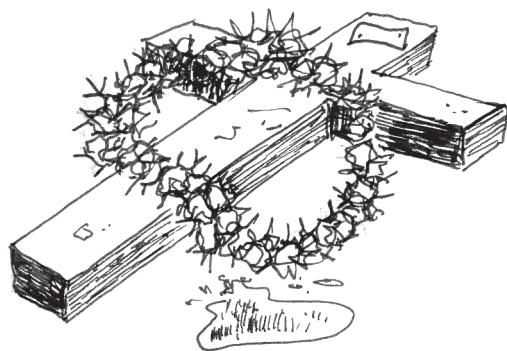
I to jest nasza droga do Bożego miłosierdzia, a dzięki niemu – do zbawienia, wiodąca schodami naszych ludzkich czynów oraz naszych ludzkich słów, także słów aktu strzelistego siostry Faustyny: „Jezu, ufam Tobie”, jak i słów tej prostej koronki do Bożego Miłosierdzia: „Ojcie Przedwieczny, ofiaruję Ci Ciało i Krew, Duszę i Bóstwo Najmilszego Syna Twojego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa na przebłaganie za grzechy nasze i świata całego.

Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

⁷³ s. Faustyna, *Dzienniczek*, dz. cyt., nr 1039.



JEZUS CHRYSSTUS





WIGILIJNA CISZA

To była „cicha noc, święta noc”, jak śpiewamy w niemieckiej, od lat zadomowionej u nas kolędzie. Ale ta cicha noc była niezwykle brzemienna w skutki. Ta cicha noc stała się najgłośniejsza w dziejach świata, albowiem pośrodku tej cichej nocy „ukazała się łaska Boga, która niesie zbawienie wszystkim ludziom” (Tt 2, 11–14). Wtedy to, tej cichej nocy „nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 2, 4–5). Wtedy to, w ciszy tej betlejemskiej nocy troskliwe matczyne ręce po raz pierwszy utuliły maleńkiego Jezusa. Z tych dobrych matczynych rąk przyjmował Go św. Józef. Te czułe matczyne ręce unosiły Go, kiedy przyszli pasterze z pól judzkich, a potem Mędrcy ze Wschodu. Te miłujące matczyne ręce były schronieniem dla Dzieciątka Bożego, stanowiły pierwszy tron Syna Bożego. I te ręce, i ten żłóbek, i ta cisza pozostały najbardziej widocznymi i słyszalnymi symbolami tej świętej nocy, która „pokój niosła ludziom wszem”.

Chrystus przyszedł na ziemię „wśród nocnej ciszy”. Cisza ta musiała być głęboka, niczym nie zmacona. Była to cisza największej tajemnicy świata. Była to cisza całej ziemi. I tylko w takiej ciszy mogło się to dokonać, tylko bowiem pośród takiej nocy, kiedy – jak pisał Władysław Orkan:

*Nad ciszą ziemi sierp księżycy –
Gwiazdy rozsiane w mroku –*

*Powietrze wilgna woń przesyca –
Tchnienie uroku.*

(Nad ciszą ziemi)

Trzeba się nam dzisiaj wsłuchać w tę ciszę, trzeba nam w nią wejść, trzeba nam stać się tą ciszą, by naprawdę doznać tego „tchnienia Uroku”. Tyko w ciszy możemy doświadczyć ciszy tamtej nocy, tylko w ciszy możemy usłyszeć

tamtą ciszę, tylko w ciszy możemy posłyszeć tamte szepty, zobaczyć ciszę tamtych twarzy i rąk, albowiem:

*Odbicie najmniejszego poruszenia
w jedwabnej ciszy staje się widome*

(Cisza)

– pisał Rainer Maria Rilke. Jedynie w ciszy. Tamta cisza musi więc stać się naszą ciszą, a nasza cisza musi stać się tamtą. Wbrew pozorom i wbrew naszemu codziennemu doświadczeniu gwaru, hałasu, stuku, zgrzytu i szumu nie jest to niemożliwe. Wszak i dzisiaj, w tę radosną noc Bożego Narodzenia panuje cisza. Jesteśmy pełni radości, ale tak głęboko wzruszeni, że radości tej nie możemy wyrzucać na zewnątrz okrzykami, śmiechem, rozbieganiem, nieskoordynowanymi ruchami. Przeżywamy ją w głębi siebie, delektujemy się nią w swych sercach i duszach, świadomi, że nowo narodzone dziecko musi być otoczone ciszą, musi mieć, jak pisał w swym wierszu Wallace Stevens, „Dom pełen ciszy; świat pełen spokoju”.

Taką ciszę staraliśmy się zapewnić swoim dzieciom i taką ciszę chcemy też zapewnić Synowi Bożemu. Dziecko potrzebuje ciszy. Zapewniając mu ją, oddajemy mu cześć. Stanowi ona wyraz naszej miłości i poprzez nią wyrażamy swą radość. Cisza wszak stanowi naturalne otulenie dziecka, jest jego pierwszą przestrzenią. Cisza też była pierwszą przestrzenią Dzieciątka Bożego. Była przestrzenią narodzin Boga. „Gdy głęboka cisza zalegała wszystko, a noc w swym biegu dosięgała połowy, wszechmocne Twe słowo z nieba, z królewskiej stolicy (...) runęło w pośrodek zatraconej ziemi” – czytamy w *Księdze Mądrości* (Mdr 18, 14–15).

Jakże pięknie napisał ks. kard. Józef Ratzinger w swoich medytacjach na Boże Narodzenie: „Tylko wówczas, gdy wkraczamy w przestrzeń ciszy, wchodzimy tam, gdzie rodzi się Bóg”. Wejść tam, gdzie rodzi się Bóg, wejść w ciszę to powołanie człowieka, a zarazem jego naturalne dążenie. Wielu z nas pragnie wniknąć w przestrzeń tej ciszy Bożej.

Wielu z nas próbuje wejść w nią tej nocy i wielu z nas może się to udać, Boże Narodzenie to bowiem wyjątkowy czas, kiedy cisza Boża otwiera się w całej tajemnicy i kiedy dopełnia się ta tajemnica, o której śpiewała Antonina Krzysztoń:

*Jest takie czekanie, które już jest spotkaniem.
Jest taka ciemność, która już jest światłością.
Jest taka cisza, w której słyszysz Niesłyszalnego.*

(Jest cisza)

Ale też wielu z nas nie interesuje się tą tajemnicą i nie pragnie, nie potrzebuje, nie potrafi odnaleźć ciszy, tym bardziej ciszy, w której działa Bóg. Żyjemy w czasach, w których cisza właściwie przestała istnieć. Nasze uszy zalewa bezustanny hałas, ze wszystkich stron dociera do nas szum, warkot, zgrzyt, wszystkie media emitują głośne jednodniowe przeboje, a synonimem kultury stała się krzykliwa masowa rozrywka. Jesteśmy przytłoczeni głośnością, stała się ona przyczyną wielu chorób, głuchoty, nerwowości, napięć psychicznych. Może warto więc w tę cichą noc, w tę noc Bożego Narodzenia zapytać, jak znaleźć ciszę, a w tej ciszy Boga.

Matka Teresa z Kalkuty mówiła, że Boga można znaleźć tylko w ciszy, albowiem właśnie w ciszy gromadzimy tę wewnętrzną moc, którą później wykorzystujemy w działaniu, wkładamy w najdrobniejszy codzienny obowiązek i najtrudniejsze doświadczenie naszego życia. I dzisiaj bardzo potrzebujemy tej ciszy. Leopold Staff pisał

*Tyle dziś trzeba ciszy, ciszy tyle,
Że skrzące niebo zda się nazbyt gwarne,
Gwiazdy za głośno drżą, w mgławicznym pyłe. –
Z wolna je chmury zasnuwają czarne.
Ciemność się zagęszcza i w sobie się chowa,
Wiatr zgasł w ostatnim wyczerpania dreszczu,
Aby milczenia nie mąciły słowa,
Modlę się szeptem wieczornego deszczu.*

(Cisza wieczorna)

Tyle ciszy potrzeba! Jak ją jednak znaleźć? Czy da się ją w ogóle znaleźć we współczesnym świecie? Wszystko jest możliwe – jeśli się rzeczywiście chce. Na pewno trzeba się wyciszyć. Jakże pięknie napisał w swoim liście św. Ignacy Antiocheński, że „Lepiej jest milczeć i być, niż mówić, a nie być”. Żeby się jednak wyciszyć, nie wystarczy tylko milczeć i modlić się jedynie „szepcąc deszczu”. Człowiek może zewnętrznie milczeć, ale w jego wnętrzu może być krzyk i wrzask. Wielu ludzi pogrążonych w chaosie codziennych spraw ma zamknięte usta, pomimo iż nosi w sobie piekło. Cóż zatem oznacza prawdziwe wyciszenie? Oznacza ono odnalezienie wewnętrznego porządku. Oznacza ono, że nie skupiamy się wyłącznie na rzeczach, które można przedstawić i pokazać. Cisza oznacza rozwinięcie zmysłów wewnętrznych – zmysłu sumienia, poczucia tego, co w nas wieczne, wrażliwości na głos Boga.

Aby odnaleźć ciszę, aby wejść w ciszę, aby żyć ciszą, nie można dopuścić, by zostało się pochłoniętym przez szarą codzienność, nie można pozwolić zagłuszyć swojego sumienia medialnym szumem i cywilizacyjnym pędem do bogacenia się za wszelką cenę. Trzeba przyjąć – i to przyjąć z całą otwartością, że są rzeczy ważniejsze niż sukces, osiągnięcia, zdobycze, że są rzeczy, za które warto dać życie. I trzeba jak najgłębiej wniknąć w swoje sumienie i wsłuchać się w nie; jest ono przecież tym szczególnym miejscem w człowieku, w którym przemawia sam Nieskończony. Boga można znaleźć w ciszy, a ciszę w zrozumieniu, co jest naprawdę ważne, we wniknięciu w swoje sumienie, w pochyleniu się, by dosłyszeć Jego głos. Jakże ważne jest dla nas, abyśmy się tak usposobili, żebyśmy mogli wstąpić w przestrzeń ciszy. W niej możemy zobaczyć bezbronną prawdę Boga, Jego pokorę i dobroć, która staje wobec nas pośrodku tego świata, ucząc nowej formy życia i miłości, ona bowiem – jak pisał Antoine de Saint-Exupéry – „jest przestrzenią ducha, w której może on rozwinąć skrzydła”, by wzlecieć na wyżyny, do Boga samego.

Tomasz z Celano wspomina, że pewien szlachcic o imieniu Jan podarował Franciszkowi z Asyżu ziemię w Greccio. W jakiś czas później doznał on łaski cudownej wizji. Zobaczył śpiące w żłobie dziecko, które pomimo absolutnej ciszy przebudziło się wskutek bliskości św. Franciszka. „Wizja ta była zgodna z tym, co rzeczywiście się stało, jako że w sercach wielu ludzi Dziecię Jezus pogrążone było w śnie zapomnienia, a przez Jego sługę Franciszka, pamięć o Nim została na nowo ożywiona i zapisana na zawsze w pamięci” – tak skomentował to wydarzenie autor tego wspomnienia. Św. Franciszek rzeczywiście w sposób nieprawdopodobny wręcz umiłował Dziecię Boże. Nigdy nie mógł o Nim mówić bez żywego wzruszenia. Przepęłniała go czułość i tkliwość na samą myśl o Nim. Z ogromną żarliwością modlił się do Niego i oddał Mu się bez reszty. On też nadał Bożemu Narodzeniu nowy wymiar, bardziej przybliżając je do ludzi i ludzi bardziej przybliżając do niego poprzez wskazywanie, że w noc betlejemską Bóg stał się naprawdę Emmanuelem, Bogiem z nami, Bogiem, od którego nie oddziela nas żadna bariera majestatu czy odległości. Zupełnie możliwe, że gdyby nie św. Franciszek, inaczej podchodzilibyśmy do Nowonarodzonego i inaczej obchodzilibyśmy rocznice Jego przyjścia na świat. Św. Franciszek przybliżył nas do ciszy żłóbka, pokazał, jak w tej ciszy żyć, by słyszeć głos Dziecięcia, i nauczał, że dziecięctwo jest postawą najbliższą Bogu, otwierającą bramy Nieba.

Ojciec Święty w swoich medytacjach na Boże Narodzenie pisał: „W Dzieciątku Jezus objawia się bezbronność miłości Boga: Bóg przychodzi bez broni, gdyż nie chce zwyciężać od zewnątrz, lecz chce zwyciężać, przemieniać od wewnątrz. Jeśli coś może pokonać ludzką zarozumiałość, gotowość do użycia siły, chęć posiadania, to jest to bezbronność dziecka. Bóg stał się bezbronny, aby nas w ten sposób pokonać i przyciągnąć do siebie”⁷⁴. Nie możemy zapominać, że najwyższym tytułem Jezusa Chrystusa jest Synostwo Boże.

⁷⁴ J. Ratzinger, *Medytacje o Bożym Narodzeniu*, Warszawa 2003, s. 43.

Jego bycie dzieckiem jest jedynym w swoim rodzaju odpowiednikiem Jego boskości, która jest boskością Syna. Jego dziecięstwo wskazuje zatem sposób, w jaki możemy dojść do Boga, w jaki możemy uczestniczyć w Jego boskiej naturze. „Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 18, 3). Jeśli nie odnajdziecie ciszy – można kontynuować tę ewangeliczną myśl – nigdzie nie dojdziecie, droga do Boga wiedzie bowiem przez ciszę, spokój, wyciszenie, „cisza [wszakże] – jak to ujął Thomas Carlyle w *Bohaterach* – jest tym żywiołem, w którym formują się rzeczy wielkie”. Przede wszystkim wiara, poznanie, zrozumienie Boga, Stworzenia, Wcielenia, Odkupienia, Zbawienia, innych ludzi i samego siebie.

Ten, kto nie może, nie potrafi lub nie chce wejść w przestrzeń ciszy, nie zrozumie samego siebie; ten, kto nie rozumie samego siebie, nie zrozumie tajemnicy Bożego Narodzenia; ten, kto nie rozumie tajemnicy Bożego Narodzenia, nie zrozumie tego, co stanowi istotę chrześcijaństwa. „Woda w naczyniu błyszczy, woda w morzu jest ciemna. Małe prawdy wyrażają się jasnymi słowami. Wielkim towarzyszy wielka cisza” – pisał Rabindranath Tagore. Droga do nieba jest więc nadzwyczajnie prosta: wiedzie od ciszy poprzez zrozumienie tajemnicy siebie i tajemnicy Boga wprost przed bramy Nieśkończoności. Punkt środkowy tej drogi: zrozumienie siebie i Boga jest najważniejszy. Człowiek nigdy nie zrozumie siebie, jeśli nie zrozumie Boga, i nigdy nie zrozumie Boga, jeśli nie zrozumie siebie. Musi więc przede wszystkim zrozumieć siebie, ale żeby zrozumieć siebie – pisał Jan Paweł II w swojej pierwszej encyklice *Redemptor hominis* – „nie wedle jakichś tylko doraźnych, częściowych, czasem powierzchownych, a nawet pozornych kryteriów i miar swojej własnej istoty – musi ze swoim niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią przybliżyć się do Chrystusa. Musi niejako w Niego wejść z sobą samym, musi sobie przyswoić, zasymilować całą rzeczywistość Wcielenia

i Odkupienia, aby siebie odnaleźć”⁷⁵. „W Chrystusie i przez Chrystusa człowiek zdobył pełną świadomość swojej godności, swojego wyniesienia, transcendentnej wartości samego człowieczeństwa, sensu swojego bytowania” – pisał Papież w innym miejscu.

Jezus Chrystus jest otwartą księgą nauki o człowieku, o jego powołaniu i przeznaczeniu. Jest „słowem” o człowieku. Przyszedł na świat, aby objawić ludzkości prawdę o Bogu, a objawiając prawdę o Bogu, objawić prawdę o człowieku. I ściśle zjednoczył się z człowiekiem. Wielu ludziom, może nawet wszystkim, wydaje się to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Jednak jest to prawdziwe – Bóg stał się człowiekiem i wznosił człowieka do Światłości. Tak nas miłował!

A miłując nas pragnie, abyśmy Go i my miłowali. Jak pamiętamy, „swoi Go nie przyjęli”. Tak było dwa tysiące lat temu. Czy dzisiaj jest inaczej? Czy my Go przyjmujemy? Czy potrafimy wejść w przestrzeń tej ciszy betlejemskiej, by ujrzeć Boga w Dziecięciu i posłyszeć Jego głos, czy też ciągle pozostajemy w „Jerozolimie”, w pałacu, zamknięci w sobie, w naszej samowystarczalności, pysze i zarozumiałości, przytłoczeni gwarem i hałasem, w którym gubimy samych siebie?

Żeby wejść w ciszę groty i móc pochylić się nad żłóbkiem, musimy odnaleźć ciszę w sobie, wyciszyć się, dokonać daleko idących zmian w sobie i w swoim życiu. Thomas Merton pisał:

*Nic nie mów.
Słuchaj, co mówią kamienie tej ściany.
Nic nie mów, one chcą
Twoje wypowiedzieć
Imię.
Słuchaj
Żywych ścian.
Kim jesteś?*

⁷⁵ Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 10.

*Kim
Jesteś? Czyją
Ciszą jesteś?
(W ciszy)*

I nad tym musimy się zastanowić, a zastanowiwszy się, podjąć nowe postanowienia, zapragnąć ciszy, przestać gadać i przestać się zagłaszać harmiderem, wyciszyć się przyjąc ciszę i wprowadzać ciszę w świat, ale przede wszystkim w siebie – i przede wszystkim przez odejście raz na zawsze od grzechu i zła. To bowiem grzech i zło wprowadzają w nas zamęt i chaos, wrzask i krzyk, skowyt i jęczenie i popychają – aby przed tym wszystkim uciec – do szumu, zgiełku i hałasu. A tam, gdzie nie ma ciszy, tam gdzie jest grzech, nie ma miejsca dla Jezusa. Nie da się pogodzić miłości do Niego z przyłgnięciem do grzechu. Jeśli tkwi się w złu, jak można dostąpić dobra? Trudno być z Bogiem w rozproszeniu i wrzawie. W ciszy samego siebie można wejść w ciszę Boga, w „Raj Jego ciszy” – jak pisał Jan Kasprowicz:

*Przestworza cisza przedziwna zalega...
(...) duch nie słyszy,
Co mówią ludzie: zbratany z bezmiarem,
Światłem i falą płynie w Raj tej ciszy.*

(Na jeziorze Czterech Kantonów)

Pasterze, którzy trzymali straż nocną nad swoim stadem, kiedy zobaczyli anioła i kiedy oświeciła ich chwalebna, bardzo się przestraszyli. Ale nie dali się opanować lękowi, niezwłocznie pospieszyli do Betlejem i znaleźli owinięte w pieluszki Niemowlę leżące w żłobie. Ich serca rozpoznały w Nim Mesjasza, oddali Mu więc pokłon i złożyli przed Nim dary. Zwiastowana im przez anioła radość, stała się ich rzeczywistym udziałem. Niech ta radość stanie się także naszym udziałem. Przyłączmy się do pasterzy, pospieszmy do grotty betlejemskiej, padnijmy przed Nowonarodzonym Mesjaszem i złożmy Mu swoje gotowe do miłości serca. Pozwólmy,

żeby tajemnica tej cudownej nocy otworzyła nam oczy. Stańmy się ciszą, a w ciszy tej nosicielami Światła, które płynie od żłobu. Bądźmy jak las z tego łącie franciszkańskiego wiersza Leopolda Staffa

*I drzewa mają swą Wigilię...
W najkrótszy dzień bożego roku,
Gdy błękitnieje śnieg o zmroku;
W okiściach, jak olbrzymie lilie,
Białe smereki, sosny, jodły,
Z zapartym tchem wsłuchane w ciszę,
Snują zadumy jakieś mnisze,
Rozpamiętując święte modły.
Las niemy jest jak tajemnica,
Milczący jak oczekiwanie,
Bo coś się dzieje, coś się stanie,
Coś wyśni się, wyjawia lica.*

(Wigilia w lesie)



NOC WIGILIJNA

*Jako mówi nam wszystkim
Dawne, odwieczne orędzie,
Z pierwszą na niebie gwiazdą
Bóg w naszym domu zasiędzie.
Sercem Go przyjmąc gorącym,
Na ścieżaj otworzyć wrota –
Oto co czynić wam każe
Miłość, największa cnota.*

(Przy wigilijnym stole)

– pisał Jan Kasprowicz. I jak pisał, tak zazwyczaj czynimy: w ten wieczór „na ścieżaj” otwieramy serca. Otwieramy je na bliskich, na dalszych, i na cały świat nawet, ale przede wszystkim otwieramy je na wspomnienia. W wigilię Bożego Narodzenia każdy z nas wraca do swojego dzieciństwa. Wracamy do rodzinnego domu – z matką, ojcem, siostrami i braćmi, wracamy do pierwszej gwiazdy na niebie, do świątecznej jodły czy świerka. Przy wigilijnym stole wracamy do siana pod obrusem, ale też do tego, co najważniejsze – do opłatka. Wracamy także do życzeń – i tych, które składaliśmy, i tych, które nam składano. W ten wieczór wszystko rozpoczynało się od życzeń. Tyle ich było, i takie szczere i proste, że do dziś je pamiętamy. Opromieniał nas blask padający ze stołu od opłatka, patrzyliśmy więc na siebie z ogromną życzliwością. W ten jedyny wieczór byliśmy tak przepelnieni miłością, że naprawdę zapominaliśmy wszystkie urazy i myśleliśmy, że przecież inni nie są tacy źli, a życie bez nich nie byłoby możliwe. Kiedy indziej czuliśmy inaczej, ale w ten wieczór... Ten wieczór to przecież wigilia. Wszystko było odmienione, wszystko było inne, jak w wierszu Stanisława Młodożeńca:

*Biały obrus. Oplatki białe.
Mroźny zachwył okna oniemił.
Szron zakłęty w blaszki świetliste*

*różowieje, skrzy się i mieni
w bżów okiściach, w paproci listkach.
Na choince potop śliczności.
Ojciec twarz swą w dobroć wyglaskał.
Już opłatki matka rozwija.
Buzie dzieciąt – aniolki w blaskach.
Pierwsza gwiazda zabłysła. Wilia.
W imię Ojca i Syna!... Wilia!*

(Wilia)

Ileż to było najrozmaitszych uczuć, odczuć, emocji! Ileż dobra i ciepła! Ileż smutku i ileż radości. I tak w tym dobru i ciepłe, smutku i radości przemijało to wszystko: wigilia za wigilią, opłatek za opłatkiem, kolęda za kolędą, pasterka za pasterką. Tyle ich już było. A wszystkie takie dostojne i niepowtarzalne. I takie różne: tłumne i samotne, ubogie i bogate, śnieżne i bez śniegu, z wyczekiwaniem na kogoś i bez wyczekiwania, zimne i ciepłe, bezbarwne, nijakie i pełne barw, doznań...

Wigilia i Święta to także kościół, ten parafialny, który po rodzinie zajmuje w naszym życiu drugie miejsce. Czymże byłyby Święta bez niego, bez pasterki, Komunii św., śpiewu kolęd, żłóbka i choinek? Czymże by one były bez posługi naszych kapłanów, bez spowiedzi świątecznej i adwentowych rorat? Każdy z nas nosi w swoim sercu wspomnienia kościoła, przeżytych w nim świąt i spotkanych kapłanów. I jak o tym wszystkim nie pomyśleć dzisiaj podczas tej pasterki?

Potem człowiek wyrósł, wydorósł i jakoś urządził się w życiu. I dzisiaj, kiedy rozpamiętuje minione, kiedy wspomina, kiedy myśli o tym, co było, musi postawić sobie pytanie: po co wyczekiwać Pana Jezusa co roku, skoro On już jest pośród nas od dwóch tysięcy lat?

Oczekiwanie adwentowe na przyjście Pana ma zawsze potrójny wymiar: historyczny, aktualny i eschatologiczny. Przed dwoma tysiącami lat Chrystus narodził się w Betlejem jako człowiek, prawdziwy, z krwi i kości. Trzeba

sobie to przypominać, by zgłębiać tę niepojętą miłość, która sprawiła, że „Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas” (J 1, 14). Te pierwsze, fizyczne narodziny Jezusa zmieniły bieg dziejów ludzkich. Obecnie Chrystus rodzi się w sposób sakramentalny i mistyczny. Każda Msza Święta jest uobecnieniem ofiary krzyżowej Chrystusa na Kalwarii. Ale każda Msza Święta to także nowe Betlejem, w którym przychodzi na świat Chrystus eucharystyczny pod postaciami chleba i wina – i czeka później na nas, jak na pasterzy i mędrców, w tabernakulach całego świata. Dziś Chrystus mistyczny rodzi się na nowo w Kościele – wspólnocie zbawienia zawsze, ilekroć człowiek włączany jest przez chrzest święty do Ludu Bożego i ilekroć ludzie uwikłani w grzechy odzyskują godność dziecka Bożego poprzez sakrament pokuty. Chrystus mistyczny rodzi się zatem przez łaskę w naszych umysłach i sercach, w naszym duchowym Betlejem. Trzeba to przypominać i trzeba o tym pamiętać, by godnie przyjąć Chrystusa rodzącego się w naszym życiu i przychodzącego do nas w Komunii świętej. Te mistyczne narodziny Jezusa, podobnie jak narodziny fizyczne, każdorazowo zmieniają bieg dziejów ludzkich.

Jest jeszcze trzeci wymiar Bożego narodzenia – wymiar eschatologiczny. W wymiarze historycznym i aktualnym Chrystus rodzi się dla człowieka. W wymiarze eschatologicznym to człowiek, którego tradycja patrystyczna nazywała „drugim Chrystusem” (*christianus alter Christus*), ma się narodzić definitywnie i ostatecznie dla Chrystusa, dla nieba. Dlatego właśnie w „Martyrologii”, czyli w wykazie świętych, dzień ich śmierci nazywany jest dniem narodzin do nowego życia (*dies natalis*). Gdyby nie było tego pierwszego fizycznego narodzenia Chrystusa, gdyby zabrakło Jego narodzin mistycznych i sakramentalnych, zmieniających bieg naszego życia, nigdy nie moglibyśmy się narodzić dla nieba. Oto dlaczego wracamy do narodzin Chrystusa, dlaczego ciągle przeżywamy je na nowo, i to przeżywamy tak dogłębnie i mocno, że w myśl słów św. Pawła sami „przyoblekamy się w Chrystu-

sa” (por. Rz 13, 14 oraz Ga, 3, 27) i powtarzamy za nim: „Już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2, 20).

Jeśli Chrystus naprawdę w nas żyje – i żeby naprawdę w nas żył, każdego roku stawiamy sobie pytanie dotyczące przeżywania Bożego Narodzenia. Bo może się zdarzyć, iż zabiegani w świecie zagubimy to, co jest najistotniejsze w tych Świętach – nasze odrodzenie duchowe – i sprowadzimy je jedynie do sentymentalnych wspomnień domu rodzinnego, wzruszeń, przeżyć emocjonalnych, jednej czy dwóch kolęd wysłuchanych w radiu czy telewizji, a w najlepszym przypadku – kultywowania tradycji ludowej i obyczaju narodowego. Te rzeczy też są ważne, ale nabierają głębszego sensu i przestają być pustymi lub zrutynizowanymi ceremoniami dopiero wówczas, gdy w czasie Świąt doświadczymy w sposób szczególny, że nasz Pan Jezus Chrystus jest Emmanuelem, to znaczy „Bogiem z nami” (por. Mt 1, 23). Łacińskie przysłowie mówi *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* (Czasy się zmieniają, my też w nich się zmieniamy). W każde święta Bożego Narodzenia jesteśmy w jakiś sposób inni, ale w każde Bóg powinien być z nami i każde winny stanowić okazję do weryfikacji naszego życia i naszego chrześcijaństwa.

Święta się nie zmieniają. Wszystkie są przypomnieniem tego samego, tej samej prawdy, jednej zawsze. To my się zmieniamy, i niekoniecznie na lepsze. Dzisiaj jesteśmy inni niż przed rokiem, inni niż przed laty. Dzisiaj patrzymy inaczej niż wtedy, gdy byliśmy dziećmi, ludźmi młodymi. Inaczej słyszymy, inaczej myślimy, inaczej składamy sobie życzenia i śpiewamy kolędy. Inaczej reagujemy na prezenty. Życie zabija w nas spontaniczność, rodzi przygnębienie, wprowadza bezdusność i rutynę. Chcemy coraz więcej, a często coraz mniej możemy. Ze zdziwieniem patrzymy na siebie. Wszystko zostało odmienione. Nieodmienione pozostało Boże Narodzenie, i dlatego, jako zawsze to samo może także w wymiarze naturalnym służyć naszemu przebudzeniu, ożywieniu. Jezus musi się w nas na nowo narodzić, bo

wciąż Go potrzebujemy, by nawiązywać do naszej pierwotnej wrażliwości, do zagubionych marzeń i tęsknot, do roztrwonionej nadziei i zaprzepaszczonych szans. Musimy ciągle wracać do korzeni, do źródeł naszego dzieciństwa, do betlejemskiej gwiazdy, do pasterzy i mędrców, do Józefa i Maryi, a zwłaszcza do *Nowonarodzonego*, bo bez tego nie będziemy w stanie wzrastać w naszym człowieczeństwie. Musimy – jak Czesław Miłosz – zwracać się do Maryi, a poprzez Nią do Jezusa:

*Maryjo czysta, błogosław tej,
Co w miłosierdzie nie wierzy.
Niech jasna twoja strudzona dłoń
Smutki jej wszystkie uśmierzy.
Pod twoją ręką niechaj płacze łzej.
Na wigilijny ześlij jej stół
Zielone drzewko magiczne,
Niech, gdy go dotknie, słyszy gwar pszczół,
Niech jabłka sypią się śliczne.
A zamiast świec daj jej gwiazdę mroźnych pól.*

(Modlitwa wigilijna)

I Ona, i On dają tę gwiazdę i to „zielone drzewko magiczne”. Dają je każdemu. Ale nie ujrzysz promieni gwiazdy betlejemskiej, jeśli jej nie będziesz wypatrywał. Nie dostaniesz „zielonego drzewka”, jeśli po nie nie wyjdiesz. Nie usłyszysz śpiewów anielskich, jeśli nie będziesz nasłuchiwał. Nie odnajdziesz światła nadziei i zbawienia, jeżeli nie będziesz go szukał. Nie dosłyszysz słów prawdy, jeżeli ich nie będziesz pragnął.

W tę świętą noc Anioł jeszcze raz nam ogłasza: „Zwiąstuję wam radość wielką, (...) dziś bowiem w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel” (Łk 2, 10–11). I w tę świętą noc trzeba ponownie usłyszeć te słowa i ponownie trzeba przeżyć do głębi to, co się tej świętej nocy stało; trzeba ponownie przekontemplować tajemnicę tego przesłania, które jest dla

nas – ludzi trzeciego tysiąclecia – zaproszeniem, abyśmy na nowo przyjęli do naszych serc orędzie Zbawiciela. „Przebudź się, człowiecze: dla ciebie Bóg stał się człowiekiem” – wołał św. Augustyn (*Kazanie* 185). Zbudź się, człowieku trzeciego tysiąclecia! Zbudź się człowieku, który żyjesz w 2010 roku. Dzisiaj w dniu Bożego Narodzenia wszechmocny Bóg staje się dzieckiem i prosi cię o pomoc i opiekę. Czy możesz Mu odmówić? Czyż nie wzrusza Cię Jego ubóstwo, niewinność i dobroć? Czyż możesz pozostać ślepy i głuchy?

Jego pukanie do naszych drzwi domaga się odpowiedzi. Odpowiedź ta jest zarazem odpowiedzią na pytanie o naszą wolność i niezależność, także względem Boga. Obecny etap dziejów często przedstawiany jest poprzez metaforę przebudzenia się ze snu rozumu, czyli jako wyjście ludzkości ku prawdziwemu światłu. Ale nie ku temu, które Kartezjusz i Kant, a za nimi inni przedstawiciele europejskiego racjonalizmu nazywali „światłem rozumu” i które pojmowali jako naturalne uniwersalne narzędzia poznania, z pomocą którego ludzkość miała stworzyć na ziemi raj. Światło rozumu nie wystarcza, by prawdziwie oświecić człowieka. Wręcz przeciwnie, pozbawione światłości Chrystusa pogrąża ludzkość w mrokach duchowej beznadziei, rozpacz i nicości. Wątlemu ludzkiemu, tak łatwo gasnącemu światłu, będącemu ledwie odbiciem, potrzebna jest niegasnąca światłość Boga. Tylko w tej światłości może ono świecić. Bez niej nie istnieje.

Dlatego właśnie mówi się dzisiaj o wyjściu ku prawdziwemu Światłu i dlatego tak mocnym echem odbija się ewangeliczne słowo o Bożym narodzeniu, jako zapowiedź zbawienia wszystkich: „Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi” (J 1, 9). I ku tej światłości trzeba się człowiekowi zwrócić, w niej bowiem jedynie może się wyjaśnić jego tajemnica, w niej, czyli w tajemnicy Syna Bożego. Bez Jezusa Chrystusa nie jesteśmy w stanie zrozumieć ani swojego życia, ani powołania, ani przeznaczenia, ani siebie samych, ani siebie wzajemnie. Niczego!

W Jezusie Chrystusie, Syn Boży, sam Bóg, Bóg z Boga, stał się człowiekiem. Mówi do Niego Ojciec: „Tyś moim Synem”. Odwieczne „dziś” Boga zstąpiło w ulotne „dziś” świata i zbliża nasze przemijające „dziś” do wiekuistego „dziś” Boga. Bóg jest tak wielki, że może stać się mały. Bóg jest tak potężny, że może stać się słaby i wyjść nam naprzeciw jako bezbronne dziecko, abyśmy Go mogli pokochać. Bóg jest tak dobry, że zrezygnował ze swej Boskiej świetności i zszedł do stajenki, abyśmy Go mogli odnaleźć, tak by dotknęła nas Jego dobroć, by się nam udzieliła i rozchodziła się przez nas dalej⁷⁶. Bóg stał się jednym z nas, abyśmy mogli być z Nim, stać się podobni do Niego. Na swój znak wybrał Dziecko w żłóbku: taki jest On. W ikonografii chrześcijańskiej małego Jezusa często przedstawia się z rączkami wyciągniętymi w oczekiwaniu na czuły gest, na to, że ktoś Go weźmie na ręce i przytuli. Święta Bożego Narodzenia dla każdego z nas są zaproszeniem do tego, by zaopiekować się Jezusem, przytulić Go do siebie i tym samym pozwolić, by On nas przytulił.

Zatem wszyscy, bez wyjątku i bez względu na to, jaki jest stan naszej duszy, bez względu na to, czym owocuje nasze dotychczasowe życie, wszyscy, dojrzały, ale o słabej woli i często ograniczeni w swoim myśleniu, pozwólmy wziąć się za rękę Dziecięciu Bożemu. Człowieku, nie bój się, zaufaj Mu! Niechaj ożywcza moc Jego światła zachęci cię do przemiany dotychczasowego życia, niechaj jeszcze raz obudzi w tobie pragnienie życia w wolności od grzechu, niechaj cię umocni w walce z nałogami, niechaj cię wyrwie z alkoholizmu, niewierności małżeńskiej, pracoholizmu i chęci bogacenia się za wszelką cenę; niechaj cię wyprowadzi z duchowego lenistwa i pogardzania dniem świętym. Niech Jego miłość obudzi w tobie pragnienie życia w miłości ze swoją żoną, dziećmi, matką, ojcem, teściami, sąsiadami i kolegami w pracy. Niech pogłębi w nas świadomość, że jesteśmy jedną rodziną we-

⁷⁶ Benedykt XVI, *Bóg objaśnia swoją miłość w Dzieciątku*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 27(2006), nr 2(280), s. 20.

zwaną do budowania więzi zaufania i udzielania sobie wzajemnego wsparcia.

Jeżeli chcesz, aby Jezus narodził się w tobie, musisz Go odebrać od Matki i wziąć na swoje ręce, i umieścić Go w swojej duszy swoimi rękami! A później – w swojej rodzinie, w miejscu pracy, w gronie przyjaciół, w narodzie. Musisz Go wziąć swoimi rękami, tak jak swoimi rękami musisz wziąć opłatek ze stołu, by podejść z nim do drugiego człowieka. Wypatrujemy gwiazdy betlejemskiej, żeby oczy nasze nabrały jej światła. Przychodzimy do żłóbka Jezusa, żeby ogrzały się nasze ręce i żeby się otwały. Śpiewajmy kolędy, żeby serca nasze odtajały, żeby stały się bardziej wrażliwe na wszystko, co dzieje się wokół nas.

Cieszymy się, że Bóg dał nam Jezusa, że narodził się On pośród nas. Największą naszą radością jest właśnie to, że Bóg zamieszkał z nami, że jest między nami, że pojawił się nie tylko jako Dziecko, ale także jako Nauczyciel, dobry i mądry, który od razu nas uczy, już samym sposobem wejścia w ludzkie dzieje, i który – zrodzony w ubóstwie, a nawet w nędzy – mówi nam, że w życiu nie to jest ważne, co się posiada, ale to, kim się jest.

W świecie spotykamy zło, przemoc, wojny i czasem się dziwimy, że ten ogrom zła nie jest w stanie zwyciężyć dobra, które wydaje się tak słabe i kruche. Ale hałaśliwe zło kompromituje się samo, bo jest puste, a lekceważone dobro szlachetnieje, bo w tym, co piękne i dobre, kryje się Bóg – tak wielki, że nie ogarnia Go wszechświat, tak wielki, że ma nieskończoną liczbę twarzy i można Go rozpoznać w miliardach ludzkich istnień, tak wielki, że jest na wszystkich drogach – a równocześnie daje się pomieścić w tym, co najmniejsze, i w naszych umysłach, i w naszych ramionach, przytulony do naszej piersi. Tak, jak dzisiejszej, świętej, wigilijnej nocy!

Na koniec tych rozważań pomódlmy się słowami wiersza ks. Jana Twardowskiego:

*Pomódlmy się w Noc Betlejemską,
W noc szczęśliwego rozwiązania,
By wszystko nam się rozplątało,
Węzły, konflikty, powikłania.*

*Oby się wszystkie trudne sprawy,
Porozkręcały jak supelki,
Własne ambicje i urazy,
Zaczęły śmieszyć jak kukielki.*

*Aby się wszystko uprościło,
Było zwyczajne – proste sobie –
By szpak pstrokaty, zagrypiony,
Fikał koziołki nam na grobie.*



BOŻE NARODZENIE

„Dziecię nam się narodziło (...) dziecię zostało nam dane” – mówił Izajasz (9, 5). „Oto ono, dziecię tak delikatne, na rękach Swej Matki... O, Jezu, dziecię tak łagodne, oto jesteś pośród nas, adorujemy Cię z całego naszego serca, jednoczymy się z Najświętszą Dziewicą i Świętym Józefem, z wszystkimi aniołami, które adorują Cię w zachwycie, upadamy do Twoich stóp; kochamy Cię, kochamy Cię, kochamy Cię” – pisał Brat Karol de Foucauld⁷⁷.

„W tym małym żłobku zawiera się wszystko: Stwórca świata, byt sam w sobie, doskonały, nieskończony, dobry, mądry, piękny, a przede wszystkim Ten, który jest Miłością (...). Cały byt i cała doskonałość, wszystko, czego oko nie może kontemplować ani ucho słyszeć, ani umysł pojąć, (...) wszystko to jest obecne w tym małym dziecięciu tak łagodnym, które uśmiecha się i wyciąga do was ręce”⁷⁸.

Jak to się stało, że Przedwieczny jako dziecię znajduje się w żłobie? Jak to się stało, że Nieogarniony daje się objąć w matczynych ramionach? Jak to się stało, że Niewidzialny daje się oglądać stworzeniom zaślepionym grzechem? Co to oznacza, że Wszechmogący staje się najbardziej bezbronny?

Tej nocy świat spogląda na Boga. Nie jest to noc sentymentalna. Ta noc jest przepełniona tajemnicą, która porusza ku Misterium, Misterium zmuszającego do myślenia o Bogu, niedającego człowiekowi spokoju. Tajemnica – jak mówi Jerzy Bukowski w książce *Zarys filozofii spotkania* – to coś daleko więcej niż zagadka. O ile zagadki się rozwiązują, o tyle wobec tajemnicy należy pochylić głowę, a niekiedy uklęknąć⁷⁹.

W Bożym Dzieciątku złożonym na sianie, w tej niepozornej i kruchej istocie ukryła się cała wszechmoc i potęga

⁷⁷ Noël par le Père de Foucauld, kolekcja „Lectures chrétiennes”, 1938.

⁷⁸ Brat Karol od Jezusa, *Consideration sur les fêtes de l'année*, Nazaret, 4 stycznia 1898.

⁷⁹ J. Bukowski, *Zarys filozofii spotkania*, Kraków 1997.

Boga. Bóg stał się mały, abyśmy mogli Go zrozumieć, przyjąć i pokochać. W tę prawdę o Bożym umniejszeniu, zbawionym dla świata, jako pierwsi uwierzyli Matka Najświętsza i Józef, którzy uznali w Jezusie Boga, gdy się tylko narodził. A potem przyszli prości pasterze, po nich zaś Trzej Mędrcy, którzy w tym małym Dzieciątku uznali swego Boga i w postawie adoracji oddali Mu pokłon.

„Pójdźmy i zobaczmy”! Pasterze nie dyskutują, nie pytają o szczegóły, ale idą... Widzą Dziecię, pieluszki, źłódek, Maryję i Józefa zatopionych w cichej modlitwie. Sami też klękają pobożnie. Bez filozofii, bez teologii, bez znajomości Pisma – klękają, wierzą, adorują... Człowiek jest wielki, gdy jest na kolanach, a im bliżej ktoś Boga, tym chętniej klęka! Maryja na kolanach, Józef na kolanach, Pasterze na kolanach. Uczmy się od nich żyć z Nim i wraz z Nim dojrzewać do pokory, która stanowi istotę miłości.

Św. Hieronim pisał: „Ilekróć spoglądam na miejsce, gdzie przyszedł na świat mój Zbawca, rozpoczynam z Nim słodką rozmowę: Jezu – mówię – jak twardo spoczywasz w swoim żłobie dla mego zbawienia. Czym Ci się mogę odwdziaczyć? Wówczas wydaje mi się jakoby Dziecię mówiło: Żądam jedynie tego, abys śpiewał: Chwała na wysokości Bogu. Na to mówię dalej: – Ukochana Dziecino, ja chcę Ci coś ofiarować. Dam Ci wszystkie moje pieniądze. – Niebo i ziemia są moją własnością, nie potrzebuję niczego, daj je ubogim. Znowu odzywam się: Chętnie to spełnię, ale Tobie też chciałbym coś ofiarować albo umrę z bolesti. – Jeśli jesteś tak hojny, to już powiem ci, co mi masz ofiarować: Oddaj mi swoje grzechy, swoje nieczyste sumienie i swoje postępowanie. – Wołam: Panie! A Ty, co uczynisz z tym wszystkim? – Wezmę to wszystko na swoje barki, albowiem na tym polega moja chwała i moje dzieło, że poniosę i wymażę twoje grzechy. – Wtedy ja, stary człowiek, poczynam wołać ze łzami w oczach: – O Jezu, miła Dziecino, jakże wzruszyłeś moje serce. Weź, co jest moje, a racz mi dać to, co jest twoje.

Wtedy pozbędę się swoich grzechów i będę spokojny o swoje zbawienie”.

Św. Hieronim zmarł w 420 roku w Betlejem (jakże to znaczące w jego przypadku!), słowa te wypowiedział więc szesnaście wieków temu. A czy my, dzisiaj, możemy je wypowiedzieć z równą żarliwością i miłością? Czy dla nas – można zapytać za papieżem Benedyktem XVI – „Zbawiciel jeszcze (...) coś znaczy i jaką ma wartość dla człowieka trzeciego tysiąclecia? Czy jest jeszcze potrzebny Zbawiciel człowiekowi, który dotarł na Księżyc i na Marsa i usiłuje opanować wszechświat; człowiekowi, który nie stawiając sobie granic, wnika w sekrety natury i potrafi odczytać nawet kod ludzkiego genotypu? Czy potrzebuje Zbawiciela człowiek, który wymyślił przekaz interaktywny w wirtualnym oceanie Internetu i dzięki współczesnym zaawansowanym technologiom multimedialnym przekształcił Ziemię, wielki wspólny dom, w małą globalną wioskę? Człowiek dwudziestego pierwszego wieku sprawia wrażenie, że jest pewnym siebie i samowystarczalnym panem swojego przeznaczenia, rozentuzjazzowanym twórcą niezaprzeczalnych sukcesów”⁸⁰.

Kiedy w grocie betlejemskiej narodził się Jezus, „wielkie światło” zajaśniało nad ziemią, wielka nadzieja wstąpiła w serca tych, którzy Go prawdziwie oczekiwali. Nie było ich zbyt wielu. Była Maryja, Józef, kilku pasterzy, potem Mędrcy, starzec Symeon, prorokini Anna. A jednak przecież, prawdziwie czy nieprawdziwie, świadomie czy nieświadomie, wierząc czy nie wierząc, oczekiwali Go wszyscy, wszyscy bowiem pragnęli tej światłości, wszyscy pragnęli nadziei. I tej świętej nocy spełniło się. Pod jej osłoną, w jej ciszy dla każdego człowieka zajaśniała niegasnąca światłość. W tę noc na świat przyszła wielka, niosąca szczęście nadzieja: „Słowo stało się ciałem. I oglądaliśmy Jego chwałę” (J 1, 14).

⁸⁰ Benedykt XVI, *Chrystus rozpoczyna „święty dzień”, który nie zna zachodu*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 29(2008), nr 2(300), s. 17.

„Ci, którzy żyli przed narodzeniem Chrystusa – pisał w encyklice *Spe salvi* papież Benedykt XVI – nie mieli prawdziwej nadziei. Paweł przypomina Efezjanom, że zanim spotkali Chrystusa, byli jakby «nie mający nadziei ani Boga na tym świecie» (Ef 2, 12). Oczywiście wie, że mieli oni bogów, że mieli religię, ale ich bogowie okazali się wątpliwi, a z ich pełnych sprzeczności mitów nie płynęła żadna nadzieja. Pomimo że mieli bogów, «nie mieli Boga» i w konsekwencji żyli w mrocznym świecie, bez jasnej przyszłości. Dopiero, gdy spotkali Chrystusa, objawiła się im nadzieja, ponieważ zyskali «Boga na tym świecie». Poznać Boga – prawdziwego Boga – oznacza otrzymać nadzieję. Kto ma nadzieję, żyje inaczej; zostało mu dane nowe życie. Dla nas, którzy od zawsze żyjemy z chrześcijańską koncepcją Boga i przywykliśmy do niej, posiadanie nadziei, która pochodzi z rzeczywistego spotkania z Bogiem, jest już czymś z czego niemal nie zdajemy sobie sprawy»⁸¹.

Początkiem tej prawdziwej i jedynej nadziei, której nie może dać świat, a która pochodzi wyłącznie od Boga, było narodzenie Jezusa Chrystusa. Św. Paweł mówi: „Nie powinniście smuć się, «jak wszyscy ci, którzy nie mają nadziei»” (1 Tes 4, 13). Wy ją już macie – można dopowiedzieć – i jest ona prawdziwa! Jedyna prawdziwa nadzieja – pisał Søren Kierkegaard – to nadzieja wieczności. I taką właśnie, prawdziwą nadzieję, przyniósł na ziemię Chrystus. Choć jako ludzie wierzący nie wiemy dokładnie, co nas czeka, to jednak od Jego przyjścia ze stuprocentową pewnością wiemy, że nasze życie nie kończy się pustką. W terażniejszości tak naprawdę można żyć tylko w pełni pod warunkiem, że przyszłość jest pewna jako rzeczywistość pozytywna. A jest. Ewangelia o Bożym Narodzeniu nie stanowi jedynie przekazu treści, które mogą być poznane, lecz przesłanie, które tworzy fakty i zmienia życie. Mroczne wrota czasu, przyszłości zostały otwarte na oścież.

⁸¹ Benedykt XVI, *Encyklika „Spe salvi” o nadziei chrześcijańskiej*, Watykan 2005, nr 2.

Boże Narodzenie jest wielkim świętem chrześcijańskiej nadziei. Od dwóch tysięcy lat stanowi ono wyzwanie dla ludzi wszystkich epok i wszystkich miejsc. Jest świętym dniem, w którym rozbłyskuje z nową mocą nadzieja, „która zwieść nie może”. Oczywiście, aby ją przyjąć, potrzeba wiary, potrzeba pokory. Potrzeba pokory Maryi, która uwierzyła w słowo Pana, pierwsza pochyliła się nad żłóbkiem i adorowała „Owoc swojego łona”. Potrzeba także pokory Józefa, człowieka sprawiedliwego, który miał odwagę wiary i wołał być posłuszny Bogu, niż dbać o własną reputację. Potrzeba pokory ubogich pasterzy, którzy przyjęli wieść przyniesioną przez niebieskiego posłańca i pośpiesznie udali się do grotty, gdzie znaleźli dopiero co narodzone Dziecię (Łk 2, 15–20). Zobaczmy i dotknijmy ukrytej wielkości i głębi ich pokory. Jeśli naprawdę pragniemy, by Bóg był w nas, musimy przez pokorę wyzbyć się wszelkiego egoizmu i wyjść Mu naprzeciw.

Wzruszający i jednocześnie urzekający jest tekst autorstwa Tadeusza Rucińskiego, który mówi o pokorze Boga, który stał się Człowiekiem. Łączy on pokorę Boga z pokorą człowieka. Tekst ten jest śpiewany przez *Treburnie-Tutki*. Warto mu się bliżej przyjrzeć.

*Jakogósik chces małego spotkać
Pieknie pytom jest stokrotka
Ale nisko musis schylić głowe
By stokrotki słyszeć mowe
Ino mały, taki tyci mały
Cłowiek świat pokochać może cały
Przecie nawet wielki Bóg
Straśnie małym stać się mógl*

*A jak głębie chces uwidzieć wielkom
Pieknie pytom jest źródelko
Przed źródelkiem tym uklęknąć trzeba
By uwidzieć w nim pół nieba
Ino mały, taki tyci mały
Cłowiek świat pokochać może cały*

*Przecie nawet wielki Bóg
 Straśnie małym stać się mógł*
*Jak byś chciał usłyszeć jak tam zdrówko
 To ozpatruj się za mrówkom*
*A z uwagom w lesie stawiaj nogi
 Choć roz mrówce ty zeńdź z drogi*
Ino mały, taki ty ci mały
Cłowiek świat pokochać może cały
*Przecie nawet wielki Bóg
 Straśnie małym stać się mógł*
A jak cłowiek chce być strażnie wielki
Musi zmalec do muszelki
I nie marzyć, by być wielkoludem
Ba, najmniejszym bożym cudem
Ino mały, taki ty ci mały
Cłowiek świat pokochać może cały
*Przecie nawet wielki Bóg
 Straśnie małym stać się mógł*

Tylko ten, kto potrafi patrzeć oczami dziecka, zdolny jest ciągle na nowo zachwycać się tym, co usłyszał tej nocy. Tylko ten, kto potrafi się zadziwić, jest w stanie zbliżyć się do prawdy Wcielenia. Zdumienie jest bramą pozwalającą wejść w radość Bożego Narodzenia i adorować Dziecię. Patrząc z pozycji człowieka dorosłego, myślącego racjonalnie i krytycznie wszystko analizującego, nie sposób zrozumieć tej wielkiej tajemnicy miłości. Wobec prostoty Boga potrzebna jest prostota człowieka. Papież Benedykt XVI mówił: „On nie przychodzi z zewnętrzną mocą i przepychem. Przychodzi jak dziecko – bezbronny i potrzebujący naszej pomocy. Nie chce nas przytłoczyć siłą. Sprawia, że nie boimy się Jego wielkości. On prosi o naszą miłość – dlatego staje się dzieckiem. Nie pragnie od nas niczego innego, jak tylko naszej miłości”⁸². My także musimy stać się dziećmi i nie pragnąć niczego innego, jak tylko miłości Jezusa.

⁸² Benedykt XVI, *Bóg objawia swoją miłość w Dzieciątku*, dz. cyt., s. 21.

„Czyż nie jest prawdą, że ludzie prości, ubodzy duchem są świadkami Bożego Narodzenia, tak wtedy, jak i dzisiaj; zawsze są głównymi postaciami Bożych dziejów, nieustrudzonymi budowniczymi Jego królestwa sprawiedliwości, miłości i nadziei. Dziś także, gdy Jezus przybywa, by być między swoimi, oni Go nie poznają. A przecież przybywa do wycieńczonych ciał naszych biednych; przychodzi także do tych, którzy dławią się swym bogactwem. Przychodzi do ich samotnych serc, gdy nie ma nikogo, kto by ich kochał. Jezus przybywa do ciebie i do mnie, ale my często, jak bardzo często, przechodzimy obok, nie dostrzegając Go” – mówiła Matka Teresa z Kalkuty.

Jezus przyszedł na świat w jednym celu: zwiastować nam Dobrą Nowinę, że Bóg jest miłością, że kocha nas, a kochając nas pragnie, byśmy się wzajemnie kochali, tak jak On kocha każdego z nas, tak jak Jezus ukochał nas. A jak nas ukochał? Wystarczy spojrzeć na krzyż, by się tego dowiedzieć. Wystarczy też spojrzeć na żłóbek, by się dowiedzieć, jak czule kocha nas teraz, nasze rodziny i każdego człowieka. Bóg kocha nas czule. Jezus przyszedł, aby nas nauczyć czulej miłości Boga.

„Spójrzmy – zachęcał zatem Brat Karol od Jezusa – na [to] małe Dziecię ze żłóbka, które wyciąga ramiona, które tak bardzo nas kocha, które z miłości przyszło do nas, i które dokonuje wszystkich swoich dzieł z miłości... Naśladujmy wszystkie przykłady, jakie nam daje... Naśladujmy Jego ubóstwo, Jego miłość... Módlmy się, kontemplujmy wraz z Nim Jego Ojca, z miłości... Wraz z Nim błogosławmy ludzi, z miłości... Naśladujmy Jego myśli, Jego czyny, a przede wszystkim tę miłość, która w Nim jest przyczyną wszystkiego” (*Rozważanie Ewangelii – Nazaret*).

W czasie Bożego Narodzenia przyjmujemy Jezusa jako dziecko: bezbronne i ubogie. On przyszedł na świat kochać i być kochanym. Kochajmy Go więc tak, jak On nas kocha. Kochajmy Go przez prawdę, dobro, wiarę i na-

dzieję. Kochajmy Go przez miłość do Niego w mężu, żonie, w dzieciach, braciach i siostrach, rodzicach, sąsiadach i ubogich. Pójdźmy do ubogiej stajenki betlejemskiej i obiecajmy Jezusowi, że będziemy Go kochać we wszystkich, których codziennie spotykamy – mówiła Matka Teresa z Kalkuty. Wzruszające, ale jakże głębokie jest jej rozważanie:

*Zawsze, ilekroć uśmiechasz się do swojego brata
i wyciągasz do niego ręce,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy milkniesz, aby wysłuchać,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy rezygnujesz z zasad,
które jak żelazna obręcz uciskają ludzi
w ich samotności,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy dajesz odrobinę nadziei „więźniom”,
tym, którzy są przytłoczeni ciężarem fizycznego,
moralnego i duchowego ubóstwa,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, kiedy rozpoznajesz w pokorze,
jak bardzo znikome są twoje możliwości
i jak wielka jest twoja słabość,
jest Boże Narodzenie.*

*Zawsze, ilekroć pozwolisz, by Bóg
pokochał innych przez ciebie,
zawsze wtedy,
jest Boże Narodzenie.*

Boże Narodzenie jest dla każdego człowieka; Bóg rodzi się w ludzkim ciele, żeby w każdym ludzkim ciele narodził się Bóg i żeby każdy człowiek mógł prowadzić Boże życie, a prowadząc Boże życie, odradzał się, aż się narodzi do wieczności, kiedy dopełni się życie na ziemi. O potrzebie takich naszych ponownych narodzin za życia mówił Chrystus w rozmowie z Nikodemem. „To, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to, co się z Ducha narodziło, jest duchem” (J 3, 6). Oto tajemnica Bożego narodzenia. Tak ją przyjmujemy i takie otwiera przed nami perspektywy.

Bóg narodził się jako człowiek! Stała się rzecz niesłychana! Bóg zstąpił z nieba i zamieszkał wśród nas! Czy wszyscy zdajemy sobie sprawę, co się stało i co to znaczy? Bo co to znaczy? „To znaczy – odpowiedział na to pytanie ks. kard. Karol Wojtyła w 1968 roku w katedrze wawelskiej – że On sam wyszedł na spotkanie tych dążeń, które tkwią w człowieku; dążeń do przekraczania siebie, żeby więcej zdobyć, więcej osiągnąć, żeby kimś więcej jeszcze być. Na spotkanie tej dążeń wychodzi Bóg i – stając się Człowiekiem – wskazuje człowiekowi niejako ostateczny kres możliwości, który nie tkwi w stworzeniu, nie tkwi w widzialnym wszechświecie, ale tkwi w Bogu samym. Człowiek może przekroczyć siebie nie tylko przez to, że jeszcze dalej pójdzie w kosmos. Człowiek może przewyższyć siebie przez to, że «stanie się synem Bożym» – jak podaje dzisiejsza Ewangelia”.

Tej wielkiej prawdy, prawdy wielkiej betlejemskiej nocy, niosącej w sobie wielką radość dla wszystkich narodów, nikt nie może zachowywać tylko dla siebie. Nie zachowali jej przecież dla siebie pasterze, lecz wypełnieni radością betlejemską ponieśli ją swoim braciom-ludziom: „A pasterze wrócili wielbiąc i wysławiając Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli” (Łk 2, 17). Nie zachowali jej też dla siebie Mędrcy. Ostrzeżeni we śnie nie wracali do Heroda, aby go przekonywać i zachęcać do złożenia pokłonu *Nowonarodzonemu*, zrozumieli bowiem, że to byłby trud daremny, lecz udali się

pospiesznie do swoich ojczyzn i – jak należy przypuszczać – ogłaszali wszem, że „światło na oświecenie pogan”, zapowiadane przez proroka Izajasza (por. Iz 40, 5), objawiło się już całemu światu. I nikt mądry prawdy tej nie zachowuje dla siebie. Od wieków aż po dzień dzisiejszy dokonywało się i nadal dokonuje wielkie obdarowywanie wielką radością wielkiej betlejemskiej nocy, dzielenie się prawdą, że Bóg mnie, nas miłuje!

I każdy w świetle tej tajemnicy powinien nie tylko przyjąć całym sercem Tego, który „z wysoka nas nawiedza”, ale stać się narzędziem radosnego nawiedzenia Bożego dla tych wszystkich, których spotyka codziennie w swoim życiu, aby mogli zrozumieć, co się stało, a dzięki temu zrozumieć świat, siebie, i drugiego człowieka. Człowieka bowiem „nie można do końca zrozumieć bez Chrystusa, a raczej człowiek nie może sam siebie zrozumieć bez Chrystusa. Nie może zrozumieć ani kim jest, ani jaka jest jego właściwa godność” – mówił Sługa Boży Jan Paweł II w czerwcu 1979 roku⁸³.

Bez Chrystusa człowiek musi pozostać dla siebie istotą niezrozumiałą, a jego życie musi pozostawać pozbawione sensu, „jeśli nie objawi mu się Miłość, jeśli nie spotka się z Miłością, jeśli jej nie dotknie i nie uczyni w jakiś sposób swoją, jeśli nie znajdzie w niej swego uczestnictwa”⁸⁴.

Tajemnica Narodzenia jest tajemnicą odkrycia prawdy o człowieku i dla człowieka. Choć spraw jest w życiu tysiące, choć wiele idei zaprzęta nam głowy, choć za mnóstwem spraw uganiamy się codziennie, nie wolno nam zapomnieć, że w tym wszystkim najważniejszy jest człowiek. Jeśli Bóg stał się człowiekiem, to nie po to, byśmy uciekali od własnego człowieczeństwa. W tym kontekście wciąż aktualne są słowa Jana Pawła II: „Drogą Kościoła jest człowiek”⁸⁵. Naśladujmy

⁸³ Jan Paweł II, *Podczas Mszy św. na Placu Zwycięstwa w Warszawie* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne. Pielgrzymka do Polski 1979*, t. 1, Warszawa 1982, s. 21.

⁸⁴ Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 10.

⁸⁵ Tamże.

Chrystusa! Miłując Boga, miłujmy także człowieka, aby potem miłując ludzi, wciąż na nowo jeszcze bardziej odkrywać Boga.

Zakończmy to bożonarodzeniowe rozważanie słowami kolędy *Maleńka Miłość* śpiewanej przez znaną piosenkarkę Eleni:

*Dla naszych serc dla wszystkich serc uspiionych
Dziś zabrzmiał dzwon już człowiek obudzony
Bo nadszedł czas i Dziecię się zrodziło
A razem z Nim Maleńka przyszła Miłość*

*Maleńka Miłość w złości śpi
Maleńka Miłość przy Matce Świętej
Dziś cała ziemia i niebo łśni
Dla tej Miłości Maleńkiej*

*Porzućmy zło, przestańmy złem się bawić
I czystą łzą spróbujmy serce zbawić
Już nadszedł czas, już Dziecię się zbudziło
A razem z Nim Maleńka przyszła Miłość*

*Maleńka Miłość zbawi świat
Maleńką Miłość chrońmy z lękiem
Dziś cała ziemia i niebo drży
Od Tej Miłości Maleńkiej.*



O KRZYŻU CHRYSZTUSOWYM

Dla świata starożytnego krzyż był znakiem najstraszniejszych tortur i śmierci, a śmierć na krzyżu największym pohańbieniem. Gdy więc Jezus dokonywał na nim żywota, zgromadzeni na Golgocie wołali szydlerczo: „Jeśli jesteś Synem Bożym, zstąp z krzyża” (Mt 27, 42).

Jezus jednak nie zstąpił z krzyża. Nie spełnił żądania ludu. Nie dostosował swego świadectwa do miar, jakimi chcieli mierzyć rzeczywistość ludzie. Jedyłą miarą dla Niego była wola Ojca. I w tej ostatniej godzinie zaufał „świadectwu, które dał Mu Ojciec”. Dla przeciwników Jego śmierć stanowiła potwierdzenie, że nie był Tym, za kogo się podawał – Synem Boga. I – skoro Bóg umarł, czymże jest życie człowieka? Jak więc pisał poeta:

*Spełnili mędracy na Boga pogrzebie
kielich swej pychy. – Natura w rozruchu,
Drżała o Boga . – Lecz spokój był w niebie,
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu*

(A. Mickiewicz, „Mędracy”)

I oto wtedy, gdy zdawało się im, że mają ostateczny dowód – tę śmierć Jezusa, gdy natura wszczęła „rozruch”, w tym właśnie momencie obcy człowiek, rzymski setnik, świadek naoczny ostatnich chwil Ukrzyżowanego, „widząc trzęsienie ziemi, i to, co się działo” (Mt 27, 54), stał się pierwszym rzecznikiem „świadectwa”, którego Chrystus oczekiwał od Ojca: „Prawdziwie, człowiek ten był Synem Bożym”. Także ci, co z nim byli, jego ludzie pełniący straż przy Jezusie, potwierdzili to świadectwo. Głos setnika staje się zatem świadectwem, które w chwili hańbiącej śmierci daje Chrystusowi Duch Prawdy: „Zaiste, człowiek ten był Synem Bożym”.

Był Synem Bożym i właśnie, dlatego nie zstąpił z krzyża. Właśnie, dlatego „stał się posłuszny aż do śmierci krzyżowej” (Flp 2, 8). Dlatego, że „miłuje Ojca – jak Mu Ojciec rozkazanie dał, tak czyni” (J 8, 29).

Ecce lignum crucis! Oto drzewo Krzyża! Drzewo to stało się znakiem odrzucenia Boga a zarazem znakiem Jego przyjęcia. Stało się znakiem pogardy dla człowieka i znakiem jego wywyższenia. Znakiem zwycięstwa.

Od wieków przychodzimy do tego Drzewa, którego tajemnica niezmiennie trwa, choć zmienia się rzeczywistość świata, i chcemy przez nie, przez Krzyż podążać dalej – drogą do chwały, którą przez ten Krzyż – przyjmując poniżenie, karę przeznaczoną dla niewolników i zbrodniarzy – otworzył ludzkości Syn Boży. A przychodząc przed ten Krzyż, zginamy kolana i wołamy: *Adoramus te, Christe, et benedicimus Tibi, quia per sanctam crucem Tuam redemisti mundum*. Kłaniamy Ci się, Jezu Chryste, i błogosławimy Ciebie, że przez święty krzyż odkupiłeś świat.

W krzyżu Chrystus posiada „wszelką władzę”, władzę, jakiej nikt nie miał i nie będzie miał w dziejach świata. W krzyżu Chrystusa Bóg Trójjedyny: Ojciec i Syn i Duch Święty jest życiem dusz nieśmiertelnych. W krzyżu – tym po ludzku: znaku hańby, Chrystus objawił moc i stał się Panem naszych dusz, objął „władzę” nad sercem człowieka. Przewdziwna jest to moc. On, wyniszczony, skazany na krzyżową agonię na tyłu miejscach świata, poprzez mękę, poprzez wyniszczenie, poprzez obraz skrajnej słabości, hańby i nędzy ukazał moc, największą – miłości aż do końca⁸⁶.

Krzyż jest znakiem miłości Boga do grzesznych ludzi. Św. Jan Apostoł powiada w swoim Liście: „Po tym poznajemy miłość, że On – Chrystus oddał za nas życie swoje” (1 J 3, 14–16). A św. Jan, umiłowany uczeń Chrystusa, stwierdzi stanowczo: „Nie ma większej miłości nad tę, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół” (J 15, 13). „Tak Bóg umiłował człowieka, że Syna swojego Jednorodzonego dał”. I ten Syn stał się przekleństwem, pośmiewiskiem, wzgardą, aby nikt z nas nie zginął, abyśmy dzięki Jego męczeńskiej

⁸⁶ Jan Paweł II, *Wymowa wawelskiego krzyża*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 8(1987), nr 5(90), s. 23.

śmierci, jako odkupione dzieci, mogli nazywać Boga swoim Ojcem, abyśmy mogli mieć życie wieczne i abyśmy mogli stać się dziedzicami tego, co Bóg odwiecznie nam zgotował. Tę prawdę przypomina św. Jan: „A gdy będę podwyższony na krzyż, pociągnę wszystkich ku sobie” (J 12, 23). W krzyżu „poznaliśmy miłość” (1 J 3, 16), miłość aż do końca, albowiem Chrystus „umiłowawszy swoich na świecie, do końca ich umiłował” (J 13, 1).

I do takiej miłości wezwany jest chrześcijanin. Wezwaniem jest Krzyż. Poprzez śmierć Chrystusa stał się on udziałem wszystkich wierzących i wszystkim został wskazany jako ich droga: „Kto chce być uczniem moim, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje” (Łk 9, 23). Chrześcijanin powołany jest, by stawać się podobnym do Boga: by „być podobnym do Boga, ale Boga ukrzyżowanego” – jak pisała w modlitewnej zadumie Simone Weil⁸⁷ – zawsze jednak powinien mieć w pamięci słowa św. Piotra, który – gdy został skazany na śmierć przez ukrzyżowanie – o jedno tylko prosił: „Nie krzyżujcie mnie tak jak mego Mistrza, ukrzyżujcie mnie głową w dół, bo się Go trzykrotnie zaparłem”.

Chrześcijaństwo krzyżem się mierzy. Pierwsze lata chrześcijaństwa z żywymi pochodniami Nerona stały się symbolem krzyżowania Kościoła, aby dopełniło się cierpienie Chrystusa. Krzyż dla Greków był głupstwem, dla Żydów – zgorzeniem, tymczasem św. Paweł uczonym Grekom i pobożnym Żydom głosił nie kogo innego, jak tylko Chrystusa ukrzyżowanego. „Co do mnie, nie daj Boże – mówił – abym się miał chlubić z czego innego, jak tylko z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa” (Ga 6, 14). Swoich przeciwników zaklinał: „Nie naigrawajcie się ze mnie, bo ja znamiona męki Chrystusa noszę w własnym ciele” (Ga 6, 17). Filipian zaś upomniał: „Wielu z was bowiem postępuje jak wrogowie krzyża Chrystusowego” (Flp 3, 15). A przecież – jak pisał „Ku wolności wyswobodził was Chrystus” (Ga 5, 1).

⁸⁷ Simone Weil, *Myśli*, Warszawa 1985, s. 188.

Wolność krzyżem się mierzy. Wielu z nas nosi krzyż na piersi, mamy go w domu, w szkole, w pracy, stawiamy go pośród pól, lasów, przy drogach. Czy jednak rzeczywiście jest on znakiem naszego chrześcijaństwa i naszej wewnętrznej wolności? Bóg stworzył człowieka wolnym! Dał mu wolną wolę bez względu na konsekwencje. Ale człowiek źle użył wolności. Krzyż jest znakiem odepchnięcia Boga i porzucenia wolności. Jednak Bóg stworzył ludzi wolnymi i daru tego nie wycofa, a przyjęcie przez siebie człowieka przypieczętował Krzyżem. Zapytajmy, świadomi tej wielkiej tajemnicy Bożej miłości, jak wykorzystujemy ów największy z darów. Wszyscy, bez wyjątku, musimy się nad tym zastanowić! Nie wolno nam od tego problemu uciekać, marginalizować go, naiwnie sądzić, że ktoś go za nas rozwiąże. Bóg każdego z nas uczynił wolnym, a to znaczy odpowiedzialnym za swoje czyny.

Wolność ta ma zawsze podwójny wymiar: jest wolnością „od” i wolnością „ku”. Wolność „od” oznacza panowanie nad sobą, byśmy nie ulegali pokusie łatwego życia, gonienia za przyjemnościami, używania świata, bogacenia się za wszelką cenę. Bez wolności „od” nie ma wolności „ku”. Człowiek tkwiący w marazmie codzienności, uwikłany w różnorodne uzależnienia i zniewolenia nie dostrzeże szansy, jaką daje mu życie, tego dobra, które jest w nim, wokół niego i ponad nim.

Dobroć krzyżem się mierzy. W naszej kulturze krzyż jest znakiem ludzkiej dobroci, której nauczyliśmy się od krzyża Chrystusowego, jest przejawem wolności „ku” szczytnym celem. Z krzyża wyrasta posłannictwo czerwonego krzyża, który stanowi symbol ocalenia, tak jak niegdyś dla umierających Izraelitów stanowił go miedziany wąż podwyższony na pału. Z krzyża wyrasta nowe życie Szawła i nawrócenie Augustyna, szczęśliwe ubóstwo Franciszka z Asyżu i promieniująca dobroć Wincentego à Paulo, heroizm Maksymiliana Kolbego i cudowna miłość Matki Teresy z Kalkuty, mą-

drość Jana XXIII i odwaga Jana Pawła II. Z krzyża wyrasta wniesione przez nich w świat dobro. Krzyż nie jest znakiem śmierci Boga, ale narodzin Jego miłości w świecie, nowej nadziei.

Nadzieję krzyżem się mierzy. Nie wolno uciekać przed Ukrzyżowanym. W Nim nadzieja na lepsze jutro, w Nim nasze zwycięstwo. Pisał Cyprian Kamil Norwid:

*Patrz! jaki tam krzyż,
Krzyż niebezpieczny –
(...) Synku! trwogi zbądź:
To znak-zbawienia;
Płynmy! bądź co bądź –
Patrz, jak? się zmienia...
Oto – wszecz i w wzwyż
Wszystko – toż samo.
– Gdzież się podział krzyż?
Stał się nam bramą.*

(Krzyż i dziecko)

Dzisiaj krzyż ten na nowo pojawia się na polskim niebie. Jego ramiona obejmują wszystkich. Wzywa on do wspólnego wysiłku, do troski o wspólne dobro, któremu na imię Polska. Wpatrzony weń w Częstochowie Ojciec Święty wołał: „Nie chcecie Polski bez krzyża, Polski łatwej. Trzeba iść po śladach tego, czym, a raczej kim, na przestrzeni pokoleń był Chrystus dla synów i córek tej ziemi. I to nie tylko dla tych, którzy jawnie weń wierzyli, którzy Go wyznawali wiarą Kościoła. Ale także i dla tych, pozornie stojących opodal, poza Kościołem. Dla tych wąpiących, dla tych sprzeciwiających się. Krzyż jest niemym, ale wymownym świadkiem naszych czasów”.

Zawsze w okresach najtrudniejszych naród polski szukał i znajdował siłę do przetrwania w Chrystusowym Krzyżu. Musi jej szukać i teraz, kiedy Polska z trudem kształtuje swoją narodową wolność, musi i teraz wrócić do prawdy

o Krzyżu Chrystusa. „Na drogach ludzkich sumień – mówił Jan Paweł II 22 maja 1995 roku w Skoczowie – nieraz tak trudnych i tak bardzo powikłanych, Bóg postawił wielki drogowskaz, który życiu ludzkiemu nadaje kierunek i ostateczny sens. Jest nim Krzyż naszego Pana Jezusa Chrystusa. (...) To znak naszego zbawienia – znak naszej wiary i znak naszej nadziei. To znak miłości Boga do nas ludzi. Czy można zostać obojętnym wobec takiego dowodu miłości?”

Ten znak, ten dowód miłości Boga – ten Krzyż jest potrzebny Polsce i jest potrzebny Europie. „Europa potrzebuje nas wszystkich, zebranych solidarnie wokół Chrystusowego krzyża i Ewangelii” – mówił Jan Paweł II we Wrocławiu. Nie będzie jedności Europy bez jedności ducha wszystkich jej mieszkańców. Nie przeminęły jeszcze wszystkie niebezpieczeństwa grożące naszemu kontynentowi. Ciągłe są ludzie czy organizacje usiłujące walczyć z krzyżem, a to znaczy, że nie przestały istnieć duchowe potęgi, które narzuciły Europie systemy stalinizmu czy hitleryzmu, i że nie zrezygnowały one ze swoich planów niszczenia Kościoła, choć czynią to obecnie pod różnymi kłamliwymi hasłami.

Chrześcijanie ciągle więc stoją przed wielkim wyzwaniem. Muszą stale podejmować Chrystusowy Krzyż, a to wiąże się z obowiązkiem ich aktywnego uczestnictwa w jednoczeniu się Europy oraz pracy, by pozostała ona wierna Chrystusowi. Polacy, jako naród w zdecydowanej większości katolicki, są szczególnie zobowiązani do dawania świadectwa Krzyżowi i Ewangelii oraz przyczyniania się w ten sposób do budowy europejskiego domu na trwałych fundamentach wartości chrześcijańskich. Tylko w oparciu o te wartości Europa może stać się „wspólnotą ducha”.

Niektórzy mówią dziś wręcz, że trzeba chronić historię Europy przed zawłaszczeniem jej przez Kościół, a ludzkość – przed „zakusami Kościoła”. Przemawiając w czasie pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny, Jan Paweł II mówił na Błoniach krakowskich: „Pamiętajcie, że nie ma imperiali-

zmu Kościoła. Jest tylko służba. Jest tylko śmierć Chrystusa na Kalwarii. Jest tylko działanie Ducha Świętego jako owoc tej śmierci, który trwa z nami wszystkimi, trwa z ludzkością całą, aż go skończenia świata (Mt 28, 20)”. I tej służbie trzeba poświęcić wszystkie siły. I ze wszystkich sił trzeba głosić prawdę o Krzyżu. Ze wszystkich sił trzeba bronić Krzyża.

Do tego właśnie nawoływał Jan Paweł II we wspianej homilii wygłoszonej do rodaków spod krzyża na Giewoncie: „Umiłowani Bracia i Siostry! nie wstydźcie się krzyża. Starajcie się na co dzień podejmować krzyż i odpowiadać na miłość Chrystusa. Brońcie krzyża, nie pozwólcie, aby Imię Boże było obrażane w waszych sercach, w życiu rodzinnym czy społecznym. Dziękujemy Bożej Opatrzności za to, że krzyż powrócił do szkół, urzędów publicznych i szpitali. Niech on tam pozostanie! Niech przypomina o naszej chrześcijańskiej godności i narodowej tożsamości, o tym, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy, i gdzie są nasze korzenie. Niech przypomina nam o miłości Boga do człowieka, która w krzyżu znalazła swój najgłębszy wyraz”.

Tę prawdę Sługa Boży Jan Paweł II przypominał zawsze, całe życie, nawet w jego ostatnich chwilach. Ciągłe stoi nam przed oczami ten obraz: schorowanego Papieża, który nie mogąc już osobiście poprowadzić drogi krzyżowej w Wielki Piątek w rzymskim Koloseum, modli się w swojej kaplicy w Watykanie, bierze do rąk krzyż Pana Jezusa, przytula go mocno do siebie i całuje z najwyższą czcią. Była to ta wstrząsająca chwila, kiedy cierpienie człowieka raz jeszcze spotkało się z cierpieniem Boga – kiedy drzewo krzyża wypuściło liście i zakwitło, jak na opisanej przez Egona Capellarię mozaice w kościele San Clemente, przedstawiającej Jezusa, który „przybity do drzewa pokrytego bujnym kwieciami i owocami, wyzwolony z cierpienia, rozkłada szeroko ramiona: «Oto drzewo krzyża, na którym zawisło zbawienie świata». Taki właśnie rodzaj obrazu krzyża powinien być

częściej spotykany”⁸⁸, taki bowiem jest krzyż w rękach Ojca Świętego, tulony do jego piersi, przyciskany do jego warg – pokryty liśćmi i kwieciami: wiosna, początek, nadzieja. Taki jest krzyż, do którego zwraca się on, a wraz z nim my wszyscy, słowami:

*Krzyżu, mój krzyżu, wiem, że mi przebaczysz.
Tyś znakiem nadziei, nie znakiem rozpacz.
Na twoich ramionach los świata spoczywa.
I też los człowieka, który ciebie przyzywa.*

Stojąc przed tym Krzyżem, którego tajemnica trwa niezmiennie, choć dookolna rzeczywistość się zmienia i ukazuje w coraz to nowych okolicznościach, wołajmy niezmiennie:

Ojcze przyjmij nas wszystkich w krzyżu Chrystusa. Przyjmij każdego z nas w krzyżu Twojego Syna. Bez względu na to, co dzieje się w sercu człowieka, czym owocują jego czyny i wydarzenia w świecie współczesnym – przyjmij człowieka.

Chryste ukrzyżowany, wzgardzony, wyszydzony i odrzucony, przemawiaj do nas mową Twego krzyża, jedynie bowiem ta mowa jest zrozumiała dla współczesnych ludzi: mowa miłości i dobra. Mów przez swoje ukrzyżowane Ciało, jak nieskończona jest cena naszych dusz.

Krzyżu, bądź pozdrowiony, gdziekolwiek się znajdujesz – w polach, przy drogach, w miejscach, gdzie ludzie cierpią i konają, gdzie uczą się i pracują. W każdym miejscu, na piersi każdego człowieka, mężczyzny i kobiety, chłopca i dziewczyny, i w każdym ludzkim sercu, bądź pozdrowiony, Krzyżu Chrystusa.

*Chcę cię zawsze odbijać w całej postaci,
nie chcę być ślepy ani za stary,
by nieść twój ciężki i chwiejny obraz.
Chcę się rozwijać.*

⁸⁸ E. Cappelari, *Znaki święte w liturgii i codzienności*, Kraków 2002, s. 57.

*Nie chcę być nigdzie skrzywiony,
bo jestem wtedy skłamany.
I chcę, by mój sens
był dla ciebie prawdziwy. Chcę się opisać,
jak obraz, który widziałem,
długo i z bliska,
jak słowo, które pojąłem,
jak mój powszedni dzban,
jak mojej matki oblicze,
jak okręt,
który mnie niósł
przez śmiertelny sztorm...*

(Rainer Maria Rilke, „Księga o życiu mnicha”)



RADOŚĆ ZMARTWYCHWSTANIA

Część wokalna, napisanej pod wrażeniem wielkiego chorału o Zmartwychwstaniu Friedricha Gottlieba Klopstocka II Symfonii pt. *Resurrection* Gustava Mahlera – jednego z najgenialniejszych utworów muzycznych – rozpoczyna się śpiewem chóru z towarzyszeniem sopranu:

*Człowiek jest w największej opresji!
Człowiek jest w największej udręce!
Jak chętnie byłbym w niebie!
Wyszedłem więc na szeroką drogę! (...)
Jestem z Boga i do Boga chcę iść z powrotem!
Ukochany Bóg da mi światło,
będzie mi przyświecał do wiecznego, błogosławiącego
życia.*

Słowa te można uznać poniekąd nawet za objawienie, a w każdym bądź razie za prorocstwo, choć za prorocstwo spóźnione, bo wygłoszone wiele lat po dopełnieniu się tego, co głosiło; może więc raczej za poetycko-muzyczne potwierdzenie największej prawdy wiary, tej prawdy, iż to, co dokonało raz dwa tysiące lat temu, odtąd dokonuje się stale, w odniesieniu do każdego człowieka, codziennie. Szczególnie w Dzień Zmartwychwstania, ten jedyny dzień, który uczynił Pan w dziejach wszechświata i w dziejach człowieka; ten dzień, w którym Bóg objawił, że jest Bogiem żywych, a nie umarłych (Mk 12, 27), i oznajmił słowami proroka włożonymi przez liturgię wielkanocną w usta Chrystusa: Stałem się „o śmierci, (...) twoją śmiercią”.

W tamten dramatyczny piąty dzień tygodnia, w piątek Męki Pańskiej, kiedy Syn Człowieczy stał się „posłuszny aż do śmierci – i to śmierci krzyżowej” (Flp 2, 8), dobiegło końca ziemskie życie Odkupiciela i o zachodzie słońca Jego martwe ciało zostało pośpiesznie złożone w grobie. Niezwykły był to zmierzch! Ta godzina pogrążająca świat w mroku wyznaczała kres „pierwszego aktu” dzieła stworzenia,

skażonego przez grzech. Zdawało się, że zwycięża śmierć i triumfuje zło. Jednak w tej godzinie kamiennego milczenia grobu przybliżyło się ostateczne wypełnienie zbawczego zamysłu Boga, rozpoczęło się dzieło „nowego stworzenia”. Jezus Chrystus, którego miłość uczyniła posłusznym, aż po najwyższą ofiarę, zostaje „wywyższony” przez Ojca, który „darował Mu imię ponad wszelkie imię” (Flp 2, 9).

W tym imieniu każdy człowiek żyjący odzyskuje nadzieję, albowiem – powtórzmy słowa pieśni z Symfonii Mahlera – „Ukochany Bóg da mi światło, będzie mi przyświecał do wiecznego, błęgiego życia”. W tym imieniu każda ludzka istota, wyrwana spod władzy grzechu i śmierci, zostaje przywrócona do Życia i Miłości. I tym niepojętym, najwyższym imieniem niebo i ziemia opiewają dziś Ukrzyżowanego, który zmartwychwstał, by dać zbawienie. Może się zdawać, że po tym wydarzeniu świat pozostał, jaki był, że nic nie uległo zmianie, w rzeczywistości jednak stał się on całkowicie inny i nic nie jest już tak, jak dotychczas. Chrystus, Życie nieśmiertelne, odkupił życie każdego człowieka i na nowo otworzył je na nadzieję. „To, co dawne, minęło, a oto wszystko stało się nowe” (2 Kor 5, 17). To, co dawne, to śmierć; to, co nowe, to życie – pusty grób, w którym daremnie szukać jakiegokolwiek ciała, jak daremnie szukały ciała Pana niewiasty z Ewangelii.

„Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego; powstał, nie ma Go tu” (Mk 16, 6) – obwieścił im Boży posłaniec, odziany w jasną szatę. Usłyszawszy te słowa Magdalena biegnie do Apostołów i zaniepokojona do granic krzyczy – jak w tej *Historycji o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim* Mikołaja z Wilkowiecka:

*Pomóż Bóg, apostołowie,
Jezusowi braciszku!
Poselstwo wam powiadamy,
Które za pewną rzecz mamy:
Pan Jezus już powstał z martwych,*

*Podług onych obietnic swych.
Bochmy dziś u grobu były,
A nicechmy nie widziały,
Jedno Anjoły stojące,
To nam opowiadające.*

A oni pytali: *Dic nobis, Maria, quid vidisti in via* – „Maryjo, powiedz, co ujrzałaś, nawiedzając o świtanie dnia trzeciego grób, miejsce, gdzie Go pogrzebano”? Powiedz Maryjo z Magdali, któraś Go tak umiłowała. Oto znalazłaś grób pusty: *Sepulchrum Christi viventis et gloriam vidi Resurgentis*. Pan żyje! Widziałam Zmartwychwstałego. *Angelicos testes, sudarium et vestes*. Któż mógł o tym zaświadczyć? Jakie człowiecze usta? Tylko aniołowie mogli wyjawić, co znaczy tu pusty grób i całun porzucony. Pan żyje! Widziałam chwałę Jego pełnego łaski i prawdy (J 1, 14).

Pusty grób, kamień odwalony, zakrwawione płótna starannie złożone, półmrok jaskini. I przejmująca cisza poranka. Jezus zmartwychwstał. Pokonał śmierć. Wrócił między żywych. I „żyje i jako żyjący idzie przed nami. Woła nas, abyśmy szli za Nim, żyjącym i byśmy w ten sposób także i my odnaleźli drogę życia” – mówi Ewangelista. *Surrexit Christus – spes mea* – „Zmartwychwstał Chrystus, cel mej nadziei, poprzedzi swoich do Galilei”.

Tak. Naprzód uda się tam, do ziemi, która Go wydała jako Syna Człowieczego. Do ziemi swego dzieciństwa i młodości. Do ziemi życia ukrytego. Naprzód tam, do Galilei, by spotkać Apostołów. A później... później poprzez ich świadectwo do iluż miejsc, do iluż narodów, ludów i ras? I dziś do wszystkich dociera ten głos wielkanocnego orędzia, które zostało ogłoszone w Jerozolimie, przy pustym grobie. *Scimus Christus surrexisse a mortuis vere*. Tak, jesteśmy tego pewni: „wiemy, że Chrystus naprawdę zmartwychwstał”.

Jednak Zmartwychwstanie w jakiś sposób wychodzi poza pole naszego widzenia, poza wszelkie nasze doświadczenia, powoduje, że powracając do własnych myśli, konty-

nuujemy dyskusje uczniów: na czym właściwie ono polega, czym właściwie jest?

Niekończące się były i ciągle są dysputy na ten temat. Rozprawiali o tym ojcowie Kościoła, mistycy, święci, teologowie, kapłani, wszyscy nieomal, ale jedno nie ulega wątpliwości, jedno pozostaje pewne, to mianowicie, że – jak to ujął papież Benedykt XVI – „Zmartwychwstanie było niejako eksplozją światła, eksplozją miłości, która przerwała nierozdzielny dotąd spłot «umieraj i stawaj się». Zapoczątkowała ona nowy wymiar istnienia, życia, w które w sposób przemieniony została również włączona materia i z którego wyłania się nowy świat”.

Jest rzeczą oczywistą, że wydarzenie to nie jest cudem z przeszłości, którego istnienie w gruncie rzeczy mogłoby być dla nas, ludzi XXI wieku obojętne. Stanowi ono nową jakość w naszym życiu, ale dociera do nas przez wiarę i chrzest. Chrzest właśnie o tym świadczy: że nie chodzi o wydarzenie z przeszłości, lecz wydarzenie mające miejsce tu i teraz, albowiem jakościowy przełom w powszechnej historii dociera do mnie i przenika mnie, aby mnie przyciągnąć do Chrystusa. Chrzest jest aktem włączania do wspólnoty Kościoła. Jest czymś więcej niż zwykłym obmyciem, swoistym oczyszczeniem i przyozdobieniem duszy. Jest rzeczywiste śmiertcią i zmartwychwstaniem, odrodzeniem, przemianą w nowe życie. Stanowi włączenie w nowy wymiar istnienia, w które jesteśmy już w jakiś sposób wprowadzeni pośród udręk naszych czasów, a zarazem zaproszenie – może w pewnym sensie nakaz – by przeżywać życie jako stałe wkraczanie w tę otwartą przestrzeń Boga: oto co znaczy być ochrzczonym, być chrześcijaninem. Oto radość Wigilii Paschalnej. Zmartwychwstanie nie minęło, zmartwychwstanie dotarło do nas i przeniknęło nas do głębi.

Odtąd garniemy się do Zmartwychwstałego Pana, a On przygarnia nas do siebie i trzyma mocno, nawet kiedy opadają nam ramiona. Chwytny Go za rękę i w ten sposób

wszyscy trzymamy się za ręce. Jego zmartwychwstanie – przez chrzest, który włącza nas w Jego wieczne życie – staje się naszym zmartwychwstaniem. Te słowa nabierają szczególnej wartości w dniu Paschy, bo właśnie w tym dniu wypełnia się obietnica Stwórcy: w tym dniu, również w naszej epoce, naznaczonej niepokojem i niepewnością, na nowo przeżywamy wydarzenie zmartwychwstania, które zmieniło historię ludzkości i przyniosło nadzieję wszystkim, nawet tym, którzy wciąż jeszcze żyją w więzach grzechu, cierpienia i śmierci.

Życie przypomina niekiedy długą i smutną Wielką Sobotę. Wydaje się, że wszystko skończone, wydaje się, że Zły triumfuje, że zło jest silniejsze od dobra. Ale wiara każe nam patrzeć daleko przed siebie, pozwala nam dostrzec blask nowego dnia, który nastąpi po tym dniu. Wiara daje nam pewność, że ostatnie słowo należy do Boga: tylko do Boga!

Wiara może wydawać się niewielką lampą, ale jest to źródło światła, które rozjaśnia noc świata i którego blask stapia się z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca: oto światłość dla świata, Zmartwychwstały Chrystus. W nim nasza nadzieja!

„A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara” – pisał św. Paweł (1 Kor 15, 14). Natychmiast jednak zapewnił: Chrystus nie tylko zmartwychwstał, ale w zmartwychwstaniu objawił swoją królewską moc, zwyciężając nawet śmierć. „Zwycięzca śmierci, piekła i Szatana, wychodzi z grobu dnia trzeciego z rana”, aby nas utwierdzić w przeświadczeniu, że przepowiadanie nasze ma sens i ma sens nasza wiara. Cud Zmartwychwstania polega nie tylko na tym, że Chrystus „starł oścień śmierci”, ale także na tym, że swoim zmartwychwstaniem nadał sens ludzkiemu życiu i co dzień w każdym człowieku zmartwychwstaje na nowo, jak to bowiem pięknie ujął Leopold Staff w swym wierszu-modlitwie zwróconej do Chrystusa:

*Lecz Ty, wzgardzony tak sromotnie,
by znikł zwątpienia wszelki cień,
odżywasz, Panie, nie samotnie,
ale cieleśnie i istotnie
powstajesz z martwych tysiąckrotnie
na każdym miejscu i co dzień.*

(Zmartwychwstanie)

To powstawanie z martwych zawsze jest początkiem nowego czasu, początkiem nowego człowieka i nowego świata, zacznem Nowego Życia, które ma się rozrastać w człowieku i prowadzić go przez granicę śmierci ku wieczności. Dzięki swemu Zmartwychwstaniu Bóg stworzył nas na nowo i otworzył przed nami przyszłość – ostateczną. Zmartwychwstanie, będąc Chrystusowym wejściem do chwały, mówi, że i my jesteśmy „wezwani do chwały” (1 Tes 2, 12).

Żadnej przesady nie ma zatem w stwierdzeniu, że Zmartwychwstanie Chrystusa jest centralnym punktem ludzkiej historii, niejako „osią”, wokół której „kręci się” świat i nasze życie. Nie było i nie będzie ważniejszego wydarzenia w dziejach! Cóż bowiem może być ważniejszego niż to zjednoczenie się Chrystusa z człowiekiem, na zawsze otwierające przed nim drogę do Boga?

Zjednoczenie się Chrystusa z człowiekiem jest mocą wewnątrznie przemieniającą, zasadą nowego życia, które nie niszczy i nie przemija, ale trwa i wiedzie ku żywotowi wiecznemu. Żywot ten, przyobiecany i darowany każdemu z nas przez Ojca w Jezusie Chrystusie, stanowi ostateczne spełnienie się człowieka, a poniekąd też wypełnienie tego „losu”, który Bóg zgotował całemu światu w swym przedwiecznym zamyśle. W Jezusie Chrystusie, ukrzyżowanym Synu Bożym i Synu Człowieczym, złożonym do grobu i zmartwychwstałym, zabłysła człowiekowi raz na zawsze nadzieja życia wiecznego, nadzieja zmartwychwstania i zamieszkania w domu Ojca.

I to jest właśnie ten dzień, ten dzień nadziei, który uczynił Pan. I ten dzień trwa. Trwa bardziej nieodwracalny niż każda ludzka śmierć. Trwa jako zapowiedź i jako nowy początek, jako Miłość, która nie umiera i nie przemija, która ma w Chrystusie swoją nieskończoność, którą potrafimy przenieść w wieczność, która ocaleje i pozwala wierzyć, nawet mieć pewność, że Zmartwychwstanie Chrystusa stało się nie tylko ostatecznym potwierdzeniem naszej wieczności, ale odmieniło także i odmienia ciągle nasz ziemski los, co tak pięknie rozumiał i tak pięknie ujął w słowa Jan Lechoń:

*A Chrystus się pochylił nad klęczącym ciałem
[chłopki, która go spotkała]*

Z wielkanocną w przebitej dłoni chorągiewką (...)

I rzeknie: „Powiedz ludziom, niech więcej nie płaczą.

Dwa dni leżałem w grobie. I dziś zmartwychwstałem.

(Wielkanoc)

On zmartwychwstał! Łzy już ani nie są potrzebne, ani nie mają sensu, ani już nawet nie powinny płynąć! On je otarł. Jest tylko nadzieja, wielka nadzieja, już tylko nadzieja! Utrzymuje się ona w świecie od dwóch tysięcy lat i od tysiąca lat utrzymuje się w naszej Ojczyźnie. Utrzymuje się w nas. Utrzymuje się w naszych domach. Utrzymuje się w naszych rodzinach. Utrzymuje się w naszym życiu, w naszej świadomości i w naszych zwyczajach. Wokół niej koncentruje się całe nasze życie religijne, cała nasza wiara. Bo czymże byłaby ta wiara, co by znaczyła, gdyby nie ta nadzieja, którą przyniósł Chrystus swym zmartwychwstaniem? Nie miałyby żadnego sensu, tak jak sensu nie miałyby nasze życie – bo sensu pozbawiona byłaby nasza śmierć.

Ale Chrystus zmartwychwstał. Nasza wiara nie jest zatem abstrakcyjnym pojęciem. Ma swój realny i konkretny punkt odniesienia w życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Chrześcijaństwo to nie tyle doktryna, ile przede

wszystkim „wydarzenie”, czy raczej Osoba. To On, Nauczyciel z Nazaretu, Syn Boży, Zbawiciel jest sercem wiary chrześcijańskiej; On, który umarł tylko raz i zmartwychwstał raz na zawsze, aby więcej nie umierać, On, którego zmartwychwstanie trwa bezustannie, przekraczając czas i przestrzeń dzięki mocy Ducha Świętego działającego w Kościele – „powszechnym sakramencie zbawienia” (KK 48).

Drogi naszego życia będą między zmartwychwstaniem Jezusa i Jego powtórny przyjściem, czyli Paruzją. Idziemy przez to życie w świetle wiary, opierając się na świadectwach tych, którzy widzieli Zmartwychwstałego. Ale musimy przyjść do grobu, aby usłyszeć orędzie o Zmartwychwstałym. Ten pusty grób otwiera bezkresne drogi poszukiwania Żyjącego. W nieobecności Chrystusa trzeba odkryć nowy sposób Jego obecności, już nie ziemskiej, lecz wiecznej, i nowy sposób kontaktowania się z Nim.

Droga do naturalnego kontaktu z Jezusem – od poczynających kart Pisma Świętego do wiary nadprzyrodzonej – wiedzie przez wysiłek człowieka i współpracę z łaską Boga – Boga – Stworzyciela i Odkupiciela, Boga życia wiecznego, Boga żywych, a nie umarłych. Zmartwychwstanie Jezusa to podstawa naszej nadziei. Zmartwychwstanie jest wiosną Kościoła, świętem radości, zwycięstwa i życia Chrystusa i wierzących. To jest nasza droga.

Chrystus zmartwychwstał w określonym momencie naszych dziejów, ale wciąż pragnie powstawać z martwych w życiu jednostek i ludów. To powstawanie z martwych wymaga współdziałania człowieka z Bogiem, zawsze jednak ujawnia się w nim tamto życie, które przed tylu wiekami w wielkanocny poranek pokonało raz na zawsze otchłań grobu. Wszędzie tam, gdzie serce, które przezwyciężając egoizm, przemoc, nienawiść pochyła się z miłością ku temu, kto jest w potrzebie, wszędzie daje udział w swym zmartwychwstaniu. Wszędzie tam, gdzie umiera człowiek, który przeszedł przez życie, wierząc, miłując i cierpiąc, wszędzie tam

zmarłychwstanie Chrystusa świętuje swe ostateczne zwycięstwo.

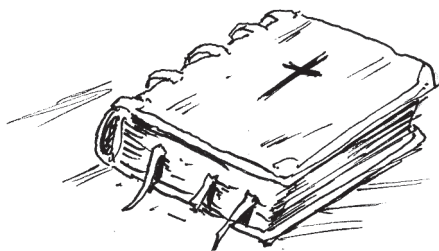
Konstruktorzy śmierci Syna Człowieczego postawili straż przy grobie i zapieczętowali kamień. Często i dzisiaj moiżni tego świata, chcący uchodzić za jego budowniczych, pragną wyrugować z dalszych jego dziejów Tego, który swoje życie oddał za nasze zbawienie, i usiłują położyć kamień ostateczny na Jego grobie. Ale kamień po wsze czasy będzie odwalony i po wsze czasy, będąc świadkiem śmierci, będzie świadkiem Zmartwychwstania: „Prawica Pańska moc okazała”. Dobry Pasterz uniósł się, wstał, ogarnął wzrokiem swe stado i dalej mu przewodzi.

Z dumą, radością i nadzieją możemy więc powtarzać za Psalmistą: „Pan jest moim pasterzem, nie braknie mi niczego (...) Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną” (Ps 23, 1.4). „Ten który – jak mówił papież Benedykt XVI – zna drogę, która wiedzie przez dolinę śmierci. Ten, który nawet na drodze całkowitej samotności, na której nikt nie może mi towarzyszyć, idzie ze mną i prowadzi mnie, abym ją pokonał. On sam przeszedł tę drogę, zszedł do królestwa śmierci, a zwyciężywszy śmierć, powrócił stamtąd, aby teraz towarzyszyć nam i by dać nam pewność, że razem z Nim można tę drogę odnaleźć. Świadomość, że istnieje Ten, kto również w śmierci mi towarzyszy i którego «kij i laska dodają mi pociechy», tak że «zła się nie ulękne», stała się nową nadzieją wschodzącą w życiu wierzących”⁸⁹; nową, wielką nadzieją, bo przecież: „Chrystus zmartwychwstan jest, nam na przykład dan jest, iż mamy zmartwych powstać, z Panem Bogiem królować. Alleluja!”

⁸⁹ Benedykt XVI, *Spe salvi*, nr 4.



ZASADY





PRAWDA

Kryzys współczesnego świata i człowieka widoczny jest na wielu płaszczyznach. Przede wszystkim przejawia się w kwestionowaniu podstawowych wartości i zasad, czego wyrazem jest m.in. tak modny w ostatnich dekadach, zapoczątkowany w naukach humanistycznych przez francuskiego teoretyka literatury i filozofa Jacquesa Derridę, dekonstrukcjonizm (zwany też dekonstruktywizmem), polegający na rozkładaniu wszelkich „tekstów” („narracji”) czy systemów, a także rzeczywistości, na coraz to mniejsze pierwiastki, co prowadzi do całkowitego podważenia zawartego w nich sensu, a tym samym do wniosku, że ani tekstów, ani rzeczywistości nie można poddać jakimkolwiek stałym i obiektywnym opisom czy interpretacjom.

Konsekwencją tego jest negacja dotychczasowej wiedzy i jej aparatu metodologicznego, „przewartościowanie wszystkich wartości” oraz podważenie racji bytu niektórych gałęzi filozofii czy literaturoznawstwa, dotychczasowego sposobu funkcjonowania kultury i religii. W wielu skrajnych propozycjach tego nurtu kulturowego nie ma już miejsca na obiektywną prawdę, wartości moralne, ideowe czy religijne, a racjonalizm zastępuje sceptycyzm. Co więcej, zwolennicy tego paradygmatu zapowiadają w życiu społecznym odejście od tradycyjnych symboli, kryteriów etycznych i wzorców zachowań na rzecz kulturowego pluralizmu, społecznej i aksjologicznej dyferencjacji i indywidualnego subiektywizmu.

Niebezpieczeństwo płynące z takiego redukcjonistycznego, i w gruncie rzeczy nihilistycznego podejścia do wszelkich wartości, kultury, sztuki i religii dostrzegł Jan Paweł II. Pisał on, że doprowadziło to do „powstania różnych form agnostycyzmu i relatywizmu, które sprawiły, że poszukiwania filozoficzne ugrzęzły na ruchomych piaskach powszechnego sceptycyzmu. Doszły więc do głosu różne doktryny próbujące podważyć wartość nawet tych prawd,

o których pewności człowiek był przekonany. Uprawniona wielość stanowisk ustąpiła miejsca bezkrytycznemu pluralizmowi, opartemu na założeniu, że wszystkie opinie mają równą wartość: jest to jeden z najbardziej rozpowszechnionych przejawów braku wiary w istnienie prawdy, obserwowanego we współczesnym świecie⁹⁰.

Ten negowany przez Ojca Świętego „pluralizm”, przyjmowany z otwartymi ramionami przez wiele opiniotwórczych środowisk na świecie, prowadzi do rozmontowywania podstawowych zasad i wartości, które zawsze stanowiły fundament życia społecznego, a ostatecznie zmierza do całkowitego podważenia obiektywnej prawdy. Według Ojca Świętego stanowi to poważne zagrożenie epistemologiczne, ale także aksjologiczne. W encyklice *Fides et ratio* stwierdza on, że „w wyniku tego ukształtowała się w ludziach współczesnych postawa ogólnego braku zaufania do wielkich zdolności poznawczych człowieka. Pod wpływem fałszywej skromności człowiek zadowala się prawdami częściowymi i tymczasowymi i nie próbuje już stawiać zasadniczych pytań o sens i najgłębszy fundament ludzkiego życia osobowego i społecznego. Można powiedzieć, że stracił nadzieję na uzyskanie od filozofii ostatecznych odpowiedzi na pytania”⁹¹.

W tej sytuacji zadowala się prawdami częściowymi, nie próbuje przeciwstawić im prawdy w ogóle, prawdy całościowej, obiektywnej, podważa, a nawet neguje jej istnienie czy możliwość jej znalezienia, a gdy staje wobec takiej możliwości, pozostaje bierny, jak w wierszu Leopolda Staffa:

*Jam jest prawda, co w mroku najgłębszym się
chowa.*

Niechaj odwieczna wasza modlitwa się ziści.

Jam jest, która zagadki nić z prześli swej snowa.

(...)

O pójdźcie, co mnie, prawdę, kochacie jedynie,

⁹⁰ Jan Paweł II, *Encyklika „Fides et ratio”*, Watykan 1998, nr 5.

⁹¹ Tamże.

*Nie pragnący nic nadto, bym była wam panią!
Wstąpcie w mą bezkorzystną, przeczystą
świątynię!*

I odeszła w mrok... Ale nikt nie poszedł za nią.

(Prawda – Klęczący i zapartej labiryntu bramy...)

Jeżeli nie podąży się za prawdą, jeżeli jest ona podważana, podawana w wątpliwość czy negowana, to logicznym następstwem tego musi być odrzucenie podstawowej prawdy o istnieniu Boga. I to jest największe nieszczęście współczesnego człowieka. Miała rację Simone Weil, gdy pisała, że „pomiędzy prawdą a nieszczęściem istnieje jakiś naturalny związek, ponieważ jedna i druga stają przed nami jakby zanosząc niemą prośbę, na wieki skazane, aby w naszej obecności brakło im głosu”⁹². Człowiek, który został stworzony „na obraz i podobieństwo Boże”, uznaje, że sam może być dla siebie „bogiem” i przyjmuje to jako największe objawienie, nie zdając sobie sprawy, że wyzbywa się wszelkiej nadziei. Brnie w negację Boga, tworzy ateizm jako program, uznając go za prawdziwą formę emancypacji i wyzwolenia, a wiarę w Boga utożsamiając z alienacją. Odwołując się do pokrętnie rozumianej wolności, chce decydować o dobru i złu, dąży do uwolnienia się od wszelkiej duchowej zależności i domaga się tego rodzaju emancypacji nie tylko dla siebie, lecz dla całej ludzkości.

Wiara zdecydowanie przeciwstawia się rezygnacji, wpływającej z przekonania, że człowiek nie jest zdolny do poznania prawdy. Ale wiara jest odrzucana. To „człowiek jest miarą rzeczy, jak chciał Protagoras, to on decyduje o tym, co jest dobre, a co złe, co słuszne, a co nie słuszne, co prawdziwe, a co fałszywe. Prawda jednak nie objawia się w sądach, orzekaniu. Prawda objawia się w miłości. Nigdy więc nie jest naszą własnością, naszym dziełem, nie można

⁹² S. Weil, *Myśli*, dz. cyt., s. 100.

jej bowiem wytworzyć, podobnie jak nie można wytworzyć miłości”. Prawda – pisała Simone Weil – „nie jest przedmiotem. (...) Prawda jest zawsze prawdą o czymś. Prawda jest odbłaskiem rzeczywistości. Pragnąc kontaktu z rzeczywistością to kochać”⁹³. Tak rozumianą prawdę można tylko przyjąć, a przyjąwszy przekazać dalej jako dar. Tej prawdy właśnie potrzebujemy, tej prawdy „pożądamy, aby kochać w prawdzie” – mówi dalej Weil⁹⁴. I tej sile „prawdy w miłości” ufamy jako chrześcijanie. O niej świadczymy. Naszym obowiązkiem jest nieść ją dalej. „Nie wystarczy [bowiem] prawdę tylko znać, trzeba ją głosić, bronić i pierśią własną zastawiać” – jak pisał Cyprian Kamil Norwid.

Jan Paweł II zauważył, że nawet wtedy, gdy człowiek unika prawdy, ucieka od niej, ona i tak wywiera wpływ na jego życie. Życia bowiem nie można oprzeć na czymś nieokreślonym, na niepewności, a tym bardziej na fałszu czy kłamstwie, gdyż takiemu życiu nieustannie towarzyszyłyby lęk i niepokój. Dlatego też człowiek świadomie czy nieświadomie, wybierając proste czy pokrętne drogi, z otwartymi czy zamkniętymi oczami zawsze jednak poszukuje prawdy, nawet gdy błądzi. Można go zatem określić jako istotę, która szuka prawdy. Określenie to bliskie byłoby temu, którego użył Gabriel Marcel w swej książce *Homo viator* – co znaczy „człowiek wędrujący, poszukujący”. Według tego myśliciela wszyscy wędrujemy w stronę nadziei, a w wędrowce tej przeniknięci jesteśmy „duchem prawdy”. Duch ten, „duch prawdy, niewątpliwie pokrewny natchnieniu, może nas przenikać na kształt wiązki światła. (...) Jedynie od nas zależy przychyłne ustosunkowanie się do łaski, którą możemy uzyskać”⁹⁵.

A łaskę tę niewątpliwie uzyskać możemy. Przyjęcie zaś tej łaski otwiera nas na najwyższe wartości, jak bowiem utrzymuje Marcel „prawda i wartość nie dają się realnie od-

⁹³ Tamże, s. 105.

⁹⁴ Tamże.

⁹⁵ G. Marcel, *Homo viator. Wstęp do metafizyki nadziei*, przeł. P. Lubicz, Warszawa 1984, s. 145.

dzielić”⁹⁶. Ma to daleko idące konsekwencje, albowiem „właściwością wartości jest w istocie rzeczy spełnianie pewnej funkcji w stosunku do życia i jak gdyby wyciśnięcie na nim swego piętna”, co możliwe jest przez poświęcenie go „służbie dla jakiejś sprawy, w której wyższa wartość w c h o d z i w g r ę”, ale – i to jest bardzo ważne – „tym samym moje życie otrzymuje od tej wartości uświęcenie wyłączające je spod zmiennych kolei historii”⁹⁷.

Ostatecznie uświęceniem tym może się stać poznanie, wejście na drogę Chrystusa, który mówił: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem” (J 14, 6) i obiecał: „poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 32). Pragnienie poznania wpisane jest w kondycję ludzką, człowiek przeniknięty jest nim na wskroś. Arystoteles mówi, że „wszyscy ludzie z natury dążą do poznania”. To dążenie do poznania prawdy wyraza z zakorzenionego w głębi człowieka pragnienia uzyskania jasnych odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania, które rodzą niepokój, jaki wpisany jest w ludzkie serce, czy też poczucie wyobcowania, które trwa tak długo, jak długo człowiek nie wejdzie na drogę wiodącą go do jasno określonego celu, co pięknie wyraził św. Augustyn, pisząc: „Dla siebie Boże nas stworzyłeś i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie”. Ale nasze serca mogą spocząć w Bogu. Prowadzi je ów Marcelowski „duch prawdy”, możliwe, że pokrewny albo tożsamy z owym „opiekuńczym duchem” Sokratesa, *daimonionem*, wiodącym tego mędrca przez meandry ludzkich myśli i przekonań ku poznaniu, które – jak nauczał Jan Paweł II – jest zagwarantowane przez Boga, Bóg bowiem „pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy” (1 Tm 2, 4).

Poznając prawdę, człowiek staje bardzo blisko Boga, tak blisko, jak może nigdy, za wyjątkiem chwil ekstazy i doznań mistycznych. Pożąda bowiem „prawdy – tu wracamy

⁹⁶ Tamże, s. 146.

⁹⁷ Tamże.

do Simone Weil – po to, aby kochać w prawdzie”, a to pragnienie prawdy, pragnienie miłości w prawdzie, wychodzące naprzeciw pragnieniu Boga, „jest tak głęboko zakorzenione w sercu człowieka, że gdyby musiał się go wyrzec, prowadziłoby to do kryzysu egzystencjalnego. Wystarczy przecież przyrzeć się codziennemu życiu, by dostrzec, że każdy z nas zadaje sobie nieustannie pewne fundamentalne pytania, a zarazem nosi w sercu przynajmniej zarys odpowiedzi na nie”⁹⁸.

Prawda nie jest zakryta przed człowiekiem i nie oślepia, jak w greckim micie, tego, kto ją ujrzał. Została odsłonięta, objawiona w Jezusie Chrystusie i nie jest sprzeczna z prawdami, do jakich można dojść na drodze refleksji filozoficznej. Jest dla wszystkich i dla wszystkich jest widoczna. „Byłoby za wiele ciemności, gdyby prawda nie miała cech widocznych; wspaniałą jej cechą jest, że zawsze przechowywała się w Kościele i w widzialnym zgromadzeniu ludzi” – pisał Blaise Pascal⁹⁹. „Obalając bariery rasowe, społeczne i odnoszące się do płci, chrześcijaństwo od początku głosiło równość wszystkich ludzi wobec Boga. Pierwsza konsekwencja takiej wizji odnosiła się do zagadnienia prawdy. Poszukiwanie prawdy straciło całkowicie charakter elitarny, jaki miało u starożytnych: ponieważ dostęp do prawdy jest dobrem, które pozwala dotrzeć do Boga, wszyscy muszą mieć możliwość przejścia tej drogi. Nadal istnieje wiele dróg wiodących do prawdy; ponieważ jednak prawda chrześcijańska ma wartość zbawczą, można iść każdą z tych dróg pod warunkiem, że doprowadzi ona do ostatecznego celu, to znaczy do objawienia Jezusa Chrystusa”¹⁰⁰.

Człowiek, który poznał prawdę, nie poznał jej wyłącznie dla siebie. Prawda ma charakter wspólnotowy i zarazem wspólnototwórczy. Stąd też Jan Paweł II wiele uwagi poświęca roli prawdy w życiu społecznym i podkreśla, że

⁹⁸ Jan Paweł II, *Fides et ratio*, nr 29.

⁹⁹ B. Pascal, *Myśli*, przeł. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1977, s. 329.

¹⁰⁰ Jan Paweł II, *Fides et ratio*, nr 38.

moralność – oparta na prawdzie i w niej otwierająca się na autentyczną wolność – odgrywa niepowtarzalną, niezastąpioną i niezwykle doniosłą rolę, służąc nie tylko pojedynczej osobie i jej wzrastaniu ku dobru, ale także społeczeństwu i jego prawdziwemu rozwojowi. Prawda w stosunku do innych ludzi nie polega tylko na mówieniu prawdy, a unikaniu kłamstwa, lecz przejawia się w wewnętrznej otwartości wobec drugiego człowieka i jego potrzeb, a także w wierności w stosunku do niego. Tylko prawda głoszona i przyjmowana w duchu miłości do ludzi może zagwarantować prawdziwy dialog¹⁰¹, dzięki któremu możliwe jest autentyczne uczestnictwo w życiu społecznym, w budowaniu świata, w tworzeniu kultury, w wychowywaniu.

Jan Paweł II podkreśla, że człowiek nie jest „posiadaczem” prawdy, lecz zawsze znajduje się na drodze poszukiwania, którego ludzkimi siłami nie można zakończyć: poszukuje prawdy oraz poszukuje osoby, której mógłby zawierzyć¹⁰². Z pomocą przychodzi mu wiara chrześcijańska, która wprowadza go w porządek łaski. „Doprowadzenie do całej prawdy” – mówi Papież – dokonuje się w wierze i poprzez wiarę, jest dziełem Ducha Prawdy i owocem Jego działania w człowieku. Duch Święty ma być tutaj najwyższym przewodnikiem istoty ludzkiej; światłem ducha ludzkiego.

Nakłada to na człowieka wielki obowiązek. Obowiązkiem tym jest szukanie prawdy we własnym życiu, zgodnie z własnym sumieniem. W jakiegokolwiek sytuacji przychodzimy na świat i gdziekolwiek się wychowujemy, zawsze i wszędzie musimy odpowiedzieć sobie na pytanie o sens swego życia i musimy opowiedzieć się za wartościami, o które w życiu będziemy zabiegać i którym będziemy służyć. Idąc za głosem sumienia, czyli postępując zgodnie z przekonaniem o swej moralnej powinności, co nieraz wymaga wyrzeczeń i ofiar, człowiek zawsze znajdzie się na drodze do prawdy, a tym sa-

¹⁰¹ Jan Paweł II, *Veritatis splendor*, nr 95.

¹⁰² Jan Paweł II, *Fides et ratio*, nr 33.

mym do Boga, choćby Go tak nie nazywał. Postępując zaś wbrew sumieniu, czyli wbrew przekonaniu o swej moralnej powinności, wchodząc w kompromisy z sumieniem, zawsze oddala się od prawdy i zagłusza swoje sumienie. Przestaje jasno widzieć swoją moralną powinność i wbrew prawdzie usprawiedliwia przed sobą i innymi swoje złe postępowanie, uzasadniając je jako właściwe. To wewnętrzne zakłamanie jest bardzo groźnym złem moralnym, niejako poddaniem się Szatanowi, ojcu kłamstwa (por. J 8, 44).

Przy posługiwaniu się mową w kontaktach między ludźmi obowiązuje zatem prawdomówność, która polega na zgodności między słowem a przekonaniem mówiącego. Prawdomówność jako cnota uzdalnia człowieka do mówienia prawdy, należy jednak uważać, gdzie, kiedy i jak tę prawdę mówić. Implikuje to w człowieku wskazanie, że nie ma obowiązku zawsze wyrażać na zewnątrz tego, co ma się w duszy. Co, kiedy i jak mówić, określają miłość i sprawiedliwość, a w konkretnych wypadkach – roztropność. Norma natomiast negatywna jest wyraźna i ściśle określona: nigdy nie godzi się kłamać.

Prawda obowiązuje nie tylko w dziedzinie wypowiedzenia słów, ale w całym zachowaniu się człowieka, w jego zewnętrznym sposobie bycia. Chodzi o szczerłość w działaniu. Trzeba ją postawić wśród zalet cieszących się obecnie dużym uznaniem, szczególnie wśród ludzi młodych, niekiedy wprost namiętnie zwalczających wszelkie przejawy zakłamania. Przeciwko szczerości wykracza się obłudą (dwulicowością, fałszywością, udawaniem, kłamstwem w czynie). Rzeczywista obłuda polega na udawaniu na zewnątrz tego, czego się w duszy nie posiada i w co się nie wierzy. Ułatwia ona kontakty międzyludzkie, zjednuje przychyłność, toruje ścieżki, często więc świadomie wybierana jest przez ludzi, pragnących jak najszybciej uzyskać doraźne korzyści. Prawda natomiast bywa trudna, wymaga odwagi, niejednokrotnie ofiary, ale ona uwzniośla życie człowieka, albowiem poprzez ofiarę złożoną w imieniu prawdy stajemy obok Chrystusa.

„Dajmy się zatem prowadzić prawdzie (...), która nam pokazuje, że najlepszym sposobem życia jest uprawianie sprawiedliwości i innych cnót – gdy żyjemy, i gdy umieramy. Idźmy ku temu i innym do tego zachęcajmy” – tymi słowy Platon zakończył jeden ze swych dialogów¹⁰³.

¹⁰³ Platon, *Gorgias, Menon*, przeł. P. Siwek, Warszawa 1991, s. 132.



CZŁOWIEK POTRZEBUJE WIARY

We współczesnym świecie chaosu i pomieszania, w którym coraz bardziej odczuwalny jest brak wyrazistych punktów odniesienia zarówno w sferze wiary, jak i rozumu, potrzebna jest lampa, która oświecili i pomoże zrozumieć, a niekiedy też i zdemaskować zasady niebezpiecznych ideologii i doktryn zaszczepianych w różnych miejscach globu, i w której świetle człowiek będzie mógł dojrzeć siebie w całej swojej prawdzie. Tą lampą jest wiara. Tylko w jej blasku można odróżnić dobro od zła, prawdę od kłamstwa, nadzieję od złudzeń i tylko w jej blasku można odnaleźć sens życia i drogę wiodącą do zbawienia. Blask ten jednak słabo jest dzisiaj widzialny na horyzoncie nieba, czasem ledwo dostrzegalny, można go wszakże dojrzeć – pod warunkiem, że jest się zwróconym w jego stronę, że patrzy się w niebo.

Stąd tak wielu ludzi wałęsa się bez celu po wioskach i miastach z nisko spuszczonejmi głowami, stąd tak wielu wpatrzonych tylko w czubki swoich butów, w asfalt, bruk, pył, kałuże i błoto. Są oni jak monady – żeby się uciec do koncepcji Gottfieda Wilhelma Leibniza – duchowe byty niemające okien, niemające więc kontaktu ani z sobą, ani z wszechświatem, ani z Bogiem, jednak żyjące w określonej hierarchii i doskonałej koordynacji, co – według filozofa – stanowi dowód na istnienie Boga, będącego monadą szczególną i ostatecznym celem istnienia wszystkich monad¹⁰⁴.

Bóg istnieje, jest sensem i celem życia. I jako takiego każdy może Go poznać. To przecież jedna z podstawowych tez katechizmu. Żeby jednak poznać Boga, trzeba się na Niego otworzyć. W zasadzie stanowi to wyłączny warunek, innych już nie ma, Bóg bowiem zawsze jest gotów dać się poznać każdemu człowiekowi, swemu dziecku, i to właśnie On – Bóg uczynił pierwszy krok, właściwie wiele kroków, ku

¹⁰⁴ G. W. Leibniz, *Wyznanie wiary filozofa. Rozprawa metafizyczna. Monadologia. Zasady natury i łaski oraz inne pisma filozoficzne*, Warszawa 1969, pkt 1.

człowiekowi. Człowiek także musi postępować krok po kroku ku Bogu. Nie wolno mu stać w miejscu, nie wolno bezczynnie czekać. Musi iść – jak tysiące innych poszukiwaczy Boga. Musi iść ku Bogu, jeśli chce Go odnaleźć i jeśli chce odnaleźć samego siebie. Musi iść, jak szli święci, jak szli i idą ludzie w różnym wieku i o różnym wykształceniu. Droga do Boga stoi otworem przed każdym. A jest to droga prawdziwej mądrości.

Mądrość to umiejętność patrzenia w mikrokosmos atomów oraz w makrokosmos galaktyk i wyciągania wniosków na podstawie dostrzeżonej w nich absolutnie doskonałej harmonii; ale to także umiejętność patrzenia w siebie – w swoje serce i sumienie. Jeśli ktoś nie zamknie się w zbytnim zadufaniu, jeśli nie otoczy się skorupą moralnej nieprawości, prędzej czy później zobaczy na horyzoncie swojego życia Boga. Potem potrzeba mu tylko nieco odwagi, by pójść za Nim. Gdy w końcu trafi do Niego – a trafi bez wątpienia – powinien swą wiarą dzielić się z innymi; zresztą wiara ta obudzi w nim tak wielką radość, że niemal bezwiednie będzie zapalał jej światło w ludziach, których spotka na swej drodze. I to jest rzeczywistość naszych dni, to trwające wciąż szukanie Boga i odnajdowanie Boga, który zawsze jest bliżej, niż nam się zdaje.

Bóg jest blisko, bardzo blisko, niemniej trzeba do Niego iść. A dróg wiodących do Boga jest wiele. Św. Tomasz z Akwinu wyliczył i opisał pięć takich dróg. Także inni święci i mistycy, jak choćby św. Jan od Krzyża, św. Bonawentura, Mistrz Eckhart czy Tomasz à Kempis, opisywali w swych pismach drogi, którymi doszli do Boga. Zaden z tych opisów nie jest jednak ostateczny, w pełni wyczerpujący i nie ukazuje dróg jedynych, bezwzględnie pewnych. Dróg do Boga jest bowiem tyle, ilu było i jest ludzi na świecie. Ma rację Jacques Maritain, gdy pisze: „W rzeczy samej tyle jest dróg poznania Boga przez człowieka, ile kroków może człowiek postąpić naprzód tu na ziemi, ile ścieżek prowadzi do jego

własnego serca. Wszystkie bowiem nasze podlegające zniszczeniu skarby istnienia i piękna są ze wszystkich stron otoczone przez wielkość i wieczność Tego, Który Jest¹⁰⁵.

Pomimo że dróg jest tak wiele, trudno jest na nie wejść i trudno jest nimi postępować. Wymaga to wyciszenia, skupienia, uwagi oraz modlitwy i trzeba tego pragnąć, musi to stanowić cel. Człowiek współczesny często jednak sam nie wie, czego naprawdę pragnie czy chce, żyje w rozproszeniu, chaosie, jest powierzchowny, chwiejny, niestały w dążeniach i uczuciach. Tymczasem teologiczną treść duchowego wzrostu stanowi głęboka więź przyjaźni z Chrystusem. Jeśli Chrystus pozostaje dla wierzących jedynie teorią, jeśli nie mogą skoncentrować na Nim uwagi, jeśli ich autentycznym pragnieniem nie stanie się spotkanie z Nim, to nie będą mieli siły, by przemieniać życie. Nikt przecież nie kocha suchej teorii, nikt nie jest gotowy oddać za nią życia. Musi się więc spotkać z żywym, realnym Chrystusem, musi się wznieść ponad siebie, ponad swój los ku swemu przeznaczeniu i co dzień przeżywać, co dzień doświadczać, co dzień być świadomym i co dzień po wielokroć powtarzać – jak Juliusz Słowacki „Wierzę”.

*Wierzę w Boga Ojca Wszchemogącego
Ojca naszego
Przez któregom jest duch rodzony,
Twórczością i wolą udarowany,
Abym się objawił światłością.*

*Wierzę w Chrystusa Pana,
Słowo świata całego,
Który wszelką sprawę czyni,
Żywot ku Ojcu prowadzi. (...)*

*Wierzę w Ducha Świętego,
Trzecią Świętej Trójcy osobę,*

¹⁰⁵ J. Maritain, *Pisma filozoficzne*, Kraków 1988, s. 183.

*Nieśmiertelną i wszechmocną, (...)
Przez którą jest napelnion świętością*

(Wierzę)

Człowiek wierzący oczekuje wszystkiego od Chrystusa. Ale Chrystus także oczekuje od człowieka wierzącego – jednak nie wszystkiego. Oczekuje tylko – i aż – miłości, wierności wartościom ewangelicznym. Nasza wiara to nie tylko przyjęcie określonego zbioru prawd dotyczących tajemnic Boga, człowieka i życia wiecznego, to przede wszystkim głęboka osobista relacja z Chrystusem, oparta na miłości. A miłować Chrystusa oznacza zawierzyć Mu całkowicie siebie i swoją przyszłość, zaufać Mu i trwać przy Nim w godzinach prób. Powierając całe swoje życie: wszystkie nasze myśli, słowa i czyny Panu zyskujemy wszystko, czego oczekujemy! W Jego rękach nasze życie nabiera prawdziwego sensu, w Jego rękach wnosimy się ponad siebie, ponad swą grzeszność, ułomność i słabość, ponad swój ludzki los. A jeśli „wnosimy się ponad ludzki los i zarazem akceptujemy go [z wyjątkiem grzechu], wszystko, prawdę mówiąc, pozostaje takie samo – i wszystko jest przemienione. (...) Cóż odtąd znaczy przypadkowość i metafizyczna bezwartościowość, na które skazane jest nasze istnienie, skoro najmniej znaczący z naszych uczynków, jeśli jest ożywiony miłością, ma wieczną wartość” – pisał Maritain¹⁰⁶.

Przypominają się w tym miejscu, już zresztą cytowane, słowa Jana Pawła II z jego pierwszej encykliki *Redemptor hominis*: „Człowiek, który chce zrozumieć siebie do końca – nie wedle jakiś doraźnych, częściowych, czasem powierzchownych, a nawet pozornych kryteriów i miar swojej własnej istoty – musi ze swoim niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią, przybliżyć się do Chrystusa. Musi niejako w Niego wejść z sobą samym, musi sobie «przyswoić», zasymilować całą rzeczywistość Wcielenia i Odkupienia, aby siebie odnaleźć.

¹⁰⁶ Tamże, s. 401.

Jeśli dokona się w człowieku ów dogłębny proces, wówczas owocuje on nie tylko uwielbieniem Boga, ale także głębokim zdumieniem nad sobą samym¹⁰⁷. A słowa Jana Pawła II przypominają słowa Benedykta XVI wypowiedziane na krakowskich Błoniach podczas spotkania z młodymi: „Nie lękajcie się tęsknoty za życiem pełnym, szczęśliwym, udanym. Nie lękajcie się tej tęsknoty! Nie uciekajcie od niej! Niech was nie zniechęca widok domów, które runęły, pragnień, które obumarły. Bóg Stwórca, dając młodemu sercu ogromną tęsknotę za szczęściem, nie opuszcza go w mozolnym budowaniu domu, któremu na imię życie”¹⁰⁸.

„Kto was słucha, Mnie słucha, a kto wami gardzi, Mną gardzi; lecz kto Mną gardzi, gardzi Tym, który Mnie posłał” (Łk 10, 16). Nie są to puste słowa wypowiedziane przez nie wiadomo kogo, są to słowa samego Jezusa. I nie chodzi o słuchanie kogokolwiek, ale o słuchanie Jezusa, i nie chodzi o wypełnianie czegokolwiek, ale o wypełnienie słów Jezusa. Wszystkie pragnienia, tęsknoty, marzenia, ambicje i życiowe plany trzeba oprzeć na Jego woli. To akt naszej wiary. Słusznie stwierdził papież Benedykt XVI: „Akt wiary nie jest jedynie przyjęciem przez rozum prawd objawionych przez Boga, ale nie jest też wyłącznie ufnym poddaniem się działaniu Bożemu. Jest raczej syntezą obydwu tych elementów, ponieważ obejmuje zarówno sferę intelektualną, jak i uczuciową, a więc jawi się jako integralny akt ludzkiej osoby”¹⁰⁹.

Człowiek zostaje usprawiedliwiony w oczach Boga przez wiarę. Sprawiedliwość, która zbawia człowieka, nie płynie z czynów nakazanych przez prawo, ale z wiary, to znaczy z postawy całkowitego otwarcia się i pełnej akceptacji łaski Bożej, która przemienia człowieka i czyni go nowym stworzeniem. „W ten sposób – pisze Ferdinand Krenzer – zdo-

¹⁰⁷ Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 10.

¹⁰⁸ Benedykt XVI, *Budujcie wasze życie na Chrystusie*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 27(2006), nr 6–7(284), s. 33.

¹⁰⁹ Benedykt XVI, *Trwajcie mocni w wierze, nadziei i miłości*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 27(2006), 6–7(284), s. 36.

bywa człowiek mimo wszelkiej zmienności – trwały grunt, mimo rozlicznych nonsensów – punkt oparcia, a w zwątpieniu nową nadzieję. (...) Jednocześnie znajdują wyjaśnienie nasze dążenia, sięgające daleko poza nas. Wiara bierze pod uwagę urzeczywistnienie się sensu, które wybiega daleko poza człowieka, ostatecznie więc Boga”¹¹⁰.

Ale wiara nie wyrывa człowieka ze świata, nie odrywa go od ludzi, nie rzuca w całkowicie niewiadome. Wręcz przeciwnie: mocniej sytuuje go w świecie i nakłada na niego zobowiązanie. Akt wiary, rozpatrywany jako integralna całość, musi się wyrazić w konkretnych postawach i decyzjach. Dzięki temu można przezwyciężyć pozorne przeciwstawienie między wiarą a uczynkami. Wiara głęboka w pełnym tego słowa znaczeniu nie jest czymś abstrakcyjnym, oderwanym od codziennego życia, ale ogarnia wszystkie wymiary osoby, w tym także wszystkie obszary jej życia i wszystkie aspekty jej doświadczenia. Jakże pięknie pisał o tym Friedrich D. E. Schleiermacher: „Religia była ciałem matki, w którego ciemnej świętości wykarmiono moje młode życie i przygotowano do zamkniętego jeszcze przed nim świata, w niej oddychał mój duch, zanim jeszcze odnalazł swe zewnętrzne przedmioty, doświadczenie i wiedzę, ona to pomagała mi, kiedy zaczynałem porządkować wiarę ojców i oczyszczać serce z gruzów świata przodków, ona pozostała mi, kiedy Boga i nieśmiertelność straciłem z wątpiącego oka, ona wprowadziła mnie w czynne życie, ona nauczyła mnie wraz z moimi cnotami i błędami zachować świętość w moim niepodzielnym istnieniu, tylko dzięki niej wreszcie poznałem, czym jest przyjaźń i miłość”¹¹¹.

Odwołując się do homilii Benedykta XVI w Krakowie (28 maja 2006 roku), możemy powiedzieć, że „Wiara jest osobistym aktem człowieka, który realizuje się w dwóch wymiarach. Wierzyć to przede wszystkim znaczy uznać za

¹¹⁰ F. Krenzer, *Taka jest nasza wiara*, Paryż, b.r.w., s. 25.

¹¹¹ F. D. E. Schleiermacher, *Mowy o religii*, Kraków 1995, s. 54.

prawdę to, czego do końca nie ogarnia nasz umysł. Trzeba przyjąć to, co Bóg nam objawia o sobie, o nas samych i o otaczającej nas rzeczywistości, także tej niewidzialnej, niepojętej, niewyobrażalnej¹¹².

Powiedzmy zatem Chrystusowi tak: Panie, chcę wierzyć, chcę do Ciebie zmierzać, chcę się z Tobą związać wiekiustą przyjaźnią, chcę trwać z Tobą i w Tobie; „nie chcę w życiu moim robić nic przeciw Tobie, bo Ty wiesz najlepiej, co jest najlepsze dla mnie. Tylko Ty masz słowa życia wiecznego” (por. J 6, 68). Wbrew szerzącym się wkoło tendencjom negującym naukę Jezusa trzeba przyjąć wobec Niego postawę pełnego zaufania. Wiara, by mogła się umocnić, musi przejść próby, by mogła być stała i żywa, musi ciągle wzrastać. Jeśli taka będzie, pomoże nam lepiej żyć tu, na ziemi, odczuwać radość, której źródłem jest sam Bóg, i dostąpić zbawienia. Ludzie, którzy nie wierzą, pozbawiają się źródła prawdziwej radości. Ponieważ jednak jej pożądają, usiłują ją znaleźć w próżnych namiastkach, surogatach, ale nie mogą w nich zyskać, pozostają więc z poczuciem niedosytu, który nierzadko próbują zaspokoić różnorodnymi środkami wspomagającymi, a gdy to nie wystarczy – zdarza się, że rezygnują z życia. Wiara wypełnia ludzkie serce prawdziwą radością, której nie mogą zmącić doczesne trudności, której nie może nikt odebrać i która przenoszona jest z tego życia w wieczność. Radość zawsze jest oznaką zdrowej pobożności i trwa aż po grób, aż po zmartwychwstanie. Słusznie się więc mówi, że smutny święty to żaden święty.

Wiara wymaga wewnętrznego wysiłku serca, woli i rozumu. Nakłada na człowieka radosny obowiązek trwania przy Bogu poprzez modlitwę, a w tym przede wszystkim – przez życie sakramentalne. W centrum tego życia musi się znajdować Eucharystia. Do niej prowadzi wiara, w niej też znajduje siłę i oparcie. A od Eucharystii już tak blisko do konfesjonału, wszak wiara w Chrystusa eucharystycznego

¹¹² Benedykt XVI, *Trwajcie mocni w wierze, nadziei i miłości*, dz. cyt., s. 36.

wiąże się nierozzerwalnie z wiarą w Boga przebaczącego. Ale wiara to nie tylko przeżywanie, kontemplacja, modlitwa i przestrzeganie przykazań; nakłada też ona na człowieka obowiązek permanentnego pogłębiania znajomości Boga i Jego prawa, intelektualnego trudu zgłębiania prawd objawionych. Wymaga więc dużej dozy rozumu. Celowo napisano: „dużej dozy rozumu”, a nie „rozumu”. Rozum nieokielznany, samowładny może bowiem sprowadzić człowieka na manowce, musi zatem być podtrzymywany przez wiarę. Cytowany powyżej został jeden z naszych wieszczów, głoszących prawdy, wskazujących drogi; zacytujmy więc jeszcze drugiego – Adama Mickiewicza, który genialnie ukazał stosunek rozumu do wiary i wiary do rozumu:

*Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni. (...)*

*Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi
I spadasz z gradem – tyś zawsze na ziemi!*

*A promień Wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
i twe pogodne zwierciadła oświeca;
Ach! ty bez Wiary byłbyś niewidomy!*

(Rozum i wiara)

Prawda ta jest niepodważalna i na podstawie tej prawdy należy ustanawiać relacje między rozumem, niezbędnym, by pogłębiać wiarę, i wiarą. A układając te relacje, trzeba ponawiać w sobie wezwanie zawarte w liście apostoelskim *Novo millennio ineunte* Jana Pawła II: „Wypłyn na głębie!” – *Duc in altum*. Wezwanie to skierował Jezus do Piotra, a jego odpowiedź na nie określała miarę jego wiary, miłości i oddania;

wezwanie to skierował także do nas i oczekuje odpowiedzi pełnej, wyrażającej całkowite oddanie się w Jego ręce. *Duc in altum* – wypłyn tam, gdzie morze jest głębsze, gdzie tajemnica Bożej miłości otwiera przed tobą nieograniczone przestrzenie. Życia nie starczy, aby je przemierzyć.

Podczas swej pierwszej pielgrzymki do Polski Jan Paweł II powiedział na Błoniach krakowskich: „Musicie być mocni. Musicie być mocni tą mocą, którą daje wiara! Musicie być mocni mocą wiary! Musicie być wierni! Dziś tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiegokolwiek epoce dziejów. (...) Musicie być mocni, mocą tej wiary (...) świadomej, dojrzałej, odpowiedzialnej, która pomaga nam podejmować ów wielki dialog z człowiekiem i światem na naszym etapie dziejów – dialog z człowiekiem i światem, zakorzeniony w dialogu z Bogiem samym: z Ojcem przez Syna w Duchu Święty; dialog zbawienia”¹¹³.

Kończąc to przemówienie, Ojciec Święty z mocą wołał: „I dlatego – zanim stąd odejdę, proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię «Polska», raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością – taką jaką zaszczepia w nas Chrystus na chrzcie świętym; abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się i nie zniechęcili; abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy. Proszę was, abyście mieli ufność nawet wbrew każdej swojej słabości, abyście szukali zawsze duchowej mocy u tego, u Którego tyle pokoleń ojców naszych i matek ją znajdowało; abyście od Niego nigdy nie odstąpili, abyście nigdy nie utracili tej wolności ducha, do której On «wyzwala» człowieka, abyście nigdy nie wzgardzili tą Miłością, która jest «największa» która się wyraziła przez Krzyż, a bez której życie ludzkie nie ma ani korzenia, ani sensu”¹¹⁴.

¹¹³ Jan Paweł II, *Światło Roku Jubileuszowego na sakrament bierzmowania* [w:] *Jan Paweł II, Nauczanie papieskie*, Poznań 1990, II, 1(1979), s. 713.

¹¹⁴ Tamże.



BRAK WIARY

Człowiek z natury jest istotą religijną. Bardzo ważna w jego życiu jest wiara w Boga. Do Niego tęsknił, z Nim wiązał swoje doczesne oraz przyszłe istnienie i do Niego zmierzał. To jednak na pewnym etapie dziejów zaczęło się zmieniać. Filozofowie, a w ślad za nimi różnej maści doktrynerzy jęli podważać sens wiary i negować istnienie Boga.

Świat Boga i człowieka zaczęto przeobrażać w świat człowieka bez Boga. Materializm najpierw pojawił się jako koncepcja filozoficzna, później stał się doktryną, wreszcie dogmatem i silnie oddziaływał na społeczności w XIX wieku, a największe triumfy święcił w wieku XX. Z czasem zrozumiano jednak, że – jak to zwięźle ujął Paul Ricoeur – „«Materializm» jest prawdą świata odartego z prawdy. Fałszywy jako dogmatyzm (najpierw była materia, później przyszło życie, później człowiek, wreszcie nadejdzie komunista), materializm ów jest prawdziwy jako fenomenologia nie-prawdy”¹¹⁵. Komunista nadszedł, ale spalił się sam w sobie, pozostawił jednak ludzkości w spadku teorię alienacji, tj. osamotnienia człowieka, obrócenia tego, co człowiecze, w to, co nieczłowiecze, a więc odczłowieczenia i – chociaż występował przeciwko posiadaniu – wszczepił w umysł pragnienie posiadania.

Ostatecznie materializm filozoficzny, owa utopia społeczna przybrała kształt całkiem realny – postać materializmu praktycznego. Spośród wszystkich czynników wpływających na osłabienie, czy nawet zanik wiary we współczesnym świecie, ten bez wątpienia oddziałuje najsilniej. Nijakość duchowa człowieka rodzi w nim głęboką pustkę, a ta wywołuje przemożne pragnienie posiadania i nieograniczonego używania w celu zdobywania doraźnego szczęścia, jak gdyby mogło to zapełnić tę pustkę. W pogoni za ułudami szczęścia i rzeczami materialnymi człowiek zatracił świadomość, że dążąc do posiadania i identyfikując się z nim, traci

¹¹⁵ P. Ricoeur, *Podług nadziei*, Warszawa 1991, s. 148.

autonomię, staje się własnością swego posiadania, a zatem niczym innym jak rzeczą. A to „nieszczęście zatwardziałych serc – jeszcze raz przywołajmy Ricoeura – staje się natychmiast przeszkodą w porozumieniu: «moje» wyklucza osoby trzecie, i tak oto ludzie wyrzekają się siebie nawzajem, przywłaszczając sobie rzeczy. Stąd bierze początek nasza wizja istnień ludzkich wzajemnie od siebie odseparowanych”¹¹⁶, czyli owa alienacja – jak to ujął Marks. Pogoń za rzeczami materialnymi, niedająca możliwości zastanowienia się nad tym, co jest dobre, a co złe, sprawia, iż człowiek nie tylko wyrzeka się innych, ale zatracą też poczucie swego prawdziwego przeznaczenia, zapomina o transcendentnym wymiarze życia, odtrąca Boga, a wraz Nim tę niepodważalną – zdawać by się mogło prawdę – że posiadanie rodzi „święty obrządek pracy: obracania tego posiadania na potrzeby istnienia” – jak pisał René Habachi¹¹⁷.

Współczesne społeczeństwo w pewnej mierze jest nastawione hedonistycznie i konsumpcyjnie, próbuje eliminować z życia wszelkie przejawy wymiaru duchowego, co prowadzi do zagubienia duchowego. Ofiarą tego zagubienia stała się w znacznej mierze młodzież, znajdująca się w neuralgicznej fazie formowania swej osobowości, a pozbawiana ideałów, za którymi mogłaby podążać. Bo czyż obraz człowieka, jaki wyłania się z mediów, pozwala młodzieży odnaleźć drogę do pełni człowieczeństwa, a więc do Boga? Czyż pozwala jej uznać wiarę za wartość, czyż pozwala jej znaleźć do niej drogę?

Droga do wiary nie zawsze jest prosta, bywa kręta, zawila, pełna pułapek – i nie można do niej dojść samemu. Potrzebna jest pomoc innych, ale przede wszystkim pomoc samego Boga. Wiara jest bowiem łaską, jest darem Stwórcy. Są ludzie, na których spływa ona bez większego wysiłku z ich strony, ale większość musi się o tę łaskę modlić. Bez wzglę-

¹¹⁶ Tamże, s. 147.

¹¹⁷ R. Habachi, *U źródeł człowieczeństwa*, Warszawa 1969, s. 153.

du wszak na to, czy wiara jest wymodlona, wyblągana czy darmo otrzymana, trzeba ją pielęgnować i rozwijać w sobie. Wymaga to nieustannego kontaktu z Bogiem poprzez życie sakramentalne, przez modlitwę. Zaniechanie tego prowadzi do osłabienia wiary, nawet do jej zaniku, w duszy bowiem zamazuje się obraz Boga, miast stawać się coraz bardziej wyrazisty. A „jest pewne – pisał John Henry Newman – iż od każdego z nas z osobna i od warunków każdego z nas zależy, czy ten obraz staje się coraz jaśniejszy i silniejszy, czy przeciwnie, jest zaćmiony, zniekształcony lub zatarty. Jest więcęj niż prawdopodobne, że w razie zaniedbania (...) światło duszy gaśnie i zamiera”¹¹⁸.

Żeby to światło podtrzymywać, oprócz modlitwy i praktyk religijnych, konieczny jest także nieustanny wysiłek intelektualny, który umożliwia pełniejsze poznanie Boga i wszystkich spraw związanych z religią. Bez tego wysiłku można ugrzęznąć w ruchomych piaskach szarej codzienności, a z upływem czasu zupełnie się wypalić. Brak odpowiedniej wiedzy powoduje, że człowiek łatwo ulega zewnętrznym wpływom, ztraca ducha wiary, czego konsekwencją jest zaniedbanie praktyk religijnych i zubożenie moralne. Wysiłek intelektualny musi jednak iść w parze z wysiłkiem duchowym, separacja wartości intelektualnych od duchowych zawsze bowiem rodzi poważne niebezpieczeństwa: intelektualność bez duchowości staje się cynizmem lub faryzeizmem, duchowość bez intelektualności prowadzi do fundamentalizmów i fanatyzmów.

Świat dzisiejszy jest ogromnie zróżnicowany. Żyją w nim tacy ludzie, którzy nie wierzą w Boga, i tacy, którzy uważają, że nie mają wewnętrznej zdolności czy naturalnej potrzeby wiary, i tacy, którzy wszystko robią, żeby pragnienie wiary w sobie zagłuszyć. Są oczywiście także i tacy, którzy rezygnują z wiary wcześniej przyjętej i wyznawanej, jak również i tacy, którzy ciągle poszukują Boga, ale nie mogą Go

¹¹⁸ J. H. Newman, *Logika wiary*, Warszawa 1989, s. 103.

znaleźć. Niestety wielu ludzi wciąż ukrywa swoją wiarę, nie ma dość odwagi, by ją wyznawać życiem, inni zaprzeczają jej swoim postępowaniem, jeszcze inni robią wszystko, aby ją zniszczyć w tych, którzy ją mają.

Ludzie wierzący w Boga są przekonani, że zyskali prawdę, o tym samym są jednak przekonani także ludzie niewierzący. Gdzie jest jednak prawda, tego ostatecznie, jak sądzi może wielu, nikt nie wie. „Bóg jest albo Go nie ma – pisał Blaise Pascal. – Ale na którą stronę się przychylimy. Rozum nie może tu nic określić: nieskończony chaos oddziela nas. Na końcu tego nieskończonego oddalenia rozgrywa się partia, w której wypadnie orzeł czy reszka. Na co stawiacie?”¹¹⁹. Francuski myśliciel proponuje zakład – zwany „zakładem Pascala”. Skoro rozum nie może rozstrzygnąć, „trzeba się zakładać; to nie jest rzecz dobrowolna, zmuszony jesteś”¹²⁰. A reguły są proste: jeśli wybierzesz Boga i życie zgodne z Jego prawem, a okaże się, że Bóg jest, zyskujesz wszystko; jeśli wybierzesz Boga, a okaże się, że Boga nie ma, nie tracisz nic – bo cóż możesz stracić? Jeśli natomiast opowiesz się przeciwko Bogu i Jego przykazaniom, a okaże się, że Bóg jest, z pewnością stracisz wszystko. „Tak więc kiedy jest się zmuszonym grać, trzeba być obranym z rozumu, aby zachować życie raczej, niż rzucić je na hazard nieskończonego zysku, równie prawdopodobnego jak utrata nicości”¹²¹.

Ludzi „obronych z rozumu” są jednak niezliczone rzesze. Doprawdy, aż trudno się temu nadziwić. Wszak to największa lekkomyślność odrzucić Boga i Jego prawa, skoro przecież On może być. Cóż szkodzi, przyjąć, że jest, że może być, i żyć tak, jakby był, tym bardziej, że przecież nie się nie traci, jeśli Go nie ma? Nic nie szkodzi. Pomimo to ludzie odrzucają Boga i żyją tak, jakby wręcz nie mogło Go być. Jest On lekceważony, pomiatany, ignorowany, wyśmiewany, „ogłaszany królem przeszłości, ale nie teraźniejszości, a tym

¹¹⁹ B. Pascal, *Myśli*, Warszawa 1977, s. 451.

¹²⁰ Tamże.

¹²¹ Tamże, s. 187.

bardziej nie jutra, spychany do lamusa spraw i osób” – jak mówił papież Benedykt XVI podczas spotkania z młodzieżą 27 maja 2006 roku na Błoniach w Krakowie. Niektórzy ludzie chcieliby wierzyć, ale nie mogą, niektórzy są indyferentni, zobojętniali tak, że nie ma dla nich znaczenia, czy Bóg jest czy go nie ma, niektórzy zaś przyjmują, że jest i rzucają Mu wyzwanie, świadomie depreczując Jego nakazy oraz prawa i ignorując zasady moralne, nawet jeśli ich nie kwestionują.

Człowiek, odrzucając Boga, niezależnie z jakich powodów, gubi stopniowo prawdę o samym sobie, o swoim powołaniu i przeznaczeniu, a tym samym zatracą poczucie własnej godności, której źródłem jest sam Bóg, Stwórca i Odkupiciel człowieka. Nieznajomość pełnej prawdy o człowieku jest przyczyną braku motywacji, by żyć i postępować tak, jak przystało człowiekowi – osobie stworzonej na Boży obraz i podobieństwo, a to prowadzi do załamania się osobowości, upadku, zwątpienia, nihilizmu, czyni z ludzi powołanych do świętości pałuby kręcące się wkoło w takt muzyki Chochoła – jak ich określił Waław Borowy, nawiązując do *Wesela* Wyspiańskiego¹²², a więc ludzi nijakich, bez poczucia jakiegokolwiek sensu plątających się po świecie, wydrążonych, kompletnie pustych wewnątrz, których porażający obraz ukazał w swym poemacie Thomas S. Eliot:

*My próżni ludzie
My wypchani ludzie
Podpieramy się wzajem
Niestety w głowach słoma
Kiedy do siebie szepczemy
Ciche i bez znaczenia
Są nasze wyschłe głosy
Jak wiatr dmący przez osty (...)*

*Kształty bez formy cienie bez koloru
zastygła siła i gesty bez ruchu*

¹²² T. S. Eliot, *Poezje wybrane*, Warszawa 1988, s. 26.

*Ci którzy weszli nie spuszczać oczu
W inne Królestwo śmierci
Wspomną jeżeli wspomną
Nie dusze gwałtowne
Lecz ludzi wydrążonych
Lecz wypchanych ludzi (...)*

*Oto jak kończy się świat
Nie z trzaskiem lecz ze skomleniem*

(Próżni ludzie)

Tak kończy się świat – i to na życzenie człowieka, który „zredukowawszy się” do materii z własnej niejako woli ulega destruktywnemu przywiązaniu do stworzenia (*conversio ad creaturam*) i wyłącznie na nim koncentruje swe pragnienie nieskończoności, a przypisując stworzeniom charakter nieskończony, traci poczucie, że jest istotą stworzoną i dlatego zamierza się opierać tylko na sobie samym, sam się realizować i sam sobie wystarczać w swej ograniczoności.

Ale pozostawiony sam sobie przez samego siebie odczuwa pustkę, jakiś rozległy, dojmujący brak. Chociaż żyje w złudnym przekonaniu, że odnalazł już to wszystko, czego szukał, nie przestaje poszukiwać; kiedy jednak coś odnajdzie, narzucona mu przez samego siebie ograniczoność nie pozwala mu tego przyjąć, a tym bardziej zaakceptować. Trawiony jest więc bezustanną tęsknotą za czymś, czego nie potrafi nawet nazwać, czuje wszakże, że ma to jakiś związek z religią. Przyjmuje ją więc, ale podchodzi do niej w sposób selektywny, wybiera i aprobuje tylko te jej elementy, które mu odpowiadają, sam dyktuje Bogu, w co będzie wierzył; nie pyta, czy coś jest „logiczne”, nie szuka uzasadnień dla swej wiary, ale idzie za tym, co „psychologiczne”, co przynosi doraźną korzyść. Drugim, obok selektywizmu wiary, powszechnym współcześnie zjawiskiem jest sielankowość wiary, która polega na tym, że w religii szuka się nie trwałego duchowego oparcia, ale emocjonalnej satysfakcji, przyjemnych doznań,

wzruszeń lub doraźnego pocieszenia. Prowadzi to do zaniku religijności związanej z „krzyżem”. Jeśli się chce religii, to tylko religii „bez krzyża i cierpienia”. W religii nie liczy się to, co cenne, choć trudne, wymagające ofiary i poświęcenia, a jedynie to, co wygodne, przyjemne, co „lechce ucho”.

Innym zjawiskiem jest horyzontalizacja chrześcijaństwa. Ludzie traktują religię nie jako drogę do Boga i szczęścia wiecznego, ale jako środek „etycznego” urzędzenia się na ziemi. Budują więc sobie „gniazda” w taki sposób, aby nie narazić się Bogu, bo Jego kara mogłaby zniweczyć ich zamysły i plany. Prowadzi to do zeświecczenia zbawienia, ograniczenia go do doczesności. Pokusa urzędzenia się w świecie jest tak silna, że bez reszty absorbuje ludzi. Są tak pochłonięci tworzeniem swoich fikcji religijnych, że brak im czasu na kontemplację i wyciszenie duchowe – zapominają nawet o nieuchronności śmierci, nie przeszkadza im natomiast ciągły zgiełk, hałas, krzyk i wrzawa, pomimo iż te zewnętrzne uwarunkowania wraz z pośpiechem cywilizacyjnym i wewnętrznym nieładem są przyczyną wielu dysonansów psychicznych.

We współczesnym świecie coraz wyraźniej daje się też zauważyć tendencję do „uprywatnienia” religii i całkowitej subiektywizacji doświadczenia religijnego, czemu towarzyszy zarzut fundamentalizmu kierowany przeciw ortodoksji dogmatycznej i wierności etyce chrześcijańskiej. Człowiek nie słucha dyrektyw hierarchii kościelnej, kontestuje kościelne instytucje, sam sobie chce być, także w sprawach religijnych, jeśli jeszcze go one obchodzą, „sterem, żeglarzem, okrętem”. Taka postawa owocuje – z jednej strony – tzw. alternatywnymi formami życia religijnego, a z drugiej – prowadzi do przystępowania do różnego typu sekt nawiązujących do mistycyzmu wschodniego czy też synkretyzmu religijnego (New Age, satanizmu, magii, astrologii, okultyzmu, radykalnego ekologizmu itd.). Wspólnym rysem wszystkich tych ruchów parareligijnych i pseudoreligijnych jest odrzu-

cenie idei Boga osobowego jako Zbawcy i przyznanie człowiekowi możliwości samozbawienia i samoodkupienia.

Warto w tym miejscu przypomnieć słowa kardynała Josepha Ratzingera z homilii wygłoszonej 18 kwietnia 2005 roku, tuż przed początkiem ostatniego konklawe: „Ile «powiewów nauki» przynosiły nam ostatnie dziesięciolecia, ileż nurtów ideowych, ileż modnych kierunków myślowych.... Były one często niczym wzburzone fale, które popychały myślenie wielu chrześcijan niczym małą łódkę z jednej skrajności w drugą: od marksizmu do liberalizmu, aż po libertynizm; od kolektywizmu po radykalny indywidualizm; od ateizmu do mglistego mistycyzmu religijnego; od agnostycyzmu do synkretyzmu i tak dalej. (...) Wyznawanie wiary, zgodnie z *Credo* Kościoła, jest często określane jako fundamentalizm. Natomiast relatywizm, to znaczy poddawanie się «każdemu powiewowi nauki», jawi się jako jedyna postawa godna współczesnej epoki. Tworzy się swoista dyktatura relatywizmu, który niczego nie uznaje za ostateczne i jako jedyną miarę rzeczy pozostawia tylko własne ja i jego zachcianki. My natomiast mamy inną miarę: Syna Bożego, prawdziwego Człowieka. To On jest miarą prawdziwego humanizmu. Nie jest dojrzała wiara, która unosi się na falach mody i ostatnich nowinek, dorosła i dojrzała jest wiara zakorzeniona głęboko w przyjaźni z Chrystusem. Ta właśnie przyjaźń otwiera nas na wszystko, co dobre, i wskazuje nam kryterium, które pozwala odróżnić rzeczywistość od fałszu, oszustwo od prawdy. Taką dojrzałą wiarę musimy kształtować w sobie»¹²³.

„Człowiek jest wolny – powiedział 10 czerwca 1979 roku Jan Paweł II na Błoniach krakowskich podczas uroczystej Mszy Świętej ku czci św. Stanisława. – Człowiek może powiedzieć Bogu: nie. Człowiek może powiedzieć Chrystusowi: nie. Ale – pytanie zasadnicze: czy wolno? I w imię czego «wolno»? Jaki argument rozumu, jaką wartość woli i serca

¹²³ J. Ratzinger, *Ku „dojrzałości” wiary w Chrystusa*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 26(2005), nr 6(274), s. 30.

można przedłożyć sobie samemu i bliźnim, i rodakom i narodowi, ażeby odrzucić, ażeby powiedzieć „nie” temu, czym wszyscy żyliśmy przez tysiąc lat? Temu, co stworzyło podstawę naszej tożsamości i zawsze ją stanowiło?”¹²⁴.

¹²⁴ Jan Paweł II, *Światło Roku Jubileuszowego na odnowienie bierzmowania*, dz. cyt., s. 713.



O MIŁOŚCI BOGA I BLIŹNIEGO

Największym przykazaniem Chrystusa jest przykazanie miłości Boga i bliźniego. To pierwsze i najważniejsze przykazanie. Nie ma od niego ważniejszego. Skierowuje ono świat na zupełnie inne tory, otwiera przed nim nową perspektywę, na nowo go ustanawia i wytycza jego przyszłość, u początków której stoi ofiara odkupienia przez miłość, a u kresu – zbawienie przez miłość. Przyszłość ta cała naznaczona jest miłością i stanowi przestrzeń miłości i która wobec tego – jako że miłość zawsze jest zobowiązaniem – w każdym dniu musi być świadectwem miłości, odpowiedzi na wezwanie Chrystusa, potwierdzeniem, że – jak to ujął Dante – „miłość jest pierwszą wśród nieśmiertelnych rzeczy”.

Taką przyszłość otworzył i wyznaczył ludzkości Chrystus, sam stając się jej znakiem i sam sobą, swoim życiem, ustanawiając wzór, z którym przed oczami, w duszy i sercu ma w nią wejść człowiek. Jezus bowiem nie tylko nakazał miłość i nie tylko do niej wzywał, ale także pokazał, czym ona jest i jak ma się spełniać. On jest miłością, On jest jej najpełniejszym objawieniem miłości, całe Jego ziemskie życie przepelniała miłość, cała Jego działalność i całe nauczanie odkrywały tę niepojętą dotąd prawdę, że spośród nieprzebranego bogactwa słów tylko jedno – miłość – pozwala człowiekowi wejrzeć w tajemnicę Boga.

Jezus jest Bogiem, który przyszedł na ziemię, by żyć miłością w pełni swego człowieczeństwa i wzywać do miłości. Pięknie tę prawdę ujął św. Bernard w jednej ze swoich homilii: „Stajenka Chrystusa woła o miłość, żłóbek woła o miłość, lzy Chrystusowe wołają o miłość. Zobacz to Dziecię kwilące na sianie, leżące bez słów, wyciągające ręce...”. Pięknie też tę prawdę ukazał bł. Josemaria Escriva: „Nie zapominaj, niemądra dziecińco, że Miłość [tego Dziecięcia] uczyniła cię wszechmocnym”. Dzięki miłości wszystko możesz,

bez miłości nie możesz nic. Tak jak Jezus: wszystko, czego dokonał, dokonał z miłości, dzięki miłości i przez miłość. Idąc przez ziemię, czynił dobrze. Wspierał, umacniał, podtrzymywał, ratował. Troszczył się o wszystkich, najbardziej o wzgardzonych, grzesznych i kalekich. Dotykał mar umarłych, uzdrawiał chorych, uwalniał z mocy zła opętanych, nieustannie przebaczał i obiecywał niebo nawet największym grzesznikom.

I co za to otrzymał? – sąd, biczowanie i krzyż! Ale na tym krzyżu ukazała się cała pełnia i cała nieogarnioność miłości. Jezus musiał cierpieć, gdyż właśnie poprzez cierpienie miała się objawić Jego miłość do ludzi. Miłość do końca, do przelania krwi. Pamiętam, jak podczas „Drogi Krzyżowej” odprawianej z młodzieżą akademicką na Wałach Jasnogórskich pewna studentka z Poznania stanęła pod Krzyżem Chrystusa i powiedziała: „Panie Jezu, Ty musiałeś umrzeć, bo ludzie nie uwierzyliby Ci, żeś nas umiłował. Przez swoją śmierć na krzyżu dałeś dowód na to, że nas do końca umiłowałeś, i dlatego ludzie nie mogą wątpić w Twoją miłość”. Słowa te dotyczą samej istoty prawdy, jak bowiem pisał św. Paweł: „Bóg miłość swoją okazuje ku nam przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami” (Rz 5, 8).

I okazuje tę miłość nieustannie. Nieustannie nas kocha. Bywają jednak w życiu ludzi momenty, kiedy trudno im w tę miłość uwierzyć. Są to te momenty, kiedy jesteśmy osamotnieni, zdradzeni, krzywdzeni, smutni, chorzy, a jeszcze bardziej, kiedy ktoś z naszych bliskich jest smutny, krzywdzony bądź chory. W takich sytuacjach nasza miłość do Boga czasami się załamuje. Lecz miłość Boga do nas trwa – niezmienna.

Bóg nigdy nas nie opuszcza. Zawsze czuwa nad nami w swej opatrności. Nad człowiekiem nie wisi ślepy los. Rządy w świecie sprawuje dobry, opatrnościowy Bóg, który zawsze idzie przed nami ze swoim krzyżem. On jest przy nas, razem z nami i obok nas. Nigdy nas nie opuszcza i nigdy

nie opuści. To my Go opuszczamy, oddalamy się od Niego, gardzimy Jego miłością, niedowierzamy Mu. Trzeba, byśmy w tych różnych życiowych trudnościach i niedolach szukali Go obok siebie oczyma nadziei, wiary i miłości. Poprzez nie, zwłaszcza poprzez miłość, która z tych trzech jest najważniejsza, zawsze Go dostrzeżemy, tak jak On nas dostrzega. Dlatego tak usilnie nas do niej wzywa.

Ale miłość, do której wzywa nas Chrystus, nie jest uczuciem, chwilowym poruszeniem serca, lecz czynieniem dobra, dawaniem siebie, swoich uczuć i czynów. „Miłość [ta] – pisał ks. Tadeusz Ślipko – zwraca się bezpośrednio ku dobru. Dlatego w najgłębszej swojej istocie jest chceniem dobra i czynieniem dobra”¹²⁵. Wymaga ona ofiary, poświęcenia się, ale ona buduje i zbawia świat. Tylko ona umożliwi wierność Bogu, stawanie wobec Niego jako wobec Istoty istot i sytuowanie Go we właściwym Jemu miejscu, czyli w samym centrum, gdzie bezwzględnie sytuuje się to, co się kocha. Miłość zawsze jest jedna, nie różnicuje, nie dzieli, nie odłącza; jeśli jest, jest zawsze wielka – a „im większy człowiek, tym większa jest jego miłość”, jak mówił Leonardo da Vinci. Miłość do Boga ma inny odcień niż każda inna. „Człowiek prawdziwie religijny – pisał Erich Fromm – kocha Boga nie tak, jak dziecko kocha swego ojca lub matkę; człowiek taki ma tak pokorne poczucie własnej ograniczoności, że wie, iż nic nie wie o Bogu. Bóg staje się dla niego (...) królestwem świata ducha, miłością, prawdą i sprawiedliwością. Człowiek wyznaje zasady, które Bóg reprezentuje, myśli zgodnie z zasadami prawdy, żyje zgodnie z zasadami miłości i sprawiedliwości, i uważa, że całe jego życie posiada wartość jedynie o tyle, o ile daje mu szansę coraz pełniejszego rozwijania swych ludzkich możliwości. (...) Kochać Boga (...) oznaczałoby wówczas dążyć do pełnej zdolności kochania, do realizacji tego, co Bóg reprezentuje sam w sobie”¹²⁶.

¹²⁵ T. Ślipko, *Zarys etyki ogólnej*, Kraków 1974, s. 379.

¹²⁶ E. Fromm, *O sztuce miłości*, b.m.w., b.r.w., s. 78–79.

Chrystus powiedział: „Będiesz miłował Pana Boga swego całym sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem” (Mt 22, 36). Bez miłości Boga człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, a jego życie staje się puste, pozbawione jakichkolwiek odniesień do tego, co naprawdę ma wartość. W pewnym sensie człowiek jednak niejako w sposób naturalny kocha Boga, jak utrzymywał św. Bernard z Clairvaux. „Jest obrazem Boga – komentuje myśl mistyka Zdzisław Kuksewicz – ponieważ zaś Bóg jest miłością, zatem tym, co stworzył, jest przede wszystkim wolna wola człowieka z istoty swej będąca miłością, podobieństwem boskiej miłości. I dlatego jak Bóg kocha samego siebie, tak człowiek w sposób naturalny kocha Boga – miłość ich dotyczy tego samego przedmiotu. Ta refleksja na temat istoty człowieka stanowi teoretyczny fundament nauki Bernarda”¹²⁷ o drodze człowieka do Boga oraz o jego powinnościach wobec Niego.

Naczelną z tych powinności jest zachowywanie wszystkich przykazań Bożych. „Jeśli chcesz być szczęśliwy, zachowuj przykazania Boże” (Mt 19, 17) – powiedział Chrystus młodemu człowiekowi. A kto z nas nie chce być szczęśliwy? A kto z nas czuje się szczęśliwy? Pewnie niewielu. Czy jednak zachowujemy przykazania? Niby chcemy być szczęśliwi, ale czy ten, kto nie kocha swojej matki, jest szczęśliwy? Czy ta, która nie kocha swoich dzieci, skazuje je na nieistnienie, jest szczęśliwa? Czy ten, kto rozbił swoje małżeństwo, jest szczęśliwy? Czy ci, którzy kłamią, dają fałszywe świadectwo, kradną, zabijają, mogą być szczęśliwi?

Benedykt XVI w orędziu do młodzieży w 2010 roku napisał: „Bóg daje nam przykazania, ponieważ chce wychować nas do wolności prawdziwej, ponieważ chce budować z nami Królestwo miłości, sprawiedliwości i pokoju. Słuchać się ich i wprowadzać je w życie nie oznacza wyobcowania, lecz odnalezienie dróg rzeczywistej wolności i miłości, gdyż

¹²⁷ Z. Kuksewicz, *Zarys filozofii średniowiecznej. Filozofia łacińskiego obszaru kulturowego*, Warszawa 1973, s. 148.

przykazania nie ograniczają szczęścia, lecz wskazują, jak je odnaleźć. Jezus na początku dialogu z bogatym młodzieńcem przypomina, że prawo dane przez Boga jest dobre, ponieważ «Bóg jest dobry»¹²⁸.

Bardzo ważną powinnością wobec Boga jest również modlitwa. Chodzi o modlitwę poranną i wieczorną. Chrystus mówił: „Proście, a będzie wam dane, kołaczcie, a otworzą wam, szukajcie, a znajdziecie” (Łk 11, 9). Trudno powiedzieć, by mądry był człowiek, który zrażony kołataniami do ludzkich drzwi, nie chce już pukać do Boga. Wielu jest jednak takich niemądrych. Zaiste, smutne jest ich życie, smutne bowiem jest życie człowieka, który się nie modli. Przypomnijmy sobie nasze modlitwy z dzieciństwa, tę radość, jaką dawały, dumę nawet, zwłaszcza gdy były odmawiane wspólnie z rodzicami i rodzeństwem. Jak wiele się dziś zmieniło. Przyszły sprawy, problemy. Pogubiło się nasze serce. Rozsypały się paciorki naszego różańca. Coś się stało z naszym Bogu kochaniem. Zapada ciemność. Ktoś kiedyś mi mówił: „Utraciłam wiarę. Ale wie ksiądz, najpierw przestałam się modlić, potem myśleć o Bogu, a potem nagle się spostrzegłam, że już nie wierzę”.

Najpiękniejszą modlitwą jest Eucharystia. Ma ona stanowić centrum życia człowieka wierzącego. Nie można być chrześcijaninem bez Mszy Świętej. Jest ona ofiarą składaną przez Jezusa Chrystusa Bogu Ojcu na ołtarzach świata. Zawsze robią na mnie ogromne wrażenie słowa wypowiedziane podczas konsekracji: „To jest Ciało Moje za Was wydane”. Za nas – na mękę i śmierć! Do tej ofiary Chrystusa człowiek wierzący dołącza własne ofiary i wyrzeczenia. Dzięki temu Eucharystia staje się dla niego źródłem mocy. Pomaga w wytrwaniu w dobrym, w podejmowaniu codziennych decyzji życiowych. Mimo to ludzie często zaniedbują uczestniczenia we Mszy Świętej; ograniczają się do wielkich świąt czy

¹²⁸ Benedykt XVI, *Orędzie na XXV Światowy Dzień Młodzieży*, (28 III 2010), www.franciszkanie.gdansk.pl (2010).

wyjatkowych wydarzeń w rodzinie, takich jak pogrzeb, ślub, chrzest. Tłumaczą się brakiem czasu, zmęczeniem... Jakież to nasze chrześcijaństwo jest niedojrzałe! W tak wielu ludziach wygasa wiara. Czy nie dlatego, że zaniedbują udziału w Eucharystii?

Powinnością wobec Boga jest korzystanie z sakramentów świętych – z sakramentu pokuty i Komunii św. Czy bez sakramentu pokuty i pojednania można kochać Boga? Miłości do Niego nie da się pogodzić z przywiązaniem do grzechu. Boga też nie można kochać bez Komunii św., będącej łaską przyjęcia do serca Żywego Jezusa Chrystusa. „Nawet Aniołowie nie dostępują tego, czego człowiek dostępuje, gdy Ciało Pańskie przyjmuje”. Chrystus w Komunii św. umacnia nas w wierze, daje siłę do znoszenia codziennych trudów i wypełniania zadań. Trzeba przemyśleć nasze odniesienie do Komunii św. Dlaczego nie doceniamy tego Sakramentu, tej łaski? Przecież mówimy: jestem wierzący – i jesteśmy, na pewno. Klękamy, gdy jest konsekracja. Czemu więc trzeba nas przynaglać do przyjmowania Bożego Ciała? To prawda, że aby przystąpić do Stołu Pańskiego, trzeba najpierw umrzeć... Umrzeć dla grzechu, złych przyzwyczajzeń, nałogów, niesprawiedliwości, trzeba się najpierw nawrócić. I tak bardzo trzeba kochać!

Nie tylko Boga, także człowieka. Miłość do Boga wyraża się w miłości do bliźniego. Nie można bowiem kochać Boga, nie kochając człowieka. Jan Tauler głosił: „Najszlachetniejszą i najdoskonalszą rzeczą, o jakiej można mówić, jest miłość. (...) Bóg żąda od nas jedynie miłości, ponieważ według nauki św. Pawła jest ona więzią wszelkiej doskonałości. Miłość wyraża się w dwóch rodzajach aktywności: wewnętrznej i zewnętrznej. Zewnętrzna skierowana jest do bliźniego, wewnętrzna – wprost do Boga. (...) Na czym polega miłość prawdziwa i Boska, ta, którą powinieneś mieć w swym wnętrzu – poznasz i zrozumiesz za pomocą miłości zewnętrznej, skierowanej do bliźniego. Bo miłość Boga bę-

dziesz miał dopiero wtedy, gdy stwierdzisz, że kochasz swego bliźniego, zgodnie z tymi słowami: Jak możesz kochać Boga, którego nie widzisz, jeśli nie kochasz swego brata, którego widzisz? (1 J 4, 20). Wszystkie przykazania Boże i całe prawo Boże mieszczą się w tym jednym: Miłuj Boga i bliźniego jak siebie samego (Mt 22, 39)¹²⁹, w nakazie Chrystusowym: „Będziesz miłował bliźniego swego...”, w Jego nowym przykazaniu, abyśmy się wzajemnie miłowali: „Jak ja was umiłowalem... miłujcie się wzajemnie” (J 13, 34).

Miłość jest największym przykazaniem, ale i najważniejszym obowiązkiem wyznawcy Chrystusa. Wyznacza ona wszelkie relacje z bliźnimi, miłość zaś bliźnich wyznacza i określa relacje z Bogiem, jak bowiem pisał Max Scheler: „Powszechna miłość do człowieka jest również istotnym warunkiem miłości do Boga, o ile jest ona [czymś] *więcej* niż *amore Deum*, które znane było również Platonowi i Arystotelesowi, mianowicie o ile jest *amore in Deo* oraz jeśli jest przeżywana i pomyślana jako uwarunkowana przez uprzednią miłość Boga do człowieka”¹³⁰. „Miłość do człowieka jest fundamentem miłości do (...) Boga”¹³¹, ale też – z drugiej strony – „miłość do osoby (...) koniecznie domaga się (...) duchowego centrum wszystkich skończonych istot w duchowym bóstwie (tzn. w «Bogu w Bogu», gdy za pierwszym razem myślimy o Bogu jako o Bogu czystej religii, a za drugim o Bogu jako metafizycznej zasadzie świata)”¹³².

Podsumowując ten wątek naszych rozważań, można zatem rzec, że – jak pisał Miguel de Unamuno – „W Bogu wszystko żyje, a w Jego cierpieniu wszystko cierpi; kochając Boga, kochamy w Nim stworzenia, tak jak kochając stworzenia i współczując im, kochamy w nich i współczujemy Bogu”¹³³. Miłość Boga jest wobec tego wszystkiego możliwa

¹²⁹ J. Tauler, *Kazania*, Poznań 1985, s. 564–565.

¹³⁰ M. Scheler, *Istota i formy sympatii*, Warszawa 1986, s. 167.

¹³¹ Tamże, s. 162.

¹³² Tamże, s. 206–207.

¹³³ M. de Unamuno, *O poczuciu tragiczności życia wśród ludzi i wśród narodów*, Kraków–Wrocław 1984, s. 229.

dzięki miłości bliźniego, miłość zaś bliźniego – dzięki miłości Boga i obie te miłości rządzą się tymi samymi prawami, obydwie są wymagające, obydwie stanowią zobowiązanie, obydwie uwznioślają, podnoszą człowieka, potwierdzają jego godność – z tej godności też wyrastając; są ostatecznie jedną miłością prawdziwą. Zapewne to właśnie miał na myśli Sthendal, gdy pisał, że „wszelka miłość na ziemi rodzi się, żyje i umiera lub wzbija do nieśmiertelności wedle tych samych praw”.

Doskonale rozumiał to Chrystus, dlatego nie rozdzielał miłości do Boga i miłości do człowieka. Mówił: kochaj i Boga, i bliźniego. Doskonale rozumieli to także pierwsi Jego wyznawcy, których obserwując poganie mówili: „Patrzcie, jak się wzajemnie miłują i są gotowi umrzeć jeden za drugiego”. Ich wzajemna miłość była znakiem miłości Boga i najmocniejszym dowodem na boskie pochodzenie religii chrześcijańskiej.

A dzisiaj? Czy my w stosunkach z bliźnimi kierujemy się miłością? Niestety, trudno nam ich miłować, tym trudniej, im bliżej nas żyją. W zasadzie nikomu nie sprawia trudności kochać trędowatego w dalekiej Korei, ale kochać teściową i do tego sparaliżowaną, kochać natręta sąsiada... Jezus domaga się jednak od każdego z nas, abyśmy się wszyscy miłowali. Jest to też zasadniczy wymóg „etyki chrześcijańskiej, [która] stwierdza – pisze Tadeusz Ślipko – że istnieje zakorzeniony w prawie naturalnym imperatyw zobowiązujący wszystkich ludzi do miłowania każdego innego człowieka jako osobę obdarzoną taką samą moralną godnością”¹³⁴.

Jeśli niektórzy skarżą się, że nie odczuwają bliskości Boga, że doznają wątpliwości w wierze, to czy źródła tego nie należy widzieć w braku miłości? Miłość nieraz załamuje się na drobiazgach. Będąc w złym nastroju, nie zdobywamy się na uśmiech, dobre słowo, gest uprzejmości. Wskutek uprzedzeń nie kochamy ludzi. Wystarczy, że ktoś się zrazi do drugiego, a od razu przenosi to na innych. Przestaje kochać

¹³⁴ T. Ślipko, *Zarys etyki szczegółowej*, t. 1, Kraków 1982, s. 220.

lub zwraca miłość ku temu, co pozorne, błahe, namiastkowe; ucieka, podejmuje trudne wyzwania, by jakoś się spełnić, pracuje ponad miarę, zdobywa i trwoni, dokonuje nieraz rzeczy trudnych, ale to i tak „wszystko psu na budę bez miłości” – żeby się posłużyć lakonicznym stwierdzeniem z wiersza ks. Jana Twardowskiego.

Gdy podczas konferencji prasowej dziennikarze zapytali Siostrę Dobroci – Matkę Teresę z Kalkuty, znaną na całym świecie zakonnicę, z jaką najgroźniejszą chorobą spotyka się wśród chorych, których pielęgnuje, odpowiedziała: „Najgroźniejszą chorobą nie jest nowotwór, nie jest trąd czy gruźlica, lecz jest nią na pewno brak miłości”. To straszna choroba czuć się niekochanym, wzgardzonym, odrzuconym. Zaprawdę straszna to choroba, ale o wiele straszniejszą chorobą jest: nie kochać. „Nieszczęśliwszym jest ten, kto w sercu nie ma żadnej miłości, niż ten, kto ma w nim wszystkie cierpienia” – pisał Aleksander Świątchowski.

Niestety, wśród nas coraz więcej jest ludzi nieszczęśliwych i zrozpaczonych. Prawie zawsze są to ci, którym nie udało się spotkać miłości, którzy jej ani nie doznali, ani nie dali innym, którzy nigdy nie zrozumieli, że – jak to pięknie ujął Czesław Miłosz –

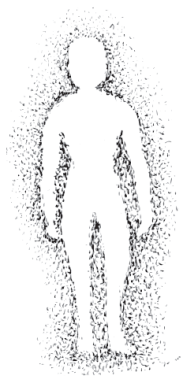
*Miłość to znaczy patrzeć na siebie,
Tak jak się patrzy na obce nam rzeczy,
Bo jesteś tylko jedną z rzeczy wielu.
A kto tak patrzy, choć sam o tym nie wie,
Ze zmartwień różnych swoje serce leczy,
Ptak mu i drzewo mówią: przyjacielu*

*Wtedy i siebie, i rzeczy chce użyć,
Żeby stanęły w wypełnienia łunie.
To nic, że czasem nie wie, czemu służyć:
Nie ten najlepiej służy, kto rozumie*

(Miłość)

Gdyby ludzie to zrozumieli, gdyby nauczyli się żyć i gdyby żyli miłością Boga i człowieka, uświadomiwszy sobie w pełni, że „miłość nie istnieje w sobie, ale w nas, jest naszym osobistym dziełem” – jak pisał Marcel Proust, nie byłoby tyle smutku i zwątpień, rozczarowań i bólu. Nie byłoby więzień i obozów, zakładów poprawczych. Nie byłoby I i II wojny światowej ani stanu wojennego. Nie byłoby samotności na świecie. Gdyby zawsze kierowano się miłością, życie ludzkie byłoby szczęśliwe. Dlatego trzeba błagać Boga o tę łaskę – dla wszystkich.

CZŁOWIEK





GODNOŚĆ OSOBY LUDZKIEJ

Fakt, że człowiek został powołany do istnienia przez Boga, potwierdzają dwa opisy biblijne, które, choć mają odmienny charakter, wzajemnie się uzupełniają. Tekst *Księgi Rodzaju* (2, 4–24) przygotowuje do zrozumienia tego, co znajduje się w jej pierwszym rozdziale (26–28), i odczytywany w łączności z nim pomaga lepiej zrozumieć podstawową prawdę o istocie ludzkiej. Stworzenie człowieka przez Jahwe jako mężczyzny i kobiety (Rdz 1, 26–29) włączone jest w rytm siedmiu dni stworzenia świata. Według biblijnego opisu, człowiek został stworzony wraz z całym światem, lecz pomimo iż ściśle jest związany z całą naturą, nie jest podobny do samego Boga: „Stworzył Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył; stworzył mężczyznę i niewiastę” (Rdz 1, 27). Akt ten wieńczy całe dzieło stworzenia, a jego zwiezły opis zawiera podstawowe prawdy antropologiczne.

Człowiek jest szczytem całego porządku w świecie widzialnym. Rodzaj ludzki bierze swój początek w powołaniu do istnienia mężczyzny i kobiety. Oboje oni są istotami ludzkimi w równym stopniu, stworzonymi na obraz i podobieństwo Boga – i ten istotny dla człowieka obraz i podobieństwo Boże zostaje przez nich, jako małżonków i rodziców, przekazany ich potomkom: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną” (Rdz 1, 28). Stwórca, dokonawszy dzieła stworzenia, powierza „panowanie nad ziemią” rodzajowi ludzkiemu, wszystkim ludziom, wszystkim mężczyznom i kobietom, którzy swą godność i powołanie czerpią ze wspólnego początku oraz z podobieństwa do Boga.

Człowiek już u zarania swych dziejów został więc ustanowiony panem ziemi, panem widzialnego kosmosu. Jednakże jego wielkość nie wyraża się tylko w tym, że ma czynić sobie ziemię poddaną (Rdz 1, 28). Wymiarem właściwym jego wielkości jest to, że Bóg wyprowadza go z samego

siebie na swój obraz i podobieństwo. Obraz oddaje poniekąd istotę swego Pierwowzoru, stanowi Jego odbicie. Dlatego człowiek, będąc odbiciem Boga, a zarazem Jego chwałą, bo – jak pisał Jan Paweł II za św. Ireneuszem – „Chwałą Bożą jest człowiek żyjący”, nie może znaleźć sensu poza Bogiem. Ma on sens w świecie jedynie jako obraz i podobieństwo Boże. Jest on wprawdzie w świecie i ze świata, ale równocześnie jest z Boga, przerasta wobec tego całą widzialną rzeczywistość w stronę swojego boskiego pierwowzoru, nie można go zrozumieć i wytłumaczyć do końca za pomocą kategorii, jakich dostarcza świat. Można go ostatecznie mierzyć tylko kategoriami Boga. Jeśli człowiek zostaje pozbawiony więzi ze swoim Źródłem, radykalnie ubożeje i zaczyna podlegać wielorakim zagrożeniom; jeśli natomiast utrzymuje i podtrzymuje tę więź, wzrasta w nim świadomość niepowtarzalności i wielkiej wartości jego życia i jego godności, świadomość, która pozwala mu pojmować siebie – jak to ujmował Boecjusz z Dacji – jako osobę, tzn. indywidualną substancję rozumnej natury, świadomy i wolny podmiot swoich czynów, odpowiedzialny za siebie, drugiego człowieka i świat, w którym żyje, co stanowi o jego godności, tzn. o jego ontycznej i powinnościowej relacji do Boga, wspólnoty ludzkiej i świata¹³⁵.

Człowiek jest postawiony pośrodku świata stworzeń widzialnych i niewidzialnych, które wszystkie przeniknięte są chwałą Stwórcy i głoszą Jego chwałę. I tak – według Jana Pawła II – poprzez dzieje widzialnego i niewidzialnego kosmosu wznosi się jakby niezmierna świątynia, zarys wiecznego królestwa Boga. Człowiek – mężczyzna i kobieta – od początku został usytuowany pośrodku tej świątyni. On sam ustanowił jej wymiar, stał się jej centralnym punktem, prawdziwym „przybytkiem Boga z ludźmi”, albowiem z miłości do człowieka Bóg wstąpił w stworzony świat. Tak więc oso-

¹³⁵ Boecjusz z Dacji, *O dobru Najwyższym, czyli o życiu filozofa*, Warszawa 1990, s. 1–11 nn.

bliwą rację godności ludzkiej stanowi powołanie człowieka do uczestnictwa w życiu Boga. Człowiek jest od samego początku zaproszony do rozmowy z Bogiem. „Istnieje bowiem dlatego, że Bóg go stworzył z miłości i wciąż z miłości zachowuje, a żyje w pełni wedle prawdy, gdy dobrowolnie ukazuje ową miłość i powierza się swemu Stwórcy” (KDK 19).

Prawda o godności człowieka stworzonego na obraz Bóży nie zostaje jednak ukazana do końca w świetle prawdy objawionej zawartej w pierwszych rozdziałach Biblii, lecz dopiero w Nowym Testamencie. Potwierdza to Jan Paweł II, mówiąc: „Kluczem do zrozumienia tej wielkiej i podstawowej rzeczywistości, jaką jest człowiek, jest Chrystus”¹³⁶, człowieka bowiem „nie można do końca zrozumieć bez Chrystusa”, a raczej: „człowiek nie może sam siebie do końca zrozumieć bez Chrystusa. Nie może zrozumieć ani kim jest, ani jaka jest jego właściwa godność”. Człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, a jego życie nie zyskuje sensu, „jeśli nie objawi mu się Miłość, jeśli nie spotka się z Miłością, jeśli jej nie dotknie i nie uczyni w jakiś sposób swoją, jeśli nie znajdzie w niej swego uczestnictwa”. I dlatego Chrystus „objawia w pełni człowieka samemu człowiekowi”. Każdy człowiek właśnie w Nim „odnajduje swoją właściwą wielkość, godność i wartość swego człowieczeństwa”¹³⁷ i w Nim, w Tajemnicy Odkupienia zostaje na nowo potwierdzony, niejako wypowiedziany na nowo, stworzony na nowo. Dlatego zgodnie z tym, co napisał Jan Paweł II w swojej pierwszej encyklice, człowiek, który chce „zrozumieć siebie do końca – nie wedle jakichś tylko doraźnych, częściowych, czasem powierzchownych, a nawet pozornych kryteriów i miar swojej własnej istoty – musi ze swoim niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią, przybliżyć się do Chrystusa. Musi niejako w Niego wejść z sobą samym, musi sobie «przyswoić», zasymilować całą rzeczy-

¹³⁶ Jan Paweł II, *Podczas Mszy św. na Placu Zwycięstwa w Warszawie*, dz. cyt., s. 21.

¹³⁷ Tamże.

wistość Wcielenia i Odkupienia, aby siebie odnaleźć”¹³⁸. Tę samą myśl Jan Paweł II wyraża także tymi słowami: „W Chrystusie i przez Chrystusa człowiek zdobył pełną świadomość swojej godności, swojego wyniesienia, transcendentnej wartości samego człowieczeństwa, sensu swojego bytowania”¹³⁹.

Jezus Chrystus przyszedł na świat, aby objawić ludzkości prawdę o Bogu, ale nie tylko o Bogu, także o człowieku. Będąc „słowem” o Bogu, jest przede wszystkim „słowem” o człowieku i objawia człowiekowi w pełni istotę człowieczeństwa, a objawia ją, objawiając mu Ojca, bo nie mógł przecież powiedzieć pełnej prawdy człowieku, nie przypominając, że jest boskiego pochodzenia, że jest obrazem i podobieństwem Boga samego, że przez Boga stworzony i przez Boga odkupiony.

Syn Boży stał się człowiekiem, aby człowieka „przebóstwić”, aby człowieka „wszczepić” w Boga, i przez Wcielenie zjednoczył się z każdym człowiekiem, konkretnie i indywidualnie. To osobowe zjednoczenie Chrystusa z człowiekiem oraz wzajemne – człowieka z Chrystusem znajduje wyraz w niepowtarzalności osoby ludzkiej i niepowtarzalności jej powołania. Człowiek, każdy z osobna, ma swoją własną historię życia, a nade wszystko swoje własne dzieje duszy. I na tym także zasadza się jego godność, jak bowiem pisał Søren Kierkegaard, „Wieczna godność człowieka polega na tym, że życie jego może otrzymać historię, a rola pierwiastka boskiego w nim sprowadza się do tego, że jeśli człowiek zechce, może sam tej historii nadać ciągłość, więź wewnętrzną”. Ta „ciągłość wewnętrzna powstaje na skutek takiej własnej aktywności jednostki, która zdarzenia, jakie ją spotkały nawet z konieczności, przekształca i transponuje do sfery wolności. To właśnie w życiu ludzkim godne jest pozazdroszczenia, że Bogu można pospieszyć z pomocą i że Boga można zrozumieć”¹⁴⁰; i że można – dodajmy jeszcze – zrozumieć czło-

¹³⁸ Jan Paweł II, *Redemptor hominis*, nr 10.

¹³⁹ Tamże, nr 11.

¹⁴⁰ S. Kierkegaard, *Albo – albo*, t. 2, Warszawa 1982, s. 340.

wieka w Bogu, a zatem i siebie w Bogu oraz swą godność w Bogu. Pełnia tej godności objawiła się w dziele Odkupienia, które jest najwyższym wyniesieniem człowieka, ponieważ sprawia, że umiera on dla grzechu, by stać się uczestnikiem życia samego Boga.

Największym powołaniem człowieka jest synostwo Boże: przybranie synów w Chrystusie, Synu Przedwiecznym, który jest współistotny Ojcu. W powołaniu tym tajemnica człowieka wyjaśnia się w pełni. Synostwo Boże „wyraża” się w sposób najprostszy, a zarazem najgłębszy, w wołaniu: „Abba, Ojcze” – w tym właśnie, w którym Chrystus objawił tajemnicę Bożego Ojcostwa i w mocy Ducha Świętego, który jest „Duchem Syna”, przeniósł tę tajemnicę do ludzkich serc, zaszczepiając ją w nich jako nowe życie. „A zatem – stwierdza św. Paweł – już nie jesteś niewolnikiem, lecz synem. Jeżeli zaś synem, to i dziedzicem z woli Bożej” (Ga 4, 6–7).

Synostwo Boże, jako dar Ducha Świętego w człowieku, przenika w całe dziedzictwo człowieczeństwa – ludzkiej natury, a także w całe dziedzictwo stworzone. Jeśli więc dokona się w człowieku ów dogłębny proces zjednoczenia z Chrystusem, owocuje on nie tylko uwielbieniem Boga, lecz także i tym, że jednocześnie sam Bóg czyni człowieka swoim przybranym synem i daje mu możliwość posiadania Ducha Świętego. Dotyczy to każdego – każdy jest bowiem ogarnięty Tajemnicą Odkupienia, z każdym Chrystus w tej tajemnicy raz na zawsze się zjednoczył. Jakąż więc wartość musi mieć człowiek dla Boga, skoro zasłużył na tak potężnego Odkupiciela, skoro Ojciec Syna swego Jednorodzonego dał, ażeby on, człowiek „nie zginął, ale miał życie wieczne”. I jakżeż wiele traci – mówi Jan Paweł II – „gdy nie spotka się z Chrystusem, gdy nie zobaczy w Nim swego człowieczeństwa”¹⁴¹ i swojej godności, gdy nie dostrzeże w Nim człowieczeństwa drugiego człowieka i godności drugiego człowieka!

¹⁴¹ Jan Paweł II, *Urbi et Orbi. Boże Narodzenie 1981*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 21(1981), nr 12(24), s. 1.

Aby nie stracił tego wszystkiego, musi być właściwie wychowywany i prowadzony – w kierunku szacunku wobec samego siebie oraz innych, w kierunku poszanowania godności swojej i bliźnich, przede wszystkim zrozumienia, czym jest godność i co znaczy mieć poczucie godności.

Godność – pisał W. Granat – „w relacji międzypodmiotowej (...) jest stałą i nieredukowalną wartością przysługującą człowiekowi w sposób trwały, niezbywalny i zobowiązujący”, a przy tym „stanowi źródło, kryterium i kres odniesienia wszelkiej moralnej wartości”, jak też „określa powołanie człowieka, wskazuje na jego cel ostateczny i stanowi fundament ustanawianych przezeń praw”¹⁴²; natomiast poczucie własnej godności to – powiedzmy już sami – cały zespół wymogów wobec siebie, zachowań i postaw wobec innych, a także podobny zespół wymogów wobec innych w odniesieniu do siebie.

Świadomość własnej godności rodzi zobowiązania do postępowania we wszystkich warunkach i środowiskach swego życia w sposób odpowiadający tej godności, powiedzmy więc: w sposób godny własnej godności, ale też nakłada obowiązki względem innych i jest dla nich źródłem uprawnień. „Godność często polega na odwadze zrozumienia własnej sytuacji” – powiedział Kazimierz Brandys, jak również – dodajmy – sytuacji innych, i zobowiązuje do respektowania godności drugiego, ale i domagania się poszanowania godności własnej oraz godności wszystkich ludzi, „godność ludzka to [bowiem] absolut, a nie pojęcie cząstkowe” – jak pisał Josif Brodski – nie można jej więc odnieść wyłącznie do cząstki, którą sami stanowimy.

Jak już wspomniano, człowiek ma godność z tej racji, że jest osobą ludzką. Nie uzyskał jej z woli społeczeństwa ani na podstawie decyzji państwa. Nie zdobył jej też ze względu na swój społeczny, zawodowy czy państwowy status. Już choćby

¹⁴² W. Granat, *Godność człowieka i jej współczesne uzasadnienia* [w:] *O człowieku dziś*, Warszawa 1974, s. 223–256.

z tego powodu ani społeczeństwo, ani państwo nie mogą mu ograniczać możliwości prowadzenia życia w sposób odpowiadający jego poczuciu własnej godności. Każdy ma prawo do należnego mu szacunku, do podmiotowości, do honoru, a w tym do okazywania mu należnych oznak czci. Prawda o wielkiej godności człowieka nie pozwala na poniżanie go, traktowanie jako środka do osiągnięcia własnych celów; nie pozwala na utożsamianie człowieka z jego błędami.

Spółeczeństwo i państwo winny szanować godność człowieka w każdym, bez wyjątku, człowieku, do każdego winny odnosić się z należyty szacunkiem, respektować przysługujące każdemu ludzkie prawa i każdemu służyć, budząc w nim i rozwijając poczucie własnej godności przez nakierowanie go na poszanowanie praw i godności innych oraz podnoszenie ku dobru, także temu Dobru Najwyższemu, żeby jeszcze raz odwołać się do Boecjusza, i umożliwienie uczestniczenia w tym Dobru, do czego – jak podkreślał św. Tomasz z Akwinu – każdy człowiek, jako istotna nadprzyrodzona, rozumna i wolna, *imago Dei*, jest powołany. Przy wszystkim tym społeczeństwo i państwo winny mieć na uwadze imperatyw kategoryczny Kanta, według którego „człowiek nie może być nigdy środkiem do jakiegoś celu, lecz zawsze musi być celem samym w sobie”, i postępować tak, by „człowieczeństwa tak w swej osobie, jako też w osobie każdego innego, używać zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka”¹⁴³, albowiem „osoba ludzka jest celem samym w sobie, to jest nie może być nigdy przez kogokolwiek (nawet samego Boga) traktowana jedynie jako środek, nie będąc zarazem sama przy tym celem, a więc człowieczeństwo w naszej osobie musi być dla nas samych święte; jest ono bowiem podmiotem prawa moralnego, a tym samym tego, co jest samo w sobie święte”¹⁴⁴.

¹⁴³ I. Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, Warszawa 1984, s. 62.

¹⁴⁴ I. Kant, *Krytyka rozumu praktycznego*, Warszawa 1972, s. 211.

Aby jednak społeczeństwo i państwo rzeczywiście szanowały godność człowieka, musi je przenikać głęboki humanizm, ten przyniesiony przez Chrystusa, humanizm, który – jak pisze Emmanuel Levinas – „w szerokim znaczeniu tego słowa oznaczał uznanie niezmiennej esencji zwanej «człowiekiem», uznanie jego centralnego miejsca w ekonomii Rzeczywistości oraz jego wartości dającej początek wszelkim wartościom; poszanowanie osoby, w samym sobie i drugim, stwarzające konieczność obrony swej wolności; rozkwit ludzkiej natury, inteligencji w Nauce, twórczości w Sztuce, przyjemności w życiu codziennym; zaspokajanie pragnień bez uszczerbku dla wolności i przyjemności innych ludzi, oraz, co z tego wynika, ustanowienie sprawiedliwego prawa, to znaczy rozumnego i liberalnego państwa (...), otwierającego jednostkom możliwie jak najszerszy obszar prywatności, na progu którego zatrzymuje się prawo”¹⁴⁵.

Są to podstawowe wymogi stojące przed państwem, społeczeństwem oraz wszystkimi jego przedstawicielami z osobna i każdy człowiek ma prawo oczekiwać, że wymogi te będą spełniane, że i państwo, i społeczeństwo, i każdy indywidualnie uszanuje jego godność osobową i pozwoli mu wieść życie odpowiednie do tej godności. Godność ta, „związana (...) z nabytymi przez człowieka cechami, cnotami”, „wpisana (...) w ontyczną strukturę człowieka, co oznacza, że człowiek nie może się jej pozbyć, tak jak nie może się pozbyć własnej natury, (...) przysługuje każdemu tylko z tej racji, że jest człowiekiem i to niezależnie jakim człowiekiem: małym, zbrodniarzem, świętym, chorym, nienarodzonym, mądrym, biednym, bogatym, niedorozwiniętym itd. Rodzi to konsekwencje w etyce – nikt nie może być zabity, nikogo nie można pozbawić życia dla jakichś celów” – pisał F. J. Mazurek¹⁴⁶.

¹⁴⁵ E. Levinas, *Trudna wolność. Eseje o judaizmie*, Gdynia 1991, s. 297.

¹⁴⁶ F. J. Mazurek, *Godność osoby ludzkiej podstawą praw człowieka*, Lublin 2001, s. 36–41.

Nie wystarcza zatem jedynie wstrzymanie się od aktywności, która pozostawałaby w sprzeczności z wymogami dotyczącymi poszanowania ludzkiej godności. Obowiązkiem jest podejmowanie takiej działalności, która stworzy człowiekowi warunki prowadzenia życia odpowiadającego jego powołaniu, która będzie podnosiła jego poczucie godności i świadomość przysługujących mu praw, która doprowadzi wreszcie do uznania, że szacunek dla człowieka winien stanowić podstawowe kryterium rozstrzygnięcia wszelkiego rodzaju problemów, zawsze przy poszanowaniu jego godności. Obowiązkiem jest także przypominanie każdemu, szczególnie gdy znajduje się w sytuacji urągającej jego człowieczeństwu lub zagrażającej utratą wszystkiego, może nawet i życia, tych jakże znaczących słów Tadeusza Micińskiego „O człowieku! choćby wszystko było stracone – ocal przynajmniej swą godność!” (*Nauczycielka*).

Szacunek dla człowieka i respekt dla jego godności można wyrażać i okazywać w różny sposób. W różny też sposób można demonstrować brak szacunku dla niego i godzić w jego godność. Można go np. znieważać, zaniechać oddawania mu czci i przejawiania uznania, którego w danych okolicznościach ma prawo oczekiwać; można ciskać w niego obelżywymi słowami, wyjawiać wobec innych jego przewinienia, które ukrywa; można go też poniżać, okazywać mu lekceważenie czy pogardę, pomiatać nim, gardzić, szydzić z niego. To ostatnie jest szczególnym rodzajem nieposzanowania człowieka. Szydzenie z bliźniego, inaczej mówiąc: drwienie, jest nie tylko wynikiem chęci dokuczenia mu, sprawienia przykrości, wykazania jego niższości, co często bywa następstwem złości, lecz także pragnienia słamszenia go wynikającego nie tyle z przelotnej fali gniewu, ile raczej z pychy lub wręcz nienawiści.

Jeżeli szyderstwa, poniżanie, obelżywość przybierają poważniejsze rozmiary, mogą wyrządzić wielką krzywdę

bliźniemu. A krzywda tego rodzaju jest wykroczeniem moralnym, czyli mówiąc prościej: grzechem. Chrystus powiedział: „Kto by rzekł bratu swemu (...) bezbożniku, podlega karze piekła ognistego” (Mt 5, 22). Każda wyrządzona krzywda zawsze więc domaga się zadośćuczynienia i naprawy. Właściwym sposobem tego zadośćuczynienia czy naprawy jest przeproszenie i okazanie znieważonej osobie dowodów szczególnego szacunku; niekiedy potrzebne jest nawet upokorzenie się i prośba o przebaczenie. Oczywiście, zniewaga wyrządzona publicznie winna być publicznie naprawiona.

Człowiek ma naturalne prawo do tego, aby inni sprawiedliwie o nim mówili i sprawiedliwie wydawali o nim sądy. Do nikogo nie należy podchodzić z uprzedzeniem, z góry zakładając, że jest on zły. Nie godzi się także słów, faktów i czynów bliźniego tłumaczyć w sposób dla niego niekorzystny. Każde złe sądzenie człowieka wiąże się z moralną odpowiedzialnością. „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądzicie i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzają” – ostrzegął Jezus (Mt 7, 1), a św. Paweł wręcz groził sąującym karą Bożą i przypominał, że najczęściej sędzi ten, który sam zasługuje na osądzenie, a sędzi innych zazwyczaj w tym, w czym sam często upada. „Przeto nie możesz wymówić się od winy, człowiecze, kimkolwiek jesteś, gdy zabierasz się do sądenia. W jakiej bowiem sprawie sądzisz drugiego, (w tej) sam na siebie wydajesz wyrok, bo ty czynisz to samo, co osądzasz. Wiemy zaś, że sąd Boży według prawdy dosięga tych, którzy się dopuszczają takich czynów. Czy myślisz, człowiecze, co osądzasz tych, którzy się dopuszczają takich czynów, a sam czynisz to samo, że ty unikniesz potępienia Bożego?” (Rz 2, 1–3).

„Trzeba więc, aby naprawdę miłowany był człowiek, jeśli w pełni mają być zabezpieczone prawa człowieka” – napisał w *Laborem exercens* Jan Paweł II. Naprawdę trzeba.

PRAWA I OBOWIĄZKI CZŁOWIEKA

Bezwzględne uznanie odwiecznych, niezmiennych i niepodważalnych praw osoby ludzkiej jest warunkiem *sine qua non* pokoju na świecie i w każdym społeczeństwie. Prawa człowieka, zakotwiczone w jego naturze, są – jak pisał Franciszek Janusz Mazurek – „wrodzone (naturalne), nie-naruszalne, niezbywalne i trwałe, powszechne, dynamiczne (rozwojowe), obiektywne i integralne”¹⁴⁷, dlatego każda jednostka i każda zbiorowość winna je bezwarunkowo uznawać oraz podchodzić do nich z najwyższym szacunkiem i respektem, tak jak z szacunkiem i respektem winna podchodzić do istoty ludzkiej – stworzonej na obraz i podobieństwo Boga.

Człowiek, jako dzieło i dziecko Boże, nie otrzymuje swych praw od społeczności, z woli sprawujących władzę i nie są one – jak utrzymywali marksiści – wytworem, stosunków społecznych, politycznych czy gospodarczych, lecz wypływają i przysługują każdemu z samej natury. Ich wspólnym punktem odniesienia jest osoba ludzka, której nadzwyczajna pozycja wynika wprost z naturalnej i nadprzyrodzonej godności człowieka – pisał Józef Majka¹⁴⁸. Zatem właśnie „godność osoby ludzkiej stanowi podstawę praw człowieka – jak zatytułował swą książkę ks. prof. Mazurek¹⁴⁹, a że godność osoby jest wartością absolutną – jak pisał w tej książce – to i prawa tej osoby są absolutne, ich dawcą nie jest bowiem nikt inny, jak tylko Stwórca. On jest ich źródłem, a także ich gwarantem.

Prawa człowieka mają więc wspólne ontologiczne podstawy w Bogu. Dlatego człowiek nie może się ich wyrzec ani z nich zrezygnować, a żadne społeczeństwo, żadna wspólnota czy zbiorowość – skoro ich nie ustanawia i nie przyznaje – nie może ich ani naruszać, ani ograniczać, ani

¹⁴⁷ F. J. Mazurek, *Prawo do pracy w encyklice [w:] Jan Paweł II, Laborem exercens. Powołany do pracy*, red. J. Krucina, Wrocław 1983, s. 201.

¹⁴⁸ J. Majka, *Etyka życia gospodarczego*, Wrocław 1982, s. 29–30.

¹⁴⁹ F. Mazurek, *Godność osoby ludzkiej podstawą praw człowieka*, dz. cyt.

tym bardziej odbierać czy łamać. Z uznaniem należy przyjąć fakt, że w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej znajduje się zapis, który jednoznacznie podkreśla tę prawdę: „Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych” (art. 30).

Żadna władza, żadna zbiorowość, nikt i nic nie może lekceważyć ani umniejszać godności osoby i nie może dowolnie szafować przysługującymi jej prawami, przysparzać ich czy ich ujmować, jednym dawać większe, innym mniejsze, szantażować nimi czy przy ich pomocy, rozdzielać je według uznania, albowiem – jak głosi Powszechna Deklaracja Praw Człowieka – „Wszyscy ludzie rodzą się równi pod względem swej godności i swych praw”. Wszystkim przysługują one bezwarunkowo w takim samym stopniu i zakresie, i wszyscy – czytamy dalej w tej Deklaracji – „są obdarzeni rozumem i sumieniem, i powinni postępować wobec innych w duchu braterstwa” (art. 1).

Kościół, odwiecznie stojący na straży praw ludzkich i odwiecznie nawołujący do ich poszanowania oraz przestrzegania, niezmiennie podkreśla, że nie da się traktować spraw człowieka, a więc również jego praw w oderwaniu od nauczania Jezusa Chrystusa, od Ewangelii, od starotestamentowych i nowotestamentowych prawd o pochodzeniu, powołaniu, przeznaczeniu i wielkości istoty ludzkiej. Bardzo wiele uwagi prawom poświęcali papieże w XX wieku oraz Sobór Watykański II, wokół nich koncentruje się w znacznie mierze nauka społeczna Kościoła i one też stanowiły niezwykle ważny, można nawet rzec ośrodkowy obszar przemyśleń i nauczania społecznego Jana Pawła II, którego nie bez przyczyny zwykło się nazywać „Papieżem praw człowieka”.

Ujmując rzecz w ogromnym skrócie i uproszczeniu, można rzec, że Ojciec Święty, mówiąc w swym nauczaniu społecznym o prawach człowieka, szereguje je w trzy grupy.

Pierwszą z nich stanowią prawa, które dotyczą zabezpieczenia ludzkiej egzystencji i osobowego rozwoju człowieka. Najistotniejsze z tych praw jest prawo do życia i rozwoju biologicznego osoby ludzkiej, w tym także integralne prawo do wzrastania pod sercem matki od chwili poczęcia. Według Papieża prawo do życia od momentu poczęcia aż do naturalnej śmierci jest pierwsze i podstawowe, stanowi jakby korzeń i źródło wszystkich praw, dlatego potępia on wszelkie „zamachy” na życie poczęte, uznając je za ciężkie przestępstwa przeciw Bogu, który jest jedynym Panem życia, oraz przeciw człowiekowi, którego pierwszym, przyrodzonym prawem jest prawo do życia.

Prawo to stoi na straży wszystkich szczegółowych praw, które też z niego wynikają. Należy do nich prawo do urodzenia się, do wzrostu i harmonijnego rozwoju fizycznego i duchowego, do samorealizacji i wykorzystania posiadanych uzdolnień, do zachowania zdrowia, a więc i odpowiedniej opieki zdrowotnej, do wystarczającej ilości pożywienia i właściwych warunków mieszkaniowych. Jednym z najbardziej podstawowych praw istoty ludzkiej jest, według Papieża, prawo do założenia rodziny, prokreacji i rodzicielstwa, a do podstawowych praw dziecka należy prawo do wychowania i kształcenia się w rodzinie. Człowiek ma również prawo do posiadania pewnego zespołu dóbr materialnych, umożliwiających normalną egzystencję oraz wypełnienie trudnych i odpowiedzialnych zadań w świecie, prawo do poszanowania jego osobistego życia duchowego, a także do kultury, zarówno do korzystania z niej, jak jej tworzenia.

Drugą wyróżnioną przez Jana Pawła II grupę praw człowieka stanowią indywidualne prawa wolnościowe, powszechnie nazywane klasycznymi. Naczelne miejsce wśród nich zajmuje prawo do wolności myśli i sumienia. Z uwagi na to, że prawo to jest w pewnym sensie źródłem i syntezą innych praw, stanowi ono „pierwszą zasadę wszelkiego porządku politycznego prawdziwie wolnego”. Papież szczególnie

znaczenie przypisuje prawu do wolności religijnej, rozumianej jako prawo do życia w prawdzie własnej wiary i zgodnie z transcendentną godnością własnej osoby. Prawo to jest tak ściśle związane z prawami podstawowymi, że poszanowanie wolności religijnej słusznie uznaje się za probierz poszanowania wszystkich praw człowieka. Można powiedzieć, że w jakimś stopniu wolność religijna dotyka najbardziej intymnej sfery ducha, w takim też stopniu podtrzymuje głęboko zakotwiczoną w każdej osobie rację bytu innych wolności. W związku z tym Jan Paweł II domaga się, by wolność religijna była coraz powszechniej pojmowana jako prawdziwa wolność obywatelska i społeczna. Ojciec Święty nigdy nie pozostawił wątpliwości co do tego, że traktuje prawo do wolności religijnej i wolności sumienia jako jeden z podstawowych „sprawdzianów prawdziwego postępu człowieka w każdym systemie i w każdym położeniu”.

Trzecią grupę praw człowieka stanowią prawa społeczne. Należą do nich: prawo do pracy, prawo do sprawiedliwej zapłaty, prawo do ochrony przed wyzyskiem, prawo do współwłasności środków produkcji, prawo do zrzeszania się w związkach zawodowych i do strajku, a także prawo człowieka pracującego do wypoczynku. W encyklice *Sollicitudo rei socialis* Jan Paweł II po raz pierwszy wspomina o jeszcze jednym ważnym prawie przysługującym człowiekowi, mianowicie prawie do inicjatywy gospodarczej. Ojciec Święty mówi także o szczególnych prawach pewnych grup i kategorii społecznych, takich jak ludzie niepełnosprawni, biedni, uciskani i wyzyskiwani, imigranci, i do przynależnych im na równi ze wszystkimi praw zalicza: prawo do narodowości, do wyboru miejsca zamieszkania, do uczestnictwa w życiu politycznym, do swobodnego wyboru ustroju i do oddziaływania na bieg wydarzeń państwowych.

Wszystkie prawa człowieka tworzą jedność i mają służyć integralnemu, wszechstronnemu, dynamicznemu rozwojowi korzystającego z nich podmiotu, czyli osoby ludzkiej.

Jedność tych praw przejawia się we współzależności praw indywidualnych i społecznych i znajduje wyraz w uznaniu, że wszyscy ludzie z natury są wolni i równi w godności. Prawa człowieka – na co zwraca uwagę przypisujący im tak ogromne znaczenie Jan Paweł II – mają jednak granice, a ich oblicze jest dwojakie: dają uprawnienia, ale też nakładają obowiązki. Wszystkim prawom odpowiadają określone nakazy: prawo do życia wiąże się z obowiązkiem utrzymania życia, prawo do wolności – z obowiązkiem właściwego korzystania z niej, prawo do pracy – z obowiązkiem sumiennego jej wykonywania. Każdemu naturalnemu prawu przysługującemu człowiekowi odpowiada obowiązek uznania i poszanowania praw innych ludzi. Zatem granicą praw człowieka i granicą korzystania z nich są prawa innych i wspólne dobro całego społeczeństwa.

W społeczeństwie, w którym prawa ludzkie nie są chronione, w którym są one uzależnione od samowoli silniejszych, w którym korzystają z nich jednostki, wprowadzając dla swej wyłącznej korzyści zasadę dyskryminacji, umiera idea uniwersalności, a społeczeństwo nie może rozwijać się w pokoju. Na ile gdzieś istnieje poszanowanie praw osoby ludzkiej, na tyle panuje tam pokój, i na ile poszanowanie to jest autentyczne, na tyle pokój jest autentyczny i trwały. Żeby więc można się było przyczynić do budowania pokoju, trzeba się troszczyć o przestrzeganie praw człowieka. Nie jest możliwe budowanie pokoju w świecie bez dążenia poszczególnych narodów do respektowania wszystkich praw przysługujących człowiekowi.

Tam, gdzie gwałcone są prawa człowieka, rodzi się i dojrzewa duch wojny. Pokój sprowadza się w istocie do poszanowania nienaruszalnych praw człowieka, wojna zaś rodzi się z ich naruszania i prowadzi do jeszcze większego ich pogwałcenia. Zależność ta jest tak ścisła, iż można postawić znak równości między poszanowaniem praw człowieka a pokojem. Tylko rzeczywista pełnia praw, zagwarantowa-

na każdymu człowiekowi, bez jakiegokolwiek dyskryminacji, może zapewnić pokój u samych jego podstaw. Dlatego autentyczny pokój musi być mocno zakorzeniony w niezbywalnych prawach człowieka. Nie można wobec tego dopuszczać do ich łamania, nie można na to przyzwalać, nie można zamykać na to oczu.

Nic nie usprawiedliwia gwałcenia praw. Nawet, jeśli przez jakiś czas dyktatura zagłusza skargę gnębionych, w końcu wybuchnie ona z wielką siłą. Człowiek zatroskany o pokój musi mieć zatem odwagę ujmować się za tymi, którzy cierpią, nie może się ugiąć przed niesprawiedliwością ani godzić się z nią. Ten, kto prawdziwie pragnie pokoju, odrzuca wszelki pacyfizm, za którym kryje się tchórzostwo, zwykła chęć zapewnienia sobie spokoju i bezpieczeństwa, i czyni, co może, by szanowana była ludzka godność i przestrzegane ludzkie prawa; sam przestrzega praw innych i dba, by przestrzegane były jego prawa, dbając przy tym, by przestrzegano praw każdego człowieka.

Aby prawa te nie były tylko martwą literą, jak to niestety jest w wielu miejscach świata, żadnemu państwu, żadnemu społeczeństwu, żadnemu człowiekowi nie wystarczy jedynie sama znajomość konstytucji czy międzynarodowych konwencji, deklaracji, porozumień. Konieczna jest przede wszystkim wola uznawania, respektowania i realizacji tych praw przez jednostki, władzę państwową i społeczność ogólnoludzką, a wola ta zależy przede wszystkim od etosu przyjmowanego przez poszczególnych ludzi, ciała ustawodawcze, parlamenty, rządy, gremia polityczne, partie, instytucje, organizacje, zarządy przedsiębiorstw, stowarzyszenia. Nie jest jednak tak, że sama zmiana struktur i tworzenie instytucji wpłynie na zmianę etosu a tym samym na poprawę w zakresie przestrzegania praw człowieka i korzystania z nich. Potrzebna jest zmiana mentalności i postaw ludzi, ich stosunku do rzeczywistości.

Warunkiem koniecznym respektowania i realizacji praw człowieka przez systemy polityczne, prawne i instytucje jest rozwój kultury moralnej jednostek i społeczeństw. Nieposzanowanie praw ma ostatecznie swoje źródło w sercu, w postawie duchowej. Dlatego też, zdając sobie z tego sprawę, Sobór Watykański II mówi: „Aby poszczególni ludzie wypełniali dokładniej swój obowiązek sumienia, czy to w stosunku do siebie, czy też w stosunku do różnych grup, których są członkami, trzeba ich starannie wychowywać ku pełniejszej kulturze duchowej” (KDK 31).

Nie każde jednak wychowanie prowadzi do rzeczywistej kultury duchowej i poszanowania praw człowieka. Z pewnością nie prowadzi do tego wychowanie na zasadach liberalizmu, które by trzeba raczej nazwać antywychowaniem, jako że dominuje w nim ukierunkowanie na konsumpcyjny styl życia i eksponowanie uprawnień przy pomijaniu obowiązków, zachęcanie, wręcz nawoływanie do korzystania z pełnej wolności, nawet jeśli wiąże się ona z ograniczaniem wolności drugich, oraz przyjęcia niekontrolowanej etycznie postawy konsumpcyjnej, co razem wzięte uwalnia od odpowiedzialności za innych, stanowi wyrażenie zgody, aby ci, którzy wyznają inne wartości albo są na tyle ograniczeni, że nie umieją znaleźć się w rzeczywistości i wskutek tego odczuwają dotkliwe braki, zostali zepchnięci do egzystencji w nędzy i na marginesie życia społecznego. Wychowaniu do poszanowania praw człowieka nie sprzyja także takie wychowanie, w którym kapitał stawiany jest przed osobą ludzką, technika przed etyką, zasada zysku przed sprawiedliwością. Prawa człowieka nie są promowane i nie przypisuje się im znaczenia również w wychowaniu opartym na ideologii nacjonalistycznej czy rasistowskiej, uznającej przemoc za czynnik rozwoju społecznego i zezwalającej na jej stosowanie.

Proces wychowawczy właściwie przygotowujący do poszanowania praw przysługujących istocie ludzkiej powinien być oparty na uznaniu podstawowej prawdy, że każdy

człowiek ma tę samą godność i że z godności tej wynikają wszystkie jego prawa. Wychowanie musi polegać na wpajaniu przekonania i prowadzić do pełnego rozumienia, że wszyscy ludzie mają wspólną, taką samą naturę, są braćmi i siostrami, związanymi węzłem człowieczeństwa. Bez obudzenia świadomości powszechnego braterstwa, bez obudzenia odpowiedzialności za drugiego człowieka wysiłki zmierzające do ochrony praw nie mogą być skuteczne.

Wychowanie do poszanowania praw winno prowadzić do całkowitej, bez żadnych zastrzeżeń, akceptacji różnic występujących między ludźmi, grupami etnicznymi, rasami oraz narodami, do eliminacji uprzedzeń i nienawiści do tych, którzy w jakikolwiek sposób są inni. W jego toku powinno się uczyć szacunku wobec wszystkich narodów, kultur, hierarchii, wartości oraz obyczajów i powinno się uświadamiać, jakie prawa przysługują człowiekowi, ale też jakie ma on – wynikające także z tych praw – obowiązki, jakie stoją przed nim ograniczenia, nakazy i zakazy.

Zarówno te prawa, jak i zakazy jasno zostały ujęte w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Jej postanowienia gwarantują:

- prawo do życia, wolności i bezpieczeństwa osobistego,
- prawo do rzetelnego procesu sądowego w sprawach cywilnych i karnych,
- prawo do głosowania i kandydowania w wyborach,
- wolność myśli, sumienia i wyznania,
- wolność wyrażania opinii (w tym również wolność mediów),
- prawo do posiadania własności lub korzystania z niej bez przeszkód,
- wolność zgromadzeń i stowarzyszania się,

a zakazują:

- tortur i traktowania lub karania kogokolwiek w sposób nieludzki lub poniżający,

- stosowania kary śmierci,
- niewolnictwa oraz pracy przymusowej,
- dyskryminacji w korzystaniu z praw i wolności zagwarantowanych w Konwencji,
- wydalania z kraju jego obywateli lub zakazywania im wstępu na jego terytorium,
- wydalania z kraju grup cudzoziemców.

Oczywiście, słuszne są to prawa i słuszne zakazy, ale trzeba powiedzieć: bez właściwego wychowania do nich – a nie może być właściwego wychowania bez wychowania w wierze – nie będzie ich poszanowania. Żadne prawa ludzkie nie będą przestrzegane, gdy w ludziach nie będzie Boga i Jego miłości, i żadne prawa nie dadzą się zabezpieczyć bez odwołania się do Ewangelii, bo właśnie ona „zwiastuje i głosi wolność synów Bożych, odrzuca wszelką niewolę, wypływającą ostatecznie z grzechu, święcie szanuje godność sumienia i wolną jego decyzję, upomina wciąż, aby wszelkie talenty ludzkie z wielokrotnością na służbę Bogu i dobru ludzi. Wreszcie wszystkich poleca miłości wszystkim” (KDK 41).

Nie ulega wątpliwości, jakkolwiek w tym świecie – jak mówią niektórzy – wszystko jest wątpliwe; nie ulega wątpliwości jedno: podstawowe prawa człowieka można zabezpieczyć, a ich przestrzeganie można zagwarantować jedynie przez wychowanie w duchu ewangelicznej miłości.



ŻYCIE LUDZKIE

Zabójstwa dokonywane są jednak bezustannie i wszędzie! Donosi nam o nich codzienna prasa, mówią o nich dzienniki radiowe i telewizyjne. Wstrząsają nami okrutne morderstwa i napady, których ofiarami stają się niewinni ludzie. Przerażają nas wieści o tragicznych wojnach i krwawych konfliktach pochłaniających tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy ofiar. Lękiem napełniają nas ataki terrorystyczne, w wyniku których krew leje się strumieniami, ulicami miast i wsi. Szczególnie porażają nas morderstwa dokonywane przez nieletnich, a nawet dzieci, niejednokrotnie od urodzenia szkolonych na przestępców lub żołnierzy, jakby w myśl – nie o tym mówiących, a jednak wykorzystywanych przez wielu jako życiowe hasło – słów Eurypidesa: „Nasze życie to walka”.

Wszystko to jest tragiczne, ale tragiczne jest także i to, co w tym codziennym szumie informacyjnym najczęściej uchodzi naszej uwadze albo do czego zdążyliśmy już tak przywyknąć, iż nie robi to na nas wrażenia. Mamy oczywiście na myśli zabójstwa niewinnych ludzi dokonywane w ukryciu i pod osłoną prawa, jako że w ustawodawstwie wielu krajów zapisana jest możliwość zabijania nienarodzonych dzieci, pozbawiania życia ludzi nieuleczalnie chorych i starych, a także unicestwiania maleńkich istotek w początkowej fazie ich rozwoju podczas tzw. sztucznej prokreacji oraz w trakcie dokonywania eksperymentów medycznych na począłym życiu ludzkim.

O ich śmierci nikogo się nie informuje, nie urządza się im żadnego pogrzebu, mało tego, odmawia się im nawet prawa bycia człowiekiem. Jest to nie tylko zakwestionowanie podstawowych norm moralnych naszej cywilizacji, jest to coś o wiele więcej, coś, co nawet przekracza możliwość zrozumienia przez wielu, co jednak przez wszystkich powinno być rozumiane.

Zabójstwo człowieka, zniszczenie jest niepojętą zbrodnią, zbrodnią tak straszliwą, że czasami może i trudno się dziwić, że człowiek nie jest w stanie zrozumieć, jak straszliwą.

Nie ulega wątpliwości: Bóg słyszy ten niemy krzyk dochodzący z ziemi i kiedyś upomni się o każdego człowieka, o każde ze swych dzieci. Życie ludzkie, od momentu poczęcia aż do ostatniej chwili doczesnego trwania, jest święte, ponieważ jest stworzone na obraz i podobieństwo Boże; jest bezcenne, bowiem jest dziełem Stwórcy, którego miłość nie ma granic; i jest nienaruszalne, ponieważ jest dane od Boga, a kiedy Bóg daje, daje na zawsze. Życie jest Boże, to znaczy, że jest wyjęte spod wszelkiej ludzkiej władzy, która arbitralnie mogłaby je zniszczyć, godne najwyższego szacunku, najwyższej opieki, wszelkiej ofiary. Sam Bóg staje w jego obronie, mówiąc: „nie zabijaj!”. Ten zakaz jest kategoryczny, nieodwołalny, nie ma od niego żadnych wyjątków.

Jan Paweł II w encyklice *Evangelium vitae*, która jest ukoronowaniem przepowiadania Ewangelii życia we współczesnym świecie, naucza, że „świadoma i dobrowolna decyzja pozbawienia życia niewinnej istoty ludzkiej jest zawsze złem z moralnego punktu widzenia i nigdy nie może być dozwolona ani jako cel, ani jako środek do dobrego celu. Jest to bowiem akt poważnego nieposłuszeństwa wobec prawa moralnego, co więcej, wobec samego Boga, jego twórcy i gwaranta; jest to akt sprzeczny z fundamentalnymi cnotami sprawiedliwości i miłości. Nic i nikt nie może dać prawa do zabicia niewinnej istoty ludzkiej, czy to jest embrion, czy płód, dziecko czy dorosły, człowiek stary, nieuleczalnie chory czy umierający. Ponadto nikt nie może się domagać, aby popełniono ten akt zabójstwa wobec niego samego lub wobec innej osoby powierzonej jego pieczy, nie może też bezpośrednio ani pośrednio wyrazić na to zgody”¹⁵⁰.

¹⁵⁰ Jan Paweł II, *Evangelium vitae*, nr 57.

Nieco wcześniej w tej samej w encyklice Ojciec Święty wyjaśnia, że przykazanie „nie zabijaj” nie tylko zakazuje zamierzonego i bezpośredniego zabójstwa niewinnej istoty ludzkiej, ale także wzywa do jak najszerzego zaangażowania się w obronę życia ludzkiego¹⁵¹. Zaangażowanie to rodzi konkretne zobowiązania, które w pierwszym rzędzie dotyczą rodziców, będących wszak współpracownikami Stwórcy w dziele przekazywania życia. Z pewnością dziecko oznacza dla nich nowy trud, nowy zasób potrzeb i kosztów, nierzadko jawi się więc pokusa, żeby go nie mieć. Pokusa ta bywa bardzo mocna w obecnych czasach. Należy jednak zapytać: czy nowa istota przychodzi tylko po to, by zabierać, a nie dawać?

Każde dziecko jest darem dla rodziców i dla rodzeństwa. Jest częścią rodziny, bez której ludzkie społeczności rozpadają się i umierają. A zatem dzieci powinny być przyjmowane przez rodziców jako dar Boga. Bo są darem Boga. Jest to czasami dar trudny do przyjęcia, ale zawsze dar bezcenny. Dlatego trzeba zmienić stosunek do dziecka poczętego, nawet jeśli pojawiło się ono nieoczekiwanie. Dziecko nigdy nie jest intruzem ani agresorem. Zawsze jest osobą ludzką, zatem ma prawo do tego, aby rodzice nie skąpili mu daru z samych siebie, choćby wymagało to od nich szczególnego poświęcenia. Świat zmieniłby się w koszmar – mówił Ojciec Święty w Kielcach w 1991 roku – gdyby małżonkowie znajdujący się w trudnościach materialnych widzieli w swoim poczętym dziecku tylko ciężar i zagrożenie dla swojej stabilizacji, a małżonkowie dobrze sytuowani – tylko niepotrzebny a kosztowny dodatek życiowy. Znaczyłoby to bowiem, że miłość już się nie liczy w ludzkim życiu, że jej po prostu nie ma.

Ponieważ życie ludzkie jest zagrożone we wszystkich fazach swego rozwoju, wymaga wzmożonego i zespołowego wysiłku podejmowanego w jego obronie przez wszystkich ludzi dobrej woli. Nikt od tego obowiązku nie może się łatwo

¹⁵¹ Tamże, nr 54.

zwalniać. Zamykanie się na dar życia ludzkiego, ucieczka od jego obrony, obojętność wobec losu nienarodzonych dzieci i skazywanych na eutanazję ludzi starych czy chorych, brak zaangażowania się w służbę życiu jest poważnym grzechem zaniedbania.

Dlatego tak ważną rzeczą jest tworzenie kultury życia. Powinna ją pielęgnować zarówno opinia publiczna, media, jak i państwo, mogące stanowić odpowiednie prawo. W tych działaniach nie może zabraknąć kapłanów. Nie może zabraknąć nikogo. Wszyscy jesteśmy posłani do głoszenia Ewangelii życia, stanowiącej integralną część Ewangelii, którą jest Jezus Chrystus. Służba życiu jest więc naszym podstawowym obowiązkiem. Jest to zadanie w ścisłym sensie „eklezyjalne”. „Wszyscy razem czujemy się do obowiązku głoszenia Ewangelii życia, celebrowania jej w liturgii i w całym życiu oraz służenia jej poprzez różne inicjatywy i za pośrednictwem struktur, które mają być dla niej oparciem i narzędziem promocji”¹⁵² – mówił Jan Paweł II. Od naszej publicznej aktywności, która musi mieć wymiar świadectwa, zależy los wielu nienarodzonych dzieci. Przede wszystkim musimy przywrócić życiu najwyższą rangę w naszych rodzinach, albowiem tylko wychowanie rodzinne, wsparte wysiłkami państwa, może stworzyć właściwy klimat szacunku dla życia.

Z ogromną troską winniśmy się pochylać nad dziećmi upośledzonymi czy chorymi i wielką wdzięczność okazywać tym, którzy im ofiarnie służą. Powinniśmy uświadamiać wszem i wobec, że konieczne jest działanie instytucji rządowych i pozarządowych na rzecz pomocy rodzinom wielodzietnym, a także tworzenie prawnych gwarancji zapewniających osłonę tych rodzin. Historia nie zna państwa, które byłoby silne, gdy rodzina znajdująca się w nim jest w rozbiciu. Najlepszą inwestycją dla przyszłości jest inwestycja w rodzinę, zapewniająca jej możliwość przyjęcia jak najliczniejszego potomstwa i godnego jego wychowania. Winniśmy dokładać

¹⁵² Tamże, nr 79.

starań, aby wybierano do parlamentu i na urząd prezydenta tych, którzy bronią życia ludzkiego od chwili poczęcia aż do naturalnej śmierci. Powinniśmy otaczać opieką starszych i nieuleczalnie chorych, wspierać duchowo i materialnie tych, którzy podejmują się adopcji duchowej, tych którzy pracują w hospicjach, w domach „samotnej matki”, w ośrodkach dla narkomanów i chorych na AIDS. To tylko niektóre przykłady naszego zaangażowania się w obronę życia ludzkiego.

Nade wszystko winniśmy wychowywać młode pokolenie do poszanowania świętości życia. Złudne jest przekonanie, że można budować prawdziwą kulturę ludzkiego życia, nie pomagając młodym w pojmowaniu i przeżywaniu płciowości, miłości i życia, zgodnie z ich prawdziwym przeznaczeniem i w ścisłej ich współzależności. Banalizacja płciowości jest – według Ojca Świętego – jednym z głównych czynników, które stoją u podstaw pogardy dla rodzącego się życia. Tylko prawdziwa miłość umie strzec życia. Nie można zatem uchylać się od obowiązku zapewnienia – przede wszystkim młodzieży – autentycznego wychowania do przeżywania płciowości i miłości, formacji zawierającej wychowanie do czystości jako cnoty, która sprzyja osiągnięciu osobowej dojrzałości i uzdalnia do poszanowania czystości ciała.

W biblijnym obrazie Sądu Ostatecznego Pan Jezus wyraźnie nas poucza, że ci po prawej stronie pozostaną z Nim, natomiast ci po lewej pójdą na potępienie nie tylko za zło, które czynili, ale za zaniechanie dobra. Usłyszą oni słowa: „Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom. Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść; byłem spragniony, a nie daliście Mi pić; byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie; byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie” (Mt 25, 42–44). Parafrazując te słowa można by powiedzieć: „byłem zagrożony w łonie matki, a nie stanęliście w Mojej obronie; byłem stary i chory, a nie chcieliście zaopiekować się Mną”... „Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyni-

liście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili” (Mt 25, 45).

Z głębi serca powinniśmy dziękować Bogu za dar życia i tę wdzięczność wyrażać w trosce o własne życie i zdrowie, a także o życie i zdrowie naszych bliźnich. Naszą wdzięczność przede wszystkim winniśmy kierować pod adresem naszych rodziców, którzy nie bali się podjąć odpowiedzialnego trudu ojcostwa i macierzyństwa, a także tych, którzy od lat działają na rzecz ochrony życia nienarodzonego, oraz tych, którzy opiekują się starcami i ludźmi zniedołężniałymi. Bóg, który wszystko widzi, wspaniałomyślnie nagrodzi wszelkie wysiłki związane ze służbą życiu i jego obroną.

A Bóg jest. Najwymowniejszy dowód Jego istnienia stanowi człowiek. Życie.

WARTOŚCI





WOLNOŚĆ

Georg Wilhelm Friedrich Hegel pisał: o ile „wiedza ludzi, że ich istotą, celem i przedmiotem jest wolność, jest wiedzą spekulatywną, to sama ta idea jako taka jest rzeczywistością ludzi, przy czym nie chodzi tu o rzeczywistość, którą oni w rezultacie tej wiedzy *mają*, ale o rzeczywistość, którą oni *są*. (...) Jest to owo pragnienie wolności, które nie jest popędem domagającym się zaspokojenia, ale charakterem – duchową świadomością, która stała się pozbawionym popędów bytem”¹⁵³. Słowa te precyzyjnie określają miejsce człowieka w rzeczywistości świata i transcendencji. Rozważając je, wchodzimy w samo centrum zagadnienia ludzkiej wolności, a zarazem w samo centrum relacji Bóg – człowiek i stajemy wobec jednej z największych tajemnic.

Wolnością obdarzył człowieka Stwórca w momencie, gdy go stworzył. Wolność jest więc rzeczywistością człowieka, ale nie jest to rzeczywistość, którą *ma*, to rzeczywistość którą *jest*. Rzeczywistość ta jest również – i przede wszystkim – rzeczywistością Boga i poprzez tę rzeczywistość człowiek jest do Boga upodobniony. Ale też różni się on od Niego zasadniczo, człowiek bowiem pragnie wolności i to stanowi jego duchową świadomość. Bóg nie pragnie wolności. Bóg nią jest. Duchową świadomością człowieka jest pragnienie wolności, duchową świadomością Boga jest wolność.

I z tym człowiek nie mógł się pogodzić. Zazdrościł Bogu Jego duchowej świadomości, pragnął uzyskać taką samą. To wyznacza początek ludzkiej tragedii. Bóg stworzywszy człowieka umieścił go w raju i obdarzył wszelkimi dobrami, z których największym była wolna wola. Kobieta i mężczyzna żyli w doskonałej harmonii ze sobą i z przyrodą. Ból, przykrość, zmartwienie, niepokój, cierpienie – to było im nieznanne. Mieli tylko jedno ograniczenie: nie mogli zerwać owocu z drzewa rozeznania dobra i zła. Ograniczenie to ciążyło im niezmiernie; w końcu je przełamali. Erich Fromm

¹⁵³ G. W. F. Hegel, *Encyklopedia nauk filozoficznych*, Warszawa 1990, s. 493–494.

pisze, że był to pierwszy akt ludzkiej wolności. Adam i Ewa uwolnili się od przymusu, zyskali całkowitą wolność. Ale akt ten był przyczyną ogromnych nieszczęść. „Przekroczenie natury, wyobcowanie się od niej i od drugiej ludzkiej istoty sprawia, że człowiek staje się nagi i zawstydzony. Jest sam i jest wolny, lecz zarazem bezsilny i przerażony. Świeżo zdobyta wolność wydaje mu się przekleństwem; uwolnił się ze słodkich więzów raju, lecz nie dość jest wolny, aby rządzić sobą i realizować swoją osobowość”¹⁵⁴.

Przełamując zakaz Boży człowiek zyskał wolność „od”, która „nie jest identyczna z pozytywną «wolnością do»”¹⁵⁵. Odtąd „wolność od” chyba najlepiej określa kondycję człowieka, stała się bowiem jego naczelnym dążeniem. Zyskał ją, ale nie zyskał wolności w sensie pozytywnego urzeczywistnienia siebie, czym jest „wolność do”. „Wolność – jeszcze raz zacytujmy Fromma – mimo iż przyniosła mu niezależność i władzę rozumu, uczyniła go samotnym, a przez to lęklwym i bezsilnym. Owa izolacja jest nie do zniesienia i ma on do wyboru albo ucieczkę przed brzemieniem wolności ku nowym uzależnieniom i podporządkowaniu, albo dążenie do pełnej realizacji wolności pozytywnej, która opiera się na jedności i niepowtarzalności człowieka”¹⁵⁶.

Wolność pozytywna jest trudna, stanowi wielkie wyzwanie i wielkie zobowiązanie, rezygnacja z wolności, choć przykra, jest o wiele łatwiejsza. Człowiek z natury jest wolny, został wyposażony w wolną wolę, ale w gruncie rzeczy sam ogranicza swoją wolność do wyboru między zyskaniem pełni swego człowieczeństwa w wolności a ucieczką od niej – i najczęściej wybiera drugie z tych rozwiązań. Następstwem tego jest całkowite „przewartościowanie wartości” – żeby użyć znanego określenia Fryderyka Nietzschego, pomieszanie pojęć, zagubienie i beznadziejne błędzenie w doczesności wyrwanej spod światła transcendencji, a wol-

¹⁵⁴ E. Fromm, *Ucieczka od wolności*, Warszawa 1983, s. 49.

¹⁵⁵ Tamże.

¹⁵⁶ Tamże, s. 18.

ność – tak jak się ją dzisiaj rozumie – stała się szyderstwem z wolności.

Znamiennym rysem współczesnej cywilizacji jest permissywizm powiązany z hedonizmem. Wszystko jest dozwolone, o ile tylko stanowi efekt wolnego wyboru. Postmoderności negują wartości wszelkiego prawodawstwa, propagując tezę o zbędności czy wręcz szkodliwości dekretowania zasad moralnych. Ich zdaniem jedynie odrzucenie norm moralnych – co jest paradoksem – przywróci moralności właściwe jej znaczenie i miejsce w ludzkiej egzystencji. Człowiekowi nie wolno nie tylko narzucać, ale nawet proponować żadnej moralności; on sam ma dokonywać wyborów według własnego uznania. Jeśli zatem uznaje swoje postępowanie za moralne, to jest ono moralne. Normy etyczne jako obiektywne i niezależne od ludzkiego zmiennego „widzimi się”, odwieczne wskazania zostały zanegowane w całej rozciągłości, akceptowane są wyłącznie normy własne, stanowione na własny użytek. Na podłożu tym wyrosła i rozpleniła się wszechobecna już dzisiaj tzw. mentalność roszczeniowa. Człowiekowi współczesnemu wszystko się należy, do wszystkiego ma prawo, wszystko musi mieć. Nastawił się niemal wyłącznie na konsumpcję. Celem jest zdobywanie, osiągnięcie, zaspokajanie. Istotne jest to, co się ma, nie to, kim się jest. Twórczość, altruizm, poświęcenie, służba to przebrzmiałe echa dawnych czasów. Powszechny stał się egoizm, egocentryzm, skupienie się na samym sobie i swoich potrzebach. W tym wszystkim zatracą się zdolność rozróżnienia między tym, co dobre, a tym, co złe, poczucie prawdziwego przeznaczenia człowieka i świadomość transcendentnego wymiaru życia.

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów współczesności jest uległość, skłonność do podporządkowania się. Totalne rozmiary przybrało to w Związku Sowieckim, w Trzeciej Rzeszy, w Chinach, Korei Północnej czy na Kubie, ale jest to widoczne w każdym społeczeństwie. Człowiek łatwo rezygnuje z myślenia, jest zadowolony, gdy myślą za

niego inni; rezygnuje z wytyczania sobie celów, wystarczy, że wytyczają mu je inni; pozbawia się władzy decydowania, cieszy się, gdy decydują za niego inni. Jego wolność staje się fikcją, ale jest najgłębiej przekonany, że jest wolny. Ucieczka od wolności staje się faktem. I na tym właśnie żerowały faszyzm i komunizm i na tym żeruje obecnie postmodernizm, który nie tylko lansuje pseudo-wartości, ale podsuwa także pseudo-rozwiązania, pseudo-cele lub cele zastępcze i kreuje sztuczne potrzeby, wmawiając człowiekowi, iż warunkiem „nowoczesności” i „postępowości” jest uleganie upowszechnianym przez wszechobecną reklamę podszeptom i korzystanie z tzw. dobrodziejstw cywilizacyjnych, często z prawdziwą cywilizacją niemających nic wspólnego. Człowiek jednak przestaje sobie zdawać sprawę z tego wszystkiego. Żyje w zadowoleniu, syty, bezpieczny, wyposażony we wszystko, co mu potrzebne, wolny. Dotąd jego wolność ograniczała religia, ale Marks powiedział mu, że „religia to opium dla mas”, prawdziwa przyczyna zniewolenia człowieka. Bóg rzeczywiście wymaga, wolność z Bogiem nie jest zatem autentyczną wolnością.

Człowiek zaczął więc wierzyć w podsuniętą mu doktrynę, a przestał wierzyć w Boga. Odrzuciwszy Boga łatwo już mógł odrzucić Boże prawa i przyznać sobie „wyłączny przywilej autonomicznego określania kryteriów dobra i zła oraz zgodnego z tym działania”. Odtąd wszystko stało się względne: nie ma niepodważalnych prawd, ponadwiecznych wartości, powszechnych praw, nie ma zasad moralnych. Wolność stała się absolutem. Że wolność taka jest zaprzeczeniem wolności – to już pozostaje poza świadomością. Ale „ludzie są nierozsądni – pisał Søren Kierkegaard. – Nigdy nie używają wolności, którą mają, a żądają takiej, jakiej nie mają; jak mają wolność myślenia, to zaraz chcą wolności gadania”¹⁵⁷. Mieli wolność z Bogiem, woleli wolność bez Boga; mieli wolność myślenia, woleli wolność niemyślenia, mieli wolność autentyczną, woleli wolność pozorną.

¹⁵⁷ S. Kierkegaard, *Albo – albo*, dz. cyt., s. 20.

Taka jest rzeczywistość współczesnego świata, taka jest w nim wolność. W tym kontekście jak nieprawdziwie brzmią słowa mówiące, że „człowiek został powołany do wolności”. Nie jest to nieprawda, człowiek został do niej powołany. I zdaje sobie z tego sprawę. Współczesna kultura uczyła z wolności swoją dewizę, wyniosła ją na wyżyny absolutu, jednak wolność jest dzisiaj jedną z wartości najbardziej błędnie pojmowanych i poważnie pogwałconych. Prawdziwa wolność polega na podporządkowaniu się pewnym zasadom i regułom. Jesteśmy wolni, bo to my sami wybieramy te reguły i zasady, gdyż umożliwiają nam one realizację osobistego i wspólnotowego dobra. Jeśli wolność nie zostaje podporządkowana samoograniczeniom, staje się niczym nieskrępowaną swobodą, będącą w gruncie rzeczy swawolą lub samowolą. Wolność niepoddana żadnym zasadom czy regułom nie będzie nigdy wolnością odpowiedzialną i w konsekwencji zamiast człowieka „wyzwolić”, doprowadzi do jego „zniewolenia”.

Współczesna deformacja wolności wynika z błędnej koncepcji człowieka, w myśl której jest on istotą najwyższą i niezależną. W rzeczywistości człowiek jest jednak istotą stworzoną przez Boga i od Niego zależną, istotą skończoną i społeczną, która od swoich narodzin, przez całe życie nieustannie potrzebuje pomocy bliźnich. Jego wolność odnajduje swe znaczenie i cele wyłącznie w trójkącie wyznaczonym przez własne „ja”, innych i Boga.

Człowiek współczesny, mimo iż wyzuty z wolności, w głębi swego serca pragnie jednak być naprawdę wolny, nie chce uciekać od wolności, chce myśleć i podejmować odpowiedzialne decyzje; musi tylko jasno widzieć, co jest dobre, a co złe. Żeby człowiekowi została przywrócona wolność, która byłaby naprawdę wolnością, konieczne jest, aby została mu przywrócona religijna i metafizyczna wizja osoby ludzkiej i świata, wizja, która określa właściwą miarę istoty ludzkiej. Konieczne jest też wykształcenie w człowieku umiejętności dobrego korzystania z wolności. I jeszcze jedna nie-

zwykle ważna rzecz: trzeba w nim wzmocnić albo dopiero wzbudzić wolę wolności, ludzie bowiem chcą być wolni, lecz nie mają woli być wolni lub wola ta jest zbyt słaba; gdy więc ich wolność napotyka na przeszkody lub stawia przed nimi wymagania, wycofują się.

Wolność stanowi wyzwanie. Aby mu sprostać, musi się być wielkim wola. Wola wolności umożliwia urzeczywistnienie własnego „ja”, które „dokonuje się – oddajmy znowu głos Erichowi Frommowi – nie tylko w akcie myślenia, ale także przez realizację całej osobowości, w czynnym wyrażaniu emocjonalnych i intelektualnych potencji człowieka. (...) Innymi słowy wolność pozytywna polega na spontanicznej aktywności całej zintegrowanej osobowości”¹⁵⁸ – dodajmy: zwróconej ku Bogu. Uzupełnienie to jest niezbędne, albowiem prawdziwie zintegrowana osobowość jest nie do pomysłenia bez Boga, w oderwaniu od Niego. Zintegrowana osobowość to osobowość zintegrowana z Bogiem i tylko taka może się w pełni realizować zarówno w akcie wolności, jak i w aktach miłości, dobra, poświęcenia, miłosierdzia czy sprawiedliwości.

Ojciec Święty Jan Paweł II nieustannie przypominał, że wolność jest dana każdej osobie ludzkiej jako miara jej godności – jest dana, a równocześnie zadana. Jak pisał Leopold Staff: „Wolność nie jest ulgą, lecz trudem wielkości” (*Oto twa pieśń*). Wolności człowiek może używać dobrze lub źle. Można dzięki niej budować lub niszczyć. Ale kto źle korzysta z wolności, ten sprzeciwia się Bożym planom zbawienia, odrzuca ofiarowane i proponowane mu zbawienie.

I to stanowi dramat wolności. Rozpoczął się on już w raju, często powtarzał się w dziejach ludu wybranego, a swój szczyt osiągnął w czasach Chrystusa. Człowiek odrzucił prawdę, że został stworzony przez Boga i że nosi w sobie pierwiastek Boski, wskutek czego zagubił się w rzeczywistości świata i zatracił swą Boską, bo pochodzącą od Boga

¹⁵⁸ Tamże, s. 241.

godność. Przywrócenie człowiekowi tej godności mogło się dokonać jedynie przez Wcielenie. Chrystus – jak pisze Mikołaj Bierdiajew – przyszedł na świat, by przywrócić „utraczone przez człowieka miejsce, jego prawo do boskiego pochodzenia. Upadły człowiek przekształcił się w istotę świata przyrody, skowaną przez determinizm, stał się bezsilny, aby samemu się wyzwolić z niewoli i przywrócić do swoich boskich źródeł. Mógł to uczynić jedynie Absolutny, Boski Człowiek, przez którego każdy człowiek ma wspólnotę z naturą boską i boską mocą. Absolutny Człowiek w Bogu chroni oblicze człowieka w takim stanie, w jakim zostało ono stworzone przez Boga. W Absolutnym Człowieku natura człowieka pozostaje w wyższych, boskich sferach bytu, podczas gdy w upadłym człowieku pogrążona jest w niższych sferach bytu”¹⁵⁹.

Chrystus z miłości do człowieka przyszedł na ziemię, aby podnieść człowieka w owe „wyższe sfery bytu”, człowiek jednak – obdarzony wolną wolą – odrzucił ten dar i przybił Odkupiciela do krzyża (Odwieczne Słowo „Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli” – J 1, 11). Dramat Golgoty w swym najgłębszym sensie jest więc dramatem Bożej i ludzkiej wolności. Ludzie, pojmujący siebie jako istoty wolne, umęczyli Tego, Który przyszedł, aby uczynić ich wolnymi. „Ku wolności wyswobodził nas Chrystus” – pisze w *Liście do Galatów* Paweł Apostoł (Ga 5, 1).

Wyzwolenie dokonane przez Chrystusa – jak uważa Jan Paweł II – oparte jest na prawdzie, Chrystus bowiem „wyzwała człowieka od tego, co tę wolność ogranicza, pomniejsza; łamie niejako u samego korzenia, w duszy człowieka, w jego sercu, w jego sumieniu”. Bez tego wyzwolenia, jakie przynosi Chrystus, bez uwolnienia człowieka od grzechu, nie mogłyby się dokonać żadne rzeczywiste wyzwolenie w znaczeniu społeczno-politycznym, nie może się ono bowiem dokonać, jeśli człowiek poddany jest

¹⁵⁹ M. Bierdiajew, *Sens twórczości. Próba usprawiedliwienia człowieka*, Kęty 2001, s. 60-61.

grzechowi, jeśli w społeczeństwach dominuje niesprawiedliwość, kłamstwo, wyzysk i różne formy agresji. „Aby się wyzwolić, trzeba być wewnątrznie wolnym” – pisał Stanisław Wyspiański

Zdaniem Jana Pawła II słowa Chrystusa: „poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 32) należą do najważniejszych słów zapisanych w Ewangelii. „W słowach tych zawiera się podstawowe wymaganie i przestroga zarazem. Jest to wymaganie rzetelnego stosunku do prawdy jako warunek prawdziwej wolności. Jest to równocześnie przestroga przed jakąkolwiek pozorną wolnością, przed wolnością rozumianą powierzchownie, jednostronnie, bez wniknięcia w całą prawdę o człowieku i o świecie”¹⁶⁰. Wolność wyzuta z prawdy staje się wolnością destruktywną, skierowaną ku niszczeniu: „zapiera się samej siebie, zmierza do autodestrukcji i do zniszczenia drugiego człowieka, gdy przestaje uznawać i respektować konstytutywną więź, jaka łączy ją z prawdą. Ilekroć wolność, pragnąc wyswobodzić się od wszelkiej tradycji i autorytetu, zamyka się nawet na pierwotne, najbardziej oczywiste pewniki prawdy obiektywnej i powszechnie uznawanej, stanowiącej podstawę życia osobistego i społecznego, wówczas człowiek nie przyjmuje już prawdy o dobru i złu jako jedyne i niepodważalne punktu odniesienia dla swoich decyzji”¹⁶¹.

Jeśli nie przyjmuje tej prawdy, sam dokonuje wyboru. Często jest to wybór zła. Immanuel Kant uważał, że zło jest nieusuwalne z natury ludzkiej i wiązał je z naturalnymi skłonnościami człowieka, a przede wszystkim z nadużywaniem przez niego wolności wyboru. Jako że zło jest niejako chciane, jest bowiem wybierane przez człowieka w akcie jego wolnej woli, jest mu potrzebne wsparcie prawa moralnego – to znaczy nakaz Boski.

¹⁶⁰ Jan Paweł II, *Evangelium vitae*, nr 19.

¹⁶¹ Tamże.

Człowiek pozostawiony sam na sam ze swoją wolnością, jakkolwiek byłaby ona rozumiana, postrzegana i przeżywana, narażony jest na niebezpieczeństwo zagubienia się w tej wolności. Dzięki niej i na jej mocy ma możliwość dokonywania wyborów, jednak wybory te zazwyczaj wynikają z jego złych skłonności, a te wiodą go ku złu. Człowiek, dokonując wyborów, musi mieć więc oparcie w wyższej instancji. Tą wyższą instancją jest Bóg i ustanowione przez Niego prawo. Wolność człowieka to wolność dokonywania wyborów wśród rozstrzygnięć tego prawa, nie poza nim. Jeśli wychodzi się poza nie, traci się orientację, a nie mając żadnego trwałego punktu oparcia, ulega się iluzjom, podążając za którymi wchodzi się dzikie ostępy i gubi wolność.

Wolność, którą człowiek otrzymał, może go więc wieść albo ku wolności, albo przeciwnie – ku jej utracie. To jest podstawowy wybór, jaki stoi przed człowiekiem wolnym: wybór albo „wolności od”, albo „wolności do”. Wyboru tego dokonuje każdy i robi to nieustannie. I na tym polega wielkość daru wolności. W doczesności otrzymuje się ją raz na zawsze i nie traci się jej raz na zawsze. Jest ona wpisana w strukturę kondycji ludzkiej, ale nie jako jakieś dobro konieczne, a tym bardziej nie jako zło konieczne. Jeśli postrzega się ją jako zło, można od niej uciec, ale w każdej chwili można się zatrzymać i powrócić. Jeśli postrzega się ją jako dobro, można do niej dążyć i można ją osiągnąć, ale w każdej chwili można ją porzucić i w każdej chwili można się do niej zwrócić ponownie. Jedno tylko ją warunkuje – Bóg. On jest wolnością i On, którego duchową świadomością jest wolność, może u kresu dróg obdarzyć tą świadomością człowieka, pozbawiając go równocześnie tego pragnienia, które odwiodło pierwszych ludzi od Boga. Wolność przecież miała do Niego prowadzić.



PRZEBACZENIE

„Jeśli brat twój zawini, upomnij go; i jeśli żałuje, przebacz mu. I jeśli siedem razy na dzień zawinił przeciw tobie i siedem razy zwróciłby się do ciebie, mówiąc: żałuję tego, przebacz mu” (Łk 17, 3–4) – nauczał Jezus Chrystus. Jako Jego uczniowie przyjmujemy te słowa z wiarą, ale czy bez oporów? I czy jesteśmy im posłuszni?

Jest wśród nas wielu ludzi, którzy noszą w sercu żywą i ciągle bolesną pamięć wyrządzonych im i nienaprawionych krzywd. Są to osoby, które za przynależność narodową, za przekonania, za wyznawanie wiary całe lata spędziły w więzieniach, w obozach, na wygnaniu i w nędzy. Są to porzucone żony i opuszczeni mężowie, nieraz po latach wiernej i ofiarnej służby zostawieni jak niepotrzebna rzecz. Są to ludzie oszukani, zdradzeni, wykorzystani, zwiedzeni obietnicami i przysięgami, odtrąceni, krzywdzeni nieraz po stokroć razy. Z pewnością nie ma wśród nas nikogo, kto nie zostałby skrzywdzony.

Do wszystkich nas Chrystus mówi: przebaczajcie. Nie raz, nawet nie „aż siedem razy” – jak chciał Piotr, któremu, mimo całej gotowości wypełniania przykazań Chrystusa, wydawało się, że to jest już i tak za wiele – ale siedemdziesiąt siedem razy. Siedemdziesiąt siedem razy! – czyli według takiej miary, jaką stosuje wobec nas sam Bóg. Ograniczony i słaby człowiek zostaje wezwany i zobowiązany do przebaczenia na miarę i wzór Boga, do naśladowania Boga nieskończenie świętego, dobrego, miłosiernego. Przebaczajcie – ponieważ Bóg wam przebacza. Odpuszczajcie ludziom ich winy, tak jak wasz Ojciec w niebie wam odpuszcza.

Przebaczenie niekiedy wydaje się sprzeczne z ludzką logiką, która zazwyczaj nakazuje odwet i zemstę. Są ludzie, którzy nie są do niego zdolni i to nie tylko w świecie przestępców, gangsterów, mafiozów, dla których naczelnym zobowiązaniem jest „dintojra”, lecz także wśród ludzi prawych,

sprawiedliwych, chrześcijan. Nawet tak wybitny poeta, jak Heinrich Heine pisał: „Powinno się wybaczać swoim wrogom, ale nie wcześniej, niż zostaną powieszani”, a Konrad, a po nim także Chór w *Dziadach* A. Mickiewicza śpiewa: „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem i choćby mimo Boga!”.

Tymczasem – jak pisał Jan Parandowski – „Do najpiękniejszych cnót człowieka należy zdolność przebaczenia. Zemsta niszczy zarówno wroga, jak i nas samych, nas samych o tyle groźniej, że pustoszy naszą duszę”. Jezus nie chciał ludzi o spustoszonych duszach. Chciał ludzi pięknych i wielkich duchem, dlatego mówił „przebaczajcie” i dlatego dał im „przykazanie nowe”, aby się wzajemnie miłowali; chciał ludzi, którzy będą się kochali, a dzięki temu sobie przebacza- li; chciał ludzi, którzy będą sobie przebacza- li, a dzięki temu otwierali się na miłość, „przebaczać [bowiem] – jak pisał Lew Tołstoj – to nie mścić się, nie odpłacać złem za zło, to znaczy kochać”; kochać zaś to znaczy przebaczać. Przebaczenie wypływa z miłości, tylko dzięki niej jest możliwe, z niej czerpie natchnienie. Jest nakazem miłości, tej miłości, którą Bóg darzy każdego człowieka. Miłość Boga jest niezmiernie wielka, jego miłosierdzie jest nieskończone, jego przebaczenie nie ma granic. Nigdy nie przestaje przebaczać tym, którzy do Niego powracają (por. Ez 18, 23; Ps 32 [31], 5; 103 [102], 3, 8–14; Ef 2, 4–5; 2 Kor 1, 3). „On odpuszcza wszystkie twoje winy, On leczy wszystkie two niemoce. On życie twoje wybawia od zguby, On wieńczy cię łaską i zmiłowaniem (...). Nie postępuje z nami według naszych grzechów ani według win naszych nam nie odpłaca” (Ps 103 [102], 3–4, 10).

Miłość Boga jest tak wielka, że Bóg nie zawahał się darować światu samego siebie w Osobie Jezusa Chrystusa, który przyszedł na świat, aby zbawić człowieka. Miłosierdzie Boga jest większe ponad wszystko, co człowiek może sobie wyobrazić, ponad wszelkie rozumienie sprawiedliwości, wyprzedza nawet myśl człowieka i jego ukorzenie się. Przebaczenie Boga to zglądzenie grzechu, wymazanie winy

na zawsze i całkowicie, tak że już jej nie ma. Bóg przebacząc, sprawia swoją wszechmocą, że wina człowieka przestaje istnieć.

W Bogu miłość, miłosierdzie i przebaczenie postępują razem, są nierozdzielne, są jednym – i jako takie stanowią istotę ludzkiej, nadprzyrodzonej, bo wyznaczonej przez Boga i w Bogu zakotwiczonej moralności. Człowiek może kochać, być miłosierny i wybaczać jedynie w odniesieniu do miłości, miłosierdzia i przebaczenia Bożego. I do tego został powołany, to nakazał mu Chrystus, który mu także ukazał, jak nakaz ten winien wypełniać.

W ewangelicznej przypowieści o „synu marnotrawnym” (por. Łk 15, 11–32) ojciec wybiega na spotkanie syna, gdy tylko widzi go powracającego do domu. Jego przebaczenie – pisał Dietrich von Hildebrand – „wyprzedza nawet wyrażenie skruchy przez syna marnotrawnego, jego prośbę o przebaczenie. Ujrzawszy go z daleka, wyszedł mu naprzeciw, aby go wziąć w swoje kochające objęcia. Daleki od tego, by dać mu tylko to, o co prosi”¹⁶². Nie wysłuchuje nawet jego przeprosin – wszystko już mu wybaczył. Wygłaszając tę przypowieść, Jezus mówi nie tylko, że należy wybaczać, lecz także i to, jak należy wybaczać i czym jest wybaczenie. Dzięki niej łatwo można zrozumieć – jak pisał dalej Hildebrand – że „przebaczenie (...) odnosi się do naszej wewnętrznej postawy w stosunku do kogoś, kto nas zranił. W przebaczeniu znika wszelka uraza, pragnienie zemsty, gorycz i wrogość. Skreślamy w naszej duszy konto, na którym dokładnie zapisaliśmy zło, jakie nam drugi wyrządził, rezygnując z wszelkiego odwetu”¹⁶³.

Do takiego przebaczenia wzywa nas Syn Boży. Jezus Chrystus przez całe życie głosił przebaczenie miłosiernego Boga, ale zawsze przy tym podkreślał, że aby je otrzymać, trzeba przebaczać. Przebaczenie Boga uzależnione jest w ja-

¹⁶² O. von Hildebrand, *Serce*, Poznań 1985, s. 107.

¹⁶³ Tamże, s. 111–112.

kiś sposób od naszych przebaczeń, Jezus wszak nakazał nam prosić w modlitwie *Ojciec nasz*: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” (por. Mt 6, 12). Przebaczenie nasze jest zatem źródłem błogosławieństwa w ekonomii zbawienia; jego brak stanie się przyczyną potępienia. Jeżeli człowiek nie ma w sobie gotowości do przebaczenia i nie przebacza, pozbawia się możliwości uzyskania przebaczenia Boga: „Podobnie uczyni wam Ojciec mój niebieski, jeżeli każdy z was nie przebaczy z serca swemu bratu” (Mt 18, 21–35). Nawet modlitwa nie może być miła Bogu, jeżeli nie poprzedza jej przebaczenie. Rację miał Gerard G. Jampolsky, gdy pisał: „Przebaczenie jest najkrótszą drogą do Boga” i ono „otwiera drzwi dla Ducha, byśmy czuli się jednym ze wszystkimi i wszystkim w Bogu”¹⁶⁴.

Wszyscy (a przynajmniej większość z nas) nieustannie korzystamy z Bożego przebaczenia w sakramencie pokuty i pojednania. Rozgrzeszenie stanowi autentyczne wymazanie winy zaciągniętej wobec Boga i właśnie za sprawą tego wymazania, odpuszczenia win przez Boga winno się dokonywać nasze przebaczenie, do którego jesteśmy wezwani. Boże przebaczenie jest zobowiązaniem, a zarazem źródłem przebaczenia w relacjach międzyludzkich i pomocą w przeżywaniu ich w duchu prawdziwej miłości i braterstwa.

Ludzie są pełni win wobec siebie, win niejednokrotnie tak ogromnych, że mówią: „Nigdy ci tego nie wybaczę”. Czymże jednak są te winy w stosunku do win wobec Boga. Występując przeciwko człowiekowi, krzywdząc człowieka, bardziej niż przeciwko człowiekowi występujemy przeciwko Bogu. Wszystko, co wymierzone w człowieka, co człowieka rani, wymierzone jest przede wszystkim w Boga i rani Go stokroć bardziej. Ale On zawsze wybacza i zawsze powtarza: „Odpuszczone są ci grzechy twoje. Idź i nie grzesz więcej”. Przed nieskończone świętym Bogiem nikt nie może stanąć

¹⁶⁴ G. G. Jampolsky, *Przebaczenie – najpotężniejszy uzdrowiciel*, Warszawa 1998, s. 134.

jako niewinny, bezgrzeszny. „W grzechu poczęła mnie matka moja” (Ps 51, 7) – powie autor znanego psalmu pokutnego. Pojawiliśmy się na świecie obciążeni dziedzictwem grzechu pierworodnego i odtąd grzeszyliśmy. Wszyscy zgrzeszyli – mówi św. Paweł (Rz 3, 23). Jesteśmy ludźmi małej wiary, nie ufamy całkowicie Bogu, naszą miłość i Jemu, i ludziom wydzielamy nader skąpo. Przypowieść Chrystusa mówi prawdę o sytuacji każdego człowieka. „Przyprowadzono mu jednego, który był winien dziesięć tysięcy talentów (...) nie miał z czego ich oddać” (Mt 18, 24–25). Nikt nie jest w stanie wypłacić się Bogu ze wymazanie grzechu pierworodnego, za łaskę, która nas przemieniła w dzieci Boże, za ciągłe, bez granic, odpuszczanie naszych codziennych niewierności i grzechów. Bóg więc ma prawo wymagać od ludzi, by darowali swoim winowajcom.

Czy jednak warunkiem przebaczenia nie jest żal i poprawa winowajcy? Czy nie powinien on najpierw powiedzieć: „Miej cierpliwość nade mną, a oddam tobie?” (Mt 18, 26). Warunkiem, by Bóg przebaczył jest żal za grzechy i postanowienie poprawy. A jeśli ten, kto wyrządził krzywdę, nie żałuje? Jest prawdą, że zglądzenie winy przez Boga wymaga żalu, ale jest także prawdą to, co mówi św. Paweł: „Chrystus umarł za nas, gdyśmy jeszcze byli grzesznikami” (Rz 5, 8). Znak przebaczenia – śmierć Chrystusa na krzyżu – został nam dany, zanim pojawiliśmy się na ziemi, przed naszymi grzechami. Już wtedy przebaczenie Boże ogarnęło cały świat. Bóg swym przebaczeniem uprzedził grzechy ludzi. Chrystus wiszący na krzyżu i wyszydzany w chwili konania wołał: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią” (Łk 23, 34). Nie tylko sam przebacza, choć nikt Go nie prosi. On prosi Boga o przebaczenie swym winowajcom. To jest coś więcej niż przebaczenie z ludzkiego serca, to jest umieszczenie winowajcy w sercu nieskończenie miłosiernego Boga.

Tego też Jezus wymaga i oczekuje od swych uczniów. Miłosiernego przebaczenia na podobieństwo Boga. Prze-

baczenia, które uprzedza żal ze strony winowajcy. Przebaczenia ostatecznego, definitywnego, na zawsze wymazującego winę i poczucie żalu. Przebaczenia nie pochopnego, nie dyktowanego emocjami, lecz rozumnego, przemyślanego, rozważnego. Gdy zatem ktoś cię „czymś dotknie, zaraz rozważ, co ów człowiek uważa za dobro i zło. A gdy sobie z tego zdasz sprawę, uczujesz litość nad nim i ani nie będziesz czuł zdziwienia, ani gniewu. Zaiste bowiem i ty masz jeszcze albo to samo, albo podobne zdanie w sprawie dobra, co i on, a więc powinieneś przebaczyć” – pisał Marek Aureliusz¹⁶⁵. Ta bliskość ludzi w rozumieniu dobra zawsze powinna stanowić płaszczyznę, na której dokonuje się przebaczenia. Ale to samo nie wystarcza. By prawdziwie przebaczać, potrzeba miłości, sprawiedliwości i odpowiedzialności, a zatem człowiek musi być wolny.

Trzeba kochać, by przebaczać. Przebaczenie wynika z miłości i jest wezwaniem do miłości. Człowiek, który nienawidzi, nie jest w stanie przebaczyć. Ale każdy potrzebuje przebaczenia, zatem każdy też powinien być gotowy przebaczać. Jest to jedyna droga wyjścia z sytuacji naznaczonej nienawiścią. Przebaczenie nie jest oczywiście łatwe. Nieraz może być wręcz aktem heroicznym. „Słabi nigdy nie potrafią przebaczać. Przebaczenie jest cnotą silnych” – mówił Mahatma Gandhi, a wiele lat wcześniej napisała to Eliza Orzeszkowa: „Trzeba być silnym, aby wybaczyć”. Co jednak może dać człowiekowi taką siłę, która umożliwi mu przebaczenie? Miłość. To miłość sprawia, że przebaczenie, choć następuje wiele trudności, może stać się udziałem nawet serca cierpiącego. Przebaczenie jest przecież aktem bezinteresownej miłości, a zarazem – jako akt miłości – także aktem wolności. Martin Heidegger pisał, że wolność spełnia się jako „podjęcie dziedzictwa” – i trafił w samo sedno, wolność bowiem i tylko wolność umożliwia podjęcie dziedzictwa Chrystusowego – miłości i przebaczenia.

¹⁶⁵ M. Aureliusz, *Rozmyślenia*, Warszawa 1988, s. 77.

Można zatem stwierdzić, że wybacza człowiek silny miłością, to znaczy wolny, bo miłość nie jest możliwa bez wolności, ale – i tu podchodzimy do zagadnienia od drugiej strony, co znaczy, że zarysowujemy trójkąt – wolność nie jest możliwa bez przebaczenia. „Tam gdzie nie chce się przebaczyć, od razu powstaje mur. Od muru zaś zaczyna się więzienie” – pisał Phil Bosmans, a prymas Stefan Wyszyński mówił: „Przebaczenie jest przywróceniem sobie wolności, jest kluczem w naszym ręku od własnej celi więziennej”. Ten równoboczny trójkąt, który narysowaliśmy, a którego każdy kąt jest punktem wyjścia zarówno do kąta następnego, jak i poprzedniego, stanowi znak, centrum, istotę i podstawę nadprzyrodzonej moralności człowieka. Miłość umożliwia wolność, wolność umożliwia przebaczenie, przebaczenie umożliwia miłość – i w drugą stronę: miłość umożliwia przebaczenie, przebaczenie – wolność, wolność zaś – miłość.

Przebaczenie, będąc aktem wolności i miłości, blisko łączy się ze sprawiedliwością, sprawiedliwość zaś implikuje odpowiedzialność, jak bowiem pisał Emmanuel Levinas: „Sprawiedliwość ma (...) o tyle sens, o ile zachowuje ona ducha bezinteresowności, ożywiającej ideę odpowiedzialności za drugiego człowieka”¹⁶⁶. Odpowiedzialność tę Levinas rozumie bardzo szeroko: „Jestem odpowiedzialny nawet za odpowiedzialność drugiego”¹⁶⁷. „To ja podtrzymuję drugiego. (...) Moja odpowiedzialność jest nieusuwalna. Nikt nie mógłby mnie zastąpić. (...) Odpowiedzialność jest tym, co wyłącznie spada na mnie i czego jako człowiek nie mogę odrzucić”¹⁶⁸. Jest to odpowiedzialność za człowieka, za jego wolność, zdolność do miłości i zdolność do wybaczenia. Czy bowiem człowiek, który ugina się pod brzemieniem poczucia niewybaczonej winy może być autentycznie wolny, zdolny do miłości i do przebaczenia innym? Chrystus wiedział, że nie, dlatego głosił przebaczenie; wiedział, że tylko ono umożli-

¹⁶⁶ E. Levinas, *Etyka i Nieskończony*, Kraków, b.r.w., s. 56.

¹⁶⁷ Tamże.

¹⁶⁸ Tamże, s. 57.

wia obciążonemu winą powrót do istoty siebie, swego człowieczeństwa, nawiązanie relacji z innymi i z Bogiem. Jeśli człowiek nie uzyska przebaczenia, będzie się spalał w pustce samego siebie, bez nadziei, w rozpacz. Skoro ja jestem odpowiedzialny za niego, muszę go z tego wyrwać, muszę mu przywrócić wiarę, nadzieję i miłość. A zatem muszę mu przebaczyć.

Przebaczenie nie pozostaje wobec tego w sprzeczności ze sprawiedliwością. Nie narusza i nie zagraża jej. Właśnie sprawiedliwość domaga się przebaczenia i w nim najpełniej się realizuje, ono stanowi jej konieczne dopełnienie, ono też może sprawić, że zadośćuczynienie przewidziane przez prawo będzie wypływało ze szczerego żalu, skruchy, rzeczywistego, nie pozornego, pragnienia naprawienia krzywdy. Tak rozumiane przebaczenie stanowi podstawowy warunek rzeczywistego odnowienia człowieka, przywrócenia mu wolności, godności i zdolności do miłości, a zatem pojednania między ludźmi, między grupami społecznymi, między narodami. I od niego w ogromnej mierze zależy pokój na świecie:

*Całym sercem wierzę,
Że pokój nastąpi na świecie,
Kiedy każdy z nas
Zacznie wybaczać
Wszystko wszystkim i sobie*

– pisał cytowany już Gerard G. Jampolsky. Rzeczywiście: „Świat, z którego wyeliminujemy przebaczenie – czytamy w encyklice *Dives in misericordia* – może być tylko światem zimnej, bezwzględnej sprawiedliwości, w imię której każdy będzie dochodził swych praw w stosunku do drugiego, a drzemiące w człowieku egoizmy różnego gatunku mogą albo zmienić życie i współżycie ludzi w system ucisku słabszych przez silniejszych, albo też w arenę nieustannej walki przeciw drugim”¹⁶⁹.

¹⁶⁹ Jan Paweł II, *Dives in misericordia*, nr 6.

Wielu ludziom głoszenie przebaczenia wydaje się obecnie absurdem, a sprawiedliwość w porządku naturalnym często w ogóle go nie uznaje. Jednakże „w przebaczeniu czegoś niewybaczalnego człowiek jest najbliższy Bożej miłości” – jak pisała Gertrud Le Fort – a to oznacza, że w nadprzyrodzonym porządku ewangelicznym przebaczenie nie jest niczym bezsensownym – zbliża do Boga tak przebaczonego, jak i doznającego przebaczenia. Zawsze jest trudne, ale nigdy absurdalne. Tylko przebaczenie, dokonując nieraz wstrząsu w tych, którym darowano winę, o ile nie doprowadzi ich do założenia sobie pętli na szyję – jak widzimy to np. we fragmencie Ewangelii o Judaszu czy w *Krzyżakach* Henryka Sienkiewicza – rozwiązuje nierozwiązalne z pozoru kwestie i umożliwia nową przyjaźń, miłość, wspólne działanie na rzecz dobra dla samych siebie i dobra powszechnego oraz wspólne dochodzenie do prawdy i Boga.

W *Zapiskach więziennych*, będąc w więzieniu w Stoczku Warmińskim, kard. Stefan Wyszyński napisał pod datą 31 grudnia 1953 roku: „Pragnę być jasny. Mam głębokie poczucie wyrządzonej mi krzywdy. Pomimo to nie czuję uczuć nieprzyjaznych do nikogo z ludzi. Nie umiałbym zrobić im najmniejszej nawet przykrości. Wydaje mi się, że jestem w pełnej prawdzie, że nadal jestem w miłości, że jestem chrześcijaninem i dzieckiem mojego Kościoła, który nauczył mnie miłować ludzi i nawet tych, którzy chcą uważać mnie za swego nieprzyjaciela, zamieniać w uczuciach na braci”¹⁷⁰.

W Święta Bożego Narodzenia 1983 roku Ojciec Święty Jan Paweł II odwiedził rzymskie więzienie. Wszedł do celi swego niedoszłego mordercy i rozmawiał z nim w cztery oczy. Ofiara i zbrodniarz. Przebaczenie. Zdjęcia obieły cały świat. To była wielka lekcja. To nie była literatura. To było żywe świadectwo człowieka, którego nie sposób zapomnieć.

Módlmy się, by było wielu takich uczniów Chrystusa, którzy potrafią z serca przebaczyć doznane krzywdy. Oby-

¹⁷⁰ S. Wyszyński, *Zapiski więzienne*, Paryż 1982, s. 51.

śmy uzyskali przebaczenie. Módlmy się „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy”. Obyśmy odpuszczali. I wczytajmy się jeszcze raz na koniec we fragment pełnej mądrości książki Gerarda G. Jampolsky’ego:

Czy jest coś, czego byś pragnął, a czego nie mogłoby ci dać przebaczenie?

*Chcesz pokoju? Dzięki przebaczeniu otrzymasz go.
Chcesz szczęścia, spokojnego umysłu, pewnego celu,*

poczucia wartości i piękna, które przekracza świat?

Chcesz troski, stałego poczucia bezpieczeństwa i ciepła bezinteresownego wsparcia?

Pragniesz wyciszenia, którego nie można zakłócić, łagodności, której nigdy nie można zranić, głębokiej tolerancyjnej pociechy oraz odpoczynku tak doskonałego,

że nic nie może go zniszczyć? Dzięki przebaczeniu uzyskasz to wszystko,

a nawet więcej. Kiedy się budzisz, ono rozpala w twoich oczach iskry

i daje ci radość, z którą możesz powitać dzień.

Wygladza twoje czoło, kiedy śpisz, i spoczywa na twoich powiekach,

byś nie ujrzął koszmarów pełnych lęku i zła, podstępności i walki.

A kiedy znowu się obudzisz, daje ci kolejny dzień szczęścia i spokoju.

Wszystko to, a nawet więcej, daje ci przebaczenie.

SZCZĘŚCIE

„Wszyscy, bracie Gallionie, pragną żyć szczęśliwie, lecz błędzą w ciemnościach, jeśli chodzi o poznanie, czym jest to, co czyni życie szczęśliwym. (...) Życie szczęśliwe pozostaje w harmonii ze swoją naturą, lecz można je osiągnąć pod warunkiem, że umysł jest, przede wszystkim, zdrowy i nieustannie zachowuje zdrowie; następnie, jest mężny i silny, dalej: niezwykle wytrzymały, dostosowany do okoliczności, dbały, bez przeczulenia o swoje ciało i wszystko, co go dotyczy, jak również troskliwy o inne rzeczy, które wnoszą porządek w życie, choć bez podziwu dla żadnej z nich, a w końcu, że zamierza korzystać z darów Losu, lecz nie być ich niewolnikiem” – pisał Seneka w traktacie *O życiu szczęśliwym*, a poniżej dodał: „Cóż nam przeszkadza powiedzieć, że szczęśliwe życie to dusza wolna, dumna, nieustraszona i niewzruszona, stojąca poza lękiem i pożądaniem, dusza, dla której jedynym dobrem jest szlachetność, jedynym złem podłość, a reszta bezwartościową masą rzeczy, które przychodzą i odchodzą, nie ujmując ani nie dodając nic szczęśliwemu życiu, nie zwiększając ani nie pomniejszając najwyższego dobra?”¹⁷¹.

Można przypuszczać, że u większości współczesnych czytelników słowa te wywołują politowanie, przymrużenie oczu, a w najlepszym przypadku wzruszenie ramion. Może tylko jedno sformułowanie jest dla nich przekonujące, to mianowicie, że życie szczęśliwe to dusza stojąca poza lękiem, z pewnością bowiem pozbycie się tego nieprzyjemnego uczucia, nawet jeśli nie traktuje się tego jako szczęścia, jest ze wszech miar pożądane i wiele się robi, aby je z siebie zrzucić. Nie jest to jednak łatwe, wszystko temu sprzyja. Wręcz przeciwnie, panosząca się cywilizacja o profilu materialistycznym i konsumpcyjnym niemal z każdym dniem pogłębia w człowieku stan egzystencjalnego niepokoju, nasila różnego rodzaju obawy i sprawia, że lęk staje się niemal wszechogar-

¹⁷¹ Seneka, *Myśli*, przeł. S. Stabryła, Kraków 1987, s. 157–159.

niający. Człowiek dzisiejszy – pisze Jan Paweł II – zdaje się być stale zagrożony przez to, co jest jego własnym wytworem, co jest wynikiem pracy jego rąk, a zarazem pracy jego umysłu, dążeń jego woli. Owoce tej wielorakiej działalności człowieka bardzo szybko, i w sposób często nieprzewidywany, nie tylko bywają odebrane temu, kto je wytworzył, ale – przynajmniej częściowo – skierowują się przeciw samemu człowiekowi. Na tym polega główny wymiar dramatu współczesnej ludzkiej egzystencji w jej najszerszym i najpowszechniejszym wymiarze.

By uciec przed tym lękiem, by zapanować nad dojmującym niepokojem, człowiek tworzy sobie różnego rodzaju iluzje, które mają go bronić przed tymi uczuciami, a w rzeczywistości chronić przed samym sobą, to bowiem, co jest w człowieku, jest nim i o nim stanowi. Jeśli jest w nim lęk, to rodzi się on z tego, co jest w nim najbardziej istotowe, jeśli jest w nim pogoda ducha, to ona również ma swe źródło w istotowości człowieka. Większość ludzi nie zastanawia się jednak nad tym, nie analizuje swoich odczuć i uczuć, nie próbuje znaleźć ich przyczyny. Jeśli odbierane są przez niego jako przyjemne, stara się je w jakiś sposób pielęgnować, jeśli są nieprzyjemne, chce się ich jak najszybciej pozbyć. Zagłusza je więc różnego rodzaju środkami farmakologicznymi, na gwałt szuka pocieszenia w prostej konsumpcji, robi wszystko, by uzyskać jakieś namiastki szczęścia, którego upatruje w użyciu, zdobywaniu, posiadaniu, zwyciężaniu.

Liczy się nade wszystko pieniądź, zysk, najbardziej pożądana staje się kariera, najważniejszy jest doraźny sukces. Istotne jest to, by „mieć”, a nie to, by „być”. A dopomóc w tym wszystkim mają: uroda, wieczna młodość, spryt, cwaniactwo, układy. Osiągane dzięki temu wszystkiemu szczęście ma jednak charakter krótkotrwały, jest ulotne, stanowi jedynie surogat prawdziwego szczęścia. Większość ludzi zdaje sobie z tego sprawę, rozumie bowiem, że – jak to ujął Władysław Tatarkiewicz – szczęście jest rodzajem zadowo-

lenia, jednakże „zadowolenie z poszczególnych rzeczy, nawet bardzo ważnych, ze zdrowia czy spokojnego sumienia, z powodzenia czy stanowiska, nie jest jeszcze szczęściem, jeśli mu nie towarzyszą inne zadowolenia. Do szczęścia potrzebne jest zadowolenie z życia jako c a ł o ś c i”, przy czym zadowolenie to musi być p e ł n e i t r w a ł e¹⁷².

Definicja ta wyjaśnia, czym jest szczęście, ale pozostawia niedosyt. Trudno się oprzeć wrażeniu, że wychodzi naprzeciw oczekiwaniom współczesnego człowieka, schlebia jego prostym wyobrażeniom, pragnieniom i oczekiwaniom. Szczęście to rzeczywiście pełne i trwałe zadowolenie z życia w całości, ale czy samo takie zadowolenie wystarczy, aby być szczęśliwym? Może niektórym tak, ale tylko niektórym. „Wszelako wydaje mi się – oddajmy teraz głos René Descartesowi – że różnica między duszami najbardziej wzniosłymi a tymi, które są niskie i prostackie, na tym zasadniczo polega, iż dusze prostackie dają się unosić swoim uczuciom i są szczęśliwe albo nieszczęśliwe zależnie od tego, czy to, co im się przytrafia, jest przyjemne czy przykre; natomiast te drugie potrafią przeprowadzić rozumowania tak mocne i silne, że chociaż także żywią uczucia (...), to ich rozum zawsze jest panem tych uczuć i sprawia, że nawet zmartwienia im służą i przyczyniają się do doskonałego szczęścia (...). Albowiem z jednej strony uważając się za nieśmiertelne i zdolne osiąść największe zadowolenie w życiu wiecznym, z drugiej zaś strony rozważając siebie jako połączone z ciałami śmiertelnymi (...) czynią wszystko, co leży w ich mocy, aby zapewnić sobie przychyłność losu w życiu doczesnym, ale życie to cenią przecież tak niewiele w porównaniu z życiem wiecznym, że traktują je jako ciąg zdarzeń przedstawiony na scenie”¹⁷³.

Wydaje się, że te dwa ujęcia, te dwa rozumienia szczęścia, częściowo przeciwstawne sobie, odpowiadające – z jednej strony – potocznym wyobrażeniom bliskim ludziom,

¹⁷² W. Tatarakiewicz, *O szczęściu*, Warszawa 1979, s. 30–34.

¹⁷³ R. Descart, *Listy do księżniczki Elżbiety*, przeł. J. Kopania, Warszawa 1985, s. 27–28.

których Descartes nazywa „niskimi i prostackimi”, a z drugiej – ludziom nazwanym przez tego myśliciela „najbardziej wzniosłymi”, muszą zostać ze sobą połączone, by przedstawić właściwy obraz tego, czym rzeczywiście jest szczęście.

Człowiek nastawiony konsumpcyjnie, dający się ponosić swoim uczuciom, zadowolony bądź niezadowolony w zależności od tego, co mu się przytrafia, nie może być naprawdę szczęśliwy, albowiem gubi w życiu pełny wymiar swego człowieczeństwa oraz poczucie głębszego sensu życia i w istocie stoi przed otchłanią, którą jest pustka; nicością, a stojąc wobec pustki, nawet jeśli osiągnął wszystko, co pragnął osiągnąć, i zdobył wszystko, co pragnął zdobyć, nie może być szczęśliwy, pustka ta bowiem wszystko mu odbierze. Przekraczając jej granice, straci każdą rzecz, każde zadowolenie, a czy ktoś, kto stoi wobec perspektywy całkowitej utraty wszystkiego, może czuć się szczęśliwy? Cóż z tego, że osiągnął pełne i trwałe zadowolenie z życia, że zdobył wszelkie dobra, o jakie zabiegał, skoro przed nim nie ma nic, skoro nie rozpoznał w tym swym szczęśliwym życiu, że ponad wszelkimi dobrami jest Dobro Najwyższe, o które przede wszystkim powinien był zabiegać.

Tym Dobrem Najwyższym, „jakie jest człowiekowi dostępne, jest poznanie prawdy, sprawianie dobra i upodobanie w nim – pisał Boecjusz z Dacji. – A ponieważ dobro najwyższe, dostępne człowiekowi, stanowi o jego szczęśliwości, przeto poznanie prawdy, sprawianie dobra i upodobanie w obojgu stanowi o szczęśliwości ludzkiej”¹⁷⁴. Źródłem prawdziwego szczęścia człowieka może być zatem tylko i wyłącznie Prawda. „Nikogo – jeszcze raz odwołajmy się do Seneki – kto stoi poza obrębem prawdy, nie można nazwać szczęśliwym”¹⁷⁵. A prawdą jest Bóg. Poza Nim nie ma więc szczęścia, nie może być.

¹⁷⁴ Boecjusz z Dacji, *O Dobru Najwyższym, czyli o życiu filozofa*, przeł. L. Regner, Warszawa 1990, s. 4.

¹⁷⁵ Seneka, *O życiu szczęśliwym*, Kraków 1985, s. 163.

W tym miejscu można postawić pytanie: A jeśli Boga nie ma? Fiodor Dostojewski napisał: „Nawet jeśli Chrystus nie istnieje, ja opowiadam się za Nim”. Można więc postawić drugie pytanie: jeśli Boga nie ma, czy istnieje człowiek? Jest oczywiste, że człowiek istnieje – przecież jestem ja, jesteś ty, są wszyscy oni. A skoro człowiek istnieje, to nie ulega wątpliwości, że musi istnieć Bóg. Człowiek jednak często zrywa z Nim więzi, oddala się od Niego, zamyka oczy na prawdę. Ta utrata więzi z Bogiem prowadzi do osłabienia różnych koncepcji humanizmu, jakie pojawiały się na przestrzeni dziejów. Brakuje w nich nie tylko pełnej prawdy o człowieku, ale także motywacji, by żyć i postępować, tak jak przystało człowiekowi – osobie ludzkiej stworzonej na Boży obraz i podobieństwo.

Dzisiaj w poszukiwaniu ostatecznej prawdy, a więc ostatecznego szczęścia i piękna przeszkadza sceptycyzm, agnostycyzm, relatywizm i nihilizm. Jakże często usiłuje się nam wmówić, że bezpowrotnie minęła epoka pewności, że jesteśmy skazani na totalny brak sensu, na prowizoryczność poznania, ciągłą zmianę i względność.

W nawiązaniu do tego papież Benedykt XVI powiedział na krakowskich Błoniach podczas spotkania z młodymi: „Nie lękajcie się tęsknoty za życiem pełnym, szczęśliwym, udanym. Nie lękajcie się tej tęsknoty! Nie uciekajcie od niej! Niech was nie zniechęca widok domów, które runęły, pragnień, które obumarły. Bóg Stwórca, dając młodemu sercu ogromną tęsknotę za szczęściem, nie opuszcza go w mozolnym budowaniu domu, któremu na imię życie”¹⁷⁶.

Niestety, zbyt często zarówno młodzi, jak i starzy życie, szczęśliwe życie, piękne życie identyfikują z przyjemnościami i przyjmują hedonistyczną zasadę „używania świata, póki służą lata”. Wielu współczesnych ludzi podpira się w tym etyką eudajmonistyczną, etyką osiągnięcia szczęścia za wszelką cenę. W etyce tej indywidualne prawo do szczęścia

¹⁷⁶ Benedykt XVI, *Budujcie wasze życie na Chrystusie*, dz. cyt., s. 33.

jest tak mocno wyakcentowane, że dopuszcza ona osiągnięcie go nawet kosztem drugiego. Masz prawo do szczęścia w małżeństwie, jeśli więc coś się nie układa, jeśli nie jesteś szczęśliwy, zamiast szukać porozumienia, próbować uzdrowić sytuację, możesz próbować osiągnąć zadowolenie w innym związku. Masz prawo do szczęścia w rodzinie, jeśli więc na przeszkodzie temu szczęściu staje nowo poczęte dziecko, możesz je usunąć. Ujęcie to redukuje szczęście do przyjemności, zadowolenia i zacieśnia je do ram życia doczesnego.

Etyka chrześcijańska jest etyką perfekcjonistyczną, etyką dążenia do doskonałości. W myśl jej zasad, człowiek powinien dążyć do szczęścia, ale nie kosztem innych, nie kosztem odrzucenia wartości, lecz poprzez doskonalenie osobowe. W tym ujęciu szczęście jest rezultatem ludzkiego wysiłku i trudu, płynie z tego, że człowiek, jak Dostojewski, bez względu na wszystko opowiada się po stronie Chrystusa i że stara się istnieć jako dar dla innych, rozumiejąc, iż – jak mówi Chrystus – „więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu” (Dz 20, 35) i właśnie w dawaniu, w ofiarowywaniu, nawet jeśli wiąże się ono z wyrzeczeniami, z poświęceniem, w opowiedzeniu się i ciągłym opowiadaniu za Chrystusem dostrzega spełnienie się siebie, swojego człowieczeństwa.

Etyka chrześcijańska nie tylko zabrania realizowania własnego szczęścia kosztem drugiego, ale podkreśla, iż osiągnięcie trwałego szczęścia tu, w doczesności, nie jest możliwe. Ziemię często określa się jako padół płaczu. Nie znaczy to, że jesteśmy tutaj skazani tylko na niepowodzenia, cierpienia i poniżenia. Tutaj także możemy osiągać różnego rodzaju zadowolenia, przeżywać wzloty, uniesienia, odnosić sukcesy, ale pamiętać przy tym musimy, że w doczesne dzieje człowieka wpisany jest również krzyż. Jeśli ktoś to neguje, to albo nie wie, co mówi, albo jest szerzycielem jeszcze jednej nierealnej utopii.

Etyka chrześcijańska zbudowana jest na głębokim przeświadczeniu, że autentycznego szczęścia ani tu, w do-

czesności, ani kiedyś w wieczności nie da się osiągnąć poza Bogiem, bez Boga albo wbrew Bogu. „Stworzyłeś nas, o Panie i skierowałeś ku sobie, dlatego niespokojne jest serce nasze, póki nie spocznie w Tobie”. Pełnia szczęścia możliwa jest jedynie w Bogu.

Stare przysłowia polskie mówią, że „wszystko od chleba do nieba zdobyć trzeba”, i że „bez pracy nie ma kołaczy”. W tym też duchu pisał poeta:

*Żyć to nie znaczy iść przez róże
sięgać po laury i zbierać oklaski
żyć to znaczy przetrwać wszystkie burze,
dążyć, gdzie świecą ideałów blaski.*

O tym, że prawdziwe szczęście osiąga się w trudzie i mozole, przekonuje nas także doświadczenie życiowe. Jakże często rodzice mówią, że ich dzieci cenią tylko to i cieszą się wyłącznie tym, co same osiągną własnym trudem i wysiłkiem; nie cieszą się natomiast, jeśli ciągle coś się im daje za darmo. Potwierdzeniem tej prawdy był kiedyś ruch hippisowski. „Dzieci kwiaty”, młodzi ludzie wywodzący się z najlepiej sytuowanych rodzin, nie umiejąc odnaleźć szczęścia w życiu, zblazowani i sfrustrowani uciekali na łono natury w nadziei, że zapewni im ona szczęście. Zapomnieli jednak o jednym: że szczęście rodzi się w sercu człowieka i zawsze jest okupione jego wysiłkiem i trudem. Przed łatwym szczęściem przestrzegał poeta, gdy pisał:

*Nie szukaj nieba w górze, gdzie myśl się rozkruszy,
gdzie srebrny księżyc i słońce ogniste,
niebo jest zawsze zamknięte w twojej duszy,
a raj to serce przejrzyste i czyste.*

Prawdziwie szczęśliwy jest tylko ten człowiek, którego Pan obdarza zbawieniem, a zbawienie, ofiarowane mu przez Ojca w Jezusie Chrystusie, można przyjąć jedynie przez wiarę. Serce człowieka żyjącego w pokoju z Bogiem jest przepelnione radością: „Cieszcie się sprawiedliwi i weselcie w Panu,

wszyscy o prawym sercu, wznosząc radosne okrzyki!” (Ps 32 [31], 11).

Chrystus pokazał, że człowiek może być szczęśliwy tylko wtedy, gdy jest wierny sobie, gdy dobrze realizuje swoje życiowe powołanie. I tylko Chrystus jest gwarantem życia udanego, szczęśliwego, pięknego. Możemy powiedzieć, że kto spotkał Chrystusa na drodze swojego życia, kto odnalazł w Nim swojego Zbawiciela, ten naprawdę wygrał szczęśliwe życie, piękne życie, bo życie trwające wiecznie. Nigdy nie zapominałmy, że w ostatecznym rozrachunku nasze szczęście zależy od spotkania i od przyjaźni z Jezusem. To spotkanie z Nim dla każdego z nas, tak jak dla apostołów, może stać się początkiem niezwyklej, szczęśliwej przygody, jaką jest przyjęcie roli apostołów wobec innych, aby i oni, tak jak my, mogli doświadczyć przyjaźni z Bogiem, który stał się człowiekiem. Z Bogiem, który stał się naszym przyjacielem i który wytyczył nam Ewangelią prostą drogę wiodącą do spotkania Go i nawiązania z Nim najżywszej przyjaźni, będącej wstępem do odnalezienia pełnej radości życia. Na drodze tej jesteśmy jak pielgrzymi, ale na drodze tej jest z nami Chrystus, On nas prowadzi, On nad nami czuwa. Dlatego też, świadomi swego przeznaczenia, znający cel i kres swego wędrowania, możemy – i powinniśmy – powtórzyć z całym przekonaniem te słowa *Pielgrzyma* z wiersza Kazimierza Przerwy-Tetmajera:

*Gdziekolwiek zwrócę wzrok, wszędzie mi jedno –
na północ pójdę czyli na południe:
wszędzie napotkam cień od spieki słońca
i znajdę studnię.*

*Wszędzie nad głową znajdę dach wśród nocy
i wszędzie mogę za grosz kupić chleba – –
i nawet nie wiem, czego ludziom w życiu
więcej potrzeba...*

(Pielgrzym)

Wróćmy jeszcze do *Kazania na górze* i do opowieści o człowieku roztropnym, który dom swój zbudował na skale, by zapytać: jak budować ten dom, któremu na imię życie – i to w dodatku piękne życie? Dom naszego życia mamy budować na skale, bo tylko wzniesiony na skale może nie runąć. A co to znaczy budować na skale? Budować na skale to budować na Chrystusie i z Chrystusem.

Budować życie na Chrystusie i z Chrystusem to budować je z Kimś, kto zna nas lepiej niż my sami siebie; z Kimś, kto zawsze jest wierny, nawet jeśli my odmawiamy wierności; z Kimś, kto stale pochyla się nad zranionym ludzkim sercem i mówi: „Ja ciebie nie potępiam. Idź i odtąd już nie grzesz” (J 8, 11). Budować z Chrystusem to budować z Kimś, kto z wysokości krzyża wyciąga ramiona i powtarza przez całą wieczność „życie moje oddaję za ciebie, bo cię odwiecznie umiłowałem”, to oprzeć wszystkie swoje pragnienia, tęsknoty, marzenia, ambicje i plany na Jego woli. To powiedzieć sobie i swoim bliskim „Tylko Ty, Panie, masz słowa życia wiecznego” (J 6, 68)¹⁷⁷.

Tak więc budować na skale to budować na Kimś, kto został odrzucony. Św. Piotr mówił do swoich wiernych o Chrystusie jako o „żywym kamieniu, odrzuconym przez ludzi, ale u Boga drogocennym i wybranym” (1 P 2, 4). To odrzucenie Jezusa, o którym mówi św. Piotr, ciągle powtarza się w historii ludzkości. Z łatwością można je dostrzec także i dzisiaj. Jezus jest ignorowany, wyśmiewany, ogłaszany królem przeszłości, spychany do lamusa spraw i osób, o których nie powinno się mówić. Okazuje się, co przy różnych okazjach podkreślał zarówno Jan Paweł II, jak i kard. Stefan Wyszyński, że nawet miłość może być niekochana. A ludzie dziwią się, że nie są szczęśliwi.

Warto w tym miejscu przywołać słowa św. Jana Vianneya, które zostały zatytułowane jako akt miłości:

¹⁷⁷ Zob. Benedykt XVI, *Budujcie życie wasze na Chrystusie*, dz. cyt., s. 32.

Kocham Cię, o Boże mój. I moim jedynym pragnieniem jest kochać Cię aż do ostatniego tchnienia mojego życia.

Kocham Cię, o Boże nieskończenie godny miłości, i wolałbym raczej umrzeć, kochając Cię, niż przeżyć jedną chwilę bez miłości do Ciebie.

Kocham Cię, o Boże mój, i pragnę nieba jedynie dla szczęścia doskonałego kochania Ciebie.

Kocham Cię, o Boże mój, i lękam się piekła jedynie dlatego, że nie ma w nim tej słodkiej pociechy kochania Ciebie.

O Boże mój, jeśli mój język nie jest w stanie mówić w każdej chwili, że Cię kocham, chcę, aby moje serce powtarzało Ci to za każdym moim tchnieniem.

Ach! Uczyni mi łaskę cierpienia z miłości do Ciebie i kochania Cię w cierpieniu, i spraw, bym oddał ducha kochając Cię i czując, że Cię kocham.

Im bliżej jestem mego końca, tym bardziej Cię błagam, byś zwiększył i udoskonalił moją miłość. I tak niech mi się stanie. Amen.

RODZINA





MAŁŻEŃSTWO

„Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela” (Mt 19, 6). Słowa te, wypowiedziane przez błogosławiącego ślub kapłana, wyznaczają początek małżeńskiej drogi człowieka, a są one poprzedzone słowami składanej przed ołtarzem przysięgi małżeńskiej: „Ja... biorę sobie Ciebie... za żonę/męża i ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że Cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci”.

Przysięga ta jest jak gdyby przekroczeniem granicy, wejściem w nowy porządek zarówno życia doczesnego, jak i nadprzyrodzonego, przyjęciem jakiejś inności, ofiarowaniem swojej inności i wkroczeniem we własną inność, ustanowieniem nowej rzeczywistości duszy i ciała. Składa się ją dobrowolnie i z całą świadomością w dniu zaślubin przed Bogiem, a Bóg ją przyjmuje i błogosławi, przez co małżonkowie zostają włączeni w trwałą jedność Chrystusa i Kościoła, będącego Jego Mistycznym Ciałem. Jak Chrystus-Głowa i Kościół tworzą jeden, nierozzerwalny organizm, tak i małżonkowie, uświęceni przez łaskę Chrystusa, stanowią aż do śmierci jedno, nierozzerwalne ciało.

Mężczyzna i kobieta, ślubując sobie uczciwość, wierność i miłość małżeńską zobowiązują się wobec siebie, w obliczu Boga do niezłomnego przymierza, do całkowitego i wzajemnego oddania się sobie, do pełnej wspólnoty, do miłości, która nie jest uczuciem przemijającym czy krótkotrwałym zachwytem, ale odpowiedzialną i dobrowolną decyzją związania się ze sobą na zawsze, na dobre i złe, całkowitym otwarciem się na siebie wzajemnie, darem z siebie samego złożonym współmałżonkowi.

Małżeństwo jest świętym sakramentem. Trzeba to jeszcze raz powtórzyć i trzeba powtarzać za Chrystusem wciąż i nieustannie, wbrew opinii, jaka rozpowszechniła

się w świecie. Jest sakramentem, bo ci, którzy w imię Trójcy Świętej zostali ochrzczeni, w imię Trójcy Świętej zawierają związek małżeński, w więc zawierają go przed Bogiem i pozostają z Nim na zawsze. Miłość małżonków jest niczym innym, jak uczestnictwem w miłości Boga w Trójcy Świętej Jedynej. Małżeństwo musi więc pozostać czyste jak czysty jest Bóg.

Sakramentalna jedność dwojga obca jest wszelkiej niewierności. Taka jest wola Boga: by złączeni ślubem kobieta i mężczyzna na zawsze pozostali sobie wierni. Na straży tej wierności stoi jedno z podstawowych praw życia moralnego nieśmiertelnej, rozumnej, wolnej osoby ludzkiej: „Nie cudzołóż”. Jest to nakaz, lecz nakaz ten w małżeństwie zmienia się w zobowiązanie, nie tyle jednak w zobowiązanie „niecudzołożenia”, ile wierności, która jest czymś znacznie więcej niż przestrzeganiem przykazania, a więc jest nie tylko nieuleganiem pokusom pochodzących z zewnątrz i z wewnątrz człowieka, lecz bardziej jeszcze byciem w całej swej pełni duchowo-fizycznej, całym swym jestestwem, całą swą wyjątkowością i niepowtarzalnością dla jednej jedynie osoby; byciem trwającym aż do śmierci – takim, jakim było bycie Penelopy przez lata wiernie oczekującej na powrót ukochanego męża – i przekraczającym nawet śmierć, jakim było bycie Orfeusza, który wszedł do samego Hadesu, by wyprowadzić zeń umiłowaną żonę. Miłość silniejsza jest niż śmierć, przełamuje jej granice, przechodzi poza nią, miłość w wierności i czystości, w tym byciu całkowitym, absolutnym i ostatecznym dla współmałżonka.

Małżeństwo spełnia się nie tylko w miłości i poprzez miłość. Miłość jest jego podstawą, tym, co je tworzy, przenika, ogarnia i unosi ponad ziemską rzeczywistość, by jednak mogło się spełnić, konieczna jest wierność, to bycie w nim w całej pełni, w pełni całego siebie, całej swej osoby, swego człowieczeństwa otwartego na pełnię drugiej osoby i poprzez nią, niejako w niej, otwartego na Wieczność.

Tak rozumiana i przeżywana wierność małżeńska rodzi najwyższą cześć dla osoby żony czy męża, szacunek dla jej i jego ciała, uczuć, doznań, nastrojów, dla wielkości a także i słabości, dla całej istotowości powołanej do życia w Bogu. Nie pozwala ona traktować współmałżonka jako swojej własności, lecz nakazuje widzieć go jako własność Boga i dar Boga dla siebie, a zarazem jako jego dar z siebie, oddanie siebie, zawierzenie siebie. I to jest najpiękniejszy, prawdziwy przejaw czystości: cześć i szacunek dla współmałżonka, w całej jego rzeczywistości cielesnej i duchowej, jako własności Boga, pragnienie doprowadzenia go do Niego bez skazy i wspólnego z nim dojścia do Niego, bez skazy na sobie; można rzec: pragnienie ocalenia go od zapomnienia w wieczności. Przepięknie tę cześć i szacunek, i to pragnienie ujął w słowa Konstanty Ildefons Gałczyński:

*Twe oczy jak piękne świece,
a w sercu źródło promienia.
Więc ja chciałbym twoje serce
ocalić od zapomnienia.*

(Pieśni)

Tę cześć i szacunek małżonkowie mogą wyrażać, oddawać i przeżywać w różnych okolicznościach swego życia, ale najpełniej i najgłębiej oddają i przeżywają przez wiarę, gdy klękają do wspólnej modlitwy i wspólnie przyjmują Ciało Pańskie, gdy są wzajemnie świadomi swojej człowieczej godności i nieprzemijającej wartości, gdy patrzą na siebie „jako na obraz Boży” i widzą w sobie dzieło Boże, gdy traktują siebie jako tych, których Bóg stworzył i których przeznaczył do nieskończonego życia, gdy dokładają wszelkich starań, by się wzajemnie „ocalić od zapomnienia”, a więc odnaleźć w wieczności.

Małżeństwo sakramentalne jest zatem czymś więcej niż czysto ludzką umową i przyrzeczeniem wzajemnej miłości, choć nawet ludzka tylko przysięga domaga się dotrzyma-

nia. Jest ono obietnicą złożoną nie tylko sobie wzajemnie, lecz także Bogu, i złączeniem przez Boga, niemożliwym do rozwiązania. Sam Chrystus powiedział: „Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela” (Mt 19, 6), i sam stał się uczestnikiem Boskiego związku dwojga ludzi. Ten związek w żaden sposób nie może być zatem zerwany, bo jest to także związek z Jezusem. W sakramencie małżeństwa Chrystus, w nowy i trwały sposób, uobecnia się w życiu kobiety i mężczyzny, zbliża się do nich, przenika ich i całe ich życie i tak ich udoskonala, ubogaca swoją niezmienną miłością, aby ich ludzka miłość ciągle się rozwijała, pokonywała wszystkie próby, kształtowała życie rodzinne oraz tworzyła odpowiedni klimat do właściwego wychowania dzieci.

I to w chrześcijańskim małżeństwie jest najpiękniejsze, że – jak mówi papież Paweł VI – „objawy wzajemnej czułości [małżonków] są przeniknięte tą miłością, jaką czerpią oni z Serca Bożego. I gdyby źródło miłości czysto ludzkiej groziło wyschnięciem, jej Boskie źródło jest niewyczerpane, jak niedoścignione są głębokości Bożej czułości. Oto do jak intymnego zjednoczenia, mocnego i bogatego, prowadzi miłość małżeńska”.

„Możecie rozerwać swoje fotografie i zniszczyć prezenty – pisał Michel Quoist. – Możecie podeptać swoje szczęśliwe wspomnienia i próbować dzielić to, co było dla dwojga. Możecie przeklinać Kościół i Boga. Ale Jego potęga nie może nic uczynić przeciw waszej wolności. Bo jeżeli dobrowolnie prosiliście Go, by zobowiązał się być z wami... On nie może was «rozwieść». To zbyt trudne? A kto powiedział, że łatwo być człowiekiem wolnym i odpowiedzialnym. Miłość się staje. Jest miłością w marszu, chlebem codziennym. Nie jest umeblowanym mieszkaniem, ale domem do zbudowania i utrzymania, a często do remontu. Nie jest triumfalnym «TAK», ale jest mnóstwem «tak», które wypełniają życie, pośród mnóstwa «nie»”.

Małżeństwo i rodzina „jest architekturą Boską i ludzką”, jest rzeczywistością Boską i ludzką. Podstawę ich chrześcijańskiej wizji stanowią słowa zapisane w *Księdze Rodzaju* (Rdz 1 i 2) i potwierdzone przez Chrystusa w Ewangelii (Mt 19, 4 n.), a tym, co je określa od początku do końca, jest miłość. Bóg, który jest miłością – jak pisał św. Jan Apostoł (1 J 4, 8) – z miłości stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo (Rdz 1, 26 n.), stworzył mężczyznę i niewiastę, na zawsze wpisując w „człowieczeństwo mężczyzny i kobiety powołanie, czyli zdolność i odpowiedzialność za miłość i wspólnotę”¹⁷⁸.

Każdy z nas może potwierdzić, że pragnie być kochany i obdarzać miłością. To pragnienie – powołanie do miłości człowiek może urzeczywistniać albo na drodze życia małżeńskiego, albo na drodze dziewictwa ze względu na Królestwo niebieskie. Małżonkowie wybierają tę pierwszą drogę. Drogę tę ustanowił i pobłogosławił sam Bóg, gdy bowiem stworzył mężczyznę i niewiastę, „błogosławił im, mówiąc do nich: «Bądźcie płodni i rozmnażajcie się»” (Rdz 1, 28). Natchniony autor wyjaśnia jeszcze: „Dlatego to mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem” (Rdz 2, 24), którego nic nie rozdzieli. Już – jak napisał Grzegorz Pawełczyk:

*Moją Miłością,
Moim Cierpieniem,
Moją Świątością
Na zawsze pozostaniesz
Ukochana Żono*

(Srebrne wesele)

i Ukochany Mężu – można dopowiedzieć. Ta wspólnota osób – *communio personarum* – została podniesiona przez Chrystusa do godności sakramentu. Odtąd w sakramencie tym – czytamy w soborowej Konstytucji duszpaster-

¹⁷⁸ Jan Paweł II, *Familiaris consortio*, nr 11.

skiej *Gaudium et spes* – „jak (...) niegdyś Bóg wyszedł naprzeciw swemu ludowi z przymierzem miłości i wierności, tak teraz Zbawca ludzi i Oblubieniec Kościoła wychodzi naprzeciw chrześcijańskich małżonków (...) i pozostaje z nimi nadal” (KDK 48), i wzywa ich, by Go naśladowali w miłości, co też potężnym głosem przypomniał w swym Liście do Efezjan Apostoł Narodów: „Mężowie, miłujcie żony, bo i Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego samego siebie” (Ef 5, 25).

Małżeństwo i rodzina nie są bynajmniej przypadkową strukturą socjologiczną, wytworem szczególnych warunkowań historycznych i ekonomicznych, jak się dzisiaj wielu ludziom wydaje. Przeciwnie, właściwa relacja między mężczyzną i kobietą zakorzeniona jest w najgłębszej istocie człowieka – i tylko z tego punktu wychodząc, można je zrozumieć. Powołanie do miłości jest tym, co czyni człowieka prawdziwym obrazem Boga: człowiek upodabnia się do Niego w takiej mierze, w jakiej staje się istotą, która kocha.

Nie zawsze jednak kocha, nie zawsze potrafi kochać. Skutkiem tego jest zniekształcenie miłości małżeńskiej, a przejawem – rozmaite formy rozkładu małżeństwa, wolne związki, „małżeństwa na próbę” czy nawet pseudomałżeństwa osób tej samej płci. Wszystko to stanowi wyraz anarchicznej miłości, którą niesłusznie przedstawia się jako prawdziwe wyzwolenie człowieka. Ta pseudowolność opiera się na banalizacji ciała, nieuchronnie prowadzącej do banalizacji samego człowieka. Jej założeniem jest przekonanie, że człowiek może robić z sobą, co mu się podoba. Jego ciało staje się czymś drugorzędnym, czymś dającym się z ludzkiego punktu widzenia manipulować, czymś, czego można używać, jak się zechce.

Znamienne jest, że we współczesnej – ale również że w poprzednich epokach – literaturze, mającej być wszak zwierciadłem życia, a jak niektórzy mówią: zwierciadłem duszy, niewiele daje się znaleźć prawdziwie pięknych ob-

razów małżeństwa, życia rodzinnego, miłości małżeńskiej. Najpiękniej i najgłębiej ukazał je jeszcze Homer poprzez bohaterów *Odysei*, o których wspominałem, oraz *Iliady*, w której do głębi przejmująca jest scena pożegnania Hektora z Andromachą i synem:

*Ach, mój mężu miły,
Jeżeli cię mam stracić, obym legła w grobie!
Nie masz dla mnie pociechy żadnej już po tobie;
(...) Tyś mi ojcem, tyś matką, kochany Hektorze,
Tyś mi bratem, ty mężem w dni kwitnących porze”.
(...) Na to Hektor: (...) „Kochana Andromacho, czuję
zale twoje,
(...) Nad stanem twoim serce mi się krwawi,
(...) Lecz wprzód niech padnę trupem, niż ujrzę twe
płacze.
Niż twe jęki usłyszę lub więzy obaczę”.
Rzekł i wyciąga ręce do swojego syna;
Krzycząc, na mamki łonie tuli się dziecina,
(...) Uśmiechnęli się z próżnej bojaźni rodzice.
Zaraz Hektor zdjął szyszak, który syna trwożył,
I błyszczące pokrycie na ziemi położył,
A dawszy słodkie dziecku swemu całowanie
I kołysząc go z lekka, bogów prosi za nie.
(Iliada, VI, 425–488)*

W Pieśni X Jana Kochanowskiego czytamy:

*Żona uczciwa ozdoba mężowi
I napewniejsza podpora domowi;
Na niej rząd wszystkim; swego męża ona
Głowy korona.*

*Ona mężowym kłopotom zabiega
I jego wczasu na wszystkim przestrzega;
Ona wywabić troskę umie z głowy
Słodkimi słowy.*

a w nieco późniejszej *Wigilii* Zbigniewa Morsztyna:

*Tobie gwoli jedynie, ukochana żono,
Drogi mój przyjacielu, głowy mej korono,
Ten wiersz ma miłość pisze.*

Morsztyn określa już żonę jako przyjaciela, nadal jednak pozostaje ona jego „głowy koroną”. Czy ta żona to jeszcze osoba, człowiek, czy tylko dodatek, ozdoba, powód do chwały męża, służba chroniąca jego „wczasu”? Jakoś prawdziwie w tym kontekście brzmią słowa Johna Stuarta Milla, który pisał, że „małżeństwo jest jedyną formą rzeczywistego niewolnictwa uznanego przez prawo”.

W następnych wiekach to się jednak zmieniło. Kobiety się wyemancypowały, uznano je w pełni za osoby, żony równe mężom. Mniej więcej od przełomu XIX i XX wieku – począwszy jakoś od Augusta Strindberga i Henryka Ibsena, a u nas – od Tadeusza Rittnera i Gabrieli Zapolskiej – do współczesności w literaturze, później także w filmie wiele się mówi o małżeństwie, zazwyczaj jednak jest to małżeństwo w rozkładzie, w rozbiciu, związek czy układ, w którym żona w sobie, mąż w sobie, zamknięci w czterech ścianach samych siebie, bez okien i drzwi jak te monady Leibnizowskie, oderwani, rozgoryczeni, samotni, puści wewnątrznie, złaknieni miłości, a nieumiejący kochać, pragnący bliskości, lecz nieumiejący być blisko, zakłamani, zablakani, zupełnie wyalienowani.

Søren Kierkegaard pisał, że „w każdym małżeństwie to nie droga jest trudna, lecz trudności są drogą”, a współczesna terapeutka rodzin Aleksandra Lasik uzupełnia te słowa mówiąc: „Ale jest to nasza droga: wyboista, pełna kurzu, trudna, lecz zawsze wspólna”. Chociaż najeżona trudnościami, nigdy nie wiecie ona w alienację, lecz w wyzwolenie z alienacji, i nie wiecie donikąd, lecz w ocalenie, spełnienie, ostateczną radość, w otworzenie nieba, w to właśnie, co obiecał swej żonie Krzysztof Kamil Baczyński

*Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nić
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć (...)
Ziemię twardą ci przemienię
w mleczków miękkich płynny lot (...).
I powietrza drżące strugi
jak z anielskiej strzechy dym
zmienię ci w aleje długie,
w brzoź przejrzystych śpiewny płyn,
aż zagrają jak wiolonczel
żal – różowe światła pnące,
pszczelich skrzydeł hymn*

(Niebo złote ci otworzę)

Tam właśnie, do tego – ku Pięknu, Prawdzie i Dobru, dopełnieniu się Nadziei, ostatecznemu ocaleniu, ku Niebu wiedzy miłość. Jeśli jest. Bo jeśli jest – i jest autentycznym, całkowitym oddaniem, zatracaniem siebie, tak jak miłość Boga do człowieka stała się oddaniem i zatraceniem się Chrystusa w tajemnicy krzyża – jest wstąpieniem w wieczność.



RODZINA

Najbliższą i niezastąpioną wspólnotą dla człowieka jest rodzina. W niej człowiek rozpoczyna życie, w niej się rozwija i wychowuje i z niej wchodzi w świat, by założyć nową rodzinę, żyć w niej i pozostawać w jej służbie.

Rodzina kształtuje się jako wspólnota ludzi skupiona na człowieku, konkretnym i niepowtarzalnym: mężu, żonie, ojcu, matce, synu, córce, a tym, co ją spaja i wiąże, na czym jest zbudowana i co ją tworzy, jest miłość. Ona jest początkiem, gwarancją trwania i drogą rodziny. Na niej wzniesione jest małżeństwo, ona bowiem prowadzi przed ołtarz, do sakramentu, w którym składany jest, zyskując ostateczną pełnię, wzajemny dar z siebie kobiety i mężczyzny; w jej obrębie istnieje środowisko, w którym może się urodzić dziecko, a później rozwijać swe możliwości, nabywać świadomość własnej godności i przygotowywać się do podjęcia swego jedyne go i niepowtarzalnego przeznaczenia i powołania, do wejścia na drogę wiary, nadziei i miłości. W niej i poprzez nią urzeczywistnia się więc rodzina, ona bowiem jest jej właściwą przestrzenią, w której rozkwita życie otwarte na Nieskończoność, nadzieję i Prawdę, w której miłość zyskuje całą pełnię, a któż – jak pytał *Rabindranath Tagore* – „kiedykolwiek w tym życiu mógł żyć – i żyć w prawdzie, mieć nadzieję – i dążności, gdyby przestrzeń nie była napełniona miłością?”.

Bóg jest Miłością i Prawdą, Prawdą i miłością jest Chrystus, Prawdą i Miłością jest Boża Rodzina: Syn Boży, Maryja i Józef. To znak, to wskazanie, to nauka największa. Rodzina musi być oparta na prawdzie i miłości, a nie da się oprzeć stosunków rodzinnych na prawdzie, skoro nie ma w niej miłości – jak pisał *Karol Fourier*, którego Maria Orsetti, nazwała „apostolem pracy radosnej”¹⁷⁹ – i nie da się ich oprzeć na miłości, jeśli nie ma w niej prawdy. Prawda,

¹⁷⁹ K. Fourier, *Apostoł radosnej pracy*, Warszawa 1927.

miłość, nadzieja, wierność, dobro, poświęcenie, oddanie sobie wzajemne – to właśnie ustanawia rodzinę, i to właśnie sprawia, że niezależnie od swych ograniczeń, jest ona w pełni znakiem miłości Bożej. Miłość małżeńska, ojcowska i macierzyńska, bierze swój początek w Bożej tajemnicy, w miłości, jaką Stwórca ogarnia stworzony świat, co wyraziło się już „na początku” w *Księdze Rodzaju* (1, 1), a co znalazło potwierdzenie w słowach Chrystusa w Ewangelii: „Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał” (J 3, 16).

Nie jest przypadkiem, że Syn Jednorodzony, współistotny Ojcu, „Bóg z Boga” i Światłość ze Światłości, wszedł w dzieje ludzi właśnie poprzez rodzinę i że „objawia w pełni człowieka samemu człowiekowi” naprzód w rodzinie i poprzez rodzinę, w której zechciał się narodzić i wrastać, w której „przez wcielenie zjednoczył się jakoś z każdym człowiekiem” i w której „ludzkimi rękami pracował, ludzkim sercem kochał, urodzony z Maryi Dziewicy, stawszy się prawdziwie jednym z nas, we wszystkim do nas podobny oprócz grzechu” (KDK 22).

Jak wiemy, większość swojego ziemskiego życia Jezus spędził w rodzinie nazaretańskiej, będąc „posłusznym” (Łk 2, 51) jako Syn Człowieczy swej Matce Maryi i Józefowi. Mógł więc Jan Paweł II napisać w swoim *Liście do Rodzin*: „Tak więc Boska tajemnica Wcielenia Słowa pozostaje w ścisłym związku z ludzką rodziną. Nie tylko z tą jedną, nazaretańską, ale w jakiś sposób z każdą rodziną”¹⁸⁰.

Podstawę każdej rodziny stanowi więź miłości małżonków, a powstaje ona wówczas, gdy urzeczywistnia się przymierze małżeńskie, które otwiera kobietę i mężczyznę na dozgonną wspólnotę miłości i życia. Wraz z zaistnieniem rodziny pojawia się nowa jedność, jedność rodziców, a jedność ta znajduje swe dopełnienie w jedności z dzieckiem, któremu – jak pięknie pisał Jan Paweł II we wspomnianym

¹⁸⁰ Jan Paweł II, *List do Rodzin*, Watykan 1994, nr 2.

już *Liście do Rodzin* – „małżonkowie dają życie”, powołując tym samym „nowe ludzkie «ty»” w orbicie „ich rodzicielskiego «my»”¹⁸¹.

Narodziny dziecka są objawieniem życia – i za to życie odpowiedzialni są oboje małżonkowie. Jest to odpowiedzialność wspólna i winna się potwierdzić zarówno radosnym przyjęciem nowego człowieka w świecie, jak i troską o jego prawidłowy rozwój.

Oczywiście, celem wzajemnego daru z siebie mężczyzny i kobiety nie jest tylko rodzenie dzieci, lecz również wzajemna komunია miłości i życia, jednakże rodzicielstwo jest ważnym elementem sakramentu małżeństwa. Nakłada ono na rodziców obowiązek wychowania dzieci. Winno ono wypływać z miłości, kierować się miłością i prowadzić do miłości. Jako że miłość jest piękna i dobra i otwiera na Piękno Najwyższe i Dobro Najwyższe, także wychowanie winno być piękne i winno kierować w stronę dobra, na co zwracał już uwagę Eurypides w jednej ze swoich tragedii:

*Znaczy coś także piękne wychowanie
w nauce dobra; gdy ktoś dobrze pojmie,
wie, co niegodne, mierząc miarą piękną.
(Hekabe, 600–603)*

Bezpośrednimi i najważniejszymi wychowawcami swych dzieci pozostają zawsze przede wszystkim rodzice. Rodzice mają też w tej dziedzinie pierwsze i podstawowe uprawnienia. Są wychowawcami, ponieważ są rodzicami. Wszyscy inni uczestnicy procesu wychowawczego działają poniekąd w ich imieniu, na podstawie ich zgody, a w pewnej mierze – nawet na ich zlecenie. Trzeba, żeby świadomość tego mieli zarówno rządzący, jak i ludzie odpowiedzialni za prowadzenie przedszkoli i szkół, wciąż bowiem można zauważyć niezdrowe tendencje do pomijania rodziców w pro-

¹⁸¹ Tamże, nr 11.

cesie wychowawczym i edukacyjnym lub niepodjęcia z nimi koniecznej współpracy na tych polach.

Wróćmy jednak do zagadnienia więzi, jakie winny łączyć członków rodziny. Ewangelia przedstawia Józefa i Maryję jako ludzi bardzo pobożnych, którzy „chodzili co roku do Jerozolimy na Święto Paschy”. Podczas jednej z tych pielgrzymek, na którą zabrali ze sobą dwunastoletniego Jezusa, zagubili Go i odnaleźli dopiero po trzech dniach intensywnych poszukiwań – w świątyni, „gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania”, a „wszyscy, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami” (Łk 2, 47). Zatrwożona i zdziwiona Matka rzekła do Niego: „Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie” (Łk 2, 48). Jest to jedyne wydarzenie z lat chłopięcych Jezusa opisane w Ewangelii.

Opis ten rzuca – z jednej strony – światło na początki działalności Jezusa, a raczej na Jego przygotowywanie się do niej, z drugiej zaś – na tajemnicę ojcostwa Józefa z Nazaretu. Maryja, czyniąc wyrzut Synowi: „Czemuś nam to uczynił?”, mówi: „Ojciec Twój i ja... szukaliśmy Ciebie”. Jezus zaś odpowiada: „Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?” (Łk 2, 49). Maryja mówi o trosce Józefa. Dwunastoletni Jezus odwołuje się do ojcostwa samego Boga.

Relacja Józefa z Nazaretu do Jezusa jest oparta na wierze. Było to w najpełniejszym tego słowa znaczeniu ojcostwo duchowe. Józef za sprawą Ducha Świętego – przez wiarę – stał się świadkiem Bożego narodzenia w noc betlejemską, a później troskliwym stróżem tej tajemnicy oraz opiekunem Matki i Syna, który naprzód w Betlejem, potem w Egipcie, a w końcu w Nazarecie wstawał pod jego troskliwym okiem i stopniowo stawał z nim do pracy (Mt 13, 55). Można zatem powiedzieć, że ojcostwo duchowe św. Józefa to ojcostwo przez Boga niejako nadane. Nadanie to nie wynikało jednak z prawa naturalnego, ale ze szczegółowej wolnej decyzji, objawionej przez Boga.

W świetlanej postaci św. Józefa możemy dostrzec ścisły związek, jaki zachodzi pomiędzy ojcostwem ludzkim i Bożym, jak bardzo ojcostwo człowieka opiera się na Ojcostwie Boga i jak ogromną czerpie zeń godność i wielkość. W przypadku ludzi urodzenie dziecka oznacza przede wszystkim „otrzymanie go od Boga” – i tak właśnie, jako dar Boży, powinni je przyjąć. Ponieważ dzieci pochodzą od Boga, najpierw należą do Niego, a dopiero potem do rodziców. Pięknie prawdę tę ujął Jan Paweł II w swym *Liście do Rodzin*: „Ludzkie rodzicielstwo zakorzenione jest w biologii, równocześnie zaś przewyższa ją. Gdy z małżeńskiej jedności dwojga rodzi się nowy człowiek, to przynosi on ze sobą na świat szczególny obraz i podobieństwo Boga samego: w biologię rodzenia wpisana jest genealogia osoby”¹⁸².

Słusznie mówimy, że rodzice są współpracownikami Boga w dziele poczęcia dziecka. Warto, wyjaśniając tę kwestię, sięgnąć ponownie do cytowanego już wyżej Listu Jana Pawła II, w którym czytamy na ten temat: „Jeśli mówimy, że małżonkowie jako rodzice są współpracownikami Boga-Stwórcy w poczęciu i zrodzeniu nowego człowieka, to sformułowaniem tym nie wskazujemy tylko na prawa biologii, ale na to, że w ludzkim rodzicielstwie Bóg sam jest obecny – obecny w inny jeszcze sposób niż to ma miejsce w każdym innym rodzeniu w świecie widzialnym «na ziemi». Przecież od Niego tylko może pochodzić «obraz i podobieństwo», które jest właściwe istocie ludzkiej, tak jak przy stworzeniu. Rodzenie jest kontynuacją stworzenia”¹⁸³. Prawda ta pociąga za sobą liczne konsekwencje zarówno dla rodziców, jak i dla dzieci.

Pierwszą i zasadniczą prawdą jest to, że rodzice są narzędziem Ojca niebieskiego w dziele kształtowania swoich dzieci. Dlatego nigdy nie mogą się uważać za „właścicieli” swych dzieci, ale troszcząc się o ich wychowanie winni sta-

¹⁸² Tamże, nr 9.

¹⁸³ Tamże.

le pamiętać o tym, że pozostają one w uprzywilejowanym związku z Ojcem niebieskim i że w gruncie rzeczy winny być – podobnie jak Jezus – bardziej w tym, co należy do Boga, niż w tym, co należy do ziemskich rodziców.

Rodzina z Nazaretu przekazuje bogactwo swojej nauki nie tylko rodzicom, ale także dzieciom. Rodzice są zobowiązani do miłości swych dzieci, ale dzieci zobowiązane są do czci rodziców, ojca i matki. Szacunek okazywany rodzicom przez dzieci umacnia naturalne więzi rodzinne. Jest on tak ważnym obowiązkiem wdzięczności, że wszedł nawet do Dekalogu: „Czcij ojca swego i matkę swoją!”. Mądrość Syracha opisuje te obowiązki bardzo konkretnie, a zarazem z dużą wrażliwością. „Kto czci ojca, zyskuje odpuszczenie grzechów, a kto szanuje matkę, jakby skarby gromadził. Kto czci ojca, radość mieć będzie z dzieci, a w czasie modlitwy swej będzie wysłuchany. Kto szanuje ojca, długo żyć będzie, a kto posłuszny jest Panu, da wytchnienie swej matce” (Syr 3, 4–12).

Należy więc troszczyć się o postępujących w latach rodziców: „Synu wspomagaj swego ojca w starości, nie zasnucaj go w jego życiu. A jeśli by nawet rozum stracił, miej wyrozumiałość, nie pogardzaj nim, choć jesteś w pełni sił. Miłosierdzie względem ojca nie pójdzie w zapomnienie, w miejsce grzechów zamieszka u ciebie” (Syr 3, 13–14). Ten, kto nie szanuje rodziców, naraża się na niebezpieczeństwo, że nie będzie miał radości z własnych dzieci. Cześć dla rodziców posiada też wymiar religijny: miłość do rodziców daje odpuszczenie grzechów. A nawet więcej: kto oddaje cześć matce, oddaje ją Panu; albowiem za ludzkim rodzicielstwem, tak jak już mówiliśmy, stoi Bóg.

Szacunek dla rodziców i pomoc im świadczona są najpierw aktem sprawiedliwości (obowiązek wdzięczności za doznane dobro), a zarazem dziełem miłości (wielkoduszna troska i życzliwe wsparcie). Otóż posłuszeństwo dzieci względem rodziców jest po prostu „miłe Panu”, który sam

dał nam wzór takiego posłuszeństwa (Łk 2, 51). Właściwy stosunek ojców do dzieci zostaje dokładnie uzasadniony: „Nie rodrażniajcie waszych dzieci, aby nie traciły ducha”. Autorytet ojca ma umacniać w dzieciach otuchę.

Widzimy więc, że rodzicielstwa nie można zawęzić tylko do urodzenia w znaczeniu fizycznym. Należy je rozumieć także w sensie moralnym i duchowym. Aby wydać człowieka na świat, potrzeba zaledwie kilka miesięcy, lecz całego życia nie starcza, by go wychować. Wychowanie według nauki św. Pawła jest „umacnianiem ducha” i rozwijaniem potencjału osobowego młodego człowieka. Istnieje świat wartości ludzkich i nadprzyrodzonych, które rodzice muszą przekazać dzieciom, jeśli chcą, by „dawanie życia” posiadało dla nich wymiar w pełni ludzki. Wymaga to czasu, cierpliwości, ogromnej mądrości, taktu, miłości. Cała rodzina wezwana jest do tego, aby wspólnie przemierzać ową drogę, dzień po dniu, w procesie stopniowego wzrastania wszystkich jej członków, nie tylko rodziców, którzy przeżywając w odpowiedzialny sposób swoje rodzicielstwo, wciąż odkrywają nowe, nieoczekiwane i zadziwiające aspekty ich małżeńskiej miłości, ale także dzieci, mających wobec swoich rodziców – ale także wobec rodzeństwa – najwyższe zobowiązania duchowe i moralne, które muszą potwierdzać miłością, zawierzeniem, oddaniem, a nawet poświęceniem, jak Antygona, ten nieprzemijający wzór wielkiej miłości do rodziców i brata, mówiąca w tragedii Sofoklesa:

*Grobie, ty moja łożnico miłości,
Mieszkanie ciemne, ciemnico sklepona!
Idę do moich, których tylu gości
W pozgonnych domach boska Persefona.
Z wami idę ja, co w życia wiośnie
Zginęłam, prawie nie zaznawszy świata.
A tuszę, że mnie tam przyjmą radośnie,
Ty, ojcze, matko, i miła dłoń brata:
Bom tu z miłosną służbą wasze ciała*

*Własną obmyła, namaściła ręką;
 Żem bratnie zwłoki uczciwie grzebała,
 Taką mnie darzą podzięką!
 Mam u szlachetnych ludzi cześć i chwałę,
 Lecz potępienie ze strony Kreona,
 Bo on me czyny uznał za zuchwałę.
 Ręką więc jego teraz uwięziona,
 Ani zaznawszy słodczych wesela,
 Ni uczuć matki, ni dziełek pieśczoży
 Schodzę tak sama i bez przyjaciela,
 Nieszczęsna, żywa do grobowej groty?
 Jakież do bogów podnosić mam modły,
 Wolać o pomoc, jeżeli czyn prawy,
 który spełniłam, uznano za podły.*

(Antygona, 890–921)

Antygona, jak wiadomo, była poganką w starożytnej Grecji, w połowie pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem – ale jej postawa była w pełni chrześcijańska: „Ile mąk, ile zniosła bólów / Za wierną służę świętą”¹⁸⁴. Kultura nasza jest jedna, bez względu na epoki, podziały i oddzielające ją granice. W kulturze tej rodzina była na pierwszym miejscu. Była świętością. I ostatecznie i najpełniej została uświęcona przez Boga. I pozostała tą świętością. Jej wzór wyznaczyła Boża Rodzina. I niech Święta Rodzina, ikona i wzór każdej ludzkiej rodziny, pomoże postępować każdemu w duchu Nazaretu.

Oto modlitwa w intencji rodzin ułożona przez Jana Pawła II:

*„Boże, od którego pochodzi wszelkie ojcostwo
 w niebie i na ziemi, Ojcze, który jesteś Miłością
 i Życiem, spraw, aby każda ludzka rodzina na
 ziemi przez Twego Syna, Jezusa Chrystusa,
 «narodzonego z Niewiasty» i przez Ducha Świętego*

¹⁸⁴ Sofokles, *Antygona*, Warszawa 1996, s. 942–943.

stawiała się prawdziwym przybytkiem życia i miłości dla coraz to nowych pokoleń.

Spraw, aby Twoja łaska kierowała myśli i uczynki małżonków ku dobru ich własnych rodzin i wszystkich rodzin na świecie.

Spraw, aby młode pokolenie znajdowało w rodzinach mocne oparcie dla swego człowieczeństwa i jego rozwoju w prawdzie i miłości.

Spraw, aby miłość umacniana łaską Sakramentu Małżeństwa okazywała się mocniejsza od wszelkich słabości i kryzysów, przez jakie nieraz przechodzą nasze rodziny.

Spraw wreszcie – błagamy Cię o to za pośrednictwem Świętej Rodziny z Nazaretu – ażeby Kościół wśród wszystkich narodów ziemi mógł owocnie spełniać swe posłannictwo w rodzinach poprzez rodziny.

Przez Chrystusa Pana naszego, który jest Drogą, Prawdą i Życiem na wieki wieków”.



WYCHOWANIE W RODZINIE

Życie każdego człowieka jest wielkim darem Bożym. Może być ono piękne lub nie, jakiegokolwiek by jednak nie było, najpiękniejsze jest w nim dzieciństwo. Te „bezgrzeszne lata” – żeby się posłużyć tytułowymi słowami książki Kornela Makuszyńskiego – to czas pełen odkryć, niespodzianek, zadziwień, radości, ale jest to też czas ogromnego wysiłku fizycznego i intelektualnego, z jednej bowiem strony – jest to czas formowania się, dojrzewania, a z drugiej strony – czas poznawania, uczenia się.

Dzieciństwo jest to zatem czas intensywnego wzrastania. Źle by jednak było, gdyby istota ludzka wzrastała tylko fizycznie i umysłowo, i tylko do pełni męskości i kobiecości. Winna ona też wzrastać do pełni człowieczeństwa. Nakaz wzrastania dał Pan Bóg już pierwszym ludziom, chociaż od początku byli oni ukształtowani jako kobieta i mężczyzna. Nie chodziło więc Stwórcy o to, by wzrastali fizycznie. Człowiek jako istota cielesno-duchowa winien wzrastać także w wymiarze duchowym, to znaczy coraz bardziej otwierać się na Boga, człowieka i to wszystko, co stanowi prawdziwe wartości: wiarę, nadzieję, prawdę, wolność, miłość, sprawiedliwość, miłosierdzie, służbę i poświęcenie. Dopomagać ma mu w tym wychowanie.

To, jaki będzie człowiek, w decydującej mierze zależy od tego, jak zostanie wychowany. W trakcie wychowania i poprzez nie kształtuje się i rozwija predyspozycje, zdolności, talenty, określa właściwe sposoby zachowania, wskazuje drogi i rozwiązania, tworzy więzi z ludźmi, ze światem i z Bogiem, ukazuje wartości, rozbudza otwarcie się na nie i gotowość ich przyjęcia oraz uznania, buduje postawy i uczy – uczy: jeść, pić, chodzić, ubierać się, bawić itd. Człowiek wiele musi się nauczyć, przede wszystkim miłości, dobra, sprawiedliwości, prawdy, wierności – Boga. Niestety, o tym często w wychowaniu się zapomina. Uczy się, jak żyć,

jak osiągać cele, jak się realizować, jak współżyć z ludźmi, lecz często nie uczy się, jak dobrze żyć. Już całe wieki temu Plutarch z Cheronei pisał: „Uczą się ludzie grać na lirze, tańczyć, czytać, uprawiać rolę, jeździć konno; uczą się wzuwać obuwie, nakładać płaszcz; nalewać wino uczą się i przyrządzać potrawy. Bez nauki nie można tych rzeczy wykonywać w sposób właściwy – dlaczegóż by cel tego wszystkiego, to jest dobre życie, miało być nie do nauczenia się, nie wyrozumowane, nie wymagające umiejętności, samorzutne?”¹⁸⁵.

Dlaczego tak mało do uczenia tego przywiązuje się wagi, dlaczego tak niewiele poświęca się temu czasowi? Istota ludzka wyposażona z natury nawet w najpiękniejsze i najwspanialsze przymioty duszy i umysłu, pozostawiona sama sobie, pozbawiona wychowania, nie jest w stanie ich rozwijać i wykorzystać. Ktoś, kto nie jest odpowiednio formowany od najwcześniejszych lat życia, nigdy nie będzie tym, kim mógłby być, gdyby go odpowiednio kształtowano. Czyż Jan Paweł II zostałby tym, kim został, gdyby nie piękne, wszechstronne, mądre wychowanie, jakie otrzymał od rodziców?

Niestety, w Polsce, podobnie jak w wielu innych krajach, coraz bardziej odczuwa się to, co moglibyśmy określić jako „kryzys wychowania”. Gdy w społeczeństwie panoszy się relatywizm, nierzadko agresywny, gdy upadają podstawowe wartości, gdy zanikają wszelkie pewniki, na których może być oparta nadzieja i budowany sens życia, łatwo ulec pokusie, by się poddać i odrzucić przypadające człowiekowi w udziale role i misje. Niestety, pokusie tej często ulegają rodzice. W rezultacie dzieci, nastolatki i ludzie młodzi, choć cieszą się wieloma względami i być może nadmiernie chronieni są przed trudnościami życia, czują się pozostawieni samym sobie w obliczu wielkich pytań, jakie się w nich rodzą, oraz w obliczu oczekiwań i wyzwania, które – w ich poczuciu – mogą być zagrożeniem dla ich przyszłości.

¹⁸⁵ *Moralia (I)*, Warszawa 1977, s. 5.

Przypomnijmy raz jeszcze, że kryzys wychowawczy idzie w parze w kryzysem prawdy – albo z niego wynika. Jeżeli podważana jest prawda, to logicznym następstwem tego musi być odrzucenie prawdy o Bogu. Następstwem odrzucenia prawdy o Bogu jest odrzucenie Bożych praw. Odrzucenie Bożych praw to przyznanie jednostce „wyłączonego przywileju autonomicznego określania kryteriów dobra i zła oraz zgodnego z tym działania”. Prowadzi to do konfliktu między prawem moralnym a sumieniem, między naturą a wolnością. Wolność staje się absolutem, jedynym źródłem wartości. Konsekwencją tego jest wspomniany już wcześniej relatywizm moralny, który wyraża się w tym, że wszystko jest względne, nie ma różnicy pomiędzy dobrem i złem, pięknem i kiczem.

Systematycznie poszerza się krąg ludzi, którzy w miejsce Boga usiłują postawić człowieka albo już tak zubożeli na Boga, że żyją, jakby Bóg nie istniał. Nie zadają sobie oni nawet trudu kwestionowania zasad moralnych, tylko je po prostu ignorują. Pierwsi z nich próbują się jeszcze kierować jakąś, choćby pozorną logiką, drudzy nie pytają nawet, czy coś jest logiczne; przemawia do nich to, że coś jest psychologiczne, że jest modne, na topie, trendy, odpowiada im, daje namiastkę szczęścia.

Obecny kryzys wychowawczy rodzi zapotrzebowanie na wychowanie naprawdę godne tego miana oraz na wychowawców, którzy potrafią być wiarygodnymi świadkami tych rzeczywistości i tych wartości, na których należy budować zarówno życie osobiste, jak i życie, które można dzielić z innymi.

Do podstawowych zadań każdej rodziny należy wychowywanie potomstwa, dlatego też ojcostwo i macierzyństwo nie kończą się z chwilą narodzin dziecka. Proces wychowawczy na łonie wspólnoty rodzinnej polega przede wszystkim na umiejętności wzajemnego obdarzania się człowieczeństwem. Jest to proces dwustronny – rodzice obda-

rzają swym dojrzałym człowieczeństwem nowo narodzonego człowieka, ten zaś obdarza ich całą nowością i świeżością, które przynosi ze sobą na świat.

Rzetelne wychowanie musi odwoływać się do wartości trwałych, takich jak poszanowanie godności osoby, uczciwość, odpowiedzialność, solidarność międzyludzka. W innym wypadku młodzi ludzie skazani są na moralne zagubienie, tracą poczucie bezpieczeństwa i stają się podatni na wszelkie rodzaje manipulacje.

Wychowanie w istocie swej oznacza kształtowanie osobowości ludzkiej. Winno prowadzić do rozwoju fizycznego, intelektualnego, uczuciowego i moralnego. Rodzina jednak powinna zwrócić szczególną uwagę na wychowanie moralne, społeczne i religijne. Moralność można określić jako postępowanie zgodne z przyjętymi normami i zasadami etycznymi, które kształtują styl życia indywidualnego oraz regulują stosunki międzyludzkie. U jej podstaw znajdują się pojęcia dobra i zła. Każdy świadomy czyn ludzki, jeśli jest zgodny z obiektywnymi zasadami etycznymi, stanowi czyn dobry pod względem moralnym, w przypadku niezgodności z normami moralnymi jest czynem złym. Aby człowiek mógł odróżnić czyn dobry od złego i w ogóle dobro od zła, musi mieć prawidłowo ukształtowane sumienie. Wychowujący muszą przywiązywać do tego ogromną wagę, świadomi, że z dojrzwaniem sumienia łączy się dojrzwanie do korzystania z wolności i ponoszenia odpowiedzialności za czyny i życie.

W procesie zapoznawania się z normami postępowania moralnego i formowania sumienia, tak jak w całym procesie wychowania, w tym również wychowania religijnego, bardzo ważną rolę odgrywają rodzice. Matka i ojciec są dla dziecka całym jego światem, łączy je z nimi najsilniejsza więź emocjonalna, im ufa bezgranicznie, im jest oddane i posłuszne, im wierzy, z ich opiniami się liczy, ich wskazania przyjmuje, na nich opiera swe nadzieje, od nich się uczy i od nich czerpie przykłady i wzorce postaw oraz zachowania. „Gdyby

mnie zapytano, kim jestem dzisiaj, to w mojej odpowiedzi odbiłyby się przede wszystkim te wartości chrześcijańskie, które przyswoiłem sobie jako dziecko. Ich treść wniknęła w mój umysł, jeszcze zanim nauczyłem się mówić” – napisał H. J. C. Dobson¹⁸⁶.

Dlatego też na rodzicach spoczywa największa odpowiedzialność za wychowanie. Muszą być zatem świadomi, że kształtowanie moralne i religijne w rodzinie nie może się ograniczać do samych nakazów i zakazów przekazywanych za pomocą słów, lecz wymaga żywego przykładu oraz stworzenia w domu odpowiedniej, sprzyjającej temu kształtowaniu atmosfery. „Atmosfera panująca w domu jest tym czynnikiem, który decyduje o skuteczności wychowania – pisze Janina Miazgowicz. – Szczęście rodzinne jest przedreligijnym warunkiem religijności dziecka: jego religijnej świadomości, uczuć, wyborów, praktyk, zaczątków moralności. Wszystkie elementy religijności dziecka, a zwłaszcza jego pojęcie czy obraz Boga, Chrystusa, nieba, Kościoła są przeniknięte uczuciami, których dziecko doznało w rodzinie. Dziecko na wzór rodziców kształtuje obraz Boga. Trwały kontakt z Bogiem tworzy się na podstawie pierwszych doświadczeń z bliskimi mu osobami”¹⁸⁷.

W kształtowaniu osobowości ważną rolę spełnia wychowanie społeczne, którego celem jest przygotowanie wychowanka do życia wśród ludzi. Między jednostką a społeczeństwem istnieje wiele wzajemnych powiązań, dlatego w wychowaniu należy się liczyć z potrzebami społeczeństwa. W rodzinie przecież rodzą się obywatele i w niej znajdują pierwszą szkołę cnót społecznych, które stanowią o życiu i rozwoju społeczeństwa. Jan Paweł II uważa ją za wspólnotę podstawową w najszerszym tego słowa znaczeniu, bowiem posiada ona „potężne energie, które są zdolne wyrwać człowieka z anonimowości, podtrzymać w nim świadomość

¹⁸⁶ H. J. C. Dobson, *Dzieci i wychowanie*, Warszawa 1997, s. 33.

¹⁸⁷ J. Miazgowicz, *Wychowanie religijne małego dziecka w rodzinie. Katecheza dla rodziców i chrześniych*, www.opoka.org.pl/biblioteka/K/chrzcielna2.html

godności własnej osoby, wzbogacać go głęboko człowieczeństwem i włączyć zachowując jego odrębność i niepowtarzalność, w tkankę społeczeństwa”.

W wychowaniu społecznym należy uwzględniać: życzliwość dla ludzi, wrażliwość na dobro wspólne, poszanowanie zasad demokracji, zaangażowanie w sprawy Ojczyzny, dyscyplinę społeczną, aktywność i inicjatywę. Chodzi tu o przekaz pojęć, ukształtowanie uczuć i wytworzenie postaw, które czynią dziecko aktywnym członkiem społeczeństwa. Dlatego dzieci powinny wzrastać we właściwej wolności wobec dóbr materialnych, przyjmując prosty styl życia w przekonaniu, że „więcej jest wart człowiek z racji tego, czym jest, niż ze względu na to, co posiada” (KDK 35). Powinny także zdobywać zdolność do kierowania się w życiu sprawiedliwością i miłością.

Tak rozumiane wychowanie musi też uwzględniać samowychowanie. Przygotowanie człowieka do życia jest nie tylko zadaniem rodziny, szkoły, katechetów czy innych instytucji. Jest też zadaniem, a i obowiązkiem jego samego. Wszystko, co zewnętrzne, powinno wspomagać go w tym podstawowym obowiązku, ale ostatecznie najważniejszym autorem swego wychowania jest on sam. Wychowawca musi sobie z tego zdawać sprawę i wychowywać tak, by wspomagać w samowychowaniu. Tylko wspólny wysiłek wychowawcy i wychowanka, inspirowany, podsycany i ukierunkowany przez tego pierwszego, prowadzi do celu, którym jest odkrycie „zachwycającego horyzontu odpowiedzi, którą daje Objawienie chrześcijańskie w odniesieniu do ostatecznego sensu samego człowieka”.

Młodzi ludzie samodzielnie muszą się wychowywać do człowieczeństwa i do wzięcia odpowiedzialności za nie. Z jednej strony – powinni się zwrócić w stronę otaczającej ich rzeczywistości i podejmować wszelkiego rodzaju działania na rzecz właściwego rozwoju społeczeństwa, do którego przynależą. Ale istota ludzka nie może ograniczyć swo-

jego rozumienia życia do spraw doczesnych, co proponuje zmateralizowany współczesny świat. Z drugiej więc strony – powinni się zwrócić w stronę wieczności i podejmować wszelkie działania na rzecz własnego rozwoju osobowego i duchowego, przezwyciężać ciasny i w gruncie rzeczy odstrasający materializm, przeciwstawiając mu ten bardzo rozległy horyzont, jaki pozwala nam dostrzegać i serce, i zdrowy rozum, a bardziej jeszcze – religia chrześcijańska, która „polega na tym – jak pisał Jakub Böhme – iż uczymy się poznawać, czym jesteśmy, skąd przyszliśmy, jak wystąpiliśmy z Jednego w wielość, czym jest zło i niesprawiedliwość i w jaki sposób tę samą Jedność możemy w sobie obudzić. Po drugie, przypomina o tym, że w tej Jedności byliśmy dziećmi Boga. Po trzecie, jak zatem istniejemy w wielości, w sporze i konflikcie. Po czwarte, dokąd wędrujemy z tego niespełnionego życia. Dokąd zmierzamy wraz z tą nieśmiertelnością, a także czym jest śmiertelność”¹⁸⁸. W tym kierunku, w kierunku pełnego uświadomienia sobie, czym jest wiara, czym jest chrześcijaństwo, czym jest Chrystus i dokąd wzywa, powinno zmierzać samowychowanie, które jest jednym z najważniejszych obowiązków człowieka.

Aby jednak wychowanie, a także samowychowanie mogło być skuteczne, jego cel musi być krystalicznie jasny. Jak mówił papież Benedykt XVI, wiąże się ono „z bardzo konkretnym zadaniem: przekazu wiary nowym pokoleniom” (29 V 2008). W wychowaniu chodzi więc nie tylko o przekazywanie wychowankom wiedzy religijnej, ale także o przekazywanie słowem i przykładem Chrystusa, o „kształtowanie” Chrystusa w ich życiu. Czyż nie mówił św. Paweł: „choćbyście mieli bowiem dziesiątki tysięcy wychowawców w Chrystusie, nie macie wielu ojców; ja to właśnie przez Ewangelię zrodziłem was w Chrystusie Jezusie” (1 Kor 4, 14). Rodzić przez Ewangelię w Chrystusie i dla Chrystusa – oto zadanie człowieka! Żeby jednak mógł on to zadanie wykonać, musi

¹⁸⁸ J. Böhme, *Ponowne narodziny*, Poznań b.r.w., s. 141–142.

być właściwie ukształtowany, musi mieć jasno wytyczone cele i dążenia, a jego osobowość musi być na tyle silna i harmonijna, by móc się spełnić w realizacji tego zadania, a nie utknąć w martwych zaułkach. Tak to bowiem jest, jak pisał starożytny poeta grecki Pindar:

*jednego z śmiertelnych
Od chlubnych osiągnięć odtrąca pusta pewność
siebie,
Innego zbyt swym siłom niedowierzenie
pozbawia przeznaczonej
Chwały, od której odciąga go za rękę zbytnia
ostrożność.*

(Oda nemejska jedenasta)

Wychowanie musi zatem zmierzać do kształtowania ludzi nie nazbyt pewnych siebie, lecz mocnych swym człowieczeństwem w Chrystusie, mocnych odpowiedzialnością za siebie i innych, mocnych poczuciem misji, którą mają do spełnienia i mocnych w spełnianiu tej misji, a samowychowanie musi zmierzać do poznania samego siebie w myśl wezwania Platona: „Poznaj samego siebie”, będącego też wezwaniem chrześcijańskim, gdyż tylko to umożliwi właściwe rozpoznanie swojej roli w społeczeństwie, swojego miejsca w świecie oraz spełnienie się w swoim człowieczeństwie, a ostatecznie – w Bogu.

Trzeba zatem robić wszystko, co możliwe, aby zniwelować dysonans między wiarą i życiem. Trzeba uczyć młodych ludzi szukania własnych uzasadnień dla zgodnych z Dekalogiem postaw moralnych. Trzeba „uduchowić” ich praktyki religijne, aby litera ceremoniału i zewnętrznych gestów nie była pusta, ale odzwierciedlała głębię duchowych przeżyć człowieka, bogactwo jego doświadczenia religijnego. Trzeba wreszcie troszczyć się, aby młodym ludziom nie tylko „chciało się chcieć!”, ale by także wiedzieli, jak wykorzystać swoje zdolności i umiejętności na chwałę Bożą, pożytek ludzi i własny rozwój osobisty.

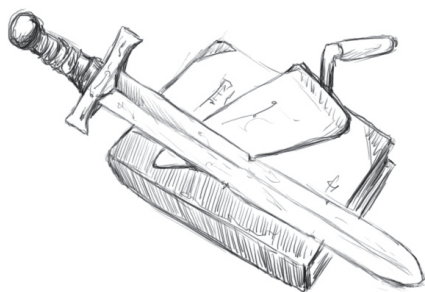
Młodzi ludzie stoją przed ważnym wyborem – iść za Chrystusem czy nie? Od wyboru tego nie da się uciec, trzeba go dokonać. Trzeba iść za Chrystusem, podążać odważnie za Jego nauką. Trzeba zdawać sobie oczywiście sprawę z różnych niebezpieczeństw i przeszkód, na jakie natrafia się w różnych środowiskach dzisiejszego życia społecznego. Ale nikt nie powinien się dawać wprowadzać w błąd. Nie powinien nigdy ulegać pokusie, subtelnej i przez to tym bardziej podstępnej, aby myśleć, że taki wybór, wybór drogi Chrystusa może się sprzeciwiać kształtowaniu osobowości. Odwołując się do słów Sługi Bożego Jana Pawła II, można powiedzieć, że ta „opinia jest całkowicie fałszywa: uważać, że życie ludzkie w procesie swego wzrostu i swego dojrzewania może być «pomniejszone» przez wpływ wiary w Chrystusa to idea, którą trzeba odrzucić. Jest natomiast dokładnie przeciwnie: jak cywilizacja byłaby zubożona i okaleczona bez obecności czynnika religijnego, bez czynnika chrześcijańskiego, tak życie poszczególnego człowieka, a zwłaszcza młodego, byłoby niepełne i posiadałoby braki bez głębokiej znajomości wiary, zaczerpniętej, z bezpośredniego kontaktu z Chrystusem Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym”.

I tego wszyscy rodzice, a także wszyscy wychowawcy muszą być świadomi.

Wiara w Chrystusa przynosi dopełnienie i uwieńczenie osobowości. Chrystus otwiera nas na to, co piękne i szlachetne w świecie i w człowieku. Związanie się z Chrystusem nie zacieśnia, lecz rozszerza i podnosi dążenia, jakie mądrość Boża złożyła w ludzkich sercach. Związanie się z Chrystusem nie ogranicza, lecz wzmacnia zmysł obowiązku moralnego, dając pragnienie zaangażowania się w dobro, dając, zadowolenie z dobrze przeżytego życia.



SPOŁECZEŃSTWO





WOJNA

„Od początku istnienia człowieka i od chwili, gdy jego historia jest znana, wojna uchodzi za jedną z reguł rozwoju ludzkości” – pisał generał Władysław Sikorski¹⁸⁹. Porażający to pogląd, aczkolwiek niepełny. By go dopełnić, trzeba by rzec, że wojna uchodzi również za regułę postępowania ludzkości, rozwiązywania wszelkich sporów i konfliktów, osiągnięcia celów, zdobywania rzeczy pożądaných, stan, w którym ludzkość – z dłuższymi czy krótszymi przerwami – trwa permanentnie od zarania dziejów i w którym, kto wie, czy nie będzie – a wiele na to wskazuje – trwał aż do ostatecznej zagłady. Wiele mówiono o pokoju, wzywano do niego, walczone o niego, jednak walka ta osiągała kulminację w polu pośród szczęku oręża, w obracanych w ruinę miastach pośród wybuchów i strzałów, w równanych z ziemią wioskach pośród krzyków i lamentów; w ogniu, zniszczeniu i krwi. Jak pisał zabity w Powstaniu Warszawskim Tadeusz Gajcy:

*Głód był i ogień. Dzień jak noc gruchotał domów
białą kostkę,
po bębnie bruków śpieszny trud sypał barykad
groźną krawędź,
gdzie tramwaj krwawe cielsko kładł, kamienie rosły
w twierdze ostre
gdzie spokój rzeczy gubił sens i twardniał w nowe
zbrojne prawo.*

*Jaszczury czołgów gniotły czas. Płukały gardła
salwą sypką,
w jaskiniach mroku welon mgły. Gorączka kwitła w
toni oczu. (...)*

*Plusk bomb w ulicach. Obły kształt namaszczał ciała
snem rozdartym,
w ziemi jak księżyc pełnej wyrw zanurzał się
świecący metal,*

¹⁸⁹ W. Sikorski, *Przyszła wojna*, Warszawa 1984, s. 29.

*dotknięci cieniem ręki złej wpinali w piersi ran
kokardy
i przyzywali wieczność gwiazd w poprutyh rdza-
wą krwią oddechach.*

*Świat malał – oto glob wpisany w kosmos ślepym
rylcem
pomiędzy ogień, żądny głód, pomiędzy siarękę
i zagładę...*

(Z dna, VII)

Pomimo postępu, rozwoju i wzrostu nastawień oraz pokojowych postaw, niewiele w świecie się zmienia. Współczesność tak, jak przeszłość, obfituje w niesprawiedliwość, przemoc, wyzysk, chęć panowania; dzisiaj, jak i wczoraj, dochodzi do konfliktów, starć, przemocy, tyle że obecnie łatwiej jest zabijać i łatwiej sięgać po broń. Wiele sytuacji nabrzmiałych niesprawiedliwością tylko dlatego nie przeradza się w otwarte wojny, że przemoc ludzi, którzy sprawują władzę, jest tak wielka, iż tym, którzy władzy nie mają, odbiera energię i możliwość upominania się o własne prawa, a wiele dążeń opętanych żądzą dominacji i zdobywania władców czy rządzących rozbija się o mur potężnego uzbrojenia i gotowość do walki tych, którymi chcieliby zawładnąć.

Ogniska wojny tlą się dzisiaj w niektórych częściach świata i raz po raz przeradzają się w wielki ogień. Ileż było już wojen od zakończenia II wojny światowej! Według danych opublikowanych przez Konferencję Episkopatu Francuskiego, aż sto trzydzieści! Spowodowały one śmierć od 30 do 50 milionów ludzi! Nie są to konflikty epizodyczne, utrzymują się bowiem latami, i nie są to zjawiska marginalne, albowiem dziesiątkują zarówno zastępy doskonale uzbrojonych żołnierzy, jak i bezbronne rzesze ludności cywilnej. Najgorsze jest to, że nie są łatwe do załagodzenia, a jak się wydaje czasami – wręcz niemożliwe, skoro już dawno zostały, jak może się wydawać, wyczerpane wszelkie moż-

liwości rokowań i mediacji, oraz to, że nie są obojętne dla utrzymania równowagi w świecie, ponieważ stoi za nimi cały stałe rosnący potencjał uprzedzeń, nadwreżonego prestiżu, nienawiści, chęci odwetu, co prowadzi do zbrojeń na coraz większą skalę. Wojny te są nie tylko najwyższą niesprawiedliwością wyrządzoną ludziom, którzy zostali w nie wciągnięci, ale stanowią także skrajne niebezpieczeństwo dla całego świata. Każdy konflikt o ograniczonym zasięgu, zwłaszcza w niektórych strategicznych punktach globu, może wyzwoić reakcje łańcuchowe i przerodzić się w wojnę o zasięgu regionalnym, a nawet światowym.

Ludzkość jest tego świadoma, zdaje sobie sprawę, że jak – mówił Albert Einstein – „nie wiadomo, na co będzie trzecia wojna światowa, ale czwarta będzie na pewno na maczugi”, ale apoteoza wojny trwa nieprzerwanie. Nadal „*na Zachodzie, bez zmian*” – jak zatytułował swoją książkę Erich Maria Remarque, przywołując słowa komunikatu powtarzanego codziennie podczas I wojny światowej, gdy codziennie tysiące żołnierzy ginęło w okopach. Ciągłe żywe jest przekonanie Fryderyka Nietzschego, że „wojna i męstwo uczyniły więcej wielkich rzeczy niż miłość bliźniego”¹⁹⁰, a nawet i my sami, tak ciężko doświadczeni wojną, śpiewamy tę piosenkę do słów Władysława Tarnowskiego:

*Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie...*

Już Andrzej Frycz Modrzewski mówił, że „żadne korzyści z wojny nie są tak wielkie, aby mogły jej szkodom dorównać” (*O naprawie Rzeczypospolitej*), ciągle jednak wielu ludzi, kto wie, czy nie większość, uważa wojnę za jedyny możliwy sposób rozwiązywania problemów międzynarodowych czy wewnątrzpaństwowych i kto wie, jak wielu ze zrozumieniem przyjmuje tę cyniczną wypowiedź Stalina:

¹⁹⁰ F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra. O wojnie i ludzkiej wojennym*, cz. 1, Kraków b.r.w., s. 58.

„Śmierć jednego człowieka to tragedia, śmierć miliona ludzi to statystyka”. Bo przecież chodzi o rzecz słuszną: poszerzenie przestrzeni życiowej – jak mówił Hitler, o sprawiedliwość dziejową – jak mówił Lenin, a w ogóle o sprawiedliwość – jak mówią wszyscy rozpętujący wojny. Przecież w wojnie zawsze o nią właśnie chodzi, każda jest więc sprawiedliwa, nie ma wojny niesprawiedliwej! I ciągle jest na nią zgoda! Dawno temu dziejopis grecki Tukidydes napisał: „Ludzie tak mało się wysilają, by znaleźć prawdę. Tak łatwo przyjmują poglądy, na które się po prostu natknęli” (*Wojna peloponeska*).

Niestety, tak właśnie jest. Jeśli się ludziom mówi, że wojna jest konieczna, uznają po prostu, że jest konieczna. Jeśli się mówi, że jest sprawiedliwa, to uznają, że jest taka. Po prostu. Wydaje się jednak, że prawdę znalazł angielski pisarz John Fowles: „Powie Ci, czym naprawdę jest wojna. Psychozą spowodowaną nieumiejętnością zrozumienia wzajemnych zależności. Nieumiejętnością ustosunkowania się do naszych bliźnich. Do naszej ekonomicznej i historycznej sytuacji. A przede wszystkim do nicości. Do śmierci”.

Myślę, że są to bardzo ważne słowa: nieumiejętność ustosunkowania się do naszych bliźnich, do naszej sytuacji, do śmierci... A w konkluzji – i to staje się oczywiste – do Boga, praw Boskich, Bożej miłości, miłości, prawdy, wolności, dobra, sprawiedliwości, tego wszystkiego, czym – stworzeni – zostaliśmy obdarowani przez Stwórcę.

Dopóki nie potrafimy się do tego ustosunkować, dopóty będzie w nas wojna, w każdym z nas, a będzie ona dołą, dopóty będzie wojna w świecie.

Jak długo Bóg będzie odsuwany poza margines świata, jak długo nie będzie w ludziach prawdziwej miłości Boga i bliźniego, jak długo nie zostaną zaakceptowane prawa Boga, jak długo nie zostanie przyjęta prawda Ewangelii, tak długo nie będzie możliwa wolność, dobro, sprawiedliwość i tak długo nie będą mogły zostać stworzone żadne skuteczne środki zabezpieczające przed wojną, i tak długo będzie zagra-

żało jej niebezpieczeństwo. Ojcowie Soboru Watykańskiego II znali okropność, grozę i zło wojny, po Hiroszimie i Nagasaki doskonale też zdawali sobie sprawę, jaka będzie wojna w drugiej połowie XX wieku prowadzona przy użyciu broni nuklearnej. „Działania bowiem wojenne przy użyciu tych broni mogą sprawić ogromne i nieobliczalne zniszczenia, które wskutek tego wykraczają daleko poza granice koniecznej obrony. Co więcej, jeśli były użyte w całości te środki, które już zostały zmagazynowane przez wielkie narody, doprowadziłoby to do całkowitej niemal i obustronnej zagłady walczących, pomijając rozliczne spustoszenia w świecie oraz zgubne skutki, wynikłe z zastosowania tego rodzaju broni” (KDK 80).

Mając to na uwadze, Sobór całkowicie przyjmuje za swoje zadanie potępienie wojny totalnej, przez Piusa XII oraz Jana XXIII i jednoznacznie oświadcza: „Wszelkie działania wojenne, zmierzające bez żadnej różnicy do zniszczenia całych miast lub też większych połaci kraju z ich mieszkańcami, są zbrodnią przeciw Bogu i samemu człowiekowi, zasługują na stanowcze i natychmiastowe potępienie” (KDK 80), i orzeka: wojnę należy bezwzględnie, absolutnie wyeliminować ze stosunków międzynarodowych.

„Nigdy więcej wojny” – mówił papież Paweł VI. Żadnej, pod żadną postacią, pod żadnym pozorem, ani jawnej, ani ukrytej, ani otwartej, ani zakamuflowanej. Sobór wyraźnie dostrzegał niebezpieczeństwa także tych wojen – utajonych, zamaskowanych przy pomocy nowych, podstępnych metod, prowadzonych pod pozorami konfliktów wewnętrznych, kierowanych wszakże i wspieranych z reguły z zewnątrz, przybierających postać szantażu politycznego, wojny gospodarczej, systematycznych i przemyślnie zorganizowanych kampanii propagandowych posługujących się kłamstwem i naukowo wypracowanym systemem oszczerstw. Według Soboru stosowanie tego rodzaju metod terroru to nowy sposób wojowania (KDK 79), któremu należy się przeciwstawić

i przeciwdziałać tak samo zdecydowanie, jak sposobom tradycyjnym.

Konstytucja soborowa *Gaudium et spes* uznaje jednak – pod wieloma wszakże zastrzeżeniami i tylko w pewnych wyjątkowych wypadkach – prawo do wojny obronnej. Czytamy w niej: „Wojny ze spraw ludzkich nie wyrugowano. Póki zaś będzie istniało niebezpieczeństwo wojny, a równocześnie brakować będzie międzynarodowej władzy posiadającej niezbędne kompetencje i wyposażenie w odpowiednią siłę, póty rządowi nie można zaprzeczać prawa do koniecznej obrony, byle wyczerpały wpierw wszystkie środki pokojowych rokowań” (KDK 79). Konstytucja dopuszcza zatem możliwość podjęcia wojny obronnej i przyznaje do niej prawo, ale absolutnie, w żadnym wypadku nie sankcjonuje prawa do zemsty i odwetu. Wojna obronna ma służyć obronie, utrzymaniu *status quo*, a nie stać się odskocznią do ekspansji, eskalacji przemocy, podjudzania do nienawiści.

Pokój na ziemi nie może być zaprowadzony poprzez przemoc. Pokój, który miałby powstać „na gruzach i trupach” pozostawionych przez przemoc, byłby – jak mówił Jan Paweł II – „pokojem cmentarnym”. Przemoc – nazwana przez Papieża „antagonistyczną przeciw wagą pokoju” – nigdy nie może być traktowana jako właściwy środek rozwiązywania problemów, albowiem zawsze i nieuchronnie wywołuje nowe formy ucisku i zniewolenia, zwykle bardziej dotkliwe od tych, od których usiłuje wyzwalać. Stanowi ona przede wszystkim zamach na życie ludzkie, jest więc zbrodnią przeciw ludzkości, niszczy bowiem żywą tkankę społeczeństwa i zawsze, posłuszna jedynie logice niszczenia i śmierci, prowadzi donikąd. Z mnożenia aktów przemocy nigdy nie może wyniknąć żadne dobro. Przemoc nie jest środkiem budowania. Grozi zniszczeniem wszystkiego, co człowiek wypracował, co wzniósł własnymi rękami. Tam, gdzie się szerzy, kończy się prawdziwy pokój.

Przemoc przejawia się w wielorakich formach, jednak najbardziej niebezpieczną formę przyjmuje podczas konfliktu zbrojnego, który często przeradza się w wojnę, wojna zaś jest zawsze zabijaniem, niszczeniem ludzkiego życia i tego, co jest konieczne do życia oraz rozwoju człowieka, nie mówiąc już o zburzeniu ładu, pogłębieniu wzajemnej wrogości stron konfliktu. Każda wojna niesie ze sobą nieproporcjonalny przyrost nienawiści, okrucieństwa i zniszczeń, ale wojna w obecnych warunkach, przy zastosowaniu broni nuklearnej i spowodowane przez nią zniszczenia byłyby wręcz niewyobrażalne, straszliwsze niż wszystko, co przyniosła ze sobą jakakolwiek dotychczasowa wojna, także II wojna światowa. Wojna nuklearna jest w stanie całkowicie zdruzgotać ludzki trud budowania świata. Jest w stanie doprowadzić do całkowitej zagłady rodzaju ludzkiego.

Dlatego też trzeba przekonywać świat, że wojna nie jest ani czymś koniecznym, ani nieuniknionym. Samozniszczenie nie jest przeznaczeniem ludzkości. Mówił już o tym papież Paweł VI przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ, powołując się na znane słowa wielkiego Johna Kennedy'ego: „Ludzkość musi położyć kres wojnie, jeżeli wojna nie ma położyć kresu ludzkości”, i wołał: „Nigdy więcej wojny, nigdy więcej! Nigdy jedni przeciw drugim, albo jedni ponad drugimi, ale zawsze jedni razem z drugimi”. Czternaście lat później te same słowa powtórzył na tym samym Forum Pokoju papież Jan Paweł II. Także w Buenos Aires, przywołując na pamięć aktualnie toczące się wojny, wyraził pragnienie, żeby były one „ostatnimi zgubnymi przykładami, lekcją pouczającą wszystkich, aby wyeliminować raz na zawsze uciekanie się do wojny”, a w Hiroszimie, nawiązując do hekatomb, która się tam dokonała, apelował: „Niech nigdy nie powtórzy się przeszłość – przeszłość przemocy i zniszczenia. Podejmijmy solenną decyzję, że wojny nie będzie się już nigdy tolerować ani widzieć w niej metody rozwiązywania sporów”.

Człowiek musi mieć zagwarantowane prawo do życia, rozwoju, wolności, miłości, równości, kultury, korzystania z dóbr, zachowania godności osobistej i społecznej. Muszą być przestrzegane prawa człowieka, musi się rozwijać i rozkwitać cywilizacja, lecz musi to być cywilizacja miłości, cywilizacja życia. Musi w świecie zapanować pokój. Ludzkość musi położyć kres stosowaniu przemocy, lekceważeniu i poniżaniu osoby, dyskryminacji, niewolnictwu, nietolerancji, ksenofobii, rasizmowi, prześladowaniom, nacjonalizmom, niesprawiedliwości. Musi położyć kres wojnom!

„Wkrótce wyrośniemy także z wojen, które są w gruncie rzeczy pojedynkami narodów. (...) Gwałt rodzi tylko nowe gwałty ze strony człowieka, na którym został popełniony; miłość natomiast rodzi miłość” – pisał Lew Tołstoj (*Wojna i pokój*).

Miejmy nadzieję, że słowa te są prorocze. Miejmy nadzieję, że wyrośniemy z wojen, że miłość zwycięży, że zapanuje pokój i braterstwo. Miejmy tę nadzieję. Ale sama nadzieja nie wystarczy, nadzieja nie spełnia się sama. Żeby się spełniła, trzeba czynić, trzeba działać, trzeba wysiłku. A żeby spełniała się ta nadzieja, trzeba wielkiego wspólnego, zbiorowego wysiłku wszystkich ludzi dobrej woli, wszystkich pragnących i łaknących pokoju, a szczególnie tych, którzy stoją przy Tym, który przyszedł, by przynieść pokój. Ze wszystkich sił trzeba przekonywać ludzi, zwłaszcza młodych, aby opierali swoje życie na miłości, a nie na nienawiści i pogardzie, aby dokonywali aktów miłosierdzia, a nie przemocy. Ze wszystkich sił trzeba przekonywać rodziców, aby wychowywali swoje dzieci do miłości. Ze wszystkich sił trzeba przekonywać dorosłych, aby nigdy nie schodzili z jej szlaku, a polityków i rządzących, aby na niej opierali życie społeczne. Tego wymaga dobro człowieka, Ojczyzny i świata.

Matkę Najświętszą nazywamy „Królową Pokoju” nie tylko dlatego, że dała światu „Księcia Pokoju”. Także dlatego, że gdziekolwiek się pojawiła, wszędzie wносиła swo-

im sercem czystym, swoim zachowaniem, swoją postawą i swoim działaniem pokój pomiędzy ludzi. Tak było w czasie nawiedzin św. Elżbiety, tak też było w Kanie Galilejskiej i nie inaczej jest teraz, gdy swoją obecnością stale zapewnia ludziom poczucie bezpieczeństwa, będące istotnym przejawem pokoju. Trzeba Ją usilnie prosić, aby nas wszystkich utwierdzała w miłości i chroniła przed nienawiścią, a świat ratowała przed przemocą i wojną. Trzeba – może także słowami tej piosenki Jacka Kaczmarskiego – prosić Boga Ojca Miłości i Miłosierdzia:

*Każdy Twój wyrok przyjmę twardy,
Przed mocą Twoją się ukorzę,
Ale chroń mnie, Panie, od pogardy,
Przed nienawiścią strzeż mnie, Boże*

*Wszak Tyś jest niezmierzone dobro,
Którego nie wyrażą słowa,
Więc mnie od nienawiści obroń
I od pogardy mnie zachowaj*

*Co postanowisz, niech się ziści,
Niechaj się wola Twoja stanie,
Ale zbaw mnie od nienawiści
I ocal mnie od pogardy, Panie...*

(Modlitwa o wschodzie słońca)

„Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!... od powietrza, głodu, ognia i wojny... i wojny: wybaw nas Panie!”



POKÓJ

To był jeden z najbardziej wstrząsających filmów, jakie widziałem: *Johnny poszedł na wojnę* Daltona Trumbo. Poszedł – i wybuch bomby pozbawił go rąk, nóg, organów wewnętrznych, nawet twarzy i wszystkich zmysłów: wzroku, słuchu, węchu. Jedyne jego serce i mózg funkcjonowały prawidłowo. Udało się uratować mu życie. Nie potrzeba nadmiaru wrażliwości, by wyobrazić sobie koszmar jego egzystencji, właściwie wegetacji – całe miesiące, lata, dziesięciolecia... I tu, w tej szpitalnej sali, przed tym szpitalnym łóżkiem, przed tym spowitym w płótna, pozbawionym niemal całego ciała chłopcem, który czuje, myśli, wspomina, marzy, tęskni, pragnie, ale niczego już nie może i nic już nie może mu być dane oprócz lęku, trwogi, bólu i rozpacz; właśnie tu człowiek najpełniej uświadamia sobie, czym jest wojna, jej okrucieństwo, bezwzględność, konsekwencje.

Zbędne są ogromne sceny batalistyczne, obrazy wyrywania się ludzi, tysiacy poszarpanych trupów, krwi, ludzkich wnętrzości, ruin, łun płonących miast i wsi. Wystarczy biel tej szpitalnej sali, biel bandaży zakrywających twarz, której nie ma, biel niewinności wyzutej już nawet z niewinności, biel nie wiadomo już nawet czego, sama biel. Tu następuje wstrząs. Widok mas zabijanych ludzi nie wywołuje takiego szoku. Szok wywołuje widok człowieka, bezradnej niewinności sprowadzonej w bezmiar samotności i rozpacz bez granic, jej nieme, przez nikogo niesłyszane, błaganie o pokój.

Ktoś powiedział kiedyś, że pokój nie jest wszystkim, ale gdy go zabraknie, wszystko traci sens. W życiu Johny'ego wszystko, do końca, do dna, do kresu utraciło sens. Do tego prowadzi wojna. Jak zrozumieć, że mimo całego swego zła, okrucieństwa i bezsensu jest współistotna wobec wszystkiego, co piękne, dobre i nadaje życiu sens: wiary, nadziei, miłości, poezji, muzyki, pokoju. Współistotna, tak bowiem powszechna, tak wszechobecna w świecie, potępiana, ale

i sławiona, pożądana przez silniejszych. Pełno jej nie tylko w dziejach, ale także w literaturze i sztuce. Ileż jej w Biblii (w Starym Testamencie), u Homera, Eurypidesa, Tukidydesa, Herodota, Wergiliusza, w Koranie! Dopiero Chrystus przyniósł pokój: „Pokój mój daję wam”. Przyniósł, lecz świat i Jego, i Jego pokój odrzucił – niby przyjąwszy. Jak bowiem w czasach starożytnych, tak i w nowożytnych, wybuchała wojna, której apogeum przyniósł wiek XX, i jak apostrofa Homera z ok. VIII wieku przed Chr. brzmiała:

*Achilla śpiewaj, Muzo, gniew obfity w szkody,
Który ściagnął klęsk tyle na greckie narody,
Mnóstwo dusz mężnych wcześniej wtrącił do Erebu,
A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu,
Walające się trupy rycerskie pośród pola*

(*Iliada*, I, 1–5)

tak też brzmiała apostrofa Wergiliusza z I wieku przed Chr.:

*Męża opiewam i jego orężne czyny, co pierwszy
Z Troi, losem tułaczym miotany, do brzegów Italii
Przybił (...)
[I] srodze też znosił się w bojach*

(*Eneida*, I, 1–5)

i tak brzmiała apostrofa Torquata Tassa z XVI wieku po Chr.:

*Wojnę pobożną śpiewam i Hetmana
(Jerozolima wyzwolona, I, 102)*

Ale można też znaleźć w literaturze inne apostrofy, jak ta z *Pokoju* Arystofanesa z V wieku przed Chr.:

*Muzo, wojnę wzgardź,
ze mną bądź,
z przyjacielem twoim tańcz!
Bogów wesela sław,
mężów ucztę,*

*igry błogosławionych –
twoja to dawna dziedzina.*

(Pokój, 773–780)

albo z *Acharnejczyków*:

Zgodo, (...)

*że też dotąd nie wiedziałem, jak prześliczna twoja
twarz!*

Obyż Eros wziął za rękę mnie i ciebie, złączył nas.

(Acharnejczycy, 989–991)

Można też znaleźć inne głosy, nawołujące nie do wojny, lecz do pokoju, jak np. głos Demostenesa z IV wieku przed Chr.: „Moim zdaniem należy przyjąć jedną zasadę: jeżeli kto chce pozyskać dla państwa sprzymierzeńców, powiększyć jego dochody lub oddać mu jakąkolwiek inną przysługę, nie może tego czynić kosztem istniejącego pokoju. (...) Uważam tylko, iż nie wolno nam robić nic takiego, co by było niegodne nas, a przede wszystkim nie wolno nam dopuścić do wojny”¹⁹¹. Później słychać jeszcze głosy wielu innych, w tym także donośne, słyszane w całym świecie głosy Polaków, szczególnie Pawła Włodkowica, który na przełomie XIV i XV wieku pisał, iż godność ludzką mają wszyscy i każdy ma prawo żyć w pokoju, nie wolno więc napadać na inne państwa ani wszczynać żadnych wojen, chyba że we własnej obronie, ponieważ jest to połączone z krzywdą bliźniego. „Nie należy czynić rzeczy złych, aby osiągnąć dobre”¹⁹².

Podobnych głosów we współczesnym świecie, zwłaszcza po kataklizmach I i II wojny światowej, rozbrzmiewa coraz więcej, coraz więcej też podejmuje się wysiłków na rzecz budowania pokoju. Powstają różne organizacje, które stawiają sobie za cel utrwalanie zgody i niedopuszczenie do działań wojennych; szerzą się ruchy pacyfistyczne głoszące

¹⁹¹ Demostenes, *O pokój* [w:] *Wybór mów*, Wrocław 1991, s. 106, 110.

¹⁹² L. Ehrlich, *Pisma wybrane Pawła Włodkowica*, t. 1., Warszawa 1968, s. 128–129.

pokój i dające przykład, jak żyć w pokoju, rodzą się, przesiąknięte duchem pokoju, koncepcje współistnienia państw i narodów; kręcone są filmy ukazujące potworność wojny, pisane książki stanowiące apele o pokój, organizowane koncerty muzyczne i imprezy sportowe na rzecz pokoju, otwierane wystawy ilustrujące okropieństwa wojen, zwoływane zjazdy, seminaria, konferencje, na których radzi się o pokój i nad tym, jak go zaprowadzić; na wszystkich kontynentach coraz mocniej ujawnia się dążenie do pokoju, ludzie, niezależnie od podziałów światopoglądowych, religijnych i politycznych, coraz bardziej są świadomi, że stanowi on największe dobro na ziemi, ale mimo to zauważa się, że ludzkość nie wierzy dzisiaj w trwały pokój na ziemi, a jednostka – w możliwość przeżycia życia bez wojny. Oznacza to, że człowiek na świecie nie wierzy już w człowieka.

To jest jedna z najokrutniejszych prawd współczesnego świata. Co prawda, Antoine de Saint-Exupéry mówił: „Wierzę w człowieka”, co prawda Jan Paweł II całą swą postawą, życiem i słowem podkreślał swą wiarę w człowieka i nawoływał do niej, co prawda św. Maksymilian Maria Kolbe dał oczywisty dowód, że można i należy wierzyć w człowieka, jednak w wielu wypadkach człowiek nie wierzy w człowieka, a co za tym idzie – nie uznaje człowieka w człowieku. I niestety, jak długo nie uzna, tak długo nie będzie możliwy pokój. „Dopóki – pisał Albert Schweitzer – człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich żywych stworzeń, dopóty on sam nie będzie mógł żyć w pokoju”. Dopóki nie uzna człowieka i godności osoby ludzkiej i dopóki nie zapewni się każdemu warunków życia odpowiadających tej godności, dopóty świat będzie ustawicznie stał w obliczu wojny. Człowiek musi zrozumieć, że prawda o człowieku jest kluczem do rozwiązywania wszystkich problemów związanych z budowaniem pokoju; musi zrozumieć, że – jak z naciskiem mówił Jan XXIII – „Wszelkie współżycie ludzi, jeżeli chcemy, aby było dobrze zorganizowane i rozwijało się pomyślnie, musi opierać się na podstawowej zasadzie, że każdy człowiek jest

osobą, to znaczy istotą obdarzoną rozumem i wolną wolą, wskutek czego ma prawa wpływające bezpośrednio i równocześnie z własnej jego natury”¹⁹³.

Podstawę wszystkich praw człowieka, które są powszechne i nienaruszalne, wobec czego nie mogą być zapoznane, stanowi godność osoby ludzkiej, a pierwszym i największym prawem jest prawo do życia, od poczęcia aż do naturalnej śmierci. Wojna to bezwzględne złamanie tego prawa, ale nawet gdy jej nie ma, nie jest ono szanowane i przestrzegane, co stanowi największe zagrożenie dla pokoju, przynosi bowiem okrutne żniwo śmierci i oswaja z zabijaniem. „Wiele razy powtarzam – i jestem pewna – że największym niebezpieczeństwem zagrażającym pokojowi jest dziś aborcja. Jeżeli matce wolno zabić dziecko, cóż może powstrzymać ciebie i mnie, byśmy się wzajemnie nie pozabijali?” – mówiła Matka Teresa. Aby mógł istnieć pokój, musi być respektowane prawo do życia. I musi być respektowane drugie fundamentalne prawo człowieka – prawo do wolności religijnej, którego poszanowanie jest probierzem poszanowania ludzkich praw i stanowi istotną podstawę zgodnego współistnienia ludzi.

Pokój to nie tylko brak wojny lub zorganizowanej przemocy fizycznej. Pokój to przede wszystkim porządek sprawiedliwości zarówno wewnątrz państw, jak w stosunkach międzynarodowych, możliwy do osiągnięcia dzięki poszanowaniu godności człowieka i godności narodu oraz respektowaniu praw każdej osoby i każdego społeczeństwa, a także uwzględnianiu dobra wspólnego społeczności międzynarodowej, co uważa się za rzecz podstawową dla sprawy powszechnej zgody. Najtrwalszą podstawą tej zgody jest pokój w człowieku. A pokój ten, podobnie jak pokój wewnątrz ludzkich społeczeństw oraz pokój międzynarodowy, jest przede wszystkim darem Boga. Bóg bowiem jest jego źródłem i Bóg jest jego dawcą. Stwórca, stworzywszy człowie-

¹⁹³ Jan XXIII, *Pacem in terris*, nr 9.

ka, obdarzył go „stygmatem” pokojowego rozwoju, wpisując w jego sumienie prawa zobowiązujące go do poszanowania wszelkiego życia, a w szczególności życia ludzkiego, i odtąd, przez łaskę, pomaga mu w osiągnięciu pokoju, a także w odzyskaniu go, gdy go utraci przez grzech.

Grzech zawsze burzy ustanowiony przez Boga porządek, a tym samym staje się źródłem rozbicia, podziałów w świecie i wojen, wprowadza bowiem człowieka na drogę moralnej degradacji, utraty życia Bożego. Istota pozbawiona przez grzech własnej mocy duchowej potrzebuje wybawienia od zła, czyli zbawienia. To zaś może być jedynie dziełem Boga. Dlatego Bóg, którego miłość jest większa niż grzech człowieka, posyła na ziemię swojego Jednorodzonego Syna i On właśnie, przez swoją śmierć na krzyżu i zmartwychwstanie, przywraca grzesznikowi życie Boże, a wraz z nim także utracony wewnętrzny pokój. Dzięki Odkupieniu człowiek zostaje pojednany z Bogiem, ale ponieważ nadal pozostaje grzesznikiem, pojednanie jako dar wymaga od niego ciągłego nawracania się i pokuty.

Bez tego, bez prawdziwej przemiany serca pokój będzie zawsze krótkotrwały i iluzoryczny. Aby zapanował on rzeczywiście, konieczne jest zatem nawrócenie, *metanoia* – jak się je określa w chrześcijaństwie. Przywraca ono człowiekowi wewnętrzną jedność, godzi go z Bogiem, a dzięki Niemu – z innymi ludźmi i ze światem. Jedynie pokój z Bogiem umożliwia autentyczny kontakt z innymi ludźmi, a kontakt ten – dialog stanowi podstawę pokoju społecznego i jedyną nadzieję na pokój w świecie.

Człowiek pojednany z Bogiem najpierw wprowadza pokój w swój dom rodzinny, potem w miejsce pracy, w miejsce zamieszkania, w najbliższą okolicę, a pokój w pobliżu prowadzi do pokoju dalej – w środowisku, w społeczeństwie, w państwie, między narodami, w świecie. Pokój ten jest możliwy, gdyż nawrócenie serca pozwala odzyskać jasne i bezstronne widzenie rzeczywistości, wolne od egoizmu

i nienawiści, daje wolność ducha, rodzi miłość, poszanowanie człowieka, poczucie sprawiedliwości, równości, światowej solidarności bogatych i biednych oraz wzajemnego zaufania i otwartości na siebie. Pozwala też, a nawet nakazuje, angażowanie się na rzecz budowania pokoju. Budowania. Pokoju bowiem nie można uzyskać, dostać, zdobyć, wyszarpać czy wywalczyć, ani też narzucić. Można go tylko budować, mozolnie wznosić. „Jeśli wierzę w pokój wywalczony bronią, zginę rozbroiwszy się. Gdyż pokój można osiągnąć, tylko budując pokój – pisał Antoine de Saint-Exupéry. – A budować pokój to wyprosić od Boga, aby użyczył nam swojego płaszcza pasterskiego, i zgromadzić pod Nim ludzi razem z ich nieogarnionymi pragnieniami”¹⁹⁴. Tylko takie budowanie i tylko zaangażowanie się w nie wszystkich, bez względu na różnice światopoglądowe, kulturowe i religijne może doprowadzić do prawdziwego pokoju w świecie.

Szczególna rola w budowaniu i wprowadzaniu pokoju przypada rodzinie. To właśnie w niej rozpoczyna się wychowanie, a wychowanie, tj. otwieranie umysłów i serc na przyjęcie wartości, którymi są: prawda, sprawiedliwość, miłość i wolność, stanowi podstawę dla powszechnego zaangażowania się wszystkich ludzi na rzecz powszechnej zgody. Pokój to warsztat pracy, otwarty dla wszystkich, nie tylko dla specjalistów, uczonych czy strategów. Za pokój jest odpowiedzialny każdy człowiek i każdy powinien podjąć pracę na jego rzecz, buduje się go bowiem poprzez tysiące drobnych aktów spełnianych w codziennym życiu przez tysiące osób. Wszyscy w swojej codzienności z innymi stale dokonują wyborów na rzecz pokoju lub przeciw niemu, i stale wykonują jakieś gesty, wymawiają słowa, podejmują decyzje, dzień w dzień opowiadają się za wojną albo za pokojem. Dziś wszystkim im potrzeba nowych poruszeń ducha, nowych przymysłów, nowego języka pokoju, nowych gestów pokoju, gestów, które zniszczą podziały będące dziedzictwem historii czy też zrodzone przez nowoczesne ideologie.

¹⁹⁴ A. de Saint-Exupéry, *Twierdza*, Warszawa 1985, s. 61, 63.

„Nic nie położy kresu wojnom, jeśli ludzie sami nie odmówią swego w nich udziału” – mówił Albert Einstein. I nic nie wprowadzi pokoju na świecie, jeśli ludzie sami go nie wprowadzą. Jest on w ich rękach, w rękach jednostek, ale i w rękach całych narodów. Wprowadzać pokój to jeszcze nie wszystko. To nie wszystko też: wprowadzić i zbudować pokój. Pokój jest bowiem bardzo kruchy, wymaga stałej troski i intensywnej opieki. Do tej troski o pokój, do opieki nad nim wezwani są wszyscy; nie tylko rządzący, politycy, dygnitarze. Wszyscy! I wszyscy powinni pracować około niego bezustannie, w dzień i w nocy. Do tej właśnie pracy powinna wychowywać i przygotowywać rodzina.

Obok rodziny, dla sprawy pokoju duże znaczenie ma światowa opinia publiczna. Ze względu na siłę jej oddziaływania należy troszczyć się o to, by jak najsilniej oddziaływała w sprawie pokoju, a więc budzić w niej wrażliwość na absolutną wartość, jaką jest życie ludzkie, na braterstwo ludzkie, na przejawy wszelkiej nienawiści i walki między ludźmi, i wymagać od niej, by występowała w imię wzajemnego szacunku i zrozumienia między narodami, odrzucenia wszelkich form dyskryminacji rasowej i nacjonalizmu, sprawiedliwych i słusznych praw narodów do wolności.

Szczególną rolę w budowaniu pokoju mają wspólnoty religijne, w tym oczywiście Kościół. Troska o pokój należy do jego misji i stanowi integralną część ewangelizacji. Został on wezwany, by dawać świadectwo dziełu pokoju swego Pana, czyniąc z tego własną sprawę. I uczynił. Od wieków spełnia tę służbę wewnątrz i na zewnątrz: wewnątrz, gdy wierzący tworzą między sobą wspólnotę pojednania i pokoju; na zewnątrz, gdy wzywa, by wszyscy budowali pokój światowy na nowym stosunku do Boga, na zaufaniu do Jego przykazań, na modlitwie.

Do utrzymania i umocnienia pokoju konieczne są liczne ludzkie środki, ale oprócz nich potrzebna jest też modlitwa. Z modlitwy może się wyłonić kształt wspólnego dzia-

łania i świadectwa. Wiara uczy, że pokój jest darem Boga w Jezusie Chrystusie, darem który winien wyrażać się w modlitwie do Tego, w którego rękach spoczywają losy wszystkich narodów. Dlatego właśnie modlitwa stanowi niezbędny element działań na rzecz pokoju. Łączy ona wszystkich ludzi bez względu na podziały, istnieje bowiem taka jej sfera, w której mimo różnorodności religii człowiek, zawsze tak samo tego pragnąc, usiłuje nawiązać kontakt z potęgą przewyższającą wszystkie ludzkie siły. Tutaj właśnie modlitwa łączy religie świata. Wyzwanie, jakim jest pokój, stojące przed każdym ludzkim sumieniem, przekracza granice różnic religijnych. W tym miejscu wszyscy stają się jednym – wobec tego samego problemu: problemu racjonalnej jakości życia dla wszystkich, problemu przetrwania ludzkości, problemu życia i śmierci. I wszyscy, bez względu na to, jak wierzą, wszystkie religie muszą się w pełni zaangażować w sprawę pokoju na świecie, w walkę o sprawiedliwość i uczciwość, o prawa dla najsłabszych, o zaspokojenie potrzeb bezrobotnych; przeciwko przemocy, torturom, nadużywaniu władzy i wyścigowi zbrojeń.

Gdy mówi się o pokoju i gdy się go buduje, zawsze trzeba mieć przed oczyma Jezusa Chrystusa. On, ukrzyżowany i zmartwychwstały, powiedział ongiś swoim uczniom: „Pokój wam! A to powiedziawszy pokazał im ręce i bok” (J 20, 19). Jako ludzie wierzący nie możemy zapomnieć o tym gościu Zmartwychwstałego. W dzisiejszym świecie, tragicznie naznaczonym ranami wojen i podziałów, w świecie niejako ukrzyżowanym gest ten daje siłę i nadzieję. Nie możemy uciec od rzeczywistości naszej egzystencji naznaczonej grzechem, ale obecny wśród nas Chrystus, naznaczony śladami ukrzyżowania, daje nam pewność, że poprzez Niego i w Nim naznaczony wojnami świat może ulec przemianie i może na nim zapanować pokój.

Ten pokój w obecnych warunkach jest możliwy. A skoro jest możliwy, to budowanie go stanowi obowiązek

każdego człowieka. Z pewnością jest to obowiązek bardzo trudny, wymagający dużo dobrej woli, mądrości i wytrwałości. Człowiek jednak może i powinien sprawić, aby rozum zawsze zwyciężał nad racjami siły. Nie ma pokoju bez prawdziwego umiłowania pokoju. Nie ma też pokoju bez nieugiętej woli osiągnięcia go. I nie ma pokoju, jeśli nie wstąpi się na jego drogę w codziennym życiu, pracy, słowie, czynie i modlitwie. „Nie ma drogi do pokoju. To pokój jest drogą” – napisał Mahatma Gandhi¹⁹⁵. I pokój ten czeka na swych proroków, czeka na swoich budowniczych.

¹⁹⁵ Mahatma Gandhi, *Autobiografia*, Warszawa 1958.

PRACA

Zagadnienie pracy od początku należało do ważnych tematów w społecznym nauczaniu Kościoła w odniesieniu do człowieka i życia społecznego, a w szczególności do moralności społecznej. Wiele uwagi poświęcali mu też papieże, począwszy od XIX wieku, szczególnie Jan XXIII, a przede wszystkim Jan Paweł II, w którego pismach zajmuje ono jedno z ważniejszych miejsc.

Jedno z ważniejszych miejsc zajmuje także praca w życiu człowieka. Trudno sobie wyobrazić życie bez pracy. Jest ona przyrodzona istocie ludzkiej, poniekąd właśnie do niej człowiek został stworzony i ona wpisana jest w jego przeznaczenie, o czym świadczą słowa Boga samego „Czyńcie sobie ziemię poddaną” (Rdz 1, 28). Człowiek musi więc pracować:

*„Pracować musisz” – głos ogromny woła,
Nie z potem dłoni twej, lub twego grzbietu,
(Bo prac początek, doprawdy, jest nie tu):
„Pracować musisz z potem twego CZOŁA!”*

(Praca)

– pisał Cyprian Kamil Norwid, potwierdzając Boski nakaz pracy. Nakaz ten potwierdza także Kościół, który podkreśla jednak, że praca jest nie tylko obowiązkiem człowieka – jak głoszą niektórzy – ani też przywilejem – jak utrzymują inni, lecz także jego prawem.

Mówiąc o pracy, Kościół nie czyni rozróżnienia między pracą „fizyczną” czy „umysłową”, „gospodarczą” czy „intelektualną” ani też między jej poszczególnymi celami. Za pracę uznaje „każdą działalność, jaką człowiek spełnia, bez względu na jej charakter i okoliczności, to znaczy każdą działalność człowieka, którą za pracę uznać można i uznać należy pośród całego bogactwa czynności, do jakich jest zdolny i dysponowany poprzez samą swoją naturę, poprzez samo człowieczeństwo” – pisał Jan Paweł II w encyklice *Laborem exercens*.

Ogólnie rzecz ujmując, pracę można rozumieć w znaczeniu węższym i szerszym. W znaczeniu węższym jest ona traktowana wyłącznie jako źródło uzyskiwania środków do życia, w znaczeniu szerszym – jako konieczną działalność człowieka, wypływającą z obowiązku, a mającą na celu tworzenie użytecznych społecznie wartości duchowych i materialnych.

Pracę oczywiście różnie rozumiano i różne były do niej podejścia w różnych epokach. Na długo na podejściu do niej wycisnęła swoje piętno mentalność starożytnych oraz wyrastająca z niej myśl europejska, której dziedzictwo żywe jest do dzisiaj. Starożytni Grecy i Rzymianie traktowali pracę fizyczną jako czynność poniżającą i wykonywaną tylko przez niewolników. Arystoteles widział w pracy pożytek dla społeczności, uważał jednak, że natura stworzyła osobny gatunek ludzi do wykonywania pracy fizycznej, która pochłania ich siły i przeszkadza im myśleć. Jego zdaniem człowiek pracujący fizycznie nie może być szczęśliwy, bo taka praca go degraduje. Z drugiej jednak strony – już Wergiliusz pisał, że „praca wytrwała zwycięża wszystko”, mając na myśli również pracę fizyczną, a Cynceron mówił wprost, że „miła jest praca”... ale dodawał: „skończona”.

Inaczej zaczęto podchodzić do pracy u schyłku średniowiecza. Humaniści renesansowi traktowali ją już jako sposób uszlachetnienia człowieka. Jeden z nich – Poggio Bracciolini pisał, że praca „nie jest przekleństwem, ale błogosławieństwem. Jest rozwojem możliwości człowieka, człowiek dzięki pracy czyni świat bardziej ludzkim i bliskim”¹⁹⁶. Uważany za prekursora humanistów w Polsce, profesor Akademii Krakowskiej Jan z Ludziska w *Mowie pochwalnej na cześć filozofii* i w *Drugiej mowie na powitanie posłów bazylijskich* mówił, że praca stanowi naturalny składnik natury ludzkiej i że każda praca ma równoważną wartość, zarówno fizyczna, w której ujawnia się sprawność cielesna człowie-

¹⁹⁶ Cyt. za: Z. Kuderowicz, *Filozofia nowożytnej Europy*, Warszawa 1989, s. 37–38.

ka, jak i intelektualna, w której ujawnia się jego sprawność umysłowa¹⁹⁷.

Prawdziwego przełomu i dalekiego przewartościowania w rozumieniu i podejściu do pracy dokonał jednak dopiero Georg Wilhelm Friedrich Hegel, od którego – jak się mówi – bierze początek prawdziwie wielka filozofia pracy. Filozof ten – na co zwrócił uwagę Józef Tischner¹⁹⁸ – określał wprawdzie pracę negatywnie jako „pożądanie hamowane”, jednak uważał, że w miarę nadawania formy światu przedmiotowemu poprzez działanie, tj. pracę, człowiek zyskuje właściwą sobie podmiotowość, czyli z „niewolnika”, którego postawa znajduje sens w rzeczach, przekształca się w „pana”, to znaczy zyskuje poczucie wolności i samoistności, albowiem – jak pisał ten fenomenolog ducha – „świadomość służebna odnajduje swój własny sens, i to właśnie w pracy, w której zdawała się realizować tylko sens nadany przez kogoś innego”¹⁹⁹. Aby nie zagłębiać się za bardzo w myśl Hegla, powiedzmy tylko krótko: według niego, o podmiotowości człowieka decydują ostatecznie dwa składniki: wolność i praca.

Tego samego zdania był, mniej więcej w tym samym czasie, Cyprian Kamil Norwid, który także stworzył swego rodzaju koncepcję pracy, wyraźnie jednak podkreślając – i kładąc na to ogromny nacisk, iż praca jest czynnym myśleniem i sztuką modlitwy: „bo pieniędzy nie będzie, jeśli się pracy u siebie do godności czynnego myślenia uświęconej modlitwą sztuki nie podniesie”²⁰⁰.

Wydaje się, że właśnie takie myślenie o pracy wyzna-
czyło ostateczne podejście do niej społecznej nauki Kościoła,

¹⁹⁷ Tamże, s. 41–42.

¹⁹⁸ *Ptacom na wędrowce...* [w:] Cyprian Norwid – w setną rocznicę śmierci poety. Materiały z sesji poświęconej życiu i twórczości C. Norwida [27–29 października 1983], red. S. Burkot, Kraków 1991, s. 50–58.

¹⁹⁹ G. W. F. Hegel, *Fenomenologia ducha*, przeł. A. Landman, t. 1, Warszawa 1963, s. 227.

²⁰⁰ Tamże.

ale w filozofii nie było to ostateczne o niej słowo. Później Karol Marks, głoszący apoteozę pracy (w przekonaniu, że praca stworzyła człowieka), w gruncie rzeczy doprowadził do zakwestionowania podmiotowości człowieka pracującego; natomiast Stanisław Brzozowski, „gloryfikujący – według określenia Mariana Zdziechowskiego – pracę”, podkreślał, że jest ona podstawowym, metafizycznym nakazem moralnym człowieka i że stanowi wręcz – jak pisał – „podstawę naszej podstawy”²⁰¹. Z kolei Jean Paul Sartre, deprecjonujący pracę, głosił, że jest ona smutną koniecznością, niezbędną do zabezpieczenia istnienia, ale jeśli można jej uniknąć, to lepiej nie pracować. To właśnie popularna literatura sartrowska upowszechniała przeświadczenie, że „roboty, nie zając, nie ucieknie” i „czy się stoi, czy się leży, ileś tam złotych się należy”.

Zostawmy jednak filozofię na boku. Praca jest w pewnym sensie filozofią i musi mieć swoją filozofię, jak każdy aspekt bytowania i funkcjonowania człowieka, przede wszystkim jest to jednak codzienna rzeczywistość, a zarazem podstawa tej codzienności, a więc tego bytowania i funkcjonowania istoty ludzkiej. I tak na nią spójrzmy: jako na podstawę bytu i codzienność. Gdy tak się na nią patrzy, łatwo dostrzec, że problemem kluczowym w jej aspekcie jest etyka – i to etyka dwustronna: pracobiorcy i pracodawcy, a więc – z jednej strony – uczciwość, rzetelność, sumienność pracownika, czyli jak najlepsze wykonywanie pracy, a z drugiej strony – uczciwość dającego pracę, czyli jak najwłaściwsze wynagrodzenie za pracę. Sprawiedliwość ustroju społeczno-ekonomicznego, a przede wszystkim jego właściwe funkcjonowanie powinno być oceniane m.in. wedle tego, czy praca ludzka jest prawidłowo wynagradzana.

Jan Paweł II w *Laborem exercens* pisze o tym w sposób następujący: „W każdym ustroju, bez względu na panujące w nim podstawowe układy pomiędzy kapitałem

²⁰¹ *Idee. Wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej*, Lwów 1910, s. 136.

a pracą, zapłata, czyli wynagrodzenie za pracę, pozostaje konkretnym środkiem, dzięki któremu ogromna większość ludzi może korzystać z owych dóbr, które są przeznaczone dla powszechnego używania: są to zarówno dobra natury, jak też dobra będące owocem produkcji. Jedne i drugie stają się dostępne dla człowieka pracy na podstawie zapłaty, jaką otrzymuje on jako wynagrodzenie za swą pracę²⁰². Zapłata powinna przeto uwzględniać nie tylko wartość czy jakość wykonanej pracy, ale również niezbędną do egzystencji liczbę dóbr, które można za nią nabyć, czyli – mówiąc językiem codzienności – zabezpieczyć pracownikowi i jego rodzinie godne życie.

Katolicka nauka społeczna nie traktuje pracy wyłącznie jako dobra gospodarczego, jako towaru, który można kupić czy sprzedać, który więc ma swoją cenę, czyli odpowiednią płacę. „Pracy nie można w żadnym wypadku uważać za towar, gdyż jest ona bezpośrednim działaniem osoby ludzkiej” – pisał Jan XXIII²⁰³. Dlatego też praca zawsze winna być wiązana z osobą pracownika, a dopiero na drugim miejscu z tym, co on wyprodukował czy też jak wyprodukował.

Nie zawsze tak się jednak dzieje. Wydaje się, że w okresie przemian gospodarczych zachodzących w naszym kraju, podobnie jak i dawnymi laty, widoczne są symptomy zagrożenia w sferze sprawiedliwej zapłaty.

W Polsce, mimo iż mówi się o tym u nas od dawna – przynajmniej od czasów Hugona Kołłątaja, który w swym *Porządku fizyczno-moralnym* z naciskiem podkreślał, że człowiek jako właściciel swojej osoby, sił i zdolności ma prawo do własności rzeczy jako produktu pracy, a więc ma prawo mieć na własność wytwory swojej pracy, ewentualnie odstąpić je za godziwą cenę, i Stanisława Brzozowskiego, który pisał, że „praca musi się stać sama dla siebie źródłem prawa. Prawo [zaś] musi się stać zagadnieniem,

²⁰² Jan Paweł II, *Laborem exercens*, nr 19.

²⁰³ Jan XXIII, *Mater et magistra*, nr 18.

dziełem świadomym człowieka”²⁰⁴ – praca traktowana jest niesprawiedliwie, a pracownik często jest wyzyskiwany i niesprawiedliwie wynagradzany. Nierzadko pracuje dłużej, niż przewidują normy, a wypłacane mu wynagrodzenie nie zapewnia mu godziwego utrzymania. Nie ulega wątpliwości, że niesprawiedliwe jest prawo, które ustala najniższe wynagrodzenie na takim poziomie, że opłaty za mieszkanie, wodę, prąd, gaz plus minimalne koszty wyżywienia pochłaniają całą tę kwotę. Człowiek musi się przecież ubrać i zaspokoić choćby podstawowe potrzeby nieco wyższego rzędu, wszakże oprócz potrzeb wskazanych wyżej potrzebuje także rozwoju osobowego i duchowego.

„Najwyższą nagrodą za pracę jest to, czym pozwala nam się ona stać” – jak to poetycko ujął John Ruskin, ale żebyśmy się mogli tym stać, musimy mieć zaspokojone przynajmniej owe podstawowe potrzeby, o których mówimy. Wynagrodzenie musi te potrzeby zaspokajać. Najważniejsze kryterium sprawiedliwej zapłaty stanowią zatem potrzeby pracownika i jego rodziny, obejmujące zarówno potrzeby materialne, jak i duchowe, a więc nie tylko wyżywienie i ubranie, ale także możliwość korzystania z dóbr kultury oraz ich współtworzenia. Wynagrodzenie powinno umożliwić zaspokojenie tych wszystkich potrzeb oraz zaoszczędzenie pewnej jego części. Nie można przy tym zapominać, że zapłata za pracę musi mieć przede wszystkim charakter prorodzinny, a więc uwzględniać nie tylko pojedynczego człowieka, lecz także jego rodzinę, mieć na uwadze jej rozwój.

Stosunek do rodziny, branie pod uwagę jej bytu i rozwoju stanowi jeden z podstawowych wyznaczników moralności ekonomii i polityki pracy. Jan Paweł II twierdzi, że zachowują one swoją właściwość etyczną jedynie pod warunkiem, że liczą się z potrzebami rodziny oraz z jej prawami. Dorosły mężczyzna powinien poprzez pracę zdobyć wszystkie niezbędne środki potrzebne do utrzymania żony

²⁰⁴ S. Brzozowski, *Filozofia czynu*, Kraków 1903, s. 138.

i dzieci. Drugim ważnym wyznacznikiem etyczności polityki pracy jest jej podejście do macierzyństwa. Zawsze winno być ono traktowane jako zadanie samo dla siebie, praca sama w sobie, łączy się z nim bowiem wielki wysiłek fizyczny i intelektualny, w którym nikt nie zastąpi matki. Dlatego prawdziwe poszanowanie pracy ma ścisły związek z poszanowaniem macierzyństwa – i od tego poszanowania zależy zdrowie i przyszłość całego społeczeństwa.

Poszanowanie pracy to oczywiście sprawiedliwy, właściwy, zgodny z prawem stosunek do niej oraz sprawiedliwa płaca, przez którą – dla dorosłego pracownika obciążonego odpowiedzialnością za rodzinę – Jan Paweł II rozumie wynagrodzenie „wystarczające na założenie i godziwe utrzymanie rodziny oraz na zabezpieczenie jej przyszłości”²⁰⁵. Wynagrodzenie takie może być realizowane poprzez tzw. płacę rodzinną, stanowiącą jedno wynagrodzenie dawane głowie rodziny za pracę, czy też poprzez inne świadczenia społeczne, jak zasiłek rodzinny albo dodatek macierzyński dla kobiety, która poświęca się macierzyństwu. Dodatek ten winien odpowiadać realnym potrzebom, to znaczy uwzględniać liczbę osób pozostających na utrzymaniu w rodzinie. Sytuacja, w której względy finansowe zmuszają żonę i matkę do podjęcia pracy zarobkowej poza domem i zaniedbania właściwych jej obowiązków, winna być napiętnowana jako moralnie szkodliwa. Sprawiedliwa płaca to taka, która pozwoli matkom zająć się wychowaniem dzieci i zapewni rodzicom środki umożliwiające właściwe wychowanie i wykształcenie potomstwa.

Według Jana Pawła II, aby możliwe było ustalenie takiej sprawiedliwej, słusznej płacy, konieczne jest dostrzeżenie i uwzględnienie podmiotowego wymiaru pracy i traktowanie pracownika jako podmiotu, nie przedmiotu pracy, a w konsekwencji wynagradzanie go „za to, czym on jest w tym procesie, a nie tylko za to, co wyprodukował”²⁰⁶.

²⁰⁵ *Laborem exercens*, nr 19.

²⁰⁶ Tamże.

A człowiek w procesie pracy jest tym, czym jest – człowiekiem. I nie przestaje nim być bez względu na to, co robi, gdzie robi, jak robi i kiedy robi. Praca ma więc charakter na wskroś personalistyczny. Dzisiaj, kiedy środki techniczne będące owocem ludzkiej pracy, odgrywają rolę pierwszoplanową, szczególnie należy o tym pamiętać i podjąć nowy namysł nad ludzkim wymiarem pracy, aby nie została gdzieś zagubiona zasada pierwszeństwa człowieka w polityce pracy.

Musi się zawsze być świadomym, że praca ma swoją zasadniczą wartość nie ze względu na jej owoce, tj. produkty czy wytwory, ale dlatego, że jest wykonywana przez człowieka. Na tym opiera się też godność pracy i na tym powinien się zasadzać właściwy, czyli pełen szacunku stosunek do niej. Bez tego przestaje być ważny człowiek, który ją wykonuje, a liczy się jedynie jej wartość materialna. Człowiek nie jest już traktowany jako sprawca, ale jako narzędzie produkcji. A to należy już rozumieć jako wykroczenie przeciw Bogu, albowiem jest złamaniem prawa Boskiego, którego człowiek jest podmiotem i które nakazuje traktować człowieka jako podmiot. Dziecko Boga nie może być bowiem sprowadzone do roli przedmiotu w żadnym wymiarze życia czy działania, także – a nawet przede wszystkim – w pracy, która jest jego obowiązkiem powierzonym przez Stwórcę samego, ale także prawem i sposobem realizacji siebie samego w drodze do Zbawienia, poznawania rzeczywistości i kształtowania jej oraz rozwoju osobowości. Jest także – i co bynajmniej nie pozostaje bez znaczenia, chociaż jak gdyby traci trochę staroświeckością – „balsamem życia, (...) źródłem cnót” – jak mówił Johann Gottfried Herder.

Jeśli praca, w wielorakim tego słowa znaczeniu, jest powinnością, czyli obowiązkiem, a równocześnie prawem, to jest także źródłem uprawnień człowieka pracującego. Pracujący są nie tylko wytwórcami dóbr, ale przez swoją pracę nabierają specyficznych praw dotyczących tego, co wiąże się z ich pracą, dlatego powinni być traktowani jako ludzie

wolni i odpowiedzialni, powołani do udziału w decyzjach dotyczących ich życia i ich przyszłości. Zgodnie z podstawową nauką Kościoła, jedynie takie właśnie traktowanie umożliwia urzeczywistnienie się człowieczeństwa i spełnienie osobowego powołania człowieka stworzonego na obraz Boży, działającego we wspólnocie osób. Wymaga to przede wszystkim respektowania podstawowego prawa, jakim jest prawo do pracy, będące prawem podmiotowym, ponieważ nie jest wytworem ustroju, lecz wynika z godności osoby ludzkiej, a także prawa do wolności wyboru pracy odpowiednio do uzdolnień naturalnych i nabytych umiejętności, prawa wyboru zawodu oraz prawa do wykształcenia ogólnego i zawodowego. Jednak pierwszym i podstawowym zadaniem wszystkich i każdego – rządu, polityków, kierowników przedsiębiorstw i właścicieli zakładów powinno być jedno: dać pracę wszystkim.

Samo zapewnienie pracy nie wystarcza wszakże, aby uszanować człowieka w jego godności. Trzeba też zadbać o warunki, w jakich się ona odbywa. Powinny być one możliwie najdogodniejsze, a ich tworzenie zawsze powinno mieć na uwadze dobro pracowników. Człowiek ma pełne prawo do bezpieczeństwa w pracy, nie może mu grozić kalectwo, utrata zdrowia czy życia; ma prawo do wypoczynku – chodzi oczywiście o wypoczynek regularny, obejmujący przynajmniej niedziele i święta, a oprócz tego o dłuższy urlop raz w roku, ewentualnie kilka razy w roku; ma prawo do emerytury, zabezpieczenia na starość i renty w razie wypadków związanych z rodzajem wykonywanej pracy, a także prawa: do strajku, do odpowiedzialności za przedsiębiorstwo oraz do informacji o jego stanie.

Oprócz praw, ludzie pracy mają jednak także swoje obowiązki. Podstawowym z nich jest podejmowanie i wykonywanie pracy, nie mniej podstawowym – uczciwe jej traktowanie, sumienność, punktualność i pilność. Pracownik ma także obowiązek dbania o miejsce pracy, szanowania

współpracowników, przełożonych, klientów, zachowywania dyscypliny pracy, porządku pracy. Musi przestrzegać zasad bezpieczeństwa i higieny, zachowywać tajemnice przedsiębiorstwa, nie może prowadzić działalności konkurencyjnej wobec swego miejsca zatrudnienia i nie może wykorzystywać go do prywatnych celów.

ZNACZENIE KULTURY

Papież Jan Paweł II uzasadniając tezę o prymacie wartości duchowych nad materialnymi, pisał: „Jakkolwiek absolutyzacja materii w strukturze ludzkiego podmiotu, jak też «idealistyczna» absolutyzacja ducha w tejże strukturze, nie oddają rzeczywistej prawdy o człowieku”. Prawdę te oddają wartości duchowe, szczególnie religijno-moralne, oraz ład moralny, który „łączy się przede wszystkim z uznaniem powszechnie obowiązującego autorytetu prawa moralnego, prawa Bożego” – i one leżą u podstaw godności osoby ludzkiej²⁰⁷.

Natomiast w przemówieniu do przedstawicieli Organizacji Narodów Zjednoczonych Ojciec Święty stwierdził: „Prymat wartości duchowych określa właściwe znaczenie i sposób, w jaki należy używać dóbr ziemskich, materialnych, z drugiej strony, prymat wartości duchowych wpływa na to, że rozwój materialny, techniczny i cywilizacyjny służy temu wszystkiemu, co kształtuje człowieka, to znaczy temu, co umożliwi mu dostęp do prawdy, rozwój moralny, pełne korzystanie z całego dziedzictwa dóbr kultury i pomnażania ich przez własną twórczość”²⁰⁸.

Według Ojca Świętego autentyczny postęp nie polega na coraz powszechniejszym stawianiu na plan pierwszy tylko wartości materialnych, ale na coraz powszechniejszym uznawaniu prymatu wartości duchowych. Żadna zmiana społeczna nie będzie prawdziwym i trwałym wzbogaceniem ludzi, jeżeli będzie się dokonywała kosztem wartości duchowych. Rozwój jest jednostronny i niepełny, jeżeli materializm, chęć zysku i egoistyczne dążenie do bogactwa lub władzy zajmuje miejsce takich wartości, jak troska o innych, solidarność i dostrzeganie Boga we wszystkim, co żyje.

²⁰⁷ Jan Paweł II, *Centesimus annus*, nr 29.

²⁰⁸ Jan Paweł II, *Na forum pokoju i sprawiedliwości* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne 1978–1979*, t. 2, Warszawa 1982, s. 310.

W encyklice *Sollicitudo rei socialis* Jan Paweł II pisze, że samo nagromadzenie dóbr, nawet jeśli przynosi korzyść większości, nie wystarcza do urzeczywistnienia ludzkiego szczęścia, albowiem dostęp do „wielorakich rzeczywistych dobrodziejstw”, jakich dostarczają nauka, technika i informatyka, nie pociąga za sobą wyzwolenia spod rozmaitych form zniewolenia. Przeciwnie, bardzo często obraca się przeciw człowiekowi, gdyż prowadzi do tego, że „obok nędzy i niedorozwoju, człowiek staje także w obliczu pewnego «nadorozwoju», który tak samo jak niedorozwój sprzeciwia się jego dobru i prawdziwemu szczęściu”²⁰⁹, ponieważ przemienia ludzi w niewolników „posiadania” i hedonistycznego zadowolenia, prowadząc w efekcie do budowania „cywilizacji spożycia” (czyli „konsumizmu”). Następstwem tego jest materialistyczne podejście do życia, czemu towarzyszy „radikalne nienasycenie” duchowe podmiotów ludzkich. Ojciec Święty – nawiązując do nauczania swego poprzednika, papieża Pawła VI, który podkreślał zasadniczą różnicę między zasadą „mieć” i „być” sformułowaną podczas Soboru Watykańskiego II – wzywa więc do uznania prymatu tego, co można określić jako bardziej „być” aniżeli bardziej „mieć”, gdyż jedynie dzięki temu człowiek może zyskać prawdziwą wolność, a zatem szczęście. Posiadanie rzeczy i dóbr samo przez się nie doskonali istoty ludzkiej, jeśli nie przyczynia się do dojrzewania jej osobowości i wzbogacenia duchowego, do tego, by „była”, czyli do urzeczywistnienia powołania ludzkiego jako takiego²¹⁰.

W dzisiejszym świecie – zauważa Ojciec Święty – „są tacy, nieliczni, którzy posiadają wiele i nie potrafią prawdziwie «być», bowiem na skutek odwrócenia właściwej hierarchii wartości przeszkodą staje się dla nich kult «posiadania»; są także tacy, liczni, którzy mają mało lub nic i którzy nie są w stanie realizować swego zasadniczego ludzkiego powołania

²⁰⁹ Jan Paweł II, *Sollicitudo rei socialis*, nr 29.

²¹⁰ Tamże, nr 28.

z powodu braku niezbędnych dóbr”. Zło nie polega jednakże na „mieć” w ogóle, ale na takim „mieć”, które nie uwzględnia jakości i uporządkowanej hierarchii posiadanych dóbr, które nie dopuszcza do podporządkowania ich wartościom duchowym i dysponowania nimi tak, aby służyły „«byciu» człowieka i jego prawdziwemu powołaniu”²¹¹.

Człowiek został stworzony przez Boga na Jego obraz i podobieństwo (Rdz 1, 26) i z tej racji wchodzi w związek pokrewieństwa z innymi stworzeniami, zyskuje panowanie nad rzeczami. Jest powołany przez Stwórcę do zajmowania się pierwszymi i do używania drugich (Rdz 2, 15), ale równocześnie pozostaje poddany woli Boga, który określa stosunki z innymi stworzeniami i wyznacza granice używania rzeczy oraz panowania nad nimi (Rdz 2, 16-17). Rozwój – zdaniem Ojca Świętego – nie może polegać wobec tego tylko na „użyciu, władaniu i na nieograniczonym posiadaniu rzeczy stworzonych i wytworów przemysłu, ale nade wszystko na porządkowaniu posiadania, panowania z uwzględnieniem podobieństwa człowieka do Boga oraz jego powołania do nieśmiertelności”.

Jan Paweł II pragnie skłonić współczesnego człowieka, by postępował uwzględniając takie zasady, jak miłość, sprawiedliwość, prawda, solidarność wobec innych, szacunek dla własnej godności i dla godności innych; chce, by człowiek akceptował te zasady i uznawał ich prymat w stosunku do wszelkich innych wartości, a także wobec wszystkich procesów i osiągnięć w zakresie techniki, bo „czyż właśnie nie dzięki moralnym i duchowym wzlotom osoba ludzka realizuje się pełniej i skuteczniej, panuje nad wszechświatem, a nie dzięki nawet najbardziej godnym podziwu osiągnięciom techniki, nawet tym sięgającym w Kosmos?”²¹².

²¹¹ Tamże.

²¹² Jan Paweł II, *Uniwersytet, wolność, prawda, służba człowiekowi*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 1(1990), nr 5, s. 10.

Uznanie prymatu „ducha” i wartości etycznych może – zdaniem Papieża – doprowadzić do zmiany charakteru całej cywilizacji, w wyniku czego człowiek zostanie postawiony w centrum wszelkich procesów cywilizacyjnych, a jego dobro będzie podstawowym kryterium zastosowania osiągnięć nauki i techniki, co pozwoli mu wyzbyć się nękających go aktualnie obaw. Pełna harmonia ciała i ducha umożliwi mu odzyskanie własnej podmiotowości, wyzwoli go z lęków i wątpliwości egzystencjalnych, uchroni od anonimowości i poczucia bezsensu. Przyjęcie przez człowieka prymatu wartości duchowych i oparcie o nie całego jego postępowania nie może się jednak dokonać bez zmiany modelu kultury. Problemowi temu Jan Paweł II poświęca wiele uwagi, gdyż przypisuje on kulturze ogromne znaczenie, będąc zdania, że kultura w życiu człowieka, w życiu całych społeczeństw i narodów odgrywa olbrzymią, z niczym nieporównywalną rolę.

Zgodnie z nauką Soboru Watykańskiego II, przez kulturę rozumie się „wszystko, czym człowiek doskonali i rozwija wielorakie uzdolnienia swego ducha i ciała; stara się drogą poznania i pracy poddać sam świat pod swoją władzę; czyni bardziej ludzkim życie społeczne tak w rodzinie, jak i w całej społeczności państwowej przez postęp obyczajów i instytucji; wreszcie w dziełach swoich w ciągu wieków wyraża, przekazuje i zachowuje wielkie doświadczenia duchowe i dążenia na to, aby służyły one postępowi wielu, a nawet całej ludzkości” (KDK 53).

W kulturze, pojmowanej jako „właściwe” i zarazem „konieczne” środowisko człowieka, osoba ludzka występuje w podwójnej roli: jest jej podmiotem, ale równocześnie przedmiotem i celem jej oddziaływania. Człowiek tworzy wartości kulturowe zarówno dla siebie samego, jak i dla innych ludzi, aby wzbogacić tak swoje, jak i innych życie, w szczególności duchowe; aby uświadomić sobie i innym ludzką tożsamość i ułatwić znalezienie odpowiedzi na pytanie, kim człowiek faktycznie jest.

Kultura – w nauczaniu Jana Pawła II – jest tym, przez co człowiek bardziej staje się człowiekiem, bardziej jest. W tym miejscu, w sposób najbardziej namacalny, dotykamy istoty rozróżnienia pomiędzy „być” i „mieć”. Kultura zawsze pozostaje w istotnym i koniecznym związku z tym, kim człowiek „jest”. Jej związek z tym, co człowiek „ma”, jest nie tylko wtórny, ale i całkowicie względny. Wszystko, co człowiek „ma” – jak naucza Papież – „o tyle jest kulturotwórcze, o ile człowiek przez to, co posiada, może (...) pełniej być jako człowiek (...) we wszystkich właściwych dla człowieczeństwa wymiarach jego bytowania”²¹³.

W encyklice *Centesimus annus* Jan Paweł II pisze, że cała ludzka działalność dokonuje się w obrębie określonej kultury i że działalność oraz kultura wzajemnie na siebie oddziałują. Tworzenie kultury wymaga od człowieka pełnego włączenia się w to dzieło i wykorzystania wszystkich jego talentów oraz dyspozycji: zmysłu twórczego, inteligencji, znajomości świata, umiejętności panowania nad sobą, osobistego poświęcenia, solidarności i pracy dla rozwoju dobra wspólnego²¹⁴. Kultura jest bowiem wyrazem „pełnego człowieka”. Jest w najwyższym stopniu potwierdzeniem pełni jego człowieczeństwa: „Człowiek ją tworzy – i człowiek przez nią tworzy siebie. Tworzy siebie wewnętrznym wysiłkiem ducha: myśli, woli, serca. I równocześnie tworzy kulturę we wspólnocie z innymi. Kultura jest wyrazem międzyludzkiej komunikacji, współmyślenia i współdziałania ludzi. Powstaje ona na służbie wspólnego dobra – i staje się podstawowym dobrem ludzkich wspólnot”²¹⁵.

Warto przytoczyć w tym miejscu słowa, jakie wypowiedział Jan Paweł II w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych do przedstawicieli oświaty, nauki i kultury

²¹³ Jan Paweł II, *Żeby Polacy mogli kształtować swoją przyszłość w oparciu o własną kulturę*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 1(1981), nr 12(24), s. 21.

²¹⁴ Jan Paweł II, *Centesimus annus*, nr 55.

²¹⁵ Jan Paweł II, *Do młodzieży. Gniezno-Wzgórze Lecha* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie papieskie. Pielgrzymka do Polski 1979*, dz. cyt., s. 40.

(UNESCO): „Kultura jest właściwym sposobem istnienia i bytowania człowieka. Człowiek bytuje zawsze na sposób jakiejś kultury sobie właściwej, która z kolei stwarza pomiędzy ludźmi właściwą dla nich więź, stanowiąc o między-ludzkim i społecznym charakterze bytowania”²¹⁶. Znaczenie kultury „polega na tym, że jest ona właściwym kształtem życia człowieka jako takiego. Człowiek żyje prawdziwie ludzkim życiem dzięki kulturze. Jego życie jest kulturą również i w tym znaczeniu, że poprzez nią człowiek odznacza się i odróżnia od całej reszty istnień wchodzących w skład widzialnego świata: człowiek nie może obejść się bez kultury”²¹⁷.

Innymi słowy, nie ma kultury bez człowieka i nie ma człowieka bez kultury. To ona, będąc wytworem jego rąk, umysłu i sił twórczych, wyróżnia go spośród innych stworzeń, umożliwia mu zdobycie własnej tożsamości i samopoznanie: „Człowiek i tylko człowiek jest sprawcą i twórcą kultury; człowiek i tylko człowiek w niej się wyraża i w niej się potwierdza”²¹⁸. On jest także jej przedmiotem i celem. Tym, co czyni go zdolnym do bycia twórcą i konsumentem kultury, a zarazem stanowi o jego inności wśród dzieł stworzenia, jest jego rozum, jego duch. Zatem pogląd, że kultura pozostaje w istotnym związku z tym, co człowiek „ma”, jest łatwy do podważenia. Kultura pozostaje w ścisłej relacji z naturą człowieka, a dopiero wtórnie i pośrednio z całym światem jego wytworów.

W nauczaniu papieskim kultura ma charakter ontyczny i wiąże się bezpośrednio z naturą, istotą człowieka, a także z jego czynami, które wpływają na przemianę świata materialnego: „Jeśli słuszny jest podział kultury na duchową i materialną w zależności od charakteru i treści wytworów, w których się ona przejawia, to równocześnie należy stwierdzić, że z jednej strony dzieła kultury materialnej świadczą

²¹⁶ Jan Paweł II, *W imię przyszłości kultury*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 1(1980), nr 6, s. 4.

²¹⁷ Tamże.

²¹⁸ Tamże.

zawsze o jakimś uduchowieniu materii, o poddaniu tworzywa materialnego energiom ludzkiego ducha: inteligencji, woli – z drugiej zaś strony, dzieła kultury duchowej świadczą, na odwrót, o swoistej materializacji ducha i tego, co duchowe”²¹⁹.

Podsumowując: nie ma kultury bez ducha, jak również nie ma kultury bez materii. Kultura, wyrastająca na podglebiu naturalnym, jest jednocześnie pierwiastkiem duchowości człowieka, dzięki któremu transcenduje on świat materialny, uwzniośla swoją egzystencję.

Ponieważ osoba ludzka uzyskuje prawdziwą pełnię swej egzystencji dzięki uczestnictwu w kulturze, jest czymś naturalnym, że ma do niej prawo. Kultura jest niezbywalnym prawem każdego człowieka. Prawo do współuczestnictwa w kulturze jest niezbędne, by człowiek mógł bardziej „być” niż „mieć”. Tego prawa nikt nie może osobie ludzkiej odmówić.

Przypisując kulturze tak doniosłą rolę w życiu człowieka, Jan Paweł II przypomina o jeszcze jednej jej cesze – wychowawczej – i jeszcze jednym jej celu: kultura powinna wychowywać człowieka. To jest jej pierwszym i podstawowym zadaniem. Wychowanie przez kulturę ma prowadzić do tego, żeby człowiek „stawał się bardziej człowiekiem”, by zaś się nim stawał, muszą być zachowywane zasady etyczne, które rodzą „kulturę moralną”. Pojęcie to swym zakresem obejmuje wszelkie przejawy twórczej działalności człowieka, a więc działalność artystyczną i naukową, gospodarczą i polityczną, jak również wypoczynek i rozrywkę.

O nierozzerwalnym związku kultury i moralności mówił Jan Paweł II podczas wizyty w Warszawie, 13 czerwca 1987 roku. Według Ojca Świętego najważniejszymi cechami kultury moralnej są: prawda i miłość. Inne cechy, jak: wolność, solidarność, prawa człowieka i narodu warunkują przechodzenie od prawdy do miłości.

²¹⁹ Tamże.

W czasach współczesnych, kiedy jesteśmy świadkami niekontrolowanej ekspansji kultury, która jest oderwana nie tylko zasad i ideałów wiary chrześcijańskiej, ale także od norm obowiązujących w świecie nauki i techniki, i której zatrute owoce stają się zagrożeniem dla człowieka, konieczna staje się większa i bardziej odpowiedzialna obecność Kościoła w tej tak ważnej sferze ludzkiej działalności. Można powiedzieć, że w dzisiejszych czasach fundamentalnego znaczenia nabiera ewangelizacyjna posługa wobec kultury. Jak zauważa Ojciec Święty: „Rozdźwięk między Ewangelią a kulturą jest bez wątpienia dramatem naszych czasów, jak był nim także w innych epokach. Dlatego, trzeba dołożyć wszelkich starań i zabiegów, żeby ewangelizować troskliwie ludzką kulturę, czy raczej same kultury”²²⁰.

Jest to jednak zadanie nie tylko Kościoła, nie tylko duszpasterzy, lecz wszystkich chrześcijan, którzy z mocy sakramentów chrztu świętego i bierzmowania są wezwani do ewangelizowania. Innymi słowy: ponieważ kultura stanowi niezbędne środowisko życia i rozwoju człowieka oraz całych społeczeństw i narodów, zadaniem chrześcijan jest wnoszenie wkładu w rozwój kultury i wszystkich jej wartości, a mówiąc poniekąd metaforycznie, ale i dosłownie zarazem: znaczenie tych wartości i kultury znakiem krzyża.

Jan Paweł II zachęca więc świeckich do udziału w rozwoju kultury, zwłaszcza w czasach, kiedy oddala się ona nie tylko od wiary chrześcijańskiej, ale wręcz od wartości ludzkich, i podkreśla, że najważniejszym punktem odniesienia kultury jest człowiek, taki, jakiego stworzył i umiłował Bóg, obdarowując go duchowymi wartościami, talentami i potrzebami, a także umiejscawiając go w konkretnej rzeczywistości historycznej i tradycji. I taką kulturę winni tworzyć i przekazywać chrześcijanie. Jest to jedno z najważniejszych ich zadań na obszarze ludzkiego współżycia i rozwoju spo-

²²⁰ Jan Paweł II, *Adhortacja apostolska „Evangelii nuntiandi”*, Watykan 1978, nr 20.

łecznego. Realizując je, winni być jednak uważni, gdyż – jak przestrzega Jan Paweł – dziedzictwo kultury i wartości nie jest wolne od niejasności i błędów, a przy tym świadomi, że może być manipulowane dla różnych celów, innych niż ich cele i innych niż poszanowanie godności człowieka.

Papież zwraca uwagę na to, że choć postęp nauki i techniki jest czymś chwalebny i wskazanym, to jednak żadna z tych dziedzin nie jest w stanie udzielić osobie ludzkiej pełnej odpowiedzi w kwestii takich zagadnień, jak choćby dobro czy prawda. Dlatego świeccy winni być obecni we wszelkich miejscach upowszechniania i tworzenia kultury, jakimi są szkoły i uniwersytety, ośrodki badań naukowych i technicznych, środowiska twórczości artystycznej i humanistycznej refleksji.

Celem ich obecności ma być nie tylko ewentualne prostowanie mylnych sądów i ocen, ale przede wszystkim udoskonalanie poprzez kulturę siebie i innych oraz urzeczywistnianie i w niej, i w sobie, i w ludziach doskonałości prawdziwej. Pisał w 1567 roku Vincenzo Danti: „Wiedział o tym nie tylko Michał Anioł, który rozmyślał na ten temat więcej niż inni, lecz także nieskończenie wielu innych starało się urzeczywistnić doskonałość w naszych sztukach. Starali się oni więc – trzeba by powiedzieć – pomóc naturze, posługując się różnymi ludźmi, w każdym z nich dostrzegając jakieś odmienne piękno. Wziąwszy jedno piękno od jednego, a drugie od drugiego komponowali swe postacie dając im wręcz nadmiar doskonałości”²²¹.

I tak winni postępować chrześcijanie: urzeczywistniać doskonałość w kulturze – rozumianej szeroko: jako kultura jako taka, lecz także jako kultura życia, kultura osobista, kultura duchowa, kultura moralna, kultura współżycia międzyludzkiego, kultura zawodowa, oświata, nauka – i poprzez kulturę udoskonalać jej odbiorców, biorąc piękno,

²²¹ *Traktat o doskonałych proporcjach* [w:] *Teoretycy, pisarze i artyści o sztuce 1500–1600*, oprac. J. Białostocki, Warszawa 1985, s. 234.

dobro, prawdę, miłość – jak Michał Anioł piękno – skąd tylko da się je wziąć: ze sztuki, literatury, muzyki, filozofii, teologii, historiozofii, wiary, także z życia, ale przede wszystkim z przeogromnego bogactwa Dobrej Nowiny, której tak wiele przecież zawdzięcza nasza cywilizacja.

Wskazówką dla ludzi wierzących, ułatwiającą im nieustanną działalność, co potwierdza Sobór Watykański II, mówiąc na temat relacji między Ewangelią i kulturą, jest „Dobra nowina Chrystusa [która] odnawia ustawicznie życie i kulturę upadłego człowieka oraz zwalcza i usuwa błędy i zło, płynące z ciągle grożącego człowiekowi zwodzenia przez grzech. Nieustannie oczyszcza i podnosi obyczaje ludów”. Głoszenie tej Nowiny to zadanie Kościoła, który wypełniając je, „tym samym pobudza i nakłania do kultury życia osobistego i społecznego, i działalnością liturgiczną wychowuje człowieka do wewnętrznej wolności” (KDK 58). Jest to także zadanie wiernych świeckich, którzy – obecni w różnych dziedzinach życia, zdobywania wiedzy, rozprzestrzeniania twórczości artystycznej, myśli filozoficznej czy badań naukowych, upowszechniania oświaty, nauki i wiedzy – wypełniając je, tym samym wnoszą do kultury i życia ludzkiego inspiracje wpływające z wiary.

MOWA

Dzięki językowi człowiek może określać samego siebie, swoje miejsce w rzeczywistości, swój stosunek do innych, uprawiać naukę, tworzyć kulturę, komunikować się z otoczeniem. Słowo, które – jak pisał Arystoteles – jest „naśladowczym przedstawieniem rzeczy” i które „ze wszystkich wytworów organów ludzkich najbardziej nadaje się do naśladowania rzeczywistości”²²², odgrywa więc w życiu ludzkim niezastąpioną rolę, będąc podstawowym nośnikiem sensu. Człowiek wypowiada słowa. Kiedyś wypowiadał je wyłącznie ustnie. Potem zaczął je utrzymywać przy pomocy znaków graficznych, posługując się pismem obrazkowym, a później alfabetycznym. Dzisiaj słowo zyskało nowe formy przekazu. Płyne na falach eteru, po drutach telefonicznych, dociera do nas z radia, telewizji, prasy, z książek. Jest nieodłącznym elementem ludzkiej egzystencji, tak nieodłącznym, że nie sposób sobie nawet wyobrazić, jakby ona wyglądała, gdyby człowiek pozbawiony był mowy.

Wspomniany już Arystoteles powiada, że ludzki dar mowy wskazuje wyraźnie, iż natura przeznaczyła człowieka do życia społecznego. „Kto (...) nie potrafi żyć we wspólnocie albo jej wcale nie potrzebuje, (...) jest albo zwierzęciem, albo bogiem”²²³. My powiedzielibyśmy dzisiaj, nawiązując jednak do myśli greckiego filozofa, że ludzki dar myślenia wskazuje, iż Bóg przeznaczył człowieka do wyższych celów. Darowi myślenia w sposób absolutnie konieczny musiał towarzyszyć dar języka, który „zbudowany jest jako wyraz myśli (...), podąża za myślą, tak jak myśl podąża za rzeczami – jak to ujął Frederick Copleston²²⁴.

Słowo stanowi zatem odzwierciedlenie myśli, ale też kształtuje myśli. Myślenie natomiast, którego punktem

²²² Arystoteles, *Retoryka, Księga III*, 1404 a, przeł. H. Podbielski, Warszawa 1988.

²²³ Arystoteles, *Polityka*, przeł. L. Piotrowicz, Warszawa 1964, s. 8.

²²⁴ F. Copleston, *Historia filozofii*, przeł. H. Bednarek, t. 1, Warszawa 1998, s. 320.

wyjścia i punktem dojścia jest słowo, kształtuje zachowanie. Pomiedzy słowem a zachowaniem, pomiedzy słowem a postawą, jaką człowiek przyjmuje w kontakcie z innymi, istnieje więc duża współzależność. Język, będąc odzwierciedleniem myśli, jest – jak wiadomo – narzędziem komunikacji, budowania stosunków międzyludzkich. W dużej mierze to właśnie od niego zależy, jakie one są. A bywają różne: niekiedy nacechowane życzliwością i przyjaźnią, kiedy indziej pełne konfliktów, wrogości, agresji czy wręcz nienawiści. Jakiegokolwiek by jednak nie były, zwykle mają swój początek i znajdują odzwierciedlenie właśnie w mowie. Wniosek, jaki z tego wypływa, jest oczywisty: możliwości wykorzystania daru mowy zarówno do szerzenia zła, jak i dobra, zarówno do wychowania do wojny, jak i do pokoju, są ogromne.

Hitler, Lenin, Stalin, Mao Tse Tung, Kim Ir Sen doskonale wykorzystywali te możliwości do szerzenia zła, zbrodni i wojny. Nie są to jednak wzory godne naśladowania. Godne naśladowania są natomiast wzory św. Franciszka, Brata Alberta, Matki Teresy z Kalkuty, Jana Pawła II, którzy słowo, zgodne z ich postawą, kształtujące tę postawę i kształtujące świat według zamysłu Bożego, zawsze i wyłącznie wykorzystywali do szerzenia dobra i budowania pokoju, niezmordowanie powtarzając – i dopełniając swe słowa czynem – że jest on zarówno w życiu rodzinnym, jak i społecznym i politycznym wartością nadrzędną.

Od czego zatem należy zacząć, by wzorem tych świętych – a nie tylko ich, także wielu pięknych duchowo ludzi, żeby wymienić tylko Tomasza à Kempis, Mahatmę Gandhiego czy Daga Hammarskjölda – możliwości, które daje słowo, jak najpełniej wykorzystać? Oczywiście od rodziny. To rodzice jako pierwsi mają uczyć dziecko poprawnego posługiwania się językiem, dając mu w tym względzie osobisty przykład. Trudno, by dziecko słuchając na co dzień złych, pełnych gniewu, pogardy czy wulgarności słów, nie przejęło takiego właśnie sposobu komunikowania się z otoczeniem.

Jakże wymagać, by jego język był piękny i poprawny, skoro się z nim nie rozmawia, nie koryguje językowych błędów, nie skłania do szczyrych wypowiedzi, nie podsuwa lektury, kształcącej – obok przekazywania innych wartości – także i poprawność językową.

Bardzo ważną sprawą jest nie tylko treść wypowiedzi, językowa poprawność, dobór odpowiednich słów, ale także intonacja. Często to właśnie akcent, melodia, natężenie głosu łagodzi wypowiedź albo prowokuje agresję. Także i tę umiejętność odpowiedniego operowania głosem trzeba zacząć kształtować w rodzinie. Słowa matki czy ojca kierowane do dziecka nie powinny być wypowiadane podniesionym, krzykliwym głosem; właściwe jest, by były nacechowane życzliwością, miłością, łagodnością i czułością. Czułość – jak pisał Cyprian Kamil Norwid:

*bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzący źródł prąd,
I jak wtór pogrzebny...*

*I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny – – –*

(Czułość)

– cnota trochę zapomniana i niedoceniana, nie ma nic wspólnego z czułością, „słodkim”, „cukierkowym” sentymentalizmem. Jest łagodnym, pełnym ciepła, serdecznej dobroci i wyrozumiałości stosunkiem do drugiego człowieka. Taką czułość powinni sobie okazywać rodzice i z ich wzajemnych odniesień dziecko powinno chłonąć jej wzniosłość i wpisana w nią dobroć.

Wiadomo z doświadczeń wielu pokoleń, iż życie rodzinne nie zawsze jest sielanką. Zdarzają się w nim konflikty, nieporozumienia, przybierające postać sporów i kłótni burzących rodzinny pokój. W takich trudnych momentach

szczególnie ważna jest umiejętność opanowania w mowie. A nie osiąga się jej bez wysiłku, ćwiczenia, bez gotowości do ustępstw i do pojednania. Odpowiedzialni rodzice nie wszczynają sprzeczek i kłótni przy dziecku. Podniesiony głos, krzyk, wrzask budzą w nim lęk. I jeśli takie głośne kłótnie zdarzają się często, dziecko niejako „oswaja się” z nimi i z czasem – jeśli nie ulegnie znerwicowaniu – samo zaczyna krzykiem egzekwować swoje słuszne, czy urojone prawa.

Wielką sztuką jest też właściwe karcenie dziecka, gdy na nie zasłuży. Nie podniesiony głos, nie krzyk czy – gorzej jeszcze – poniżające wyzwiska są właściwą metodą wychowawczą. Mogą one wywołać jedynie strach, który – jak wiadomo – jest złym doradcą, lub bunt, który obraca się najczęściej przeciw rodzicom. Wyzwiska, przekleństwa, poniżanie zabijają w dziecku wrażliwość, ranią jego godność, osłabiają lub wręcz burzą zaufanie do rodziców. Dziecko, które zasłuży na naganą, powinno wyczuć dezaprobatę dla swojego postępków nie tylko w kierowanych do niego słowach (tych – do tego wyważonych w treści – powinno być raczej niewiele), ale także w tonie nagany – stanowczym, zdradzającym zasmucenie i doznany zawód. Tak udzielona nagana powinna je zawstydić, nawet zabołec, lecz jednocześnie skłonić do przeproszenia i do pojednania się z zagniewanymi rodzicami czy wychowawcami. Gniew wyrażony podniesionym głosem, krzykiem lub wyzwiskami wywołuje – zwłaszcza u starszych dzieci czy młodzieży – nie tylko niechęć; prowadzi też zwykle do utraty szacunku i zaufania, budzi bunt, a nawet agresję – i to nie tylko słowną, o czym dobitnie świadczy rosnąca liczba tragicznych przypadków odwetu i zemsty na własnych rodzicach.

W wychowaniu do komunikowania się z otoczeniem ważne zadanie do spełnienia ma szkoła. Jesteśmy wszyscy świadkami ogromnego zwulgaryzowania języka młodzieży. Obelżywe wyzwiska, nienawistne okrzyki prowokują agresję, doprowadzają nawet do krwawych starć. Imprezy, zwłaszcza

sportowe, młodzieżowe zabawy i dyskoteki, pseudo-artystyczne festiwale, niejednokrotnie kończące się poturbowaniem uczestników i demolowaniem obiektów użyteczności publicznej, mają zwykle początek w agresji słownej. Do tępienia przejawów brutalizacji zachowań i wulgaryzacji języka powinni się poczuwać wszyscy wychowawcy, nauczyciele, a także działacze sportowi i organizatorzy wszelkiego rodzaju imprez. Trzeba budzić w młodych odrazę do zła, do subkultury, która ma upodobanie w chuligaństwie, także językowym, a stwarzać wzorce zachowań pozytywnych, prowadzących do prawdziwego koleżeństwa, do szlachetnego współzawodnictwa, do prawdziwych przyjaźni.

Uświadomienie znaczenia i roli języka w budowaniu przyjaznych stosunków międzyludzkich jest także zadaniem Kościoła i wszystkich chrześcijan włączających się w dzieło nowej ewangelizacji. W programie życia chrześcijańskiego, jakim jest Chrystusowe *Kazanie na górze*, błogosławieństwo zostało przyobiecane ludziom, „którzy wprowadzają pokój”. Pokoju, o jakim mówił Chrystus, nie osiąga się, nie wprowadza na drodze walki czy militarnych podbojów, ale na drodze przyjaźni z Bogiem i ludźmi. Przyjazne, pokojowe stosunki z ludźmi umacnia i ugruntowuje każde dobre, życzliwe słowo – każde słowo złe, nieprzyjazne, oszczercze, kłamliwe jest zarzewiem walki, wrogości czy wręcz nienawiści. Ewangelia Chrystusowa jest ewangelią pokoju, pokój zaś jest owocem miłości, a nie wrogości i walki. Wychowanie do pokoju poprzez uczenie właściwego posługiwania się darem mowy, poprzez troskę o jej treść, poprawność, a także poprzez sposób jej przekazywania jest zadaniem wszystkich chrześcijan. Św. Paweł, który wiele miejsca w swoim liście poświęcił grzechom języka, napominał wierzących: „Niech nie wychodzi z waszych ust żadna mowa szkodliwa, lecz tylko budująca, zależnie od potrzeby, by wyświadczała dobro słuchającym. (...) Niech zniknie spośród was wszelka gorycz, uniesienie, gniew, wrzaskliwość, znieważanie – wraz z wszelką złością. Bądźcie dla siebie nawzajem dobrzy i mi-

łosierni. Przebaczajcie sobie, tak jak i Bóg wam przebaczył w Chrystusie” (Ef 4, 29. 31–32).

Natomiast św. Jakub napisał: „Jeśli kto nie grzeszy mową, jest mężem doskonałym, zdolnym utrzymać w ryzach także ciało. Jeżeli przeto zakładamy koniom wędzidła do pysków, by nam były posłuszne, to kierujemy całym ciałem. Oto nawet okrętom, choć tak są potężne i tak silnymi wichrami miotane, niepozorny ster nadaje taki kierunek, jaki odpowiada woli sternika. Tak samo język, mimo że jest małym organem, ma powód do wielkich przechwałek. Oto mały ogień, a jak wielki las podpala. Tak i język jest ogniem, sferą nieprawości. Język jest wśród wszystkich naszych członków tym, co bezcześci całe ciało i sam trawiony ogniem piekielnym rozpala krąg życia. Wszystkie bowiem gatunki zwierząt i ptaków, gadów i stworzeń morskich można ujarzmić i rzeczywiście ujarzmiła je natura ludzka. Języka natomiast nikt z ludzi nie potrafi okiełznać, to zło niedostateczne, pełne zabójczego jadu. Przy jego pomocy wielbimy Boga i Ojca, i nim przeklinamy ludzi, stworzonych na podobieństwo Boże. Z tych samych ust wychodzi błogosławieństwo i przekleństwo. Tak być nie może, bracia moi” (Jk 3, 2–10). Konieczne jest, by i współcześni chrześcijanie, zwłaszcza ci odpowiedzialni za wychowanie młodego pokolenia, jak najczęściej przypominali sobie to pouczenie Apostoła.

Trzeba więc w każdej pracy wychowawczej: w domu, w szkole, w kościele, na katechezie uwzględniać i uświadamiać rolę, znaczenie i skutki, zwłaszcza społeczne, wypowiedzianych słów. Trzeba uczyć pewnej ascezy w mowie, powściągliwości, a także sztuki milczenia. Asceza ta polega na uświadomieniu sobie, że nie wszystko, co wiem albo czego się dowiaduję, zwłaszcza o bliźnim, muszę natychmiast przekazać dalej. Zwykle bowiem nieopatrznie przekazywane zasłyszane opinie, często „podkoloryzowane” subiektywną oceną, wywołują nieporozumienia, gniewy, kłótnie, urazy i nieraz na całe lata burzą współzycie i pokój między ludźmi.

Powściągliwość języka, cnota dyskrecji, pewna wielkoduszność przejawiająca się w nieprzywiązywaniu zbytnej wagi do przykrości, jaką czasem mogą nam sprawić nawet najbliżsi, a nade wszystko umiejętność i gotowość przebaczenia doznanych uraz – to nie tylko przejaw rozwagi i życiowej mądrości, ale i najskuteczniejszy sposób zachowania pokoju w środowisku, w którym przyszło nam żyć.

Łatwo jest stwierdzić, do jakiego stopnia ostra ironia i surowość w osądzaniu oraz krytykowaniu innych, zwłaszcza „obcych”, kontestacja i systematyczna rewindykacja, wdzierając się we wzajemne rozmowy, tłumia miłość i sprawiedliwość. Wyrażając wszystko w terminologii układu sił, walki grup, przyjaciół i nieprzyjaciół przygotowuje się odpowiedni grunt barierom społecznym, pogardzie, a nawet nienawiści, terroryzmowi i ich apologii, skrytej lub jawnej. Z serca oddanego nadrzędnej sprawie pokoju wywodzi się natomiast troska o wysłuchanie i zrozumienie, szacunek dla drugiego, łagodność, zaufanie. Taki język prowadzi do obiektywizmu, prawdy i pokoju, skłania do dobra, jest wyrazem szacunku dla rozmówcy i przejawem kultury. „Samo tylko mówienie – pisał niemiecki filozof Georg Wilhelm Friedrich Hegel – nie stanowi jeszcze wprowadzenia kultury, lecz kultura się z nim wiąże. Można całkiem poprawnie władać jakimś językiem, jeśli jednak nie ma się kultury, to nie jest to dobre mówienie. Kultura wiąże się z tym, że obecne są w umyśle rozmaite punkty widzenia, że natychmiast się mu one nasuwają, że dysponuje on obfitością kategorii, wedle których należy rozpatrywać dany przedmiot”²²⁵.

Niestety, kultura języka, kultura mowy jest dzisiaj już zjawiskiem nieomal przebrzmiałym. Dotyczy to zarówno kultury ujętej przez Hegla, jako wielość rozmaitych punktów widzenia i wielość kategorii, wedle których powinno się rozpatrywać wszelkie zagadnienia, jak i kultury rozumianej jako

²²⁵ G. W. F. Hegel, *Wykłady z historii filozofii*, przeł. S. F. Siwicki, t. 1, Warszawa 1994, s. 503–504.

poprawność i piękno wysławiania. W okresie staropolskim wykształcone warstwy społeczne do mówienia o rzeczach wzniosłych używały prawie wyłącznie łaciny, uznając, że nie godzi się o nich mówić w języku polskim, traktowanym jako język gminu. W późniejszych czasach, w tzw. dobrym towarzystwie posługiwano się francuskim; w czasach bardziej nam bliskich – już językiem polskim. W towarzystwie takim użycie przekleństwa czy choćby wulgaryzmu przynosiło wstyd, nierzadko łączyło się nawet z infamią. Dzisiaj albo nie ma już dobrego towarzystwa, albo i ono sięgnęło bruku. Teraz wstyd przynosi raczej staranność, poprawność wysławiania, brak przekleństw. A już na przełomie VII i VI wieku przed Chr. sławna para greckich poetów lirycznych taki oto przeprowadziła dialog:

Alkajos:

Chciałbym coś wyznać, lecz wstyd mi zabrania.

Safona:

*Gdybyś miał szlachetne i piękne pragnienia
i gdyby twój język nie gorzał,
by nie powiedzieć coś brzydko,
wstydu nie miałbyś w oczach,
lecz mówiłbyś to, co się godzi²²⁶.*

Tak, niegdyś człowiek szlachetny, o pięknej duszy, mający wzniosłe pragnienia nie wstydził się, mówił pięknie; ktoś, kto tarzał się w błocie, mówił językiem plugawym, właściwym dla swoich myśli, dążeń i pragnień – ale dzisiaj już i on nie musi się wstydzić. Niestety, trzeba ze smutkiem stwierdzić: język stał się pospolity, gdyż pospolite stały się pragnienia, dążenia, nawet marzenia.

Rodzice, nauczyciele, wychowawcy, katecheci, środki masowego przekazu stoją przed wielkim wyzwaniem. Wyzwaniem tym jest rozbudzanie szlachetnych uczuć,

²²⁶ Alkajos i Safona, *Pieśni*, przeł. J. Danielewicz, Warszawa 1989.

a w ślad za tym nauczanie pięknego języka; wychowywanie do pokoju, a w ślad za tym budzenie szacunku do słowa; tworzenie klimatu szacunku dla innych, a ślad za tym szacunku dla słowa.

Zawsze, we wszystkich relacjach między ludźmi konieczna jest mowa prawdziwa, bo tylko ona umożliwi otwartość, a otwartość wywołuje zaufanie. Dar mowy został dany człowiekowi po to, by z jego pomocą mógł wyrażać swoje wnętrze, swoją myśl i swoją wolę. Mówić inaczej, niż się myśli czy chce, jest równoznaczne z przeciwstawieniem się temu naturalnemu celowi języka. Słowo winno być znakiem otwierającym ludzkie myśli.

Przez mówienie rozumiemy tutaj nie tylko ustne wyrażanie myśli, ale wszelkie sposoby ich uzewnętrzniania, a więc także za pomocą gestów czy słowa pisanego. Manifestacja zawsze jednak powinna być prawdziwa. Słowa i gesty muszą odpowiadać wewnętrznej prawdzie człowieka. Inaczej mówiąc, komunikacja słowna winna uczynić rozmówcę uczestnikiem tego, co się w sobie nosi. Współzycie między ludźmi musi się układać na linii szczerości i prawdy. Człowiek, stworzony przez Boga jako istota przeznaczona do życia pośród innych i razem z innymi, nie może ich zwodzić i oszukiwać; przeciwnie, w miarę potrzeby i wskazań roztropności powinien im ujawniać treść swych myśli i przekonań. W całym postępowaniu względem bliźnich, a w szczególności w mowie obowiązuje poszanowanie prawdy, a zatem prawdomówność. Polega ona na odpowiedniości między słowem a przekonaniem mówiącego, oczywiście w określonej i niedwuznacznej konwencji słownej. Innymi słowy: prawdomówność polega na uzewnętrznianiu w mowie lub w innych formach wyrazu tego, co się myśli. Gdy człowiek mówi, powinien mówić prawdę.

Z drugiej jednakże strony, człowiek nie jest zobowiązany uzewnętrzniać się przed kimkolwiek czy wobec każdego. Według nauczania *Katechizmu Kościoła Katolickiego*,

„Prawo do ujawniania prawdy nie jest bezwarunkowe. Każdy powinien dostosowywać swoje życie do ewangelicznej zasady miłości braterskiej. W konkretnych sytuacjach wymaga ona rozstrzygnięcia, czy należy ujawniać prawdę temu, kto jej żąda, czy nie”²²⁷. Są sprawy, o których godziwie nie powinno się mówić nikomu. Tak jest w przypadku tajemnicy, sekretu. Odnośnie do tego w *Katechizmie* czytamy: „Miłość i poszanowanie prawdy powinny kierować odpowiedzią na każdą *prośbę o informację lub ujawnienie prawdy*. Dobro i bezpieczeństwo drugiego człowieka, poszanowanie życia prywatnego, dobro wspólne są wystarczającymi powodami do przemilczenia tego, co nie powinno być znane, lub do dyskrecji. Obowiązek unikania zgorszenia nakazuje często ścisłą dyskrecję. Nikt nie jest zobowiązany do ujawniania prawdy temu, kto nie ma prawa jej znać”²²⁸.

²²⁷ *Katechizm Kościoła Katolickiego*, Pallotinum 1994, nr 2488.

²²⁸ Tamże, nr 2489.

UCZESTNICTWO





APOSTOLAT

Jak głosi Sobór Watykański II, każdy chrześcijanin jest powołany do wyznawania swojej wiary, nie tylko w coraz to bardziej nowy i intensywny sposób, ale również w sposób coraz to bardziej apostołowski. Wiara ma być nie tylko deklarowana, ale czynnie wyznawana; ma być przykładna, wzorcowa, komunikatywna; ma przybierać postać tego, co nazywa się dzisiaj świadectwem. Do dawania tego świadectwa zobowiązane są nie tylko osoby konsekrowane, lecz również – i to w takim samym stopniu – osoby świeckie. Wszystkie one są wezwane, by zajmować w świecie miejsce, jakie im przysługuje na mocy sakramentów chrztu i bierzmowania.

„Ludzie świeccy zaś – przypomina Sobór – szczególnie powołani są do tego, aby czynić obecnym i aktywnym Kościół w takich miejscach, gdzie jedynie przy ich pomocy stać się on może solą ziemi. Tak to każdy świecki na mocy samych darów, jakie otrzymał, staje się świadkiem i zarazem żywym narzędziem posłannictwa samego Kościoła” (KDK 33). Darami tymi są sakramenty, szczególnie sakrament bierzmowania, w którym Duch Święty udziela człowiekowi odwagi do wyznawania wiary w Jezusa Chrystusa oraz męstwa, do dawania jej świadectwa, a tym samym uzdalnia go do „szerzenia jej słowem i uczynkiem, i bronienia jej” – jak mówi Sobór (KK 11).

Wszyscy świeccy przynależący do Chrystusa są wezwani przez Niego do służenia Królestwu Bożemu i rozszerzania go w świecie. Służba ta dokonuje się przede wszystkim przez duchową walkę z grzechem (Rz 6, 12), a następnie przez ofiarowanie siebie tak, aby w miłości i sprawiedliwości stać się darem dla Jezusa, a przez Niego – dla wszystkich braci, zwłaszcza najmniejszych, w których jest On obecny (Mt 25, 40). Tylko tak – stawszy się darem dla Chrystusa – można szerzyć Jego królestwo, przywracać stworzeniu całą jego pierwotną wartość, a zarazem nadawać wszystkiemu nowy i głębszy sens – Jego sens. Jan Paweł II mówił, że

chrześcijanie są solą dla ziemi: jak sól zapobiega rozkładowi tego, co materialne, tak oni zapobiegają rozkładowi tego, co duchowe, zepsuciu życia ludzkiego pod wpływem fałszywych wartości, które podsuwa współczesność.

I to jest podstawowe zadanie chrześcijanina: być solą ziemi i – jak Chrystus – chronić życie przed zepsuciem. Wszyscy na różne sposoby powołani są do wypełniania tego zadania, wszyscy zobowiązani są do kontynuowania w Kościele misji Jezusa. Jest to obowiązek, ale zarazem tytuł do chwały: kto zostaje posłany, jest w szczególny sposób zjednoczony z Tym, który go posłał, i może dokonywać tych samych dzieł, co On, jak bowiem mówi Boski Nauczyciel: „Kto we Mnie wierzy, będzie także dokonywał tych dzieł, których Ja dokonuję, owszem i większe od tych uczyni, bo Ja idę do Ojca” (J 14, 12). Żaden chrześcijanin, żadna instytucja Kościoła nie może się uchylać od dokonywania tych dzieł, od spełniania tego najważniejszego obowiązku – głoszenia Chrystusa wszystkim narodom. Nikt nie może czuć się zwolniony z powinności uczestnictwa w misji Chrystusa, która nieustannie trwa w Kościele.

Świeccy żyją – jak naucza Sobór Watykański II – „w świecie, to znaczy pośród wszystkich razem i poszczególnych spraw i obowiązków świata, i w zwyczajnych warunkach życia rodzinnego i społecznego, z których niejako utkana jest ich egzystencja” (KK 31). W świecie tym prowadzą normalne życie: uczą się, pracują, utrzymują ze sobą różnorakie kontakty: przyjacielskie, społeczne, zawodowe, kulturalne itd. Jest to ich rzeczywistość, ale rzeczywistość ta – naucza i Sobór, i Jan Paweł II – „osiąga swój pełny sens w Jezusie Chrystusie” (KK 48) i stanowi miejsce, w którym dociera do nich wezwanie Boga, które zatem „staje się polem i narzędziem ludzi świeckich w realizacji chrześcijańskiego powołania” (KK 48). Nie muszą się więc oni wyrzekać tego miejsca. Ich bycie i działanie w świecie ma ogromne znaczenie nie tylko antropologiczne i socjologiczne, ale także ściśle

teologiczne i kościelne. Kościół jest „jednością organiczną, analogiczną do jedności żywego i sprawnego ciała. Odnacza się (...) współistnieniem wielorakich powołań i stanów, posług, charyzmatów i zadań, które choć różne, są w stosunku do siebie komplementarne. Jest on także jednością posłannictwa” (DA 2), a posłannictwo to ogarnia wszystkich ochrzczonych w każdym miejscu i każe im czynnie uczestniczyć w dziele budowania Kościoła oraz odważnego głoszenia światu Ewangelii. W dziele tym ważną misję mają do spełnienia świeccy. Dlatego konieczne jest rozpoznanie i jak najlepsze wykorzystanie w ramach organicznej i dynamicznej wizji Ciała Kościoła energii właściwych każdemu z nich.

Św. Paweł mówi, że Duch Święty rozdziela charyzmaty „dla wspólnego pożytku”. To szczególne objawienie Ducha dla wspólnego pożytku dane jest każdemu, żaden chrześcijanin – jak mówił Jan Paweł II – nie może się więc czuć obcy lub obojętny w dziele budowy Kościoła. Apostolstwo jest spełnieniem obowiązku udzielenia odpowiedzi na otrzymane dary. „Do tego rodzaju apostolstwa, zawsze i wszędzie owocnego, a w niektórych okolicznościach jedynie przydatnego i możliwego, są wezwani i zobowiązani wszyscy świeccy, jakiegokolwiek stanu” (DA 16). W Kościele istniało ono zawsze – od czasów apostoelskich poprzez starożytność, średniowiecze, okres potrydencki, po wiek XIX i XX. Dzisiaj jednak winno być szczególnym znakiem czasów. Wskazywał na to już Sobór Watykański II, który wyznaczył nowe szlaki Kościołowi powszechnemu w czasach nam współczesnych i uświadomił możliwości różnych form działalności apostoelskiej i misyjnej, co doprowadziło do ukształtowania się głębszego zrozumienia posłannictwa świeckich, jaśniejszej i bardziej przemyślanej wizji tego posłannictwa jako prawdziwego „apostolstwa”. Stało się oczywiste, że wszyscy, którzy zostają członkami Kościoła przez chrzest, z pomocą Ducha Świętego uczestniczą w dawaniu świadectwa wierze i w szerzeniu Królestwa Chrystusowego. Uczestnictwo to umacnia sakrament bierzmowania, na mocy którego wierni

– jak mówi Sobór – „jeszcze mocniej zobowiązani są, jako prawdziwi świadkowie Chrystusowi, do szerzenia wiary słowem i uczynkiem oraz do bronienia jej” (KK 11). Papież Jan Paweł II podkreślał, że do podejmowania apostołstwa w sposób specyficzny i sobie właściwy uzdalnia także sakrament małżeństwa.

W czasach, gdy wiara nie jest już wspólnym dziedzictwem, a jedynie ziarnem – często zapomnianym lub zagrożonym przez ludzi tego świata – istnieje pilna potrzeba apostołstwa każdego ochrzczonego. Żaden katolik nie powinien pozostawać bezczynny w winnicy Pańskiej, jaką jest świat. Swą misję musi wypełniać w różnych środowiskach i dziedzinach życia społecznego, idąc od człowieka do człowieka, od doświadczenia do doświadczenia. Świeccy zostali powołani i posłani, by głosić Chrystusa na wszystkich areopagach świata. Ich misja zaczyna się tam, gdzie żyje człowiek. Muszą wszakże pamiętać, że treścią ewangelizacji, w którą powinni się angażować, jest najpierw sama osoba Jezusa Chrystusa, a dopiero w konsekwencji – Jego nauczanie i wartości ewangeliczne, które głosił On światu, takie jak: sprawiedliwość, miłość, dobro wspólne czy pokój. Ponieważ fundamentalną treścią Dobrej Nowiny jest Chrystus Emanuel – „Bóg pośród nas”, dzieło ewangelizacji musi się opierać na Jego świadectwie. Wzorem do naśladowania są w tym względzie pierwsi świadkowie i uczniowie.

Dzisiaj potrzeba światu ludzi dojrzałej wiary, z odwagą przyznających się do Chrystusa, w każdym miejscu i w każdej sytuacji. Potrzeba prawdziwych heroldów Ewangelii i zwiastunów prawdy, wyznawców, którzy wierzą i miłują – i zamieniają tę Bożą miłość w autentyczną służbę człowiekowi. „Wszystko bowiem, co z Boga zrodzone, zwycięża świat; tym właśnie zwycięstwem, które zwyciężyło świat, jest nasza wiara” (1 J 5, 4). Do szczególnych zadań świeckich należy przepajanie Ewangelią całej doczesnej rzeczywistości. Powinni oni działać na każdym polu: w środowisku rodziny,

pracy, kultury, wypoczynku. Odkrycie apostołstwa stanowi dla wierzących najwyższą formę rozwoju naturalnego powołania do tworzenia dobra wspólnego.

Chrystus pragnie, by Jego służba stała się służbą w najszerszym znaczeniu tego słowa. Wymaga to uczestnictwa w niej nie tylko biskupów, kapłanów i zakonnic, lecz wszystkich ludzi wierzących. „Byłem głodny... byłem spragniony... byłem przybyszem... byłem nagi... chory... w więzieniu...”, byłem prześladowany, uciskany, strapiony, nieświadomy, wątpiący, opuszczony i zagrożony... Ogromny jest krąg potrzeb i obowiązków, które powinni dostrzegać ludzie świeccy, które powinni stale mieć przed oczyma, jeżeli chcą być solidarni z Chrystusem, i które powinni podejmować w imię Chrystusa, pamiętając, że powiedział: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40). Istnieje zatem wielka przestrzeń dla umacniania solidarności z Chrystusem, wielka przestrzeń dla wypełniania zleconych przez Niego zadań, dla apostołstwa wszystkich Jego wyznawców.

Jan Paweł II uważa, że właściwą drogą każdego chrześcijanina jest dialog ze światem, uczestnictwo w świecie i włączenie się w świat. Obecność chrześcijan winna zaznaczać się wszędzie: „chrześcijanie w osobistej, wewnętrznej gorliwości, chrześcijanie w ogniskach rodzinnych, jako małżonkowie, ojcowie, matki i dzieci w rodzinie, w Kościele domowym; chrześcijanie na ulicy, jako mężczyźni i kobiety umiejący określić swoje miejsce; chrześcijanie w życiu wspólnotowym, w pracy, w kontaktach pracowników i pracodawców, w grupie, w związku zawodowym, podczas rozrywki, w czasie wolnym itd.; chrześcijanie w społeczeństwie, zarówno wtedy, gdy spełniają niskie usługi, jak i wtedy, gdy zajmują wysokie stanowiska; chrześcijanie dzielący los braci mniej uprzywilejowanych, chrześcijanie w życiu społecznym i politycznym; słowem – chrześcijanie zawsze, w obecności

i uwielbieniu Boga, Pana życia i dziejów”. Chrześcijanie wszędzie!²²⁹.

Zaiste, piękny to obraz, piękna perspektywa, spełnienie pragnień Chrystusa i świętych, królestwo Boże na ziemi! Zaiste. Od wszystkich wymaga to jednak wszystkiego; wszyscy muszą dać wszystko. Czy jednak wszystkich byłoby stać, by wszystkim obdarować świat? Czy wszyscy byliby zdolni ofiarować wszystko wszystkiemu, czyli całych siebie uświęceniu świata? Jest to oczywiście pytanie retoryczne. „Wszystko” jest przerażające. Poświęcić, dać, ofiarować, oddać, przekazać wszystko – to może budzić opór albo przynajmniej wydawać się zbyt trudne. Miał tego świadomość Jan Paweł II, dlatego przypomniał: „Ale wy, Bracia i Siostry, wiecie, że Pan myślał także o dniu dzisiejszym, w którym żyjemy, kiedy z miłością nakazywał: «Niech się nie trwoży serce wasze» (J 14, 27), i zwracając się do Ojca – ciągle w tym samym kontekście – modlił się za każdego z nas w tych słowach: «Ojczyźnie uświęć ich w prawdzie. Słowo Twoje jest Prawdą»” (J 17, 17). Niech więc nie trwoży się serce wasze – powtórzmy. Tak trzeba: wszyscy, wszystko – wszystkiemu²³⁰.

Konieczni wszyscy. Z indywidualnym apostołatem świeckich, na który składają się działania osobiste, a szczególnie świadectwa chrześcijańskiego życia, musi iść w parze apostołat zespołowy. Obie te formy dopełniają się, a nie wykluczają. Z jednej strony – apostołat zespołowy nie może być skuteczny bez osobistego świadectwa każdego członka Kościoła, z drugiej zaś – we współczesnym świecie, który stawia tak wielkie wymagania, że pojedyncza osoba nie jest im w stanie sprostać, potrzebny jest zespołowy wysiłek wierzących w Chrystusa. Tym bardziej, iż zespołowy wysiłek przynosi o wiele piękniejsze owoce niż suma nawet najliczniejszych wysiłków indywidualnych, jako że – zdaniem Jana Pawła II – stowarzyszanie się, przeniesione w sferę nadprzyrodzoną,

²²⁹ Jan Paweł II, *Powinniście uobecnić Kościół we wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 3(1982) nr 5(29), s. 5.

²³⁰ Tamże.

wzbogaca, wznosi na poziom braterskiej komunii w Chrystusie i ukazuje się jako „znak wspólnoty i jedności Kościoła w Chrystusie, który powiedział: «Gdzie (...) dwaj albo trzej zgromadzeni są w imię moje, tam i Ja jestem pośród nich»” (Mt 18, 20).

Dzięki temu zespolowemu działaniu, natchnionemu wpływającą z nadprzyrodzonego źródła miłością, wlaną w serca przez Ducha Świętego (Rz 5, 5), „przez ścisłe zespolenie sił da się w pełni osiągnąć cele dzisiejszego apostołstwa i obronić skutecznie jego owoce” (DA 18). Chodzi więc o wspólne działanie wszystkich, którzy pragną oddziaływać na świat orędziem ewangelicznym, o działanie w grupie, gdyż takie jest najbardziej skuteczne i tylko poprzez takie zdoła się dotrzeć do zbiorowej mentalności i osiągnąć zamierzone cele. Ojciec Święty w adhortacji *Christifideles laici* stwierdza: „Wpływ kulturowy, będąc źródłem i bodźcem, ale także owocem i znakiem wszelkich przemian w środowisku i społeczeństwie może zaistnieć tylko dzięki działaniu nie tyle jednostek, co «podmiotu społecznego», to jest jakiejś grupy, wspólnoty, zrzeszenia bądź ruchu”²³¹.

Wierni powinni zatem zakładać stowarzyszenia w celu prowadzenia apostołatu. Ich prawo do tego potwierdza Kościół: „Zachowując należyty stosunek do władz kościelnych, mają świeccy prawo zakładać stowarzyszenia, kierować nimi i wstępować do już istniejących” (DA 19). Takiego właśnie zdania był Sobór Watykański II, który uznał jednoznacznie prawo do tworzenia stowarzyszeń, za które odpowiedzialni byłiby sami świeccy i które posiadałyby słuszną autonomię, znajdującą oparcie w naturalnej więzi z posługą hierarchii (DA 19; KK 37), albowiem stowarzyszenia takie, założone dla celów apostołstwa zespolowego „niosą pomoc swym członkom i przysposabiają ich do apostołstwa, odpowiednio ustawiają ich pracę apostołską i kierują nią tak, że o wiele więcej można się po niej

²³¹ Jan Paweł II, *Christifideles laici*, nr 29.

spodziewać owoców, niż gdyby każdy działał na własną rękę” (DA 18).

Wszystkie ruchy i zorganizowane formy apostołatu świeckich mają więc bardzo ważną rolę do odegrania i są bardzo pożyteczne, oczywiście, jeśli są naznaczone prawdziwym duchem służby kościelnej i chrześcijańskiej. Powinny się one wzajemnie dopełniać i tworzyć między sobą więzy szacunku, ażeby doprowadzić do zespolenia wysiłków i rzeczywistej współpracy. Wszystkie one należą do jednego i tego samego Kościoła i wszystkie winna łączyć miłość do Chrystusa obecnego w Kościele. „Chociaż wiele jest urzędów i zadań, wszyscy zmierzamy do jednego celu: ażeby Chrystus był głoszony, ażeby ludzie znaleźli zbawienie, by służono dobru wspólnemu i wreszcie – by Bóg był uwielbiony w każdej rzeczy”, ażeby zatem każdy śpiewał jak Psalmista w tym pięknym tłumaczeniu Jana Kochanowskiego:

*o Królu, ciebie ja wdzięcznymi
Nie przepamiętam nigdy rymy swymi;
A póki harfa palców słuchać będzie,
Zacna być musi twoja sława wszędzie.*

(Psalm 45)

Taki jest cel apostołatu. Cel ten nie zawsze jest jednak osiągnięty, nie zawsze też zmierza się do niego prostymi drogami. Zdarza się czasami, że ci, którzy pragną ewangelizować i wzięli na siebie ten obowiązek, nie potrafią się z niego wywiązać, gdyż sami tracą ducha wiary, wobec czego sami powinni być ewangelizowani. Wiara nie jest czymś zapewnionym na stałe; nawet dla wierzących nie jest żadnym pewnym dziedzictwem, szczególnie w naszych czasach. Skuteczność kościelnego posłania trwa tak długo, jak długo trwa wiara i skończy się wraz z wiarą. Ponieważ wiara jest dzisiaj zagrożona, musi być w zdecydowany sposób wzmacniana i wspierana także w aktywnych członkach Kościoła. W przeszłości Kościół miał zbyt statyczne wyobrażenie o wierze.

Wydawało się, że albo ona jest, albo jej nie ma. Jeśli trzeba było, zaświadczała ją metryka urodzenia, zawierająca określenie „rzymskokatolicki”, albo metryka chrztu. W rzeczywistości jednak wiara może się zagubić niemal z dnia na dzień, pomimo przynależności do Kościoła; może się też zaskakująco bujnie rozwijać w normalności chrześcijańskiego życia. Wiara każdego człowieka ma swoją historię.

Wszyscy więc musimy podtrzymywać i rozwijać wiarę tak w sobie, jak i w innych; wszyscy więc jesteśmy wezwani do apostolatu, czyli do tej aktywności chrześcijańskiej, która polega na głoszeniu Ewangelii i dawaniu świadectwa, czego celem jest wzrastanie w świętości i porywanie do świętości innych, a zatem rozwój Królestwa Bożego na ziemi, tego królestwa prawdy i wolności, sprawiedliwości, miłości i pokoju. Dzieło to wymaga zaangażowania się wszystkich ludzi wierzących, zatem każdy na swój sposób i wedle własnych możliwości powinien je podjąć i realizować w życiu społecznym.

Wiara ma znamiona społeczne, dlatego winna się wyrażać społecznie i przejawiać w sferze społecznej. Nie ma takiej dziedziny życia, która mogłoby się znajdować w izolacji od nauki Bożej. W każdej jest miejsce dla Boga, w każdej zatem znajduje się miejsce na apostolat zarówno indywidualny, jak i zbiorowy. Należy pomagać ludziom wierzącym w zrozumieniu tego ważnego posłannictwa, a także mobilizować ich do zespołowego działania w „winnicy Pańskiej”. Trzeba ich wyrwać z anonimowości, bierności, apatii społecznej i kierować na szerokie pola ewangelizacyjne współczesnego świata. I zawsze trzeba im przypominać te – strawestowane tu nieco – słowa Psalmu 33:

*Pana sercem wesołym wspomienie, cnotliwi,
Pana przystojnie chwalcie uczciwi.
Wspomienie go na cytrze i na wielostronej
Głoście Go wszędy harfie złożonej!
Przynieście wszystkim nową pieśń, nową
niesłychaną.*

*Trąbcie im w głośną trąbę miedzianą!
Albowiem każde słowo Pańskie jest prawdziwe,
Wszystki uczyunki są świętobliwe;
Sprawiedliwość miłuje, kocha się w szczyrości,
Pełna jest ziemia Jego litości.*

(przeł. Jan Kochanowski)

POWOŁANIE

Ewangelia mówi, że kiedy Jezus spotkał ongiś Szymona, zwanego Piotrem, i jego brata – Andrzeja, zarzucających właśnie w jeziorze sieci na ryby, „rzekł do nich: «Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi». A oni natychmiast zostawili łódź i ojca i poszli za Nim” (Mt 4, 18–20). Ewangelia mówi też, że kiedy Chrystus po swym zmartwychwstaniu spotkał się jeszcze raz z Piotrem i powiedział mu: „Pójdź za Mną”, były to ostatnie odnotowane słowa, jakie do niego wypowiedział. Piotr usłyszał je więc dwukrotnie: i na początku, i na końcu swej ziemskiej wędrówki z Mistrzem. Dwukrotnie został wezwany, by iść za Panem.

To nie jest przypadek. Chrystus uczynił Piotra opoką, na której zbudował swój Kościół, uczynił go pierwszym przewodnikiem swoich owiec. Skierowane więc do niego słowa, skierowane są do Kościoła, a słowa skierowane do Kościoła, skierowane są do każdego jego członka. Poprzez wezwanie Piotra każdy zatem został wezwany.

„Pójdź za Mną” – wezwanie to rozbrzmiewa poprzez wieki, bezustannie trwa w czasie, jest rozpostarte ponad światem i pozostawione w świecie. „Pójdź za Mną”. I dzisiaj, tak jak dwa tysiące lat temu, słowa te słyszy niemal każdy człowiek. Pan mówi: „Pójdź za Mną”. I mówi to do wszystkich. Nie wszyscy jednak słowa te rozumieją, nie wszyscy potrafią odczytać ich sens i znaczenie. Słyszą głos, lecz nie wiedzą, co on oznacza, nie wiedzą, co czynić. Ogarnia ich poczucie niepewności, bezradności, zagubienia. Jak to pójść? Za kimże pójść? Gdzież to pójść? Wokół nich tylko ciemność. W tej ciemności błyszczy jakieś światło, lecz nie wiedzą, czym ono jest. Są jak księżę Tamino z *Czarodziejskiego fletu* Mozarta, opuszczony, samotny, bez nadziei walczący w ponurym, nieprzeżytym lesie Królowej Nocy z potwornym wężem nicości, albo jak ta dusza z anonimowego polskiego wiersza średniowiecznego, która

*z ciała wyleciała,
Na zielone łące stała –
Stawszy silno, barzo rzewno zapłakała.*

Ale

*K nie przyszedł święty Piotr a rzeknęcy:
„Czemu duszo rzewno płaczesz?”
Ona rzekła:
„Nie wola mi rzewno płakać,
A ja nie wiem, kam się podziąć”.
Rzekł święty Piotr jej:
„Pójdzi, duszo moja miła!
Powiedę cię do rajskiego,
Do królestwa niebieskiego”.*

(Dusza z ciała wyleciała)

I przecież tak właśnie przychodzi Chrystus do człowieka, i przecież to właśnie mówi, wzywając: „Pójdź za mną”. Powiodę cię. Nie opuszczę. Dojdziesz. Szczęśliwi, którzy słysząc te słowa, wiedzą, Kto je wypowiada, i wiedzą, dokąd mają iść, na jaką mają wstąpić drogę, i wiedzą, że jest to droga wąska i trudna. Jezus nie ukrywał tego przed swoimi uczniami i nie ukrywa tego przed nami. Sam mówi, że jest to droga krzyża: „Kto nie dźwiga swego krzyża, a idzie za Mną, ten nie może być moim uczniem” (Łk 14, 27). Aby naprawdę iść za Jezusem, trzeba dźwigać Jego krzyż, trzeba być gotowym do wszelkich poświęceń z miłości do Niego, trzeba Go przedłożyć ponad wszystko i wszystkich, nawet ponad osoby najdroższe, nawet ponad siebie, nawet ponad własne życie.

„Nauka płynąca z Krzyża w jej najogólniejszym znaczeniu jest [wszelako] nauką, którą może przyjąć k a ż d y człowiek przeświadczony o tym, że przed ludzkością szamoczącą się w bezmiernym niepokoju otwiera się droga wiodąca do jakiegoś rozwiązania i że droga ta prowadzi coraz wyżej. Życie ma jakiś cel, a więc narzuca kierunek ruchu,

który w istocie zmierza ku coraz większemu uduchowaniu, zdobywanemu coraz większym wysiłkiem. Przyjąć zespół tych podstawowych zasad – to już znaleźć się w szeregu uczniów Jezusa Ukrzyżowanego, może dalekich i uwikłanych w sprzecznościach, lecz prawdziwych” – pisał Teilhard de Chardin²³².

„Pójdź za Mną”. Iluż ludzi słyszy to wezwanie! Jezus kieruje je do młodych i dojrzałych, wykształconych i prostych, gotowych i niechętnych. Nie wszyscy jednak, nawet i spośród tych, którzy wezwanie to rozumieją, potrafią odpowiedzieć na nie w sposób właściwy. Wielu przypisuje je złudzeniu, nie wierzy w jego realność, wielu się ociąga, wielu się boi, wielu się obawia, że nie podoła. „Człowieka może nieraz ogarnąć lęk i zwątpienie – powiada Mistrz Eckhart – kiedy sobie uświadomi, że życie naszego Pana, Jezusa Chrystusa było naznaczone tak wielkim trudem i cierpieniem, jego samego natomiast stać na tak niewiele i nawet nie odczuwa w sobie do tego skłonności. A gdy widzi, jak bardzo jest do nich niepodobny, wyciąga stąd wniosek, że znajduje się daleko od Boga i nie potrafi Go naśladować. Niech nikt nie dopuszcza do siebie takich myśli. Niech nie sądzi, że jest daleko od Boga, tylko dlatego że ma jakieś wady lub słabości, czy też z innej jeszcze przyczyny. Nawet jeśli dopuścił się jakiegoś ciężkiego występku i dlatego wydaje ci się, że jesteś daleko od Boga, to i wtedy bądź przekonany, że On jest blisko”²³³. Jest blisko, zawsze blisko i ciągle mówi: „Pójdź za Mną”.

To jedne z najważniejszych słów, może nawet najważniejsze, jakie Chrystus wypowiada do człowieka w całym jego życiu. Można ich nie dosłyszeć, można ich nie zrozumieć i pozostać w samotności; jeśli się jednak dosłyszysz i zrozumie, trzeba rzucić wszystko, jak Szymon Piotr, i iść. Jest to podstawowy wybór, na którym oparte będą wszystkie wy-

²³² T. de Chardin, *Pisma, Człowiek*, Warszawa 1984, t. 1, s. 348.

²³³ Eckhart, *Traktaty*, Poznań 1987, s. 44.

bory. Jest to podstawowa decyzja, od której będzie zależało wszystko.

Chrystus stanął twarzą w twarz wobec nas. Sam do nas przyszedł, nie czekaliśmy na Niego, i podjął z nami rozmowę. Spotkanie to odmienia całą rzeczywistość. Od tej chwili już nic nie jest takie, jakie było. Spotkawszy nas, odcisnął w nas swój ślad. Już nie jesteśmy tacy sami, bowiem spotkanie to jest początkiem przyjaźni albo nieprzyjaźni. Jakkolwiek by było, będziemy już inni: każda przyjaźń i każda nieprzyjaźń odmienia człowieka. Albo rośnie w nas radość, albo przygnębienie, albo nowa energia, albo apatia, albo nadzieja, albo lęk. Pewne jest tylko jedno: wyznacza ono życie. Pewne jest jeszcze i to, że wybór należy do nas. Nie pójść za Nim – to pozostać w sobie, sam na sam z sobą, z ludźmi, ze światem, to wejść w ostateczną samotność, to żyć, dążąc do wszystkiego, ale tak naprawdę do niczego, to stawiać sobie cele, które nie mają celu.

Wiare usuwa się z życia publicznego. Początków ziemskiej egzystencji dopatruje się w tzw. „wielkim wybuchu” i wydaje się przeogromne pieniądze, by udowodnić tę tezę. Bóg jeszcze jest w ludzkich sercach, ale w życiu społecznym coraz Go mniej. Chciwość, wyzysk, podziały, martwe, lecz jakże bajecznie kolorowe wizje życia, idole, bezwzględność, buta, nikczemność, w najlepszym razie nijakość – oto czym zastępuje się Boga i do czego usiłuje się sprowadzić życie człowieka.

A przecież „zaprawdę, w naszych rękach, w rękach nas wszystkich świat, życie (n a s z ś w i a t, n a s z e ż y c i e) złożone są jak Hostia i gotowe do przyjęcia działania Bożego, czyli rzeczywistej Obecności Wcielonego Słowa. Tajemnica się spełni. Lecz pod jednym warunkiem, pod tym mianowicie, że u w i e r z y m y. (...) Wierzimy? Wszystko wokół nas się rozjaśnia i przybiera określoną postać; przypadkowość nabiera ładu, sukces – pełni i stałości, cierpienie staje się odwiedzinami i pieszczotą Boga. Wątpimy. Skala pozostaje

jałowa, niebo – czarne, fale – zdradliwe i wzburzone” – pisał Teilhard de Chardin²³⁴.

Wierzymy? To „wstańcie, chodźmy!”

Tymi słowami Sługa Boży Jan Paweł II zatytułował swoją przedostatnią książkę. Usłyszawszy wezwanie Chrystusa „Pójdźcie za Mną”, Piotr i Paweł „zostawili łódź i ojca i poszli za Nim”. Usłyszawszy to samo wezwanie, Ojciec Święty woła donośnym głosem: *Wstańcie, chodźmy!* i rusza pierwszy. Skoro zostaliśmy wezwani przez Pana, trzeba wstać i iść! Po prostu. Jan Paweł II zachęcał nas do tego nie tylko tym, co mówił, ale także tym, co czynił. Jego życie stało się wzorem odpowiedzi na wezwanie Chrystusowe. Wstał i poszedł. Wziął krzyż i poszedł. Ofiarował Bogu własne życie za owce swoje i za całą ludzką rodzinę w ofiarnej służbie Kościołowi. Nie ugiął się, choć wiedział, jak wielka odpowiedzialność spada na tego, kto został wybrany i wezwany. Wstał, zawołał do nas „Wstańcie, chodźmy”, i poszedł, tak jak poszli ongiś uczniowie, do których Chrystus powiedział: „Nie wyście Mnie wybrali, ale ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili i by owoc wasz trwał” (J 15, 16).

„Prawie dwa tysiące lat temu Apostołowie zgromadzeni w sali na górze razem z Maryją i innymi niewiastami – mówił papież Benedykt XVI podczas Światowego Dnia Młodzieży w Sydney – zostali napełnieni Duchem Świętym (Dz 1, 14). W tym niezwykłym momencie, będącym dniem narodzin Kościoła, niepewność i strach, które nękały uczniów Chrystusa, zostały zastąpione żywym przekonaniem i poczuciem celu. Poczuli, iż muszą mówić o swoim spotkaniu ze zmartwychwstałym Jezusem, którego nazywali swoim Panem. W wielu aspektach Apostołowie byli bardzo zwyczajni. Żaden nie odważyłby się stwierdzić, że jest idealnym uczniem. Nie rozpoznali Chrystusa (Łk 24, 13–32), wstydili się własnych ambicji (Łk 22, 24–27), a nawet zaparli

²³⁴ Tamże, s. 384.

się Go (Łk 22, 54–62). Jednakże, gdy zostali napełnieni Duchem Świętym, poraziła ich prawda Ewangelii Chrystusa²³⁵. To jest właśnie ten moment, kiedy mężczyźni i kobiety, świadkowie prawdy i miłości Chrystusa, wyruszyli, aby głosić, że w Chrystusie jest życie i zbawienie, aby głosić, że tylko On, który jest Prawdą, może być Drogą i Celem.

I my zostaliśmy wezwani do pomocy w budowaniu świata, w którym dar życia od Boga jest przyjmowany z radością, szacunkiem i troską, w którym miłość jest czysta, wierna i prawdziwie wolna, otwarta na innych, pełna szacunku dla ich godności, poszukująca dobra, prawdy i piękna, w którym nadzieja uwalnia od powierzchowności, bezmyślności i apatii. Do tego zostaliśmy wezwani przez Mistrza: „Pójdźcie za Mną”. On wskazuje drogę, On prowadzi, On pomaga wytrwać, On wspiera.

Mamy zatem najsilniejsze wsparcie, jakie można sobie wyobrazić. Ale i my sami musimy się starać. To do nas papież Benedykt XVI skierował słowa: musicie się starać, by „wasza wiara dojrzewiała poprzez waszą naukę i pracę, poprzez sport, muzykę i sztukę. Starajcie się wzmacniać ją modlitwą i żywić sakramentami, abyście byli natchnieniem i wsparciem dla wszystkich, którzy są wokół was. Życie nie jest tylko gromadzeniem dóbr. Jest też czymś więcej, niż osiągnięciem sukcesów. Naprawdę żyć znaczy poddać się przemianie wewnętrznej, być otwartym na moc Bożej miłości. Przyjmując moc Ducha Świętego, wy także możecie przemienić wasze rodziny, wspólnoty, narody. Uwolnijcie te dary! Niech mądrość, rozum, odwaga, bojaźń Boża i szacunek będą znakiem waszej wielkości!”²³⁶.

Tę wielkość otwiera w nas – otwierając nas na Wielkość – wezwanie Chrystusa: „Pójdźcie za Mną”. Wieczność jest przed nami. Wieczność. Ale każda chwila jest droga!

²³⁵ Benedykt XVI, *Życie jest poszukiwaniem prawdy, dobra i piękna*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 29(2008), nr 9(306), s. 13.

²³⁶ Tamże.

Nie bacząc na to, wielu skupia uwagę jedynie na tym, co doczesne, i odkłada na później myśl o tym, co po doczesności. Trzeba zatem zawczasu zapytać: czy uroki życia i to wszystko, co jest treścią naszej „nowoczesnej” cywilizacji, nie zniekształca naszych marzeń, naszych dążeń i naszych pragnień? Czy nie kładzie się w poprzek naszemu dążeniu do wieczności, która jest ostatecznym celem? Czy więc nie popełnimy błędu, który zadecyduje o wszystkim, o absolutnie wszystkim? Błąd ten łatwo popełnić. Jeśli się go już popełni, można się z niego albo wycofać i powrócić do początku, albo brnąć w nim do końca – do prawdziwego końca. Ale można też tego błędu uniknąć. Żeby go uniknąć, warto postawić sobie jeszcze jedno pytanie: „Cóż zatem wprowadza człowieka w błąd i pozbawia szczęśliwości? Odpowiedzi może być wiele, z pewnością warto się jednak przysłuchać tej, której udzielił bł. Henryk Suzo: „Czyni to ostatnie «ja» – przez to mianowicie, że człowiek, który wyszedł od Boga, zamiast ku Niemu się kierować, zwraca się do siebie samego i tworzy swoje własne «ja» – przypadłościowe. Innymi słowy, w swoim zaślepieniu przywłaszcza sobie to, co należy do Boga, czyni z tego swój cel, a z czasem popada w grzechy”.

Aby więc nie popełnić błędu, trzeba się tego „ja” wyrzec: „Niech człowiek ogołoci samego siebie i dobrowolnie zrezygnuje ze swego własnego «ja» w tym wszystkim, w czym kiedykolwiek, przeciwstawiając się Bożej prawdzie, w doli i niedoli, uczynkiem i zaniedbaniem, szedł za swoją wolą, zapatrzony we własną stworzoność i wielość rzeczy; (...) niech umrze nieodwołalnie sobie samemu i w jedności z Chrystusem stanie się Jednym. W Nim nich wszystko czyni, a każdą rzecz niech przyjmuje i widzi w tej prostocie. To oderwane «ja» staje się «ja» na wzór Chrystusa, zgodnie z Pismem, w którym św. Paweł mówi: «Żyję ja, ale to już nie ja – żyje we mnie Chrystus»”²³⁷.

²³⁷ H. Suzo, *Księga Prawdy*, Poznań 1989, s. 26–27.

Chrystusa spotyka się dzięki łasce. Potrzebne jest wyjście naprzeciw łasce, naprzeciw Chrystusowi – to podstawowe słowo: „idę” i ten istotowy czyn: pójdźcie. I to stanowi odpowiedź na wezwanie „Pójdź za Mną”. I to wyznacza początek prawdziwego dialogu człowieka z Bogiem, Boga z człowiekiem, tej szczerzej – aż do bólu i aż do ekstazy – wymiany słów oraz myśli. I to stanowi początek autentycznej relacji człowieka z Bogiem, Boga z Człowiekiem, opartej na przyjęciu Ofiary i ofiarowaniu się, na wzajemnym czynieniu sobie, na składaniu sobie darów, na podobieństwie uczuć oraz na wspólnocie Celu.

Wejście w tę relację z Chrystusem, podjęcie z Nim dialogu, bliskość, która rodzi się w tej relacji i w tym dialogu dopomaga człowiekowi w zrozumieniu sensu i celu życia, dopomaga mu też w podjęciu najważniejszych decyzji. Sługa Boży Jan Paweł II mówi w tym kontekście o potrzebie przyjęcia życiowego projektu, który będziemy realizować do końca dni, w którym zawiera się odpowiedź na pytanie: Kim chcę się stać? Kim chcę być dla siebie, dla Boga i dla innych? Projekt wyznaczy nasze powołanie życiowe, jeśli uwzględnimy w nim ten element otrzymanego daru, który odróżnia nas od innych ludzi i stanowi o naszej osobowej tożsamości. Ta praca nad rozpoznaniem, a potem realizacją powołania jest – jak mówi Jan Paweł II – „wspaniałą pracą. Jest to praca pasjonująca. Fascynujący trud wewnętrzny. W trudzie tym rozwija się i rośnie ludzkie człowieczeństwo, a (...) osobowość uzyskuje wewnętrzną dojrzałość”. Żeby jednak móc tę pracę podjąć i w jej wyniku dojrzeć do pełni człowieczeństwa, a dojrzawszy – zmieniać świat i dojść do kresu przeznaczenia, trzeba wstać i pójść.

„Pójdźcie za Mną”.

„Wstańmy, chodźmy!”

ROLA SZKOŁY

W procesie wychowania dzieci i młodzieży zasadniczą rolę odgrywa rodzina, jednak – jak zauważył już ponad osiemdziesiąt lat temu wybitny socjolog wychowania Florian Znaniecki – współcześnie coraz bardziej widoczne jest osłabienie roli wychowawczej rodziców i coraz więcej jest rodzin, które całkowicie ignorują zadania wychowawcze, ograniczając się niemal wyłącznie do pielęgnacji dziecka oraz zapewnienia mu niezbędnych środków do życia, a wszystkie obowiązki związane z jego kształtowaniem przerzucają na szkołę. Dobrze by było, aby szkoła przestała być więc już ośrodkiem kształcenia, lecz stała się także ośrodkiem kształtowania, a nauczyciel przestał być już tym, kto przekazuje wiedzę, a stał się tym, kto kieruje rozwojem umysłowym i duchowym. Oznacza to, że na nauczycieli i szkołę spada ogromna odpowiedzialność.

Odpowiedzialność ta spoczywała na instytucjach kształcenia zawsze, dawniej jednak w większym stopniu dzieliły ją one z rodzicami, teraz natomiast, gdy rodzice namginnie wycofują się z wychowywania, zmuszone są całkowicie przyjąć ją na siebie. Stawia je to wobec wielu wymagań i wyzwań, zmusza do przeformułowywania zadań, celów i priorytetów, domaga się nowych form działania i nadania tym instytucjom nowego oblicza.

Współczesna szkoła powinna być nie tylko „wspólnotą ludzi”, ale w pełnym tego słowa znaczeniu „ludzką wspólnotą”: nauczycieli, uczniów, a także ich rodziców, z których upoważnienia i na których polecenie działa. Podstawą tej wspólnoty winna być miłość – rozwijająca, wymagająca, ucząca; celem tej wspólnoty winno być dobro uczniów, a środkiem wiodącym do tego dobra – wychowanie, które ma ich doprowadzić do pełni dojrzałości w człowieczeństwie i pełni życia w Chrystusie. Żeby jednak doprowadzić do tej pełni, musi ich przysposobić do bezustannej pracy, czyli – mówiąc słowami Arystotelesa – do czuwania.

Czuwanie to bowiem życie. A żyć można „więcej” lub „mniej”. „Człowiek czuwający – pisał starożytny filozof Arystoteles – «żyje więcej» niż człowiek śpiący, (...) człowiek ćwiczący swoje zdolności umysłowe «żyje więcej» niż człowiek, który zdolności te tylko posiada; bo z powodu tego pierwszego mówimy, że i ten drugi żyje, ponieważ jest tak, jakby się zachowywał czynnie lub biernie”²³⁸. Wychowawca powinien mieć przede wszystkim na celu to, by przygotować wychowanków do owego „życia więcej”, wychowanie powinno więc zmierzać do rozbudzenia ich do rozwijania i ćwiczenia wrodzonych predyspozycji, talentów i zdolności, a poprzez to do otworzenia się na pełnię ich człowieczeństwa i życia.

Aby tak wychowywać, niezbędna jest miłość – twórcza miłość. Z miłości tej wyrasta szacunek dla uczniów, poszanowanie ich godności, chęć poświęcenia się im, ofiarowania im wszystkiego, co najlepsze, prowadzenia ich ku wartościom, dawania – w pełnym tego słowa znaczeniu. Miłość ta umożliwia także całkowitą otwartość oraz partnerstwo, nie mentorstwo, świecenie przykładem, a nie wydawanie nakazów, zakazów i poleceń, ukazywanie świata i człowieka, a nie czczy werbalizm. Ona też ułatwia zrozumienie uczniów, wychodzenie im naprzeciw, wspólne z nimi poszukiwanie i ona pozwala ukazywać dzieciom to, co najlepsze, wyrażać podziw i uznanie dla nich ze świadomością, iż jest to niezbędne, by nabierały zaufania do siebie i rozwijały swoje zdolności.

Wychowanie musi być zatem oparte na miłości, jednak – podkreślmy to jeszcze raz – musi to być miłość twórcza, a nie miłość „małpia”, polegająca na rozwiązywaniu trudności innych ludzi, czy też miłość „żebacza”, czekająca na miłość, a niekiedy wręcz wymuszająca ją od innych. Uczy ona – z jednej strony – brania odpowiedzialności za swe czyny, z drugiej zaś – ofiarności, poświęcenia dla drugich, sprawiedliwości i poszukiwania prawdy.

²³⁸ Arystoteles, *Zachęta do filozofii*, Warszawa 1988, s. 27.

Jan Paweł II nauczał, że wychowanie bez systemu wartości opartego na prawdzie oznacza skazanie młodych ludzi na moralne zagubienie, odebranie im poczucia bezpieczeństwa i uczynienie podatnymi na manipulację. „W wychowaniu chodzi właśnie o to – mówił Ojciec Święty 2 czerwca 1980 roku w UNESCO – ażeby człowiek (...) poprzez wszystko, co ma, co posiada, umiał bardziej i pełniej być człowiekiem, to znaczy ażeby również umiał bardziej być nie tylko z drugimi, ale i dla drugich”²³⁹.

Szkoła winna być dla wszystkich – nauczycieli i uczniów – wspólnotą, rodziną wychowawczą, w której każdy młody człowiek spotyka się z afirmacją swojej osoby oraz najwyższym szacunkiem, niezależnie od jego zdolności, możliwości intelektualnych, jako że nie można ich uważać za jedyne bogactwo osoby. Jest to podstawowy warunek rozwoju indywidualnego każdego dziecka i absorpcji przez nie wiedzy. Ale nauczyciele i wychowawcy mają zapewnić uczniom nie tylko wysokiej jakości wykształcenie, a więc nie tylko przekazywać im wiedzę, lecz także wpajać im wartości moralne i duchowe o fundamentalnym znaczeniu dla człowieka. Jan Paweł II podkreślał, że kształtowaniu umysłu musi koniecznie towarzyszyć formacja sumienia i rozwój życia moralnego poprzez praktykę cnót, a także wdrażanie do życia społecznego i otwieranie na sprawę całego świata.

Takie integralne wychowanie jest warunkiem rozwoju i postępu jednostek, bo uczy samodzielnego myślenia, chroni przed manipulacją, uszlachetnia, wznosi do dobra i prawdy, otwiera na miłość i wolność, co już zauważył Tadeusz Kościuszko, który powiedział: „Czytajmy i uczmy się, a będziemy wolnymi ludźmi”. Ojciec Święty pisał: „Szkoła jest dla wszystkich – nauczycieli i uczniów – wspólnotą, rodziną wychowawczą, w której każdy młody człowiek spotyka się z szacunkiem niezależnie od swoich zdolności i możliwości intelektualnych. Kształtowaniu umysłu musi koniecznie

²³⁹ Jan Paweł II, *W imię przyszłości kultury*, dz. cyt., s. 4.

towarzyszyć formacja sumienia i rozwój życia moralnego poprzez praktykę cnót, a także wdrażanie do życia społecznego i otwieranie na sprawę całego świata. Takie integralne wychowanie jest nieodzowną drogą rozwoju i postępu jednostek, narodów, drogą solidarności i braterskiego zrozumienia, drogą Chrystusa i Kościoła”.

Niestety, nie wszyscy nauczyciele na tę drogę wchodzi. Zapominają, nie chcą uznać, gdyż może to zbyt trudne, albo w ogóle nie rozumieją, że wychowanie winno być procesem dwustronnej relacji obdarowującej. Wychowawcy obdarzają wiedzą i doświadczeniem życiowym swoich wychowanków, ci zaś darują im świeżość swego punktu widzenia i nowość ujmowania procesów życiowych. Ta wzajemna relacja „mistrz – uczeń” musi się opierać na wartościach trwałych, takich jak poszanowanie godności osoby, uczciwość, odpowiedzialność, solidarność wobec innych. Często jednak relacja taka w ogóle się nie nawiązuje. W dzisiejszych czasach styczność ucznia z nauczycielem jest bardzo ograniczona, zazwyczaj ma miejsce jedynie podczas zajęć lekcyjnych i nie wykracza poza nie.

Uczniowie znaczną część życia spędzają poza jakimkolwiek wpływem szkoły, w środowiskach, o których pedagodzy niewiele wiedzą, a nauczyciele zazwyczaj ograniczają się do realizacji programu z zakresu określonych przedmiotów, na tym zaczynając i kończąc wypełnianie swej misji. W tej sytuacji trudno mówić o nawiązywaniu jakiegokolwiek pozytywnej więzi między tymi, którzy mają wychowywać, a tymi, którzy mają być wychowywani. Niestety, niewiele z tego wynika. A odpowiedzialność za to ponoszą przede wszystkim nauczyciele, albowiem to oni powinni wychodzić pierwsi do uczniów, oni powinni ich wzywać do autentycznych relacji i oni powinni być ich budowniczymi.

Jan Paweł II zwracał się do katechetów: „Nie lękajcie się – w ramach szczerego poszanowania sumienia tych, których wychowujecie – żyć i głosić orędzie Chrystusowe”.

Właśnie: żyć i głosić. Żyć w prawdzie i głosić prawdę. Żyć w miłości i głosić miłość. Żyć w dobru i głosić dobro. Żyć w pięknie i głosić piękno. Chodzi tu o trudną syntezę intelektualną i życiową, która nadaje nauczaniu spójność i płodność; syntezę stanowiącą przeciwieństwo dualizmu wiary i życia osobistego, poglądów i postaw, słów i czynów zawsze niekorzystnie wpływającego na wychowanie. Nauczanie musi być spójne z życiem, słowo musi być spójne z czynem, wiara musi być spójna z rozumem. I tak właśnie, i do tego właśnie należy wychowywać. Słowem i przykładem – do wiary i do rozumu. A ostatecznie – do prawdy²⁴⁰.

Wiara i rozum to „dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy” – pisał Sługa Boży Jan Paweł II w encyklice *Fides et ratio*. Pragnienie poznania prawdy zaszczerpił w ludzkim sercu sam Bóg. Poznanie jest więc poniekąd przeznaczeniem człowieka. Ale we wspinaczkę na jego szczyty ani wiara nie zastąpi rozumu, ani rozum nie zastąpi wiary. Są to bowiem dwa różne, ale komplementarne, czyli wzajemnie dopełniające i wspierające się sposoby docierania do prawdy – do prawdy o Bogu, a poprzez tę prawdę – do prawdy o człowieku.

Aby jednak móc do prawdy tej prowadzić innych, aby więc móc prawdziwie wychowywać, trzeba mieć wiarę w skuteczność swego oddziaływania i wiarę w obiektywne istnienie Dobra. Jak już wspomniano, najwymowniejszym argumentem wychowawczym jest własny przykład. Dzisiaj istnieje zapotrzebowanie bardziej na świadków niż na nauczycieli – i o tym wychowawcy nie mogą zapomnieć. Powinni być oni świadkami, poczynając od spraw drobnych a kończąc na wielkich. Aby przekazywać wartości chrześcijańskie, nie wystarczy o nich mówić, nie wystarczy ich nawet pięknie uzasadnić, trzeba przede wszystkim potwierdzić je własnym życiem. Stare łacińskie powiedzenie mówiło: *verba*

²⁴⁰ Jan Paweł II, *Orędzie na XXII Święty Dzień Modlitwy o powołania*, Watykan 1985, s. 5.

docent, exempla trahunt – słowa pouczają, ale dopiero przykłady skłaniają do naśladowania.

Nie wydaje się, by taka postawa była możliwa, jeśli nauczycielowi brakuje wiary w obiektywnie istniejące dobro i jeśli nie podejmuje ciągłej pracy nad sobą. Owocem tej pracy jest osobowość. A właśnie osobowość umożliwia przyjęcie postawy świadka i jest gwarantem najskuteczniejszego wpływu wychowawczego. Dlatego musi być bogata. Uboga osobowość – odpycha lub wzbudza obojętność, bogata – pociąga i ułatwia nawiązanie autentycznego dialogu z ludźmi, bez którego niemożliwe jest przecież wychowywanie. Bogata osobowość stanowi też swego rodzaju zaproszenie do uczestnictwa we własnym życiu i obietnicę, że korzystając z tego zaproszenia można wiele uzyskać. Wychowywanie polega też wszakże na oprowadzaniu dzieci i młodzieży po świecie swoich życiowych pasji, istotnych wartości i doświadczeń, nawet tych bolesnych, by im ukazać, że życie człowieka jest Bożym dramatem rozgrywającym się na scenie świata.

Mikołaj Rej pisał, że „ku pocziwemu żywotowi żadne nie są nauki potrzebniejsze, jedno które są rozumem roztropnym a poważnymi cnotami ozdobione, jako jest sprawiedliwość, stałość, roztropność, pomierność, przy tym też miłosierdzie, stateczność a rozmyślne uważanie w każdej pocziwej sprawie swojej, a iżby się sam w sobie słusznie rozsądzić a, jako ony powiadają, swą się własną piędzą rozmiarzyć umiał; tedy takie nauki człowieka każdego wdzięcznego, pocziwego, sławnego i na wszem pięknie postanowionego świata ukazać będą mogły”²⁴¹; a więc człowieka, który wie, „jako swój stan pocziwie zachować, jako się rzeczy szkodliwych a niepocziwych przestrzegać mamy, jako przyrodzenie swoje nałomne, gdy nas do czego niesłusznego wiedzie, zgwałcić a zwyciężać mamy, jako szczęście i nieszczęście uważać mamy, jako się przyszłych przypadków lękać nie mamy”²⁴².

²⁴¹ M. Rej, *Żywot człowieka pocziwego*, kapitulium V, 4–15.

²⁴² Tamże, 25–30.

Mikołaj Rej żył w XVI wieku, jednak jego uwagi i zalecenia pozostają aktualne do dziś i dobrze by było, gdyby były uwzględniane przez pedagogów i wychowawców w ich pracy. Jan Paweł II powiedział: „potrzeba ludzi, którzy są świadomi tego, w co wierzą, którzy dobrze znają swoje «credo» i potrafią je obronić”. I takich właśnie potrzeba nauczycieli: „poważnymi cnotami ozdobionych”, świadomych swego powołania i misji, z pasją poświęcających się swojej pracy, z pasją prowadzących powierzone im dzieci ku ich pełnemu rozwojowi i owej Rejowej „poczciwości”, z pasją nauczających je, jak wierzyć w Boga i żyć etycznie, z pasją kształtujących ich osobowości. I zawsze mających na uwadze, że człowiek jest istotą wielowymiarową, składającą się – żeby się odwołać do przemyśleń Bronisława Trentowskiego – z ciała, duszy i jaźni, czyli z realności, idealności i rzeczywistości ludzkiej, i we wszystkich tych wymiarach oddziałujących na wychowanków, a więc formujących ich dusze, czyli siłę twórczą człowieczeństwa, mającą „naturę niewidzialnego bóstwa”; czyli władzę duszy pozwalającą sprzeciwiać się rzeczywistości w imię własnych planów, marzeń, ideałów; rozsądek, który „jest władzą sądenia” i krytycznego myślenia, oraz umysł, który „jest koroną całej idealności człowieka” i który należy intensywnie kształcić, by doprowadzić wychowanka do spostrzeżenia nieba, umiłowania go i życia dla niego²⁴³.

Żeby jednak nauczyciel mógł tak wszechstronnie, wielowarstwowo i wielowymiarowo oddziaływać na ucznia, jego stosunek do niego winien być pełen dobroci i szacunku, przyjazny, serdeczny i bliski, oczywiście, przy zachowaniu dystansu wynikającego z różnicy wieku i sprawowanej funkcji. Wychowawca musi szanować wolność myśli, czynów i słowa. Ma być zrównoważony i opanowany, a przy tym otwarty, nie tak jednak, by obnosić się z własnymi problemami. Musi być przy tym świadomy, że wychowanie ulega degradacji,

²⁴³ B. Trentowski, *Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej jako umiejętności wychowania, nauki i oświaty, słowem wykształcenia naszej młodzieży*, Wrocław 1970.

kiedy zamienia się w czyste „kształcenie”. „Proste, wyrywkowe gromadzenie umiejętności, metod i informacji nie może bowiem zadowolić ludzkiego głodu i pragnienia prawdy; zamiast pracować na rzecz tego, kim człowiek powinien «być», pracowałoby ono tylko na rzecz tego, co służy człowiekowi w dziedzinie «ma», «posiada»”.

Nauczyciele powinni być ludźmi dialogu i wielkodusznej współpracy w tym wszystkim, co jest prawdziwym wzrastaniem w pokoju i sprawiedliwości, co prowadzi do owego „być”. Nie znaczy to, że nauczyciel nie może się interesować także owym „ma” ucznia. Może. I dobrze by było, gdyby znał jego sytuację materialną, środowisko rodzinne i rówieśnicze, gdyż da mu to możliwość przeciwdziałania w porę jego negatywnym zachowaniom i dopomóc mu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Służebnica Boża Anna Jenke, dyrektorka jarosławskiej szkoły plastycznej, powtarzała swoim pedagogom: „Młodzież nie zostaje nam dana na własność. Mamy ją przyjąć i oddać wyżej – ku gwiazdom”.

Potrzebna jest cierpliwość i „długomyślność”, którą słusznie nazwano cnotą wychowawców, a która jest umiejętnością czekania na owoce pedagogicznego trudu. Potrzebna jest zdolność zauważania młodych ludzi w ich wyjątkowości i odrębności, zatrzymywania się przy nich i pochylania nad nimi. Potrzebna jest powaga umysłowa, moralna, duchowa, niezbędna, aby wiedzieć, czego się chce. Potrzebna jest rozważa, czyli zdolność rzeczywistej oceny sytuacji, bez porywczosci, przy wzięciu pod uwagę całego kontekstu życia. Szczególnie pożądanymi cechami nauczyciela są: umiejętność rozumienia, słuchania, czekania, wyrażania swych opinii jasno i konkretnie, przyznawania się do błędów, cierpliwość, a nade wszystko – odwaga bycia sobą zawsze i wszędzie.

Aby uczyć, trzeba rozmawiać, a nie pouczać; ukazywać, a nie nakazywać – jednym słowem, dawać świadectwo życiem. Życ w prawdzie i wychowywać poprzez rozmowę.

Tego wszystkiego uczy nas św. Paweł. Musimy sprostać jego wskazaniom, a żeby im sprostać, musimy poznać samych siebie. Żeby zaś poznać samych siebie, musimy mieć czyste sumienie. Nieczyste sumienie prowadzi do zakłamania, czyste – otwiera na rzeczywistość. W sumieniu ujawnia się związek między inteligencją a wolą, dlatego formowanie sumienia jest podstawowym obowiązkiem każdego człowieka.



PATRIOTYZM

Spośród społeczności naturalnych najbliższa po rodzinie jest człowiekowi wspólnota terytorialna nazwana ojczyzną. W potocznym rozumieniu ojczyzna to kraj, w którym się urodziło, z którym jest się związanym poczuciem wspólnego dziedzictwa losów, dziejów, kultury oraz języka i do którego ma się żywy stosunek emocjonalny. W rozumieniu wybitnego filozofa Karola Libelta, niezbyt daleko odbiegającym od potocznego, ale je dopełniającym, „Ojczyzna to jest najprzód ta ziemia, na której mieszkamy (...); po wtóre jest to jeden lud, jeden ród, jedno plemię, z którego wyszli nasi rodzice, którego sami jesteście częścią; na koniec jest to państwo, z wszystkimi swobodami i korzyściami materialnymi”, język, który jest „wyższą duchową potęgą ojczyzny” i do którego „staczą się wszystkie duchowe potęgi narodu”, piśmiennictwo, rząd, instytucje, wychowanie, a także dzieje i Kościół, będący depozytariuszem wiary, której zobiektywizowana postać – religia ocala to wszystko, co w narodzie najcenniejsze, zwłaszcza gdy naród traci państwo²⁴⁴. Natomiast w rozumieniu wielu poetów, zwłaszcza od czasów romantyzmu, „ojczyzna to pola, zieloność, okopy, chaty i kwiaty, i sioła”, ale znowu w rozumieniu Cypriana Kamila Norwida – to tylko „jej stopy”... (*Moja ojczyzna*).

Jak więc wielu jest poetów i filozofów i jak wielu jest Polaków, tak wiele jest też rozumień pojęcia „ojczyzna”; dla wszystkich jednak, szczególnie od trzech wieków, słowo to ma znaczenie wyjątkowe, nie tylko pojęciowe, ale i przede wszystkim uczuciowe, jakiego zdaje się nie znają inne narody świata, te zwłaszcza, które nie doświadczyły takich jak naród Polski dziejowych strat, krzywd i zagrożeń oraz utraty niepodległości i tułactwa tudzież pielgrzymstwa – jak mówił Adam Mickiewicz. Może najbliżsi w tym stosunku do ojczyzny byłiby jeszcze Polakom starożytni Grecy i Żydzi, ponie-

²⁴⁴ K. Libelt, *O miłości ojczyzny* [w:] *Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej*, oprac. A. Walicki, Warszawa 1967, s. 7– 65.

kąd także Rzymianie, bo i oni doświadczali podobnych katalizmów dziejowych i cierpień, dlatego i dla nich ojczyzna była cierniem w sercu, ale równocześnie „bóstwem”.

W Starym Testamencie, który można by poniekąd na wzór *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* nazwać „Księgami narodu żydowskiego i pielgrzymstwa żydowskiego”, ojczyzna jest miejscem świętym, boskim, utęsknionym, co przepięknie wyraził Giuseppe Verdi w *Va pensiero* – tej przejmującej pieśni nostalgicznej śpiewanej nad wodami Babilonu przez hebrajskich niewolników w operze *Nabucco*. Podobnie w *Odysei* Homera, tej „Księdze narodu achajskiego i tułactwa achajskiego”, ojczyzna stanowi cel najwyższych celów. Będący w nieustannej drodze do niej Odys mógłby otrzymać wszystko, co może otrzymać śmiertelny: zaszczyty, bogactwa, boginkę za żonę, nawet nieśmiertelność, gdyby się wyrzekł Itaki, lecz:

*On się nie wyrzeka;
I byle dym itacki ujrzeć choć z daleka,
Już by umarł bez żalu”.*

(I, 67–69)

i powiada:

*Nie znam też nic miłszego nad ten kąt ojczysty. (...)
Ojczyzna, ojciec, matka – skarb wielki i święty
Takim nawet, co mają włości i dostatki w obcej
ziemi.*

(IX, 34–36).

Podobnego zdania jest Cyceron, który mówił: „Droży są rodzice, dzieci, krewni, domownicy, ale miłość wszystkiego zawarła w sobie ojczyzna”, wobec czego „jest mu [ona] o wiele droższa niż życie” (*In Catillinum*, I, 27), a także Lukian, który pisze: „Słowo «ojczyzna» jest tedy pierw-

sze i najbliższe sercu ze wszystkich”, „Nie ma nic słodsze- go od własnej ojczyzny. (...) A może nie ma nic słodsze- go, lecz jest jakaś rzecz dostojniejsza i bardziej boska?” Nie! „Ojczy- zna jest przyczyną i mistrzynią tego wszystkiego, co ludzie uważają za dostojne i boskie”²⁴⁵. Tak samo, a nawet z jeszcze większym pietyzmem postrzegano ojczyznę w Polsce – jako „bóstwo” i tak samo traktowano miłość do niej: „Miłość oj- czyzny jest Polakowi bóstwem na ziemi; ona całą duszę jego przenika; po Bogu kocha ojczyznę najbardziej” – twierdził Karol Libelt²⁴⁶, ale jednocześnie – inaczej niż w Helladzie i Rzymie, lecz podobnie jak w Izraelu – rozumiano ją jako drogę do zbawienia, co pięknie ujął Jan Kochanowski w tej każdymu chyba znanej frazie: „A jeśli komu droga otwarta do nieba, Tym, co służą ojczyźnie” (*Pieśń XII*).

Taki stosunek do ojczyzny, kształtowany i pielęgno- wany przez wieki, zaczęto systematycznie niszczyć po II woj- nie światowej, gdy rządy w Polsce objęli komuniści. Zaniknęły wówczas takie pojęcia jak, ojczyzna i naród, zastąpione przez takie terminy, jak: kraj, państwo, społeczeństwo. Niestety, po upadku komunizmu w 1989 roku niewiele się w tej dziedzi- nie zmieniło. Wprawdzie mówi się już o ojczyźnie i narodzie, ale wraz ze zmianą orientacji politycznych ze Wschodu na Zachód nasiliły się dążenia do osłabienia więzi narodowych i zminimalizowania znaczenia miłości ojczyzny.

Tymczasem miłość ojczyzny jest podstawową powin- nością moralną obywateli. Kościół zawsze nauczał, że pa- triotyzm jest obowiązkiem i wiązał go z nakazem czwartego przykazania Bożego. Nauczanie to niejako przypieczętował Sobór Watykański II, który przypomniał: „Niech obywatele pielęgnują wielkodusznie i wiernie miłość ojczyzny” (KDK 75), a także *Katechizm Kościoła Katolickiego*, w którym podkreślono, że „miłość ojczyzny i służba dla niej wynikają z obowiązku wdzięczności i porządku miłości”.

²⁴⁵ *Pochwała miasta ojczyzstego* [w:] *Dialogi*, t. 3, Wrocław 2006, 4, 1.

²⁴⁶ K. Libelt, *O miłości ojczyzny*, dz. cyt., s. 4–5.

Stare przysłowie łacińskie mówiło: *Patriam amamus non quia magna sed quia nostra est* – ojczyznę kochamy nie dlatego, że jest wielka, że piękna, ale że jest nasza. Ale dlaczego my dzisiaj kochamy ojczyznę? Czy ją kochamy? Co w ogóle znaczy: kochać ojczyznę? Co znaczy: patriotyzm, bycie patriotą? Jedni te pojęcia wyśmiewają, inni nadają im najwyższą rangę. Nie ulega jednak wątpliwości, że patriotyzm dzisiaj to coś innego niż dawniej. Na szczęście naród polski nie musi teraz okazywać go zbrojnie i mierzyć ilością przelanej krwi oraz odniesionych ran. Współczesny patriotyzm Polaka nie ma więc wymiaru militarnego czy martyrologicznego. Dziś powinien mieć przede wszystkim wymiar religijny, społeczny i polityczny, a zatem przejawiać się: po pierwsze – w codziennej modlitwie, w zbiorowej pamięci patriotyczno-religijnej, w żywym przykładzie cnót chrześcijańskich; po drugie – w uczestnictwie w życiu zbiorowym narodu, w poczuciu odpowiedzialności za dobro wspólne, w trosce o właściwe wychowanie młodego pokolenia; po trzecie – w uczeniu się na błędach historycznych, traktowaniu historii jako prawdziwej *magistra vitae* – nauczycielki życia, szacunku dla świętości narodowych, wreszcie w rozwijaniu dialogu społecznego na wszystkich płaszczyznach.

Współczesny patriota w jeden zasadniczy sposób może i powinien okazywać swoją miłość do ojczyzny, a mianowicie: najlepiej, jak potrafi, spełniać swoje życiowe obowiązki. Obowiązki ojca, matki, syna, córki, krewnego, przyjaciela, sąsiada, ale także obowiązki wynikające z zawodu, jaki wykonuje, oraz stanowiska społecznego czy politycznego, na jakie został powołany lub wybrany. Bolesław Prus pisał w *Kronikach tygodniowych*, że „prawdziwy patriotyzm nie tylko polega na tym, ażeby kochać jakąś idealną ojczyznę, ale – ażeby kochać, badać i pracować dla realnych składników tej ojczyzny, którymi są ziemia, społeczeństwo, ludzie i wszelkie ich bogactwa”. Prawdziwym patriotą jest dziś zatem ten, kto pracuje i służy, a pracując i służąc, czyni

dobro; ten, kto na miarę swoich możliwości, sił, zdolności i talentów podejmuje w każdym miejscu, w którym postawiła go Opatrzność, wszelkie działania, mające służyć nie tylko jemu samemu, lecz także dobru wspólnemu, nie tylko jego najbliższym i znajomym, lecz także innym, nawet obcym, za których jest – z uwagi na swoje miejsce w społeczeństwie – odpowiedzialny.

Prymas Stefan Wyszyński, kiedy wyszedł z więzienia w 1956 roku, powiedział: „Na każdym kroku walczyć będziemy o to, aby Polska Polską była, aby w Polsce po polsku się myślało”. Odwołując się do tych słów, można powiedzieć, że współczesny polski patriotyzm to właśnie troska o to, żeby „Polska Polską była”, żeby „myśleć po polsku”, a to znaczy: stwarzać odpowiednie warunki rozwoju Ojczyzny, przyjmować wewnętrzne zasady pozwalające na realizację daleko siężnych programów, mobilizować do działania wszystkich, zarówno elity, jak i prosty lud, właściwie i mądrze wykorzystywać naturalne dobra i bogactwa dla dobra człowieka, budować poczucie własności i stabilności, troszczyć się o zdrowie, wykształcenie, o miejsca pracy i odpowiednie jej warunki, o rodzinę, o dzieci, o następne pokolenia. A wszystko to znaczy, że jedni winni pamiętać i troszczyć się o drugich, a wszyscy – o Polskę.

Musimy kochać siebie wzajemnie, musimy kochać nasze dzieci, kochać naszą pracę i rodzimą ziemię. Kochając to wszystko, będziemy też kochać naszą Ojczyznę. Prymas Tysiąclecia – podobnie jak wcześniej Piotr Skarga, Andrzej Frycz Modrzewski, Szymon Starowolski, Mikołaj Rej i wielu innych – często powtarzał, że Polska jest jak matka. Jest to może matka stara, pochylona, pomarszczona, może niedoskonała, ale dobre dziecko kocha ją, troszczy się o nią i nigdy się jej nie wstydzi. Miłość ojczyzny jest więc jak miłość matki – stanowi obowiązek; obowiązek zarówno moralny, jak i nawet religijny; obowiązek wszystkich, bez wyjątku.

*Przeto chciejmy wziąć przed się myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie;
Służmy pocziwiej [Ojczyźnie], a jako kto może, [w
tekście: „sławie”]
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.*

*Komu dowcipu równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje;
Niech czyni porządek, rozterkom zabiega.
Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega.*

(Jan Kochanowski, Księgi wtóre, XIX)

To „dobro spólne”, o którym pisze Jan Kochanowski, to nasza tożsamość narodowa, to nasza ziemia, język, historia, braterstwo. Służyć temu dobru to bronić naszej ziemi, dbać o czystość i piękno mowy polskiej, ukazywać wielkość historii, wspomagać siebie wzajemnie i inne narody, stać na straży prawdziwych wartości. Służba wszystkim tym wartościom to służba Bogu, a tym samym zasługiwanie sobie na zbawienie.

Miłość ojczyzny nie polega zatem wyłącznie na uczuciu, na stosunku emocjonalnym do niej. Wyżej niż więzi uczuciowe z ziemią i tradycją oraz z członkami narodu należy stawiać miłość jako życzliwe nastawienie woli wobec ojczyzny, pragnienie jej prawdziwego dobra i pomyślności. Wiąże się to z konkretnymi zobowiązaniami moralnymi, przede wszystkim z obowiązkiem służby, co wymaga poświęcenia swych sił dobru wspólnoty, złożenia „swego talentu Ojczyźnie, jaku daru w karbonę” [tj. skarbonę] – jak pisał Adam Mickiewicz (*Księgi narodu*), podporządkowania jej interesów osobistych i gotowości do ponoszenia wielkich ofiar, a także z obowiązkiem uznania ojczyzny, co łączy się z szacunkiem dla dóbr narodowych oraz dziedzictwa narodowego.

Ojczyzny się nie wybiera, ojczyznę się zastaje, otrzymuje się ją jako los z woli Stwórcy, jako dar z nieba, z całym bogactwem jej dóbr i z całym dziedzictwem, niestety – także

słabości i nędzy. Miłość do ojczyzny wymaga wierności temu dziedzictwu oraz jego twórczego podjęcia. Dziedzictwo to trwanie w określonym miejscu i uczestnictwo w określonych darach, będące trwaniem i uczestnictwem w darze stworzenia. Składają się na nie: ziemia, naród, wartości chrześcijańskie i związek z Kościołem, kultura, tradycja i związane z nią zwyczaje. Z dziedzictwa tego można bezustannie czerpać, ale trzeba je też pomnażać i dopełniać, zawsze odnosząc się doń z szacunkiem, miłością i pietyzmem.

Właśnie: z pietyzmem. Pietyzm jest postawą najwyższego szacunku wobec ojczyzny, uznania jej za wielki dar Boży, „sprawę społeczną” górującą nad wszystkimi innymi sprawami tego świata; jest wyrazem najwyższej czci dla niej i wartości, które w sobie zawiera, a także postawą najwyższej wdzięczności za wszystko, co dzięki niej staje się naszym udziałem. Pietyzm ten nie byłby jednak możliwy, gdyby ojczyzny się nie poznało, nie zdobyło o niej jak najrozleglejszej wiedzy. Trzeba więc dokładać starań, aby poznać swój kraj, jego bogactwo i piękno krajobrazu, jego dzieje, zabytki kultury narodowej, dzieła jego geniuszy, literaturę, sztukę, bohaterów, wreszcie jego obyczaje i symbole narodowe, a poznając to wszystko, wzrastać w czci i szacunku do tego i w miarę możliwości ubogacać to i nieść przyszłym pokoleniom. Tym właśnie jest dzisiaj patriotyzm.

„Patriotyzm – pisał Władysław Stróżewski – to gotowość do wzbogacania ojczyzny o wszelkie możliwe wartości, a także do ich obrony. Gotowość ta winna być tym gorliwsza, im wyższych wartości dotyczy. Zacząć trzeba od najbardziej podstawowych: wolności, terytorium, państwa”. „Patriotyzm wyraża się w pamięci o (...) wielkich zdarzeniach, w poczuciu słusznej dumy z tego, co dokonali nasi przodkowie, a także my sami. Ale ideą przewodnią naszej oceny musi być prawda. Mamy prawo do dumy i satysfakcji, ale jako patrioci nie możemy nie przeżywać bólu z powodu tego, co było nieudane, niesłuszne, złe. (...) Ból jest także miarą (...) miłości oj-

czynny”. Stanowi on ofiarę, a „patriotyzm wymaga ofiary”²⁴⁷. I to wszelkiego rodzaju ofiary – dodajmy, wyrzeczeń i poświęceń. W razie skrajnej potrzeby każdy – oczywiście, przy respektowaniu zasady sprawiedliwego, czyli równomiernego rozłożenia ciężarów społecznych – powinien być więc gotowy oddać ojczyźnie wszystko, co posiada, ofiarować jej całe swe mienie i cały swój trud, całego siebie. Gdy zostanie zagrożona, miłość do niej i powinność służby dla niej nakładają także obowiązek jej obrony, aż do oddania życia. Rzecz zatem w tym, aby – jak pisał Szymon Starowolski – wszyscy przede wszystkim „ojczyznę swoją nade wszystko po Panu Bogu miłowali, dobro pospolite pomnażali, prywatnej chciwości się strzegli”, a gdy zajdzie konieczność, „granic państwa swojego czule od pogranicznych sąsiad bronili”²⁴⁸.

Chodzi oczywiście o obronę bytu narodu, nie zaś o „zdobywanie dla niego przestrzeni życiowej” – jak to określał Hitler, czyli wojnę zaborczą lub taką, która może zagrozić totalnym zniszczeniem. W porządku bytu doczesnego obrona egzystencji społeczności narodowej nie tylko usprawiedliwia ofiarę z życia jednostki, ale niekiedy może się jej nawet domagać. Jednakże zawsze szlachetne propagowanie wartości narodowych pozostaje niekwestionowanym moralnie i piękniejszym sposobem walki o uznanie własnej ojczyzny na arenie międzynarodowej. Propagowanie tych wartości musi mieć charakter pokojowy, nie zaczepny, nie arogancki, nie napastliwy, i odpowiadać normom kulturalnego współżycia narodów, tak by nie naruszać stosunków międzynarodowych.

Drugim pięknym sposobem walki o poszanowanie przez innych naszej Ojczyzny oraz o jej najszerzej rozumiane dobro i pomyślność jest praca i nauka. Dzięki nim zapewnia się narodowi dobrobyt, pomnaża jego zasoby go-

²⁴⁷ W. Stróżewski, *Kilka refleksji o patriotyzmie* [w:] *Oblicza patriotyzmu*, red. J. Sadowski, Kraków 2009, s. 149–158.

²⁴⁸ S. Starowolski, *Reformacja obyczajów polskich* [w:] *Wybór z pism*, oprac. I. Lewandowski, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, s. 298.

spodarcze, buduje jego kulturowe bogactwo, wnosi wkład w jego rozwój duchowy, intelektualny, moralny, podkreśla jego godność i wielkość, a tym samym budzi dla niego respekt, uznanie i szacunek, które najlepiej służą pokojowi i pokojowemu współzyciu. Wszystko to wymaga wytrwałej i ofiarnej, ciężkiej pracy. Żeby jednak społeczeństwo i każdy jego przedstawiciel z osobna mógł zdobyć się na taką pracę, potrzeba odpowiedniego wychowania. Wychowanie to powinno zmierzać w dwóch kierunkach: wierności i miłości.

Zarówno wierność, jak i miłość ojczyzny oznacza zakaz wyrządzania szkody własnemu narodowi i troskę o to, by nie czynili tego inni, a jednocześnie obowiązek przyczyniania się do pomnażania jego dobra i ustawicznego podejmowania wysiłków na jego rzecz. Ustawicznego, niemającego końca, albowiem patriotyzm ma charakter stały, nie kończy się, zobowiązuje zawsze, nie jest zależny od wydarzeń nadzwyczajnych i nie jest postawą nadzwyczajną, „jest normalnym urzeczywistnieniem miłości ojczyzny – jak pisze Józef Tischner – a zarazem urzeczywistnieniem siebie”, dzięki temu, co myśliciel nazywa „wzajemnością”, a co stanowi ową „więź, która łączy ludzi i czyni ich dziećmi tej samej ojczyzny” i która jest „jakimś tworzeniem”, albowiem właśnie „we wzajemności człowiek buduje wewnętrznie człowieka”. Dalej ksiądz-filozof pisze: „Jesteśmy Polakami nie na zasadzie wymiany, lecz na zasadzie wzajemności. Tworzymy w sobie naszą polskość. Tworzymy w dzień jasny i dzień ciemny, w noc pogodną i noc burzliwą. Jedno trzeba mocno podkreślić: w tworzeniu tym nie ma żadnej konieczności. Znaczy to: polskość jest propozycją etyczną i dlatego można się do niej nie przyznać, a – przyznawszy się – można od niej odejść, można ją zdradzić. Między człowiekiem a polskością istnieje wolność. (...) Polskość promieniuje ku nam rozmaitymi blaskami, między innymi tym właśnie, że możemy ją wybrać. Wybierając Polskę, potwierdzamy w sobie naszą wolność”. „Wybór ten nie jest łatwy”, ale „poprzez twórczą wzajemność każdy z nas uzyskuje w Ojczyźnie duchową samodzielność.

Samodzielność wyrasta z wzajemności. Jesteśmy sobą dzięki sobie nawzajem²⁴⁹. Jesteśmy zatem sobą – można skonkludować – dzięki Polsce, dzięki wyborowi Polski. Tylko ten bowiem – głosił Piotr Skarga – „kto ojczyźnie służy, sam sobie służy”²⁵⁰, może więc stawać się sobą, to znaczy dojrzewać, spełniać się, zbliżać do świętości, wydawać z siebie piękno, dobro, prawdę, miłość, czyli owocować.

A zatem – jak mawiali starożytni – *Fortuna patriae nostrae etiam mea fortuna est* – Pomyślność naszej ojczyzny jest również moją pomyślnością, wobec czego *Decet cariorem esse patriam nobis quam nosmet ipsos* – Przystoi, aby ojczyzna była nam droższa niż my sami sobie. I przystoi powtarzać, i mieć w pamięci te słowa Wisławy Szymborskiej:

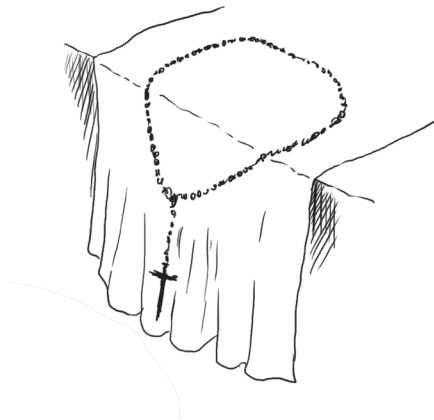
*Ziemia ojczysta, ziemia jasna,
Nie będę powalonym drzewem.
Codziennie mocniej w ciebie wrastam
radością, smutkiem, dumą, gniewem.
Nie będę jak zerwana nić.
Odrzucam pusto brzmiące słowa.
Można nie kochać cię – i żyć,
ale nie można owocować.*

(Gawęda o miłości ziemi ojczystej)

²⁴⁹ *Polska jest Ojczyzną. W kręgu filozofii pracy*, Paryż 1985, s. 109–110.

²⁵⁰ P. Skarga, *Kazania sejmowe, II – O miłości ku Ojczyźnie*.

MATKA BOŽA





MARYJA

W życiu człowieka wierzącego na pierwszym miejscu po Panu Bogu znajduje się Maryja – Matka Syna Bożego, Ta, która przyjęła Go w swoje łono, urodziła, wykarmiła, wychowała i szła z Nim przez całe Jego ziemskie życie, przez wszystkie dni radości i smutku, trudu i utrapień, niepewności jutra, męki i nadziei.

A wszystko zaczęło się w Nazarecie, małym mieście galilejskim. Tam Maryja podporządkowała swoją wolę woli Bożej: „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego” (Łk 1, 38) – i tej woli pozostała wierna przez wszystkie dni, a wierność ta, postawa pokory i posłuszeństwa, zawierzenia i oddania Bożej Oblubienicy stała się wzorem dla ludzi wierzących w przyjmowaniu na co dzień woli Boga z ufnością i przekonaniem, że – niezależnie od tego, jaka jest – jest dla nich prawdziwym dobrem.

Zawsze z niesłabnącym wzruszeniem wspominamy te chwile, gdy – jak śpiewamy w jednej z kołęd – „Maryja Panienska czysta, porodziła Jezusa Chrystusa; Tegoż w pieluszki powiła, a do żłobu włożyła”; te Jego narodziny w największym ubóstwie, ten żłób, który Mu dano za kołyskę, tę położoną za miastem, przeznaczoną dla zwierząt grotę, która stała się Jego domem. Można próbować sobie wyobrazić, co wówczas, w tę grudniową noc przeżywała Maryja: jak się czuła, gdy wraz z Józefem pukali w drzwi ludzkich domostw i słyszeli, że „nie ma dla nich miejsca w gospodzie”, gdy decydowała się pozostać w grotcie betlejemskiej poza miastem i gdy nadszedł trudny moment narodzin Dziecka, gdy Go układała w zwierzęcym żłobie wypełnionym sianem. Ta noc musiała się Jej dłużyć bez końca. Zapewne nie mogła się doczekać świtu poranka, by wreszcie w promieniach wschodzącego słońca zobaczyć Syna i chociaż trochę Go ogrzać.

A potem nastąpiły odwiedziny pasterzy z pól judzkich i pokłon Mędrców ze Wschodu. Obie te wizyty musiały być dla Niej wielkim przeżyciem, a może i zaskoczeniem. Pa-

sterze, prości ludzie, pełni ciekawości, nie bardzo wiedzący, jak się zachować. Co mieli, ofiarowali Nowonarodzonemu. Zapewne wzruszyli Maryję. Zapewne była im wdzięczna i zapewne z radością pokazywała im Dziecię. Inaczej wyglądało spotkanie z Mędrcami ze Wschodu. Od dłuższego czasu nurtowało ich pytanie: „Gdzie jest nowo narodzony Król żydowski?”, wybrali się więc w podróż, by Go odszukać. Odbyli długą, pełną trudów drogę, ale nie ulegli zniechęceniu ani pokusie, i wreszcie Go znaleźli. Dzisiaj możemy sobie wyobrazić ich zdumienie. Spodziewali się ujrzeć króla – w pałacu, na tronie, a ujrzeli dziecko – w stajni, w żłobie. Jakże wielka musiała być ich wiara, skoro w tym Dziecku pozwoliła im rozeznac Króla, którego szukali, Boga, do którego prowadziła ich gwiazda. „Widzą – pisał św. Piotr Chryzolog – niebo na ziemi i Bóg w człowieku; widzą maleńkie ciało, które zamyka Tego, którego nie może pomieścić cały świat” (św. Piotr Chryzolog, Serm. 160, 2). Widzą, wierzą i oddają Mu pokłon, a Matka pozwala im Go nawet wziąć w ramiona.

Były to dla Maryi piękne chwile, ale wkrótce nastął czas trwogi i ucieczki przed Herodem, który też – jak i Mędrcy, ale z innym zamiarem – szukał Jezusa. By Go zabić. Trudno sobie wyobrazić, co odczuwało wówczas Jej matczyne serce. Ile w nim było trwogi i lęku. Ile determinacji, by uciekać w świat, by ocalić Jego życie. W trudnych warunkach atmosferycznych, w prawdziwej nędzy, w pośpiechu i niepewności, co przyniesie jutro, szła wraz z Józefem do dalekiego Egiptu, by tam, w obcym kraju, znaleźć schronienie dla swojego Syna. I znalazła, i ocaliła Go, po raz drugi dała Mu życie.

Potem nastąpiły lata cichego, spokojnego i w jakiś sposób ukrytego życia w Nazarecie, o którym to okresie możemy się tylko domyślać. Ubogi dom, proste domowe zajęcia, powroty Józefa z pracy, wychowywanie Syna, który „we wszystkim Jej posłuszny był”, troska o Jego rozwój ludzki i duchowy – „ot, zwyczajne dzieje”, żeby użyć słów Szekspi-

ra. Te lata musiały należeć do najszcześniejszych w Jej życiu. Pełne zwyczajności, codziennych radości, poczucia bezpieczeństwa i stabilizacji i nadziei na przyszłość. Czas bliskości z dzieckiem, częstych rozmów, spacerów zwykłej krzątania okołodomowej, wspólnych posiłków. Ileż musiało być wtedy radości, czułości, troski i ileż wdzięczności wobec Pana Boga za każdy dzień dobrze przeżyty. A ileż modlitwy osobistej i wspólnej z Synem oraz Józefem. Były też pielgrzymki do Jerozolimy, wśród nich ta, kiedy Jezus się zgubił. Wiemy z Ewangelii, ile w Jej sercu było wtedy strapienia, jak intensywnie Go poszukiwała wraz z Józefem i jaka była Jej radość, gdy się szczęśliwie odnalazł.

W końcu nadszedł ten trudny dla Niej moment, gdy Jezus opuścił dom i poszedł, by głosić dobrą nowinę o zbawieniu i zzywać do nawrócenia. Jak się domyślamy, nieczęsto towarzyszyła Mu na Jego drogach, raczej wspierała Go modlitwami zanoszonymi do Boga. Ogromnie się cieszyła, gdy wracał na krótko do domu. Pewnie wysłuchiwała wówczas Jego opowieści o tym, co się wydarzyło, i o uczniach, którzy zdecydowali się iść z Nim. Właśnie podczas jednego z takich powrotów wybrała się z Nim na wesele do Kany Galilejskiej. Będąc tam, w pewnym momencie zauważyła, że zabrakło wina. Jezus był obok Niej, powiedziała Mu więc: „Nie mają wina” (J 2, 3). Słowa te nie znaczyły: „zrób coś”. Nie było w nich ani nacisku, ani nalegania. Maryja po prostu powiedziała Synowi o tym, co spostrzegła: że nowożeńcy są w kłopotcie, dając Mu tym samym znać, że jest tym przejęta i chciałaby im jakoś pomóc. Powierzyła Mu troskę, która przeniknęła Jej serce.

Wiemy, co zrobił wówczas Jezus. Aby mogło się pojawić wino, musiał dokonać cudu. I dokonał go. Nie ulega jednak wątpliwości, że chciał wyjść naprzeciw zatroskaniu Matki, że utożsamił się z Jej zatroskaniem i niejako odebrał je od Niej, wziął na siebie. Ta chwila jest niezwykle, naprawdę niezwykle ważna. Wówczas chyba po raz pierwszy ujaw-

niła się w świecie ta najgłębsza, cudowna, prawdziwie Boska symbioza Matki i Syna, ich pełna jedność duchowa, przejawiająca się we wzajemnym braniu na siebie i „w siebie” swych uczuć i pragnień, w doskonałym zrozumieniu się wzajemnym, niepotrzebującym słów, w miłości, która wszystko przenika.

To wielka nasza nadzieja. Jest z nami nie tylko Chrystus, jest z nami także Jego Matka, nasza Matka, dana nam przez Niego ku pomocy i obronie. Do Niej więc mamy pielgrzymować, Jej mamy zawierzać swoje troski i cierpienia, w Niej mamy szukać ratunku.

Maryja uczy nas pokory wobec Boga i odsłaniając nam drogę życia, pokazuje, w jaki sposób możemy dojść do domu Ojca, gdzie Ona już jest i nas wyczekuje. Pierwszym i podstawowym warunkiem, żeby odnaleźć w Bogu ostateczne szczęście, jest wiara: „Błogosławiona jest, która uwierzyła”. I my musimy uwierzyć całym sercem, że Bóg istnieje, a wiara ta musi stać się fundamentalną treścią naszego życia. Nie może być traktowana jak błahostka, jak te tysiące codziennie przelatujących przez nasz umysł i przyswajanych bądź nie przyswajanych informacji, których prawdziwość czy fałszywość nas nie interesuje, bo nie mają one żadnego wpływu na nasze życie, a tym bardziej go nie zmieniają, lecz musi być przyjęta i ustawicznie analizowana, bowiem ustanawia wszystko i wszystko określa. Jeśli Boga nie ma, życie jest puste, a przyszłość wątpliwa. A jeśli Bóg jest, wszystko się zmienia – pokładamy w Nim nadzieję, nie lękamy się trudności, nie obawiamy się śmierci. Wiara ukierunkuje nasze życie, każe nam przyłgnąć do Boga, zjednoczyć się z Nim i w ten sposób znaleźć miejsce, w którym mamy żyć i odkrywać, jak mamy żyć. Brak wiary czyni to życie pozbawionym sensu i jakiegokolwiek znaczenia, nędznym, skazanym na nicość.

Maryja, która pierwsza uwierzyła, jest przewodniczką dla ludzi wierzących. Całym swoim życiem i całą sobą ukazuje im, że aby dotrzeć do Boga, muszą, tak jak Ona, okazać Mu

„posłuszeństwo wiary” i muszą z wolnej woli powierzyć Mu się cali, bez ograniczeń. Wierzyć znaczy bowiem powierzyć siebie Bogu i uznać z pokorą, że „niezbadane są Jego wyroki i niezgłębione Jego drogi” (Rz 11, 33), lecz wszystkie prowadzą do dobra. Maryja to uznała i uznanie to potwierdziła w sposób szczególny, gdy stała pod krzyżem umiłowanego Syna, który konał jak skazaniec „wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści (...) wzgardzony tak, iż miano Go za nic (...), zdruzgotany” (Iz 53, 3–5). Jakże wielkie, jak heroiczne było posłuszeństwo wiary, które Maryja okazała wobec niezbadanych wyroków Boga! Jakże bez reszty powierzyła siebie Bogu, okazując pełną uległość rozumu i woli!

Gdy stajemy przed Pietą, widzimy Ją bolejącą, obejmującą matczynymi ramionami Syna zdjętego z krzyża. Jakież ból maluje się na Jej twarzy! Jakież niewysłowione cierpienie! Musi ono poruszać nawet najmniej wrażliwe serce. I zawsze poruszało. W pierwszych nieszpórach święta Matki Bożej Siedmiu Bolesci lud Boży śpiewał: „Zobaczcie, w jakim nadmiarze łez jest skąpana twarz Dziewicy Matki. Wy wszyscy, którzy przechodzicie, zobaczcie i powiedzcie, czy jest boleść podobna do mojej”. Natomiast w hymnie na brewiarzową *Godzinę czytań* we wspomnienie liturgiczne Matki Bożej Bolesnej (15 września) Kościół modli się następującymi słowami: „Bolejąca Matka stała, u stóp krzyża we łzach cała, kiedy na nim wisiał Syn. A w Jej pełnej jęku duszy, od męczarni i katuszy, tkwił miecz ostry naszych win. Jakże smutna i strapiona, była ta błogosławiona, z której się narodził Syn. Jak cierpiała i bolała, jakże drżała, gdy widziała, Dziecię swe wśród śmierci trwóg”.

Cierpienie Maryi nie było przypadkowe i niespodziewane, jak cierpienia innych. Było podobne do nich, ale przerastało je; było w pełni ludzkie, ale miało ponadludzkie, niepojęte wręcz znaczenie. Stanowiło ofiarę i zostało przyjęte jako dar. I tym pozostaje: ofiarą i darem dla nas. O cierpieniu Maryi mówi opowiadanie o męce Pana Jezusa, a za-

powieź tego cierpienia znajduje się w prorocztwie Symeona: „Oto Ten przeznaczony jest na znak, któremu sprzeciwiać się będą. A Twoją duszę – zwrócił się do Maryi – przeniknie miecz” (Łk 2, 35).

Miecz rzeczywiście przeniknął duszę Maryi. Św. Bernard w pięknym *Kazaniu na Wniebowzięcie NMP* tak o tym mówił: „Miecz jedynie przenikając duszę Matki, mógł dotrzeć do ciała Syna. Kiedy więc Jezus oddał ducha, sroga włócznia nie dotknęła Jego duszy. Umarłemu, któremu nie mogła już zaszkodzić niemiłosierna włócznia, otworzyła bok, Tobie zaś Matko przeszła serce. Jego duszy tam już nie było, ale Twoja nie mogła się stamtąd oderwać. Straszny ból przeszył Twoją duszę, o Maryjo”. Wielkim też bólem, może nawet większym niż miecz boleści, przeszły Maryję ostatnie słowa Jezusa, wypowiedziane z wysokości krzyża w Wielki Piątek: „Niewiasto, oto syn Twój”. „Cóż za niezwykła wymiana! – aż zakrzykuje św. Bernard. – W miejsce Jezusa dany ci został Jan, sługa zamiast Pana, uczeń zamiast Nauczyciela, syn Zebedeusza zamiast Syna Bożego; zwykły człowiek zamiast prawdziwego Boga. Twej niezrównanie czulej duszy jak mogły nie przeszyć słowa, których samo tylko przypomnienie kruszy zupełnie nasze serca, choć są często twarde i nieczułe”.

„Czyż nie wiedziała wcześniej, że Jezus umrze; przecież wiedziała, bo o tym mówił?” – pisze św. Bernard. A „czyż nie ufała, że wkrótce zmartwychwstanie?” Zapewne ufała! „I pomimo to cierpiała widząc Ukrzyżowanego?” Tak, rzeczywiście cierpiała, jak nikt inny na świecie. Jej matczyne serce ma tak samo udział w śmierci Syna Bożego, jak miało w Jego narodzinach. I zawsze jest pełne wiary. Ona wie, że są to „sprawy Ojca, w których potrzeba, ażeby On był”, i wiedząc to, i cierpiąc wraz z Chrystusem, uczestniczy w zbawieniu świata. Pięknie tę prawdę ujęła Ewa Szelburg-Zarembina w wierszu pt. *Pieta*:

*Widzisz – mówiłam – ludzie są dobrzy:
podnieśli Cię, Synku, wysoko.*

*Z wysokiego, wysokiego drewna,
gdy oczami wspierasz się o ziemię,
i na mnie wsparło się Twe oko.
Pamiętam – Dzieckiem małym chciałam Cię,
matka, zamknąć w łonie – a Tyś mi urósł
i królujesz teraz w wielkiej cierniowej koronie. (...)
A oto – bok Ci włócznią otwarli
i serce Twe widać, jak krwawi.
Nie dziw się, Synku,
że Matka oprawcom Twym błogosławi.
Żeby nie ludzie, nie grzeszni,
nic by nie zaszło w niebie:
nie poczęłabym, nie urodziłabym Ciebie.
I nie poznałabym, co to matczyzna radość i boleść.
Taka to, Synu Boży, o nas obojgu opowieść²⁵¹.*

Słuchając tej bolesnej opowieści, możemy, ponownie odwołując się do hymnu brewiarzowego, zawołać: „Któryż człowiek nie zapłacze, widząc męki i rozpaczę Matki Bożej w żalu tym? Któż od smutku się powstrzyma, mając Matkę przed oczyma, która cierpi z Synem swym?” Oczywiście, są ludzie martwi jak głązy, których nic nie poruszy – żaden ból, żadna rozpacz. Ale człowiek, który ma serce, musi zostać tknięty, musi się w nim rozbudzić smutek i żal. Ten smutek i ten żal prawie zawsze wiąże się z nadzieją. Dobrze więc przyjąć je jako dar. Bo w istocie rzeczy jest to dar. Dar Matki Boskiej dla człowieka.

Żal Matki Bożej spowodowany był śmiercią Jej Syna, a On śmierć tę poniósł z powodu ludzkich grzechów. Nasz żal, wzbudzony przez cierpienie Maryi, powinien się zatem zwrócić w stronę naszych przewinień i przeobrazić w żal za nie oraz postanowienie poprawy. Świadomość własnej grzeszności jest bowiem pierwszym krokiem do nawrócenia i pokuty, zaś żal za grzechy – sposobem odzyskania intym-

²⁵¹ E. Szelburg-Zarembina, *Matka i Syn*, Warszawa 1978, s. 67–68.

nej więzi z Bogiem. A zatem nadzieją. Maryja otwiera człowieka na żal, ale doprowadzić go do tego żalu może tylko działanie łaski Bożej. Dzięki łasce człowiek grzeszny może wrócić do Boga.

Żal, który wzbudza w nas Maryja swoim cierpieniem, jest darem. Jeżeli ten żal zmieni się w żal za grzechy, otworzy przed nami nadzieję, a zarazem stanie się wyrazem naszej autentycznej miłości do Matki Bożej Bolesnej. Miłość ta pozwoli nam z ufnością uciekać się pod Jej opiekę i prosić Ją o wstawiennictwo, a przede wszystkim o łaskę prawdziwego nawrócenia! Możemy Ją o to prosić.

Maryja uczy nas ciągle słuchać Pana w ciszy modlitwy, przyjmować z wielkoduszną gotowością Jego słowo, głęboko pragnąć ofiarować Mu samych siebie, nasze życie, aby Jego odwieczne słowo mogło, mocą Ducha Świętego, „stać się ciałem” jeszcze i dziś, w naszej historii. Maryja pomaga nam wiernie iść za Jezusem, jednoczyć się z Nim w składaniu ofiary, nosić w sercu radość z Jego zmartwychwstania i żyć w nieustającym posłuszeństwie Duchowi Pięćdziesiątnicy. Pełni ufności kierujemy więc do Niej słowa tej pięknej modlitwy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego:

*Któraś była muzyki deszczem,
a przejrzysta jak świt i płomień,
daj nam usta jak obłoki niebieskie,
które czyste – pod toczącym się gromem.
Która ziemi się uczyłaś przy Bogu,
w której ziemia jak niebo się stała,
daj nam z ognia twego pas i ostrogi,
ale włóż je na człowiecze ciała. (...)
Która jesteś jak nad czarnym lasem
blask – pogody słonecznej kościół,
nagnij pochmurną broń naszą,
gdymy zaczniemy walczyć miłością.*

(Modlitwa do Bogarodzicy)

I prosimy: Powiedz, Maryjo, nasza Królowo, swojemu Synowi o naszym nowym „dziś”. Spraw, prosimy Cię, tak jak nigdyś prosił w katedrze lwowskiej król Jan Kazimierz, abyśmy w tym przełomowym momencie dziejów zawierzyli narodowe sprawy – nasze bolączki i nasze nadzieje – Twojemu miłosiernemu Synowi. I abyśmy Go słuchali – dzień po dniu, i abyśmy Go naśladowali – uczynek po uczynku. Prosimy Cię o to dla nas, ale i dla naszych braci z jednoczącej się Europy, żebyśmy Go słuchali także wówczas, gdy wypowiada rzeczy trudne i wymagające.

Matko, Ty wiesz najlepiej: „Do kogóż pójdziemy?”. Tylko On, Jezus Chrystus, Syn Boga żywego i Syn Twój – ma słowa życia wiecznego! O Maryjo, pomóż nam budować lepszą przyszłość w duchu Chrystusowej Ewangelii!



WNIEBOWZIĘCIE

*Już się anieli wiesielą,
Na niebie słodko śpiewają,
Bo Maryja w niebo idzie,
Radujcie się, wszyscy ludzie. (...)*

*Swoją Matuchnę Jezus jest wziął,
Apostoły jest pożegnał (...)*

*Łaskawie Matkę prowadził
Jezus, którą jest powyzszył,
Nad anjoły Ją posadził,
Koronę na głowę włożył*

(Już się anieli wiesielą)

– pisał bł. Ładysław z Gielniowa, a w tymże czasie, kiedy to pisał, tj. pod koniec średniowiecza, benedyktyni śpiewali – a może i dzisiaj jeszcze śpiewają:

*Świebodność Boga żywego
Wzniosła Matkę Syna swego
Nad wszystkie kory anjelskie,
Gdzież pełne widzenie Boskie. (...)*

*Nie ma równia między nami,
Wszyscy to widzimy sami,
Przewyższyła płęć anjelską
Swoją czystotą panieńską. (...)*

*Z twojim Synem mieszkać będziesz,
Na prawicy jego siędziesz,*

(Świebodność Boga żywego)

I tam właśnie, gdzie Ona z Synem mieszka, po prawicy Jego siedząc, tam właśnie spoglądamy każdego dnia z nadzieją i utęsknieniem, a jeśli bierzemy do rąk Apokalipsę

i zanurzamy się w jej słowach, widzimy piękną „świątynię Boga, która otwarła się w niebie” (Ap 11, 19) i Ją – Wniebowziętą, „wielki znak”. Wielki znak, albowiem: „Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu” (Ap 12, 1) „to znak – jak nauczał Sługa Boży Jan Paweł II – spełnienia w wymiarach całego kosmosu. W tym znaku wracają do Boga, który jest Stwórcą, czyli absolutnym Początkiem wszystkiego, co istnieje, stworzenia w całym swoim wielorakim bogactwie. W tym znaku wraca do Boga człowiek stworzony na Boży obraz i podobieństwo”. Wielki jest to zatem znak, tak wielki, iż można powiedzieć, że drugi co do wielkości po znaku Chrystusa. Syn Boży otworzył drogę powrotu do Boga i jest Znakiem tej drogi; Jego Matka zaś pierwsza tę drogę przeszła, pierwsza stanęła u jej kresu, potwierdziła zatem jej pewność i pozostała Znakiem tego potwierdzenia.

Człowiek otrzymał zatem dwa znaki: znak Wniebowstąpienia i znak Wniebowzięcia – odkupienie i potwierdzenie odkupienia; znak Chrystusa, który w istocie jest znakiem Boga, i znak Maryi, który w istocie jest znakiem Chrystusa: Bóg Ojciec posłał bowiem Syna, by dokonał dzieła zbawienia i stał się jego znakiem, a Chrystus, powołaną przez Boga na Jego Matkę Maryję, uniósł do nieba, by stała się znakiem prawdy zbawienia.

I tym Maryja pozostaje: wielkim znakiem wielkiej prawdy.

Bóg jest dla człowieka niezbadaną tajemnicą. Wiele się o Nim mówi, wiele pisze, wiele rozmyśla; ojcowie Kościoła, teologowie, święci, bibliści trawią całe życie, by Go poznać, by się czegoś o Nim dowiedzieć, by się zbliżyć do prawdy o Nim. Nie ulega wątpliwości: prawda o Bogu może być przed człowiekiem odkryta, poznanie Boga może być człowiekowi dane, ale dopiero wówczas, gdy dostąpi Boga. Dopóki to się nie stanie, dopóty będzie On dla niego niepojęty. Człowiek nie może zrozumieć Boga. Ale Bóg stał się człowiekiem, czło-

wiek zaś potrafi zrozumieć człowieka, wobec tego może więc czasami zrozumieć Boga – w Jego człowieczeństwie odsłania się bowiem jakaś część Jego boskości. Jakkolwiek zatem Bóg jest dla nas niepojęty, są słowa i takie przejawy Jego działalności, które jednak rozumiemy lub przynajmniej stajemy bliżej ich zrozumienia.

Do tego, co – jak się wydaje – rozumiemy albo możemy zrozumieć, należy wniebowzięcie Maryi. Tak po prostu, po ludzku przecież rzecz biorąc: Ona nie mogła nie być wniebowzięta. Nie mogła – to pozwala nam pojąć nasz ludzki, wsparty miłością, wiarą i nadzieją rozum – z trojakiej co najmniej przyczyny: Jej życie – nie tylko poczęcie, ale całe życie – było niepokalane; Jej udział w dziele zbawienia jest ogromny począwszy od Zwiastowania aż po Ukrzyżowanie Jezusa Chrystusa. Biorąc to wszystko pod uwagę, musimy dojść do przekonania, że Maryja musiała być wniebowzięta, któż bowiem, jaki człowiek, kto z nas mógłby dostąpić nieba, jeśli nie Ona? Ale – jak się wydaje, gdy patrzemy na to swym zwykłym ludzkim rozumem – była jeszcze jedna tego przyczyna.

Maryja stanowi wzór życia, wzór bezgrzeszności, wzór umiłowania Boga, wzór poświęcenia, oddania, ofiarności – do końca. Stanowi wzór, przykład świętości. Czy Syn mógłby pozostawić taką Matkę z dala od siebie, nawet gdyby kiedyś, u kresu mógł się z Nią znowu spotkać? Czyż Zbawca mógłby nie zechcieć wskazać przez Nią, że dzieło zostało dokonane, ukazać poprzez ten przykład życia w świętości przykładu dojścia do Niego? Maryja doszła, każdy zatem może dojść, i siedzi obok Niego, zatem każdy może usiąść. Wniebowzięcie jest więc wielkim znakiem. Chrystus otworzył przed człowiekiem nadzieję swym Narodzeniem w Betlejem i wprowadził w nadzieję swą krzyżową śmiercią na Golgocie, a potem potwierdził ją ostatecznie Wniebowzięciem Maryi, jeszcze raz wskazując drogę, którą jest On, a którą Ona przeszła – naprawdę do końca.

Wiara w rzeczywiste Wniebowzięcie Najświętszej Maryi z duszą i ciałem była obecna wśród wiernych już od czasów starożytności chrześcijańskiej. Tam, gdzie docierała Ewangelia, jawiło się ono jako prawda, niepodważalny pewnik. Święto „zaśnięcia” Maryi edykt cesarza Wschodu Maurycego (582–602) ustalił na 15 sierpnia. Na Zachodzie zostało ono wprowadzone wraz z innymi uroczystościami maryjnymi przez papieża Sergiusza I (678–701) i jest obchodzone tego samego dnia, co na Wschodzie. 1 listopada 1950 roku prawda o Wniebowzięciu Maryi została ogłoszona przez Piusa XII jako dogmat wiary. Później Sobór Watykański II nauczał: „Niepokalana Dziewica, zachowana wolną od wszelkiej skazy winy pierworodnej, dopełniwszy biegu życia ziemskiego z ciałem i duszą wzięta została do chwały niebieskiej i wywyższona przez Boga jako Królowa wszystkiego, aby bardziej upodobniła się do Syna swego” (KK 59).

Wierzmy przeto, a nawet jesteśmy niezłomnie przekonani, że Najświętsza Maryja Panna, Matka Chrystusa i nasza duchowa Matka przebywa już z duszą i ciałem w niebie i wraz z Chrystusem raduje się wieczną szczęśliwością. My, którzy jeszcze pielgrzymujemy na tym świecie i staramy się „usilnie o to, aby przewyciężając grzech wzrastać w świętości” (KK 65), stale podnosimy wzrok ku niebu, aby nasycić się światłem Maryi Wniebowziętej, słuchać jej nauki, ufać Jej dobroci, naśladować Ją w cnotach, starając się postępować drogami Jej świętości, zawsze uciekając się do Niej jako do Matki, oczekując, że spotkamy Ją w chwale, wysławiając Ją i błogosławiąc.

W *Magnificat* – tej wielkiej, zawartej w Ewangelii pieśni Maryi – znajdujemy zaskakujące słowa: „Oto bowiem błogosławić mnie będą wszystkie pokolenia”. Proroctwa są to słowa: Matka Pana zdaje sobie sprawę, że będzie w przyszłości uwielbiona przez Kościół. Ale nie były to Jej własne słowa, lecz słowa natchnione przez Ducha Świętego, jak bowiem pisze św. Łukasz, Elżbieta, napełniona Duchem

Świętym, zawołała: „Błogosławiona jest, która uwierzyła”, a Maryja, również napełniona Duchem Świętym, kontynuuje i uzupełnia wypowiedź Elżbiety: „Błogosławić mnie będą wszystkie pokolenia”. Jest to prawdziwe proroctwo, które spełnia się, i po wiek wieków spełniać się będzie w Kościele oddającym cześć Maryi z polecenia Ducha Świętego i które spełnia się w każdym z nas, wierzących, świadomych, że – jak mówił papież Benedykt XVI – „nie wielbimy Boga w sposób wystarczający, jeśli pomijamy milczeniem Jego świętych, zwłaszcza Świętą – Maryję, która stała się Jego mieszkaniem na ziemi”; że zatem wpatrując się w Jej oblicze, lepiej niż w jakikolwiek inny sposób możemy widzieć piękno Boga, Jego dobroć, Jego miłosierdzie. W Jej obliczu rzeczywiście możemy dostrzec światło Boże.

Możemy oddawać Jej cześć i możemy Ją wielbić, ponieważ jest „Błogosławiona” – na zawsze, bo jest zjednoczona z Bogiem, żyje z Bogiem i w Bogu. Pan Jezus w przeddzień swojej męki powiedział: „Idę przygotować wam miejsce. W domu Ojca jest mieszkań wiele” i powiedziawszy to poszedł, by przygotować nam te miejsca. A Maryja w dzień zwiastowania powiedziała: „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według Twego słowa” i powiedziawszy to przygotowała tu, na ziemi mieszkanie dla Boga. Sama stała się dla Niego mieszkaniem – i w ten sposób otworzyła ziemię na niebo. Ofiarowała Panu przestrzeń swojej duszy i ciała – i w ten sposób stała się rzeczywiście prawdziwą Świątynią, w której Bóg poprzez tajemnicę Wcielenia stał się obecny na naszej ziemi. A skoro stała się mieszkaniem Boga na ziemi, w Niej jest już przygotowane Jego wieczne mieszkanie.

Maryja, Oblubienica Boga i Matka Boga wraz z ciałem i duszą jest w domu Boga, uczestniczy w Jego chwale, bo – tak jak pisał anonimowy autor tzw. *Modlitewnika siostry Konstancji* z 1527 roku –

*Posadził ją Syn na prawicy swojej
I powyszył nad wszystkie anjoły, [dając Jej]*

*Zupełność chwały nad wszytki święte
[I] bliskość mieszkania, abowim blisko
Trojce Naświętszej posadzona jest Panna miła,*

którą – przeczytajmy jeszcze fragment szesnastowiecznego modlitewnika dla kobiet Konstantego Małkowskiego –

*Miły Syn chwalebnie na dziesiąty stolec powyszył
I blisko (...) Świętej Trojce posadził (...)
I ukoronował (...) koroną niebieską,
Dwomanaściera gwiazdoma Salomonowymi²⁵².*

Maryja w całym swym ziemskim życiu, tak i teraz, w swym życiu niebieskim, ukazuje nam drogę naszego życia, pokazuje nam, żyjącym na ziemi, w jaki sposób możemy dojść do domu Ojca, gdzie Ona już jest i nas wyczekuje.

Pierwszym i podstawowym warunkiem, żeby odnaleźć w Bogu ostateczne szczęście, jest wiara: „Błogosławiona jest, która uwierzyła”. Trzeba uwierzyć całym sercem – tak jak Ona uwierzyła – że Bóg istnieje. Prawda ta musi stać się fundamentalną treścią naszego życia. Nie może być jak jedna z tysięcy innych przyswajanych przez nas codziennie informacji, których prawdziwość czy fałszywość interesuje nas w znikomym stopniu, gdyż ogromna większość z nich nie zmienia naszego życia. Ta prawda ma znaczenie zasadnicze. Jeśli Boga nie ma, życie jest puste, przyszłość jest wątpliwa. A jeśli Bóg jest, wszystko się zmienia: pokładamy w Nim nadzieję, nie lękamy się trudności, nie obawiamy się śmierci, możemy istnieć na zawsze. Wiara stanowi ukierunkowanie naszego życia, pozwala nam przyłączyć się do Niego, zjednoczyć się z Nim i tym samym znaleźć miejsce, w którym mamy żyć, i odkryć, jak mam żyć.

Tak jak odkrył to bł. Brat Karol de Foucauld. Doświadczył on zarówno rozpaczę utraty wiary w Boga, jak

²⁵² *Modlitewnik dla kobiet z wieku XVI. Ułomek z rękopisu senatora Konstantego Małkowskiego*, wyd. S. Ptaszycki, Kraków 1905, s. 59.

i szczęścia powrotu do Niego. Gdy po latach wspominał swoją młodość, napisał: „Oddalałem się, oddalałem się coraz bardziej od Ciebie, mój Panie i moje Życie... i tak życie moje zaczynało być śmiercią... i w tym stanie śmierci Ty jeszcze nade mną czuwałeś”. Nieco później zaś powiedział: „O, mój Boże, jakże trzymałeś nade mną swą rękę, i jak mało to czułem! Jakże jesteś dobry, jakże mnie strzegłeś! Jakże mnie kryłeś pod swoimi skrzydłami, gdzie nie wierzyłem nawet w Twe istnienie”.

Dla brata Karola życie Jezusem i Jego Ewangelią, naśladowanie Go we wszystkim, podążanie za Jego słowem w prawdzie, ale bez zapominania o realiach tego świata, stało się ostatecznie najważniejszym celem w życiu. Nawiązując do znanego powiedzenia św. Augustyna: „Kochaj i rób, co chcesz”, pisał: „Jeśli milczysz, milcz z miłości. Jeśli krzyczysz, krzycz z miłości. Niech zakorzeni się w tobie miłosierdzie. Tylko z takiego korzenia może bowiem wyrosnąć prawdziwa miłość do Chrystusa”. Ta miłość, która jako jedyna moc, jedyna siła pozwala wierzyć naprawdę w Boga, a to znaczy iść szlakiem wytyczonym przez Słowo Boże, tym szlakiem, którym pierwsza przeszła Maryja, by stanąć u jego kresu i jaśniejąc tam dla nas dwunastoma gwiazdami swej korony utwierdzać nas w przekonaniu, że jest to nasza jedyna droga, potwierdzać, że prowadzi do celu, właściwego Celu, i świadczyć, że możemy ją przebyć, a w tym przebywaniu stale nas podtrzymywać i wspierać, tak jak niezmiennie czyni to Jej Syn. Czyż trudna może być droga, w której towarzyszą nam Jezus i Maryja, idąc z nami – z jednej strony: On, z drugiej strony: Ona – a zarazem czekając na nas u jej kresu?

Tyłu ludzi przebyło już tę drogę. Szedł nią brat Karol, szedł Jan Paweł II – i inni, błogosławieni, święci, i nie-święci. My także musimy iść tą drogą. To także nasza droga. Wszyscy pragniemy dotrzeć do jej kresu. Żeby jednak dotrzeć, musimy odmienić swoje życie. Przemiana ta może się dokonać tylko mocą Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego,

a powinna się przejawiać w nowej jakości naszego myślenia i działania, w owocowaniu dobrymi uczynkami, w modlitwie, w oparciu się na Chrystusie, w posłuszeństwie Jego słowom i wskazaniom, w niesieniu Go innym, aby wszyscy, szczególnie ci, którzy znajdują się w oddaleniu duchowym od Niego, mogli Go poznać, przyjąć i umiłować, a potem nieść dalej. Ta droga to nasz akt wiary, a zarazem akt miłości i akt nadziei.

Takiego fundamentalnego aktu wiary, nadziei i miłości dokonała Maryja, a dokonując go, wypowiedziała słowa: „Jego miłosierdzie dla tych, co się Go boją”.

Nasz rozum, który – jak mówiliśmy – umożliwia nam zrozumienie czegoś tak niezwykłego, jak Wniebowzięcie, może nam uniemożliwić, a przynajmniej utrudnić zrozumienie czegoś tak zwykłego, jak „bojaźń”. Wielu ludzi się pyszni: nie znam, co to strach, trwoga, bojaźń. Może i tak jest, chociaż to wątpliwe. Ale w tym przypadku nie chodzi o zwykłą bojaźń, lecz o „bojaźń Bożą”. To nie jest udręka ani tchórzliwość, ani słabość. To dar, jeden z darów Ducha Świętego! Będąc dziećmi Bożymi, nie odczuwamy lęku przed Ojcem, On by nie chciał, byśmy żyli w lęku, ale odczuwamy bojaźń Bożą, to znaczy troskę o to, by nie zburzyć miłości, na której zbudowane jest nasze życie. Bojaźń Boża to poczucie odpowiedzialności, które powinniśmy mieć – odpowiedzialności za siebie, za swoje myśli i uczynki, za swoją przyszłość; odpowiedzialności nie tylko przed samymi sobą lub drugim człowiekiem, ale także przed samym Bogiem. Odpowiedzialność ta to najważniejsze zadanie dla nas, ludzi żyjących tu na ziemi i pielgrzymujących do nieba. Tyle w nas nieodpowiedzialności, bylejakości, lekkomyślności, udawania, zgrywania się na bohaterów – tyle w nas trwogi, smutku, rozterki, niemocy, zwątpienia. Jakże skomplikowany jest człowiek! W tym skomplikowaniu bardzo potrzebuje on czegoś, co by je upraszczało, jakiegoś rozjaśnienia – właśnie prawdziwej bojaźni Bożej, aby jego życie stało się zrównoważone, aby nabrało sensu i nie zatraciło perspektywy wieczności.

Trzeba mieć w sobie to przeświadczenie, którym żył bł. Karol: trzeba „mieć nadzieję! Bo jakiegokolwiek byłyby nasze winy, Jezus chce nas zbawić. Im większymi jesteśmy grzesznikami, im bliżej jesteśmy śmierci, im bardziej nasz stan jest beznadziejny... tym bardziej, jeśli tak można powiedzieć, Jezus chce nas zbawić, bo On przyszedł zbawić to, co miało zginąć”. „Nie traćmy [zatem] nigdy nadziei ani wobec siebie, ani wobec innych, ani też wobec nikogo, choćby był pogrążony w nałogach i wydawałoby się, że zgasły w nim wszelkie dobre uczucia... Nie traćmy nigdy nadziei, nie tylko co do zbawienia, ale i co do możliwości osiągnięcia wspaniałej świętości. Bóg jest wystarczająco mocny... Dobry Pasterz może sprowadzić do owczarni owce tak o jedenastej, jak i o pierwszej godzinie... Jego dobroć, tak jak i moc nie mają ograniczeń. Pokładać we wszystkim nadzieję, to nasz obowiązek”.

A jak przyjąć ten obowiązek i jak ten obowiązek wypełnić, uczy nas Maryja Wniebowzięta, której Wniebowzięcie jest naszą największą, po Odkupieniu, nadzieją; czymś więcej nawet, czymś bowiem, co przekracza nadzieję.



RÓŻANIEC

Iris Murdoch pisała, że „w gruncie rzeczy modlitwa nie jest prośbą, lecz po prostu skierowaną do Boga uwagą, która jest formą miłości. Wraz z nią „pojawia się idea łaski, czyli nadprzyrodzonej pomocy w ludzkich przedsięwzięciach, która pokonuje empiryczne ograniczenia osobowości”²⁵³. I tym także jest modlitwa do Matki Bożej – skierowaną do Niej uwagą, będącą formą miłości.

Uwaga ta powinna być na Maryję zwrócona stale, trzeba z Nią bowiem łączyć każdy aspekt formacji chrześcijańskiej – duchowej, intelektualnej i duszpasterskiej, gdyż to właśnie Ona najpełniej odpowiedziała na Boże wezwanie, Ona też jest najdoskonalszym wzorem Bożej służebnicy i uczennicy, w Niej poczęło się Słowo, któremu później służyła i w które się wsłuchiwała przez całe swoje życie. To Ona pragnie służyć także nam swą miłością, czułością, wyrozumiałością i opieką, niezmiennie pozostając ostoją wierzących, stanowiąc dla nich skuteczne wsparcie na drodze uświęcenia się, stałe umocnienie w osobistych trudnościach i źródło wielkiej energii zarówno w apostołacie indywidualnym, jak i zespołowym.

Zwrócona do Niej modlitwa nigdy nie trafia w próżnię. Nie jest „rozmową z nieobecnym” – jak kiedyś zatytułował swój film o Romanie Palestrze Grzegorz Kościński – z kimś, kogo już nie ma, lecz zawsze rozmową z Obecną, Bliską, nieomal Dotykalną, Słuchającą i Wysłuchującą, z Maryją, która zawsze jest, zawsze pochylona nad człowiekiem, zawsze o niego zatroskana, zawsze z nim – Matka Nieustającej Pomocy, Wspomożycielka, Powiernica, do której tak pięknie zwracał się Krzysztof Kamil Baczyński:

*Mario, obłoków ciszo,
ciężko nam Boga dźwigać,
jeszcze ciężej odrosły świat,*

²⁵³J. Murdock, *Prymat dobra*, Kraków 1996, s. 76.

nieba wysokie ciężej; nieba nad nami wiszą
jak przykazania ciemny kwiat,

(Do Matki Boskiej)

pragnąc Ją, tak „cichą, (...) jak wizerunek wycisnąć w twardych dniach” – na zawsze, gdyż zawsze pozostaje Ona doskonałym wzorem, toteż zawsze, w każdym dniu powinna stać przed człowiekiem w całej wyrazistości Swego piękna. Tak jak stała przed Janem Pawłem II, który wpatrzony w Nią, z różańcem w dłoniach, ze *Zdrowaś Mario* i *Pod Twoją obronę* w sercu i na ustach wzywał wszystkich wierzących, aby pogłęбили prawdziwe nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny, gdyż ono najbardziej może im pomóc w codziennym życiu oraz pełnionej przez nich posłudze, i zachęcał, by zawierzili Jej siebie jako Matce, prosząc Ją jednocześnie o łaski dla nich samych, jak i dla całej wspólnoty Kościoła, w sposób szczególny o łaskę, która pozwoli im przyjąć Boży dar z wdzięczną miłością, o łaskę wielkoduszności w składaniu osobistego daru z siebie, by mogli naśladować przykład „Matki ofiarnej”, o łaskę wierności w dochowaniu przyrzeczeń chrzcielnych, a także o łaskę żarliwej i miłosiernej miłości. O te łaski mamy prosić wszyscy, i mamy to czynić m.in. przez odmawianie różańca.

Różaniec to niezwykła modlitwa – dawanie, ofiarowanie Matce Bożej róż. Stąd właśnie jego nazwa: „wieniec różany” albo „ogród różany” – z łac. *rosarium*. Znany od średniowiecza i zwany początkowo *Psalterzem Najświętszej Maryi Panny*, przechodził liczne przeobrażenia; obecnie obdarzony jest szczególną czcią, związany z licznymi objawieniami i codziennie odmawiany przez miliony katolików na całym świecie. Składa się z dwudziestu części, z których każda obejmuje *Ojcze nasz* oraz dziesięć *Zdrowaś Mario*, i łączy się z jedną z dwudziestu tajemnic różańcowych, czyli misterii zbawczego działania Boga w Chrystusie, podzielonych na cztery części: radosną, świątłą, bolesną i chwalebłą.

Odmawiając pierwszą z nich, rozważa się tajemnice: Zwiastowania, Nawiedzenia św. Elżbiety, Narodzenia Pana Jezusa, Ofiarowania Pana Jezusa, Znalezienia Pana Jezusa w świątyni; odmawiając drugą – tajemnice: Chrzest Pana Jezusa, Udział w weselu w Kanie Galilejskiej, Wezwanie do nawrócenia, Przemienienie, Ustanowienie Eucharystii, odmawiając trzecią – tajemnice: Modlitwy w Ogroju i pojmania, Ubiczowania, Cierniem ukoronowania, Dźwigania krzyża, Ukrzyżowania; a odmawiając czwartą – tajemnice: Zmartwychwstania, Wniebowstąpienia, Zesłania Ducha Świętego, Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i Ukoronowania Najświętszej Maryi Panny. Modlitwę różańcową poprzedza się apostołskim wyznaniem wiary i trzema *Zdrowaś Mario* z prośbą o umocnienie w trzech cnotach Boskich: wierze, nadziei i miłości.

Dzisiaj wielu ludziom różaniec wydaje się zbyt długi i monotony, niektórzy uważają go wręcz za bezmyślny. Jednak jest to jedna z najwznioślejszych, najpiękniejszych, najbardziej unoszących modlitw, jeśli tylko odmawiana jest sercem, nie tylko językiem, jeśli przenika się ją duchem i uczestniczy umysłem. Dlatego właśnie tak wielu ludzi na świecie ją umiłowało, o wielu więcej niż tych, którzy ją lekceważą, dlatego codziennie z tak wielu miejsc na świecie unosi się ku niebu „Zdrowaś Mario, łaski pełna” i dlatego też szczególnie upodobali ją sobie – jak pisze Egon Kapellari – „mistrzowie mistyki w Kościele (...) i próbowali przybliżyć ją (...) swoim braciom i siostram w wierze. W szerokim łuku, jaki różaniec rozpina pomiędzy jedną a drugą tajemnicą z życia Jezusa i Maryi, modlący ma jeszcze wiele miejsca na swoje własne radości i smutki, a także intencje innych, za których się modli. Im więcej pereł różańca przewinie się między jego palcami, tym najczęściej coraz większy pokój nastaje w jego sercu. Jest to pokój, który rozciąga się ku innym, przemieniając i rozjaśniając część otaczającego nas świata”²⁵⁴, ten pokój, którego tak bardzo dzisiaj brakuje, który tak bardzo jest potrzebny.

²⁵⁴ E. Kapellari, *Znaki święte w liturgii codzienności*, Kraków 2002, s. 91–92.

Czyż to nie właśnie dlatego tak gorąco do modlitwy różańcowej wzywa orędzie fatimskie? Pani tego orędzia, z troskana o losy świata i o losy człowieka, o pokój i miłość w tym świecie wskazuje na różaniec jako drogę do pokoju, drogę, na której – jak mówił Jan Paweł II – czuje się Ona najbardziej z nami zjednoczona, na której sama modli się za nami. Dlatego właśnie wezwanie Matki Bożej do modlitwy to wezwanie do odmawiania różańca, tej „Jej modlitwy”: „Chcę, abyście odmawiali codziennie różaniec” – prosiła Łucję, Hiacyntę i Franciszka²⁵⁵.

Modlitwa ta jest szczególnie bliska Matce Bożej. Ojciec Święty Jan Paweł w Liście apostolskim *Rosarium Virginis Mariae* pisał: „Wiele oznak wskazuje, jak bardzo Najświętsza Maryja Panna (...) chce również dzisiaj, właśnie przez tę modlitwę, dać wyraz swej macierzyńskiej trosce. W dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu Matka Chrystusowa w różnorodnych okolicznościach dawała odczuć w jakiś sposób swoją obecność i usłyszeć swój głos, by zachęcić Lud Boży do tej formy modlitwy kontemplacyjnej. W szczególności, ze względu na głęboki wpływ, jaki wywierają one na życie chrześcijan, i na autorytatywne uznanie przez Kościół, pragnę przypomnieć objawienia [Maryi] z Lourdes i z Fatimy”²⁵⁶. „Zwracajmy się nieustannie umysłem i sercem do Niej i naśladowujmy Jej przykład wierności wobec Bożego zamysłu. Posłuszni wezwaniu, które Maryja skierowała do wierzących właśnie w Fatimie, módlmy się i pokutujmy w intencji Kościoła, uświęcenia kapłanów, nawrócenia grzeszników i pokoju na świecie” – zachęcał Jan Paweł II po powrocie z Fatimy w 2000 roku wiernych zgromadzonych na placu św. Piotra w Rzymie na modlitwie *Regina Coeli*.

Gdy niemiecki dziennikarz Peter Seewald w jednym z wywiadów zapytał kardynała Józefa Ratzingera, ówczesnego prefekta Kongregacji Nauki Wiary, w jaki sposób odmawia

²⁵⁵ Cyt. za A. A. Borelli, *Fatima: orędzie tragedii czy nadziei?*, Warszawa 1996.

²⁵⁶ Jan Paweł II, *List apostolski „Rosarium Virginis Mariae”*, Watykan 2002.

modlitwę różańcową, obecny Papież odpowiedział: „Czynię to w zupełnie prosty sposób, dokładnie tak samo, jak modlili się moi rodzice. Oboje bardzo lubili różaniec. Im byli starsi, tym bardziej. Im człowiek ma więcej lat, tym mniej jest zdolny do wielkiego wysiłku, tym bardziej zaś, z drugiej strony, potrzebuje wewnętrznej ostoji i modlitwy Kościoła. Modłę się więc właśnie tak, jak oni to czynili”²⁵⁷.

Różaniec jest modlitwą, która towarzyszyła przez całe życie również Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. „Ta modlitwa – powiedział kiedyś jako arcybiskup, metropolita krakowski – stanowi taką wielką naszą radość, taką wielką naszą nadzieję, taką wielką naszą ufność. Wszystko w nią wkładamy. Tym różańcem żyjemy. Chodzimy z nim na co dzień. Wstajemy z nim, budząc się, i kładziemy się z nim spać. Z tym różańcem w kieszeni chodzimy po ulicach miasta, spiesząc do biura albo innego warsztatu pracy. Z tym różańcem się nie rozstajemy. Myślimy jego kategoriami, bo kategorie różańca są kategoriami Ewangelii. Cała Ewangelia jest w różańcu. Całe życie Chrystusa i Jego Matki. I dlatego różaniec jest nam tak bliski i drogi”. I dlatego towarzyszył on Ojcu Świętemu wszędzie: w prywatnej kaplicy, w samolocie, podczas górskich wędrówek i spływów kajakowych. „Jest to modlitwa, którą bardzo ukochałem” – wyznał zaraz po wyborze na Stolicę Piotrową. I dodał: „Przedziwna modlitwa! Przedziwna w swej prostocie i głębi zarazem!”.

Przedziwna doprawdy. Przedziwna, bo „różaniec ma charakter przebywania. Kryje się w nim spokój cichego, świętego świata ogarniającego modlącego się. Staje się to szczególnie wtedy wyraźne, jeśli porównamy go z drogą krzyżową. Ma ona charakter podróży. Modlący się idzie za Panem, od jednej «stacji» do drugiej, a na końcu ma wrażenie, że jest u celu. Różaniec nie jest drogą, lecz przestrzenią,

²⁵⁷ *Bóg i świat. Z kardynałem Josephem Ratzingerem rozmawia Peter Seewald*, Kraków 2005.

i nie ma celu, lecz głębię. Dobrze «jest w nim» przebywać” – pisał Romano Guardini²⁵⁸.

To przebywanie w różańcu ma ogromne znaczenie, rozważając bowiem jego tajemnice, patrzymy na misterium życia, męki, śmierci i zmartwychwstania Pana oczyma Maryi i przeżywamy je tak, jak Ona je przeżywała w swym macierzyńskim sercu, a przy tym rozmawiamy z Maryją, powierzamy Jej ufnie wszystkie troski i smutki, radości i nadzieje. Poprzez różaniec niejako unosimy się do Niej, stajemy tuż przed Nią, by Ją prosić, aby pomagała nam realizować Boże plany i wypraszała u Syna niezbędną do tego łaskę, a Ona niejako schodzi do nas i – zawsze u boku Syna: radosna, bolejąca, chwalebna – staje pośród nas, pośród naszych codziennych spraw.

Ukochać różaniec i być jego apostołem, to ważne zadanie. Każdego dnia trzeba wplatać w jego paciorki wszystkie sprawy osobiste, rodzinne, Kościoła, Polski oraz świata, wraz z Maryją kontemplować oblicze Chrystusa i uczyć się od Niej zgłębiać najważniejsze wydarzenia Jego zbawczej misji, aby głosić Ewangelię współczesnemu człowiekowi. „Maryja, która doskonale weszła w postawie rozumnej Służebnicy w życie i w drogę Chrystusa, przez różaniec stanie się naszą najlepszą nauczycielką, dając nam uczestnictwo w swojej postawie wobec Chrystusa – pisał ks. Franciszek Blachnicki. – Różaniec dobrze odmawiany stanie się doskonałą szkołą życia chrześcijańskiego, bo nauczy nas poddawać nasze życie rzeczywistości życia Chrystusa, które powinno stać się dla nas zobowiązującym modelem”²⁵⁹.

Modlitwa różańcowa zasługuje na to, byśmy ponownie odkryli jej moc i siłę. Poznając piękno tej modlitwy maryjnej, a zarazem tak bardzo Chrystusowej win-

²⁵⁸ R. Guardini, *Różaniec do Matki Bożej*, Warszawa 2001, s. 93.

²⁵⁹ F. Blachnicki, *Modlitwa tętniąca życiem. Refleksje nad różańcem*, Kraków 2003.

niśmy – jak naucza Ojciec Święty w Liście apostolskim *Rosarium Virginis Mariae* – stać się jej gorliwymi propagatorami w rodzinach i parafiach. Trzeba wziąć znów ufnie do rąk koronkę różańca, i trzeba brać ją codziennie, i codziennie na nowo ją odkrywać w świetle wydarzeń ewangelicznych, w harmonii z liturgią, w kontekście życia; i trzeba codziennie przesuwając palce z paciorka na paciorek unosić całą swą istotę ku Niej – Najjaśniejszej Gwieździe pośród gwiazd, Gwieździe, która nigdy nie zgaśnie i zawsze podobnie, jak Gwiazda Północna – północ, a Krzyż Południa – południe, będzie wskazywać Miłość, Prawdę i Dobro.

*Nie wątpij, człeczce,
W jej opiece,
W złej toni
Wołaj do niej,
Dźwignie, chciej być pewny.
Ma przez przywilej Boski moc zupełną
Czynić nam dobrze, gdyż jest łaski pełną.
Wierz, proś z chuci –
Nie odrzuci;
Żem doświadczył,
Będę świadczył
Dobroć tej Królewnej*

*(Dzięką powinna Przenaświętszej Pannie
i Matce Maryjej...)*

– pisał Wespazjan Kochowski. Zapamiętajmy te słowa a kończąc już te rozważania wypowiedzmy wraz z Papieżem słynną *Suplikę do Królowej Różańca Świętego*: „O, błogosławiony różańcu Maryi, słodki łańcuchu, który łączysz nas z Bogiem; więzi miłości, która nas jednoczy z aniołami; wieżo ocalenia od napaści piekła; bezpieczny porcie w morskiej katastrofie! Nigdy cię już nie porzucimy. Będiesz nam pociechą w godzinie konania. Tobie ostatni pocałunek gasnącego życia. A ostatnim akcentem naszych

warg będzie Twoje słodkie imię, o Królowo Różańca, o Matko nasza droga, o Ucieczko grzeszników, o Władczyni, Pocieszycielko strapionych. Bądź wszędzie błogosławiona, dziś i zawsze, na ziemi i w niebie”.

BIBLIOGRAFIA

ŹRÓDŁA

Nauczanie soborowe

Dekret o apostołstwie świeckich „Apostolicam actuositatem” [w:] Sobór Watykański II, *Konstytucje, dekrety, deklaracje*, Poznań 1960, s. 578–630.

Dekret o wolności religijnej „Dignitatis humanae” [w:] Sobór Watykański II, *Konstytucje, dekrety, deklaracje*, Poznań 1960, s. 631–699.

Konstytucja dogmatyczna o Kościele „Lumen gentium” [w:] Sobór Watykański II, *Konstytucje, dekrety, deklaracje*, Poznań 1960, s. 146–264.

Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes” [w:] Sobór Watykański II, *Konstytucje, dekrety, deklaracje*, Poznań 1960, s. 830–986.

Nauczanie papieskie

Benedykt XVI, *Bóg objawia swoją miłość w Dzieciątku*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 27(2006) nr 2(280), s. 20–21.

Benedykt XVI, *Budujcie wasze życie na Chrystusie*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 27(2006) nr 6–7(284), s. 32–34.

Benedykt XVI, *Trwajcie mocni w wierze, nadziei i miłości*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 27(2006) nr 6–7(284), s. 35–37.

Benedykt XVI, *Encyklika „Deus caritas est” o miłości chrześcijańskiej*, Watykan 2005.

Benedykt XVI, *Encyklika „Spe salvi” o nadziei chrześcijańskiej*, Watykan 2007.

Benedykt XVI, *Orędzie na XXV Światowy Dzień Młodzieży* (28 III 2010), www.franciszkanie.gdansk.pl/2010?/.

Benedykt XVI, *Życie jest poszukiwaniem prawdy, dobra i piękna*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 29(2008) nr 9(306), s. 13.

- Jan Paweł II, *Adhortacja apostolska „Ecclesia in Europa”*, Watykan 2003.
- Jan Paweł II, *Adhortacja apostolska „Familiaris consortio” o zadaniach rodziny chrześcijańskiej w świecie współczesnym*, Watykan 1981.
- Jan Paweł II, *Adhortacja apostolska o pojednaniu i pokucie w dzisiejszym posłannictwie Kościoła „Reconciliatio et paenitentia”*, Watykan 1984.
- Jan Paweł II, *Budowanie nowego społeczeństwa*, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 9(1985) nr 9 (70), s. 10–11.
- Jan Paweł II, *Co się stało z przykazaniem „nie cudzołóż” w naszym polskim życiu?* Homilia w Łomży, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 12(1991) nr 5(132), s. 40.
- Jan Paweł II, *Chrystus wyzwala człowieka z niewoli grzechu do wolności w prawdzie*, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 8(1988) nr 9(105), s. 13.
- Jan Paweł II, *Chrześcijanie w pełnym tego słowa znaczeniu*, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 12(1991) nr 5 (132), s. 14.
- Jan Paweł II, *Czy wolno bezmyślnie narażać polskie rodziny na dalsze niszczenie*, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 12(1991) nr 5(132), s. 31.
- Jan Paweł II, *Do młodzieży. Gniezno-Wzgórze Lecha* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne. Pielgrzymka do Polski 1979*, t. 1, Warszawa 1982, s. 39–41.
- Jan Paweł II, *Dwie wielkie prawdy o rodzinie*, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 3 (1982) nr 5(29), s. 15–17.
- Jan Paweł II, *Encyklika „Centesimus annus” w setną rocznicę „Rerum novarum”*, Watykan 1991.
- Jan Paweł II, *Encyklika „Evangelium vitae” o wartości i nienaruszalności życia ludzkiego*, Watykan 1995.
- Jan Paweł II, *Encyklika „Fides et ratio”*, Watykan 1998.
- Jan Paweł II, *Encyklika o Bożym Miłosierdziu „Dives in misericordia”*. Tekst i komentarz, Kraków 1981.
- Jan Paweł II, *Encyklika o pracy ludzkiej „Laborem exercens” z okazji 90. rocznicy „Rerum novarum”*, Watykan 1981.
- Jan Paweł II, *Encyklika „Redemptor hominis”*, Watykan 1979.
- Jan Paweł II, *Encyklika „Sollicitudo rei socialis” z okazji dwudziestolecznicy ogłoszenia „Populorum progressio”*, Watykan 1988.

- Jan Paweł II, *Encyklika „Veritatis splendor” o niektórych podstawowych problemach nauczania moralnego Kościoła*, Watykan 1993.
- Jan Paweł II, *Grzech jako alienacja*, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 7(1986) nr 10(84), s. 8.
- Jan Paweł II, *Kiedy Bóg daje życie, daje je na zawsze*, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 2(1981) nr 4(16), s. 18–19.
- Jan Paweł II, *List apostolski „Novo millennio adveniente”*, Watykan 2001.
- Jan Paweł II, *List do młodych całego świata z okazji Międzynarodowego Roku Młodzieży*, Watykan 1985.
- Jan Paweł II, *List do Rodzin z okazji Roku Rodziny 1994*, Watykan 1994.
- Jan Paweł II, *List „Rosarium Virginis Mariae” o różańcu*, Watykan 2002.
- Jan Paweł II, *Na forum pokoju i sprawiedliwości. Orędzie do Organizacji Narodów Zjednoczonych* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne 1978–1979*, t. 2, Warszawa 1982, s. 308–324.
- Jan Paweł II, *Na Placu Zwycięstwa w Warszawie* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie papieskie. Pielgrzymka do Polski 1979*, t. 1, Warszawa 1982, s. 21–24.
- Jan Paweł II, *„Nie kradnij” znaczy także nie nadużywaj twojej władzy nad własnością*. Homilia w Białymstoku, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 12(1991) nr 5 (132), s. 48.
- Jan Paweł II, *Niechaj nikt nie bogaci się kosztem bliźniego*. Homilia wygłoszona w Płocku, „L’Osservatore Romano” (wydanie polskie), 12(1991) nr 5(132), s. 10–11.
- Jan Paweł II, *Otwórzcie drzwi Chrystusowi* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne 1978–1979*, t. 2, Warszawa 1982, s. 21–24.
- Jan Paweł II, *Podczas Mszy św. na Placu Zwycięstwa w Warszawie* [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie społeczne. Pielgrzymka do Polski 1979*, t. 1, Warszawa 1982, s. 18–23.
- Jan Paweł II, *„Pokój dar Boga powierzony ludziom”*. Orędzie na XV Światowy Dzień Pokoju [w:] Paweł VI, Jan Paweł II, *Orędzia papieskie na Światowy Dzień Pokoju*, Rzym 1985, s. 134–147.

- Jan Paweł II, *Polska potrzebuje ludzi sumienia*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 16(1995) nr 7(175), s. 26–28.
- Jan Paweł II, *Posynodalna adhortacja apostolska o powołaniu i misji świeckich w Kościele i w świecie dwadzieścia lat po Soborze Watykańskim II* „Christifideles laici”, Watykan 1988.
- Jan Paweł II, *Powinniście uobecnić Kościół we wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 3(1982) nr 5(29), s. 5.
- Jan Paweł II, *Światło Roku Jubileuszowego na sakrament bierzmowania*, [w:] Jan Paweł II, *Nauczanie papieskie*, Poznań 1990, II, 1(1979), s. 708–713.
- Jan Paweł II, *Uniwersytet, wolność, prawda, służba człowiekowi*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 1(1980) nr 5, s. 10.
- Jan Paweł II, *Urbi et Orbi. Boże Narodzenie 1981*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie) 2(1981) nr 12(24), s. 1.
- Jan Paweł II, *Wielka praca nad mową*. Homilia wygłoszona w Olsztynie, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 12(1991) nr 5(132), s. 56.
- Jan Paweł II, *W imię przyszłości kultury*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 1(1980) nr 6, s. 1, 4–6.
- Jan Paweł II, *Wy, którzy budujecie świat nie odrzucajcie Chrystusa*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 1(1980), nr 4, s. 3.
- Jan Paweł II, *Wychowanie człowieka do wartości moralnych*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 12(1991) nr 11(137), s. 16.
- Jan Paweł II, *Wymowa wawelskiego krzyża*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 8(1987) nr 5(90), s. 22–23.
- Jan Paweł II, *Ziemia jest darem Boga ku pożytkowi wszystkich*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 2(1981), nr 4 (16), s. 20–21.
- Jan Paweł II, *Żeby Polacy mogli kształtować swoją przyszłość w oparciu o własną kulturę*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 1(1981) nr 12(24), s. 21.
- Jan XXIII, *Encyklika o pokoju między narodami opartym na prawdzie, sprawiedliwości, miłości i wolności* „Pacem in terris”, Watykan 1963.

- Jan XXIII, *Encyklika o współczesnych przemianach społecznych w świetle zasad nauki chrześcijańskiej „Mater et Magistra”*, Watykan 1969.
- Leon XIII, *Encyklika „Rerum novarum”*, Watykan 1891.
- Paweł VI, *Adhortacja apostolska „Evangelii nuntiandi”*, Watykan 1978.
- Paweł VI, *Encyklika o popieraniu rozwoju ludów „Populorum progressio”*, Watykan 1968.
- Katechizm Kościoła Katolickiego*, Pallottinum 1984.

LITERATURA

- Alkajos i Safona, *Pieśni*, tłum. J. Danielewicz, Warszawa 1989.
- Anzelm z Canterbury, *Monologion. Proslogion*, przeł. Tadeusz Włodarczyk, Warszawa 1992.
- Arystoteles, *Polityka*, przeł. L. Piotrowicz, Warszawa 1964.
- Arystoteles, *Retoryka. Poetyka*, przeł. H. Podbielski, Warszawa 1988.
- Arystoteles, *Zachęta do filozofii*, przeł. K. Leśniak, Warszawa 1988.
- Bierdajew M., *Sens twórczości. Próba usprawiedliwienia człowieka*, przeł. H. Paprocki, Kęty 2001.
- Boecjusz z Dacji, *O dobru Najwyższym, czyli o życiu filozofa*, przeł. Leopold Regner, Warszawa 1990.
- Bonawentura, *Pisma ascetyczno-mistyczne*, przeł. Cecylian Niezgoda [i in.], Warszawa 1984.
- Bonawentura, *Obraz Boży [w:] Pisma ascetyczno-mistyczne*, przeł. Kazimierz Żuchowski, Warszawa 1984.
- Borelli A., *Fatima: orędzie tragedii czy nadziei?*, Warszawa 2003.
- Borowy W., *Poezja T. S. Eliota [w:] Thomas S. Eliot, Poezje wybrane*, Warszawa 1988.
- Böhme J., *Ponowne narodziny*, Poznań b.r.w.
- Bóg i świat. *Z kardynałem Josephem Ratzingerem rozmawia Peter Seewald*, Kraków 2005.
- Brandstaetter R., *Krąg biblijny i franciszkański [w:] Dzieła zebrane*, Kraków 2004, s. 181–182.
- Brzozowski S., *Filozofia czynu*, Kraków 1903.

- Bukowski J., *Zarys filozofii spotkania*, Kraków 1987.
- Colomb J., *Stawanie się wiary*, przeł. T. Dworakowa, Warszawa 1980.
- Copleston F., *Historia filozofii*, t. 1: *Grecja i Rzym*, przeł. H. Bednarek, Warszawa 1998.
- Copleston F., *Historia filozofii*, t. 2: *Od Augustyna do Szkota*, przeł. Sylwester Zalewski, Warszawa 2000.
- Copleston F., *Historia filozofii*, t. 8: *Od Benthama do Russela*, przeł. Bohdan Chwedończuk, Warszawa 1989.
- Cycon, *Pochwała miasta ojczystego* [w:] *Dialogi*, t. 8, Wrocław 2006.
- Danti V., *Traktat o doskonałych proporcjach* [w:] *Teoretycy, pisarze i artyści o sztuce 1500–1600*, red. J. Białostocki, Warszawa 1985.
- De Foucauld K., *Noël par le Père de Foucauld*, kolekcja „Lectures chrétiennes”, Paryż 1938.
- De Saint-Exupéry A., *Twierdza*, Warszawa 1985.
- De Unamuno U., *O poczuciu tragiczności życia wśród ludzi i wśród narodów*, przeł. Henryk Woźniakowski, Kraków–Wrocław 1984.
- Demostenes, *O pokój* [w:] *Wybór mów*, przeł i oprac. Romuald Turasiewicz, Wrocław 1991.
- Descartes R., *Listy do księżniczki Elżbiety*, przeł. J. Kopania, Warszawa 1985.
- Dobson H. J. C., *Dzieci i wychowanie*, Warszawa 1997.
- Demostenes, *O pokój* [w:] *Wybór mów*, Wrocław 1991.
- Ehrlich L., *Pisma wybrane Pawła Włodkowica*, t. 1, Warszawa 1968.
- Fletcher J., *Etyka sytuacyjna*, Warszawa 1965.
- Fourier K., *Apostoł radosnej pracy*, Warszawa 1927.
- Frossard A., „*Nie lękajcie się!*” *Rozmowy z Janem Pawłem II*, Rzym 1982.
- E. Fromm, *Ucieczka od wolności*, Warszawa 1983.
- Gandhi M., *Autobiografia*, Warszawa 1958.
- Granat W., *Godność człowieka i jej współczesne uzasadnienia* [w:] *O człowieku dziś*, Warszawa 1974, s. 223–256.
- Habachi R., *U źródeł człowieczeństwa*, przeł. W. Sukiennicka, Warszawa 1969.
- Hallesby O., *Moja droga do wiary*, Warszawa 1980.

- Hegel G. W. F., *Encyklopedia nauk filozoficznych*, przeł. Ś. F. Nowicki, Warszawa 1990.
- Hegel G. W. F., *Fenomenologia ducha*, przeł. A. Landman, t. 1, Warszawa 1963.
- Hegel G. W. F., *Filozofia ducha* [w:] *Encyklopedia nauk filozoficznych*, przeł. Ś. F. Nowicki, Warszawa 1990, s. 568–569.
- Hegel G. W. F., *Wykłady z historii filozofii*, tłum. S. F. Sawicki, t. 1, Warszawa 1994.
- Hildebrand D., *Serce*, Poznań 1985.
- Jampolsky G. G., *Przebaczenie – najpotężniejszy uzdrowiciel*, Warszawa 1998.
- Jaspers K., *Autorytety*, przeł. P. Bentkowski i R. Flaszak, Warszawa 2000.
- Kant E., *Krytyka praktycznego rozumu*, tłum. J. Gałęcki, Warszawa 1972.
- Kant E., *Uzasadnienie metafizyki moralności*, tłum. M. Wartenberg, Lwów 1906, przekład poprawiony przez R. Ingardena, Warszawa 1984.
- Kapellari E., *Znaki święte w liturgii i codzienności*, przeł. J. Jurczyński, Kraków 2002.
- Kierkegaard S., *Albo – albo*, przeł. K. Toeplitz, t. 2, Warszawa 1982.
- Kołakowski L., *Mini wykłady o maxi sprawach*, Kraków 2003.
- Kowalska F., *Dzienniczek*, Kraków 2007.
- Krenzer F., *Taka jest nasza wiara*, przeł. F. Wycisk, P. Waszczenko, Paris 1981.
- Kuderowicz Z., *Filozofia nowożytnej Europy*, Warszawa 1989.
- Kuksewicz Z., *Zarys filozofii średniowiecznej. Filozofia łacińskiego obszaru kulturowego*, Warszawa 1973.
- Leibniz G. W., *Wyznanie wiary filozofa. Rozprawa metafizyczna. Monadologia. Zasady natury i łaski oraz inne pisma filozoficzne*, tłum. S. Cichowicz, Warszawa 1969.
- Levinas E., *Etyka i Nieskończony*, Kraków b.r.w.
- Levinas E., *Trudna wolność. Eseje o judaizmie*, przeł. A. Kuryś, Gdynia 1991.
- Libelt K., *O miłości ojczyzny* [w:] *Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej*, oprac. A. Walicki, Warszawa 1967.
- Lukian, *Pochwała miasta ojczystego* [w:] *Dialogi*, tłum. i koment. W. Madyda, t. 3, Wrocław 2006.

- Łysień L., *Modlitwa tętniąca życiem. Refleksje nad różańcem*, Kraków 2003.
- Marcel G., *Homo viator. Wstęp do metafizyki nadziei*, przeł. P. Lubicz, Warszawa 1984.
- Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, przeł. M. Reiter, Warszawa 1988.
- Maritain J., *Pisma filozoficzne*, przeł. J. Fenrychowa, Kraków 1988.
- Mazurek F., *Godność osoby ludzkiej*, Lublin 2001.
- Miazgowicz J., *Wychowanie religijne małego dziecka. Katecheza dla rodziców i chrześniych*, www.opoka.org.pl/biblioteka/K/chrzcielna2.html.
- Mistrz Eckhart, *Kazania*, przeł. i oprac. W. Szymona OP, Poznań 1986.
- Mistrz Eckhart, *Traktaty. Pouczenia duchowe. Księga Boskich pocieżeń. O człowieku szlachetnym. O odosobnieniu. Legendy*, przeł. i oprac. W. Szymona OP, Poznań 1987.
- Murdoch I., *Prymat dobra*, przeł. i wstęp A. Pawelec, Kraków 1996.
- Newman J. H., *Logika wiary*, przeł. P. Boharczyk, Warszawa 1989.
- Nietzsche F., *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. W. Berent, Warszawa 1981.
- Orsetti M., *Karol Fourier: Apostoł radosnej pracy*, Warszawa 1927.
- Pascal B., *Myśli*, przeł. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1977.
- Pesch T., *Chrześcijańska filozofia życia*, t. 1, Kraków 1930.
- Platon, *Gorgias. Menon*, przeł. P. Siwek, Warszawa 1991.
- Prawo do pracy w encyklice [w:] Jan Paweł II, Laborem exercens. Powołany do pracy*, red. J. Krucina, Wrocław 1983.
- Pseudo-Dionizy, *O imionach Bożych*, przeł. E. Bułhak, Lublin 1995.
- Ratzinger J., *Ku „dojrzałości” wiary w Chrystusa*, „L'Osservatore Romano” (wydanie polskie), 26(2005) nr 6(274), s. 30.
- Ratzinger J., *Medytacje o Bożym Narodzeniu*, Warszawa 2003.
- Ricoeur P., *Podług nadziei*, oprac. S. Cichowicz, przeł. S. Cichowicz [i in.], Warszawa 1991.
- Saint-Exupéry A., *Twierdza*, przeł. A. Oledzka-Frybesowa, Warszawa 1985.
- Schleiermacher F. D. E., *Mowy o religii do wykształconych*

- spośród tych, którzy nią gardzą*, przeł. J. Prokopiuk, Kraków 1995.
- Seneka, *Myśli*, przeł. S. Stabryła, Kraków 1987.
- Seewald P., *Bóg i świat. Z kardynałem J. Ratzingerem rozmawia P. Seewald*, Kraków 2005.
- Seneka, *O życiu szczęśliwym*, Kraków 1985.
- Sikorski W., *Przyszła wojna*, Warszawa 1984.
- Starowolski S., *Reformacja obyczajów polskich* [w:] *Wybór z pism*, oprac. I. Lewandowski, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991.
- Stróżewski W., *Kilka refleksji o patriotyzmie* [w:] *Oblicza patriotyzmu*, red. J. Sadowski, Kraków 2009, s. 149–158.
- Suzo H., *Księga Prawdy i inne pisma*, przeł. i oprac. W. Szymona, Poznań 1989.
- Ślipko T., *Zarys etyki ogólnej*, Kraków 1974.
- Tatarkiewicz W., *O szczęściu*, Warszawa 1979.
- Tauler J., *Kazania*, przeł. i oprac. W. Szymona, Poznań 1985.
- Teilhard de Chardin, *Pisma. Człowiek*, t. 1, Warszawa 1984.
- Tischner J., *Jak żyć?*, Wrocław 2000.
- Tischner J., *Polska jest Ojczyzną. W kręgu filozofii pracy*, Paryż 1985.
- Tischner J., *Ptakom na wędrówce....*, [w:] *Cyprian Norwid (27 – 29 X 1983)*, red. S. Burkot, Kraków 1991, s. 50–58.
- Tomasz z Akwinu, *Jak uzasadnić wiarę* [w:] *Dzieła wybrane*, przeł. i oprac. J. Salij, Poznań 1984.
- Trentowski B., *Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej jako umiejętności wychowania, nauki i oświaty, słowem wykształcenia naszej młodzieży*, Wrocław 1970.
- Weil S., *Myśli*, wybór A. Oledzka-Frybesowa, Warszawa 1985.
- Weil S., *Świadomość nadprzyrodzona*. Wybór myśli, przeł. A. Oledzka-Frybesowa, wybór i oprac. J. Nowak, Warszawa 1986.
- Wolfhart Pannenberg W., *Gdy wszystko jest dozwolone*, „W drodze”, 9(2003), s. 17–23.
- Wyszyński S., *Zapiski więzienne*, Paryż 1982.
- Zdziechowski M., *Idee. Wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej*, Lwów 1910.



SPIS TREŚCI

Przedmowa	5
Wstęp	9
Prawo	
Dekalog I–III	17
Dekalog IV–X	27
Sumienie	37
Grzech	47
Nawrócenie	59
Miłosierdzie Boga	69
Jezus Chrystus	
Wigilijna cisza	81
Noc wigilijna	91
Boże Narodzenie	101
O Krzyżu Chrystusowym	113
Radość Zmartwychwstania	123
Zasady	
Prawda	135
Człowiek potrzebuje wiary	145
Brak wiary	155
O miłości Boga i bliźniego	165
Człowiek	
Godność osoby ludzkiej	177
Prawa i obowiązki człowieka	187
Życie ludzkie	197
Wartości	
Wolność	205
Przebaczenie	215
Szczęście	225

Rodzina

Małżeństwo	237
Rodzina	247
Wychowanie rodziny	257

Spółeczeństwo

Wojna	269
Pokój	279
Praca	289
Znaczenie kultury	299
Mowa	309

Uczestnictwo

Apostolat	321
Powołanie	331
Rola szkoły	339
Patriotyzm	349

Matka Boża

Maryja	361
Wniebowzięcie	371
Różaniec	381

Bibliografia	389
---------------------------	-----